

Kłodzki podkomisarz Filip Krauze zawsze polował na innych  
Teraz to on stał się zwierzyną łowną

# HUBERT HENDER

# POTWÓR



BUKOWY LAS

HUBERT HENDER

# POTWÓR

BUKOWY LAS

Wszystkie opisane w książce postacie i wydarzenia są fikcyjne. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych osób lub zdarzeń jest przypadkowe i niezamierzone przez autora.

Copyright © by Hubert Hender, 2023  
Copyright © for this edition by Dressler Dublin Sp. z o.o., 2023

ISBN 978-83-8074-541-4  
Wrocław 2023

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz  
Redakcja: Olga Gitkiewicz  
Korekta: Jolanta Kucharska, Agnieszka Madyńska  
Redakcja techniczna: Adam Kolenda

Wydawca:  
Wydawnictwo Bukowy Las  
ul. Sokolnicza 5/76, 53-676 Wrocław  
[bukowylas.pl](http://bukowylas.pl)

Wyłączny dystrybutor:  
Dressler Dublin Sp. z o.o.  
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32  
e-mail: [dystrybucja@dressler.com.pl](mailto:dystrybucja@dressler.com.pl)  
[dressler.com.pl](http://dressler.com.pl)

Wesję elektroniczną przygotowano w systemie Zecer

# Spis treści

Strona tytułowa	
Karta redakcyjna	
Rozdział 1	
Rozdział 2	
Rozdział 3	
Rozdział 4	
Rozdział 5	
Rozdział 6	
Rozdział 7	
Rozdział 8	
Rozdział 9	
Rozdział 10	
Rozdział 11	
Rozdział 12	
Rozdział 13	
Rozdział 14	
Rozdział 15	
Rozdział 16	
Rozdział 17	
Rozdział 18	
Rozdział 19	
Rozdział 20	
Rozdział 21	
Rozdział 22	
Rozdział 23	
Rozdział 24	
Rozdział 25	
Rozdział 26	
Rozdział 27	
Rozdział 28	
Rozdział 29	
Rozdział 30	
Rozdział 31	
Rozdział 32	
Rozdział 33	
Rozdział 34	
Rozdział 35	
Rozdział 36	
Rozdział 37	
Rozdział 38	
Rozdział 39	
Rozdział 40	
Rozdział 41	
Rozdział 42	
Rozdział 43	
Rozdział 44	
Rozdział 45	
Rozdział 46	
Rozdział 47	
Rozdział 48	
Rozdział 49	

Rozdział 50  
Rozdział 51  
Rozdział 52  
Rozdział 53  
Rozdział 54  
Rozdział 55  
Rozdział 56  
Rozdział 57  
Rozdział 58  
Rozdział 59  
Rozdział 60  
Rozdział 61  
Rozdział 62  
Rozdział 63  
Rozdział 64  
Rozdział 65  
Zakończenie  
O autorze

# 1

- Czy dzisiaj też przyjdzie potwór? – zapytała dziewczynka, przytulając się do mamy.
- Nie, skarbie, wiesz, że potwory nie istnieją.
- Ale ja go widziałam. Mówił do mnie. Znał moje imię.
- Helenko, rozmawialiśmy o tym wczoraj. Pewnie ci się przyśnił – powiedziała, uśmiechając się do córki. Dziewczynka ułożyła misia obok siebie na poduszce, po czym przykryła go miniaturowym kocykiem.
- Wydaje mi się, że był prawdziwy. Nie spałam.
- Skarbie, zaglądałam w nocy kilka razy do twojego pokoju. Nikogo w nim nie było. Spałaś, włączyłam ci lampkę z Psim Patrolem, którą dostałaś na urodziny. Pilnowali cię całą noc.
- To dlaczego on... – urwała. Wiedziała, że mama czyta w myślach. Wystarczyło powiedzieć słowo, a mama skończyła zdanie tak, jakby wszystko wiedziała.
- Bo widzisz, słoneczko, zdarza się, że nocą odwiedzają cię postacie z bajek i filmów. Zazwyczaj z tych, które lubisz. Ale czasem w snach pojawiają się potwory. Ale one znikają równie szybko, jak się pojawiają. Następnego dnia o nich nie pamiętamy.
- Ale ten nie był zmyślony, mamusi. Powiedział, że jeszcze tu przyjdzie.
- Kochanie, nie mógł być prawdziwy. A teraz zamykaj oczka. Jutro zrobimy coś fajnego.
- Dziewczynka spojrzała w kierunku okna, które wypełniała czerń. Miała nadzieję, że mama ma rację i że w tym świecie, ciemnym, niemal czarnym, nie ma żadnych istot, które chciałyby jej zrobić krzywdę.
- Zostań tu ze mną – szepnęła. – Boję się.
- Kobieta spojrzała na córkę, na jej niewielką twarzączkę, na pełne usta, niebieskie oczy, kształtne czoło, delikatnie zarysowane oblicze osoby, która dopiero powoli poznaje świat. Popatrzyła na najdroższą i najukochańszą dziewczynkę, która wierzyła w każde jej słowo i zapewnienie.
- Będę tu przez chwilę, Helenko. No, śpij już – odpowiedziała, ścisząc głos, po czym powąchała upięte w grubym warkocz pachnące włosy. Zerknęła na jedną z książek stojących na półce, na *Muminki*, które czasami czytały do snu. Być może mała z ciekawości obejrzała ilustracje i może to przez Bukę miała koszmary.
- Przykryła córkę kocem, a gdy parę minut później wychodziła z pokoju, zabrała ze sobą książkę.
- Popatrzyła na zegarek. Kilka minut po dwudziestej pierwszej.
- Nalała do kieliszka białe wino, przygotowała przekąski i wyszła na taras. Rozejrzała się po rozległym podwórzu. W ciemności wyglądało, jakby nie miało końca.
- Miejscowość znajdowała się w niewielkiej dolinie, choć ich dom stał w wyżej położonej części wsi. Otaczały ją rozległe łąki, pola i lasy, które sięgały Gór Stołowych.
- Kochała to miejsce. Było piękne, choć teraz, nocą, bałaby się wyjść dalej niż za ogrodzenie. Być może na tym polegał urok okolicy – zachwycała i onieśmielała zarazem, podobnie jak paraliżowały pięknem skaliste szczyty czy rozległe morza i pustynie.
- „Tak, czasami było tu zbyt pięknie i zbyt drapieżnie”, powiedziała do siebie, patrząc w nieprzeniknioną ciemność.
- Podeszła do ściany domu i wcisnęła włącznik. Lamy ledowe oświetliły niemal całe podwórze. Teraz lepiej było widać część krzewów i kwiatów, azalie, hortensje, róże. W oddali, za nimi, znajdował się duży basen, dalej ogromna pergola, a obok niej wysoka trampolina, zjeżdżalnia oraz plastikowy basenik, który czekał na ciepłe dni.
- Dalej w mroku połyskiwały stawy. Nie znosiła ich mulistej woni. Uważała, że postawili dom zbyt blisko nich. Ale to on zdecydował. Powiedział, że ma plan na ich wykorzystanie.
- Usiadła w wygodnym fotelu ogrodowym. Zamknęła oczy i wzięła kilka głębokich wdechów.
- Pomyślała o dniu, który właśnie upłynął, o wyjeździe do miasta, o załatwionych i niezałatwionych jeszcze sprawach. Nie było tego dużo, zajęło jej to ułamek dnia. Resztę czasu poświęciła córce. To był jej świat. I jej największa miłość. Zawozenie do przedszkola, raz w tygodniu wyjazd na zajęcia dodatkowe do Kłodzka, zakupy, ogarnianie domu.
- Niespełna kwadrans później odstawiła pusty kieliszek i sięgnęła po telefon. Przejrzała z ciekawości Facebooka. Ziewnęła. Otworzyła aplikację, do której zaglądała tylko wtedy, gdy była sama i miała pewność, że w pobliżu nikogo nie ma.
- Dwie nowe wiadomości.

Poczuła delikatne ciepło w dwóch miejscach na ciele, które za dotknięciem dłoni stawały się ciepłe, a zaraz potem rozpalały się gorącem.

Dawno nie czuła się tak szczęśliwa, choć był to inny rodzaj szczęścia. Nie ten, jaki daje widok spokojnie śpiącego dziecka, ani nie ten, który dawało jej kiedyś silne objęcie mężczyzny.

Ten był inny, wcześniej nieznan, a teraz, kiedy już go poznała, nie chciała innego.

Zamknęła oczy. Ujrzała tę twarz, ładną, subtelną twarz, którą pokochała.

Już chciała odpisać na wiadomość, ale usłyszała szept. Chyba dochodził z pokoju Helenki. Zostawiała jej uchylone okno.

Bezszelestnie wstała z fotela i przeszła w tamtym kierunku.

Upewniła się, że nikt jej nie zobaczy, ale po chwili zganiła się w myślach – przecież nikt jej nie mógł teraz widzieć. Podeszła bliżej, starając się nie wydawać żadnego dźwięku.

W tej samej chwili ujrzała przyklejoną do szyby bladą twarz córki.

Dziewczynka wpatrywała się w dal, powtarzając niczym automat słowa:

– Czarny, czarny potworze, odejdz... Czarny potworze, odejdz, błagam cię... Idź sobie.

Szybko odwróciła głowę, bo miała wrażenie, że poczuła na swojej szyi zimny oddech.

– Mówię ci, że to jest wyreżysowane! – Chłopak podskoczył. Miał tyle energii, że nawet kiedy mówił, cały się poruszał. Nosił nim tak, jakby wciąż grał w ekscytującą grę.

– Nie jest. Mówię ci po raz setny.

– Nie wierzę – odpowiedział, potrząsając głową. – To by nie było normalne.

– To uwierz, robaczku, bo jak ci sprzedam lepe, to sam się przekonasz, że pewnych rzeczy nie da się wyreżysować. Jak mój cios.

– Wujek, kurde, ale spójrz na nich. Popatrz na ich miny – upierał się – zachowanie i to, jaki mają z tego ubaw. Musieli to zaplanować, przecież tam jest ekipa, reżyser. To wszystko, no wiesz...

Igor pokiwał głową, a potem złożył ręce jak mentor.

– Okej, Marcel, widzę, żeś się, chłopie, minął z rozumem i nawet go nie próbujesz gonić. To oczywiste, że zaplanowali. Przytaczali kamerę, oświetlenie, mikrofony, rekwizyty. Ale to nie zmienia faktu, że oni naprawdę strzelają sobie w jaja, w brzuch, plecy, nogi. Różnica jest taka, że ta ekipa filmuje autentyczne – zaakcentował – sceny. Sam sobie kiedyś jebnąłem kulą gumową w nogę. Wali ostro, wierz mi.

– Miałeś nie przeklinać.

– Sorry.

– Tak czy siak, po prostu nie wierzę – oznajmił Marcel, patrząc w ekran telewizora, który zajmował niemal całą ścianę.

Rodzice wybrali się do restauracji. Nie chcieli go zostawić samego w domu, zwłaszcza o tej porze, dlatego poprosili, żeby Igor spędził z nim wieczór.

Igor Fijałkowski był najlepszym kolegą Filipa Krauzego, razem się wychowywali, od lat razem pracowali w policji, w wydziale kryminalnym. Ich prywatne i zawodowe relacje się łączyły, co ostatecznie przekładało się na to, że spędzali ze sobą każdy dzień, a ich rodziny dobrze się znały.

Igor nie miał nic przeciwko temu, żeby spędzić wieczór ze swoim chrześniakiem. Gdy tylko zjedli lazanie, zaczęli oglądać film. Nie spodobał się im, więc zamówili pizzę i włączyli YouTube'a, stare odcinki *Jackass*, popularnego programu MTV, w którym grupa znajomych wykonywała na wpół kaskaderskie wygłupy: paintball, bicie po twarzy, podpinanie się do prądu, rzucanie na swoje nagie ciała skorpionów, pijawek czy węży.

Igor parsknął śmiechem, gdy na ekranie jeden z gości skoczył z drzewa, a potem nie mógł wstać. Możliwe, że zwicznął sobie kostkę.

– To poczytaj w Wikipedii, losiu – orzekł, nie odrywając wzroku od filmu. – Albo po prostu uruchom zakurzone zwoje w mózgu. Mówisz, że to idiotyczne? Udawane? A teraz niby co robicie w necie? – zapytał i nie czekając, sam sobie odpowiedział: – Teraz też robicie z siebie idiotów, by zaistnieć na tych cholernych TikTokach czy Snapchatach.

– Wy, to znaczy kto?

– Wy, głęby pospolite zwane młodzieżą. Robicie wszystko pod publikę, dla lajków, serduszek, łapek, udostępnień. Karmicie się liczbami, a nie emocjami. Kiedyś nie było tego całego syfu. Jackassów nagrywali dwadzieścia lat temu. Nie było takiego pieprzonego parcia na szkło. Nagrywali, bo chcieli, bo czuli, że to, co robią, jest czymś nowym, oryginalnym, pomysłowym.

– Chcesz mi powiedzieć, że robili to bezinteresownie?

– Wiadomo, mieli z tego hajs, ale to nie było to, co teraz. Dzisiaj każdy może pokazać swoją mordę w internecie, każdy może nagrać filmik dla szpanu, dla beki. Każdy chce być gwiazdą. I dlatego mało kto jest dobry, autentyczny. A wy jaracie się tym szambem, wskakujecie w gówno i chlapiecie nim dookoła.

Marcel wzruszył ramionami. Już chciał coś dodać, ale usłyszeli dzwonek do drzwi.

– Cholera, nie spieszyły się im z tą pizzą – mruknął Igor i poszedł otworzyć. W jednej chwili jego radosny wyraz twarzy zamienił się w pytający.

W progu stali Filip Krauze z żoną. Ola miała na sobie kurtkę dżinsową i dopasowane spodnie, które podkreślały jej zgrabną sylwetkę. Krauze, czterdziestolatek z długimi blond włosami związanymi w kucyk, odpiął mankiety koszuli, którą włożył na kolację. Pewnie było mu niewygodnie, bo zwykle nosił bluzę dresową i czapkę z daszkiem.

– Co tu robicie? Przecież to nie wy tu powinniście stać, ale dostawca pizzy.

– Nie cieszysz się na nasz widok?



- Myślałem, że to żarcie. Jeśli macie coś ciepłego do jedzenia w kieszeniach, to luz, możecie wejść.
- Zostawiliśmy wam pełną lodówkę, zamrażarkę, dania w pięć minut, przekąski. I jeszcze zamówiliście pizzę?
- Wszystko zeżarłem, ale pizzy nie znalazłem, więc zamówiłem.

Ola z Filipem przekroczyli próg mieszkania i przeszli do przestronnego salonu, który łączył się z kuchnią. Pomieszczenia oddzielał murek, na którym znajdował się drewniany blat bufetu.

- Co wy oglądacie? – zapytał Krauze, wskazując na telewizor. Miał kwaśną minę.
- Jackassów.
- Co?! – wycedził. W ostatniej chwili się powstrzymał, a chciał już puścić wiązanekę.
- Jakież filmiki w necie – odpowiedział Marcel, nie patrząc na ojca.

Filip wziął kolegę na bok.

– Igor, do jasnej cholery, zostawiliśmy cię z młodym i miałeś przypilnować, żeby obejrzał lekturę. Za dwa dni ma sprawdzian. Wiesz, że ma problemy z polskim. – Kiedy był zły, wyrzucał z siebie słowa szybciej niż karabin pociski, i w taki właśnie sposób mówił teraz. – Właściwie ma problemy ze wszystkim. Obejrzenie z nim półtoragodzinnego filmu to chyba nie jest wyczyn ponad twoje siły, co?

– No i zaczęliśmy, ale tak przynudzali, że się nie dało tego oglądać. Młody zaczął ziewać, prawie mi tu usnął, więc zrobiłem krótką przerwę. Nie wściekaj się. To tylko jeden krótki filmik na YouTube. Potem obejrzymy resztę.

– Jeden cholerny film – zaakcentował Krauze, nie ustępując. – Nie cały dzień z lekturami, nie cała noc, ale jeden film. I nawet to musiałeś spartolić? Naprawdę musiałeś mu puszczać to gówno?

– Żadne gówno. Świetna rzecz.

– Karmisz mnie tym syfem na komendzie, puszczasz mi to do każdego śniadania i obiadu, podniecając się jak niedorozwinięte dziecko. I jeszcze pokazujesz to Marcelowi? Wiesz, że ma problemy w szkole. Jeszcze zaczniesz błaznować jak te dupki w telewizji.

– Nie bój się, swojej córce też to czasami puszczałem i proszę, nie przeszkadza jej to kończyć każdej klasy z wyróżnieniem – odpowiedział Fijałkowski, nie przejmując się słowami przyjaciela. Znali się ponad pół życia, lubili się, ale i wkurzali się na siebie, nie szczędząc wyzwisk.

– To mój syn, więc się o niego boję. I nie każ mi się z tego tłumaczyć. Po prostu przyjmij to łaskawie jako fakt. Idź tam, włącz mu tę pierdoloną lekturę, a potem rób, co chcesz – mruknął, patrząc na zegarek. – Równie dobrze możesz...

Igor popatrzył na kolegę.

– Filip... – Nie dokończył, bo Krauze znów mu przerwał.

– Nie chcę tego słuchać. Chociaż raz w życiu zachowaj się, jak trzeba. Jesteś jego ojcem chrzestnym. Popierdolino, ale chrzestnym. Nie każ mi żałować tej decyzji. To nasz jedyny syn. Ma jednego chrzestnego. Jebniętego, ale jedynego. Więc się postaraj, chociaż czasami. Wspieraj go. I przy okazji nas też. Wiesz, że jesteś dla niego ważny, lubi cię, słucha. Jeśli mu się spodoba to, co mu pokazujesz, to będzie ci chciał zaimponować. Zaczniesz ich naśladować.

– A tam...

– On się nie umie od tego zdystansować – wyjaśnił szczerze przejęty Krauze. – Te światy mu się zlewają. Może to przez ADHD i ogół tych pieprzonych zaburzeń koncentracji, a może przez to, że jest jeszcze niedojrzały. Tak czy siak lepiej mu pewnych rzeczy nie pokazywać, bo jeśli to mu się spodoba, to będzie chciał być taki jak oni. A gdy koledzy z klasy zobaczą w nim kolejne wcielenie wariata, to będą go podjudzali. A Marcel da się podpuścić.

– Skończyłeś? – zapytał Fijałkowski, sięgając po butelkę z piwem.

– Tak. Zrób, co należy. Chociaż jemu oszczędź tego gówna. Wystarczy, że mnie to pokazujesz.

– Jak będzie chciał, to i tak to obejrzy. Pełno tego w internecie. Nie uchronisz go.

– Więc mu przynajmniej tego nie ułatwiał. A poza tym, jeśli mu teraz powiesz, że to tylko ściema, być może się tym nie zainteresuje.

Igor przygryzł wargę. Chciał spędzić miły wieczór z chrześniakiem, pokazać mu to, co jego samego bawiło, cieszyło, bez wcinania się rodziców, ale się nie udało.

– Wymyśl coś. Dasz sobie radę. Może tego nie wiesz, ale dla Marcela jesteś kimś ważnym. Kimś, kogo najbardziej słucha. Pamiętaj o tym.

Wylała porcję żelu o zapachu cedru na dłoń, po czym zaczęła namydlać ciało. Piersi, brzuch, podbrzusze, łono, uda, na końcu łydki i stopy. Lubiła dotykać swojego ciała od czasu, gdy stała się nastolatką. Już wtedy uwielbiała masować nieduże piersi z jasnymi sutkami. Wtedy też zdała sobie sprawę, że pociągają ją nie tylko mężczyźni, ale także kobiety. Piękne, młode, z małymi piersiami, wysportowane, ubierające się elegancko, klasycznie, wieczorem wkładające na siebie zwykły obcisły T-shirt i męskie spodnie od pizamy.

Podobne do niej.

Uśmiechnęła się, bo niedługo powinna się zjawić Dominika. Trochę ryzykowała, sprowadzając ją do swojego domu, ale nie potrafiła się powstrzymać. Pożądanie było silniejsze niż zdrowy rozsądek. Już się nie mogła doczekać, kiedy ją dotknie, pocałuje, kiedy posmakuje jej śliny. Zacznie muskać jej sutki, jej idealnie okrągłe pośladki.

Uśmiechnęła się. Dotknęła tego miejsca. Poczwała rozkosz.

– O Boże... – wyszeptwała. Ciało zdrżało. Wsunęła palec jeszcze głębiej. Po chwili wyjęła. Nie chciała tego robić bez niej. Już niedługo. Zrobią to raz, wypiją wino, potem jeszcze raz.

Przesunęła po łydkach maszynką do golenia. Robiła to tak często, że włoski nie miały prawa odrosnąć. A mimo to potrzeba ciągłej pielęgnacji była silniejsza. Musiała być nieskazitelna, zawsze, każdego dnia.

Nagle usłyszała głos.

Wysunęła głowę spod strumienia wody wypływającej z ogromnej deszczownicy. Odczekała chwilę, ale hałas się nie powtórzył.

Może był to dźwięk telewizora? „Nie, przecież wyłączyłam”, odpowiedziała sobie w myślach. Mógł to być głos Helenki, ale córka spała już od ponad godziny. Zwykle budziła się dopiero koło północy, żeby się napić, a potem znów usypiała mocnym snem i spała aż do rana. Poza tymi pojedynczymi nocami, kiedy budziły ją koszmary.

Parę minut później zakręciła wodę, wytarła się, otuliła szlafrokiem i wyszła na korytarz. Dom skąpany był w delikatnej poświacie lamp podsufitowych. Zajrzała do salonu i włączyła światło zewnętrzne. W oddali kołysał się hamak, w którym spędzała wieczory. Tuż obok wygodne fotele ogrodowe.

Popatrzyła na leżący na drewnianej ławie telefon. Odblokowała ekran i kliknęła w powiadomienie o nowej wiadomości.

*Zaraz bede. Szykuj sie :)*

Chwilę później ubrała się w skąpe figi i sportowy stanik. Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. „Jesteś piękna”, wyszeptwała do siebie.

Przygotowała przekąski, potem zajrzała do pokoju córki. Spała, lekko pochrapując. Wróciła do salonu i zerknęła na zegar. Dopiero teraz sobie uzmysłowiła, że minęło dwadzieścia minut, od kiedy otrzymała wiadomość.

Dominika jechała do niej na rowerze. Uwielbiała sport, nie potrafiła sobie odmówić wieczornej przejażdżki. Paręnaście minut spóźnienia? To nie było w jej stylu. Zadzwoiła do niej. Odczekała kilka sygnałów, ale bez rezultatu. Po chwili ponowiła. Tym razem czekała dłużej, mając nadzieję, że usłyszy ten piękny, trochę dziewczęcy głos. „Cześć, kochanie” albo „Cześć, moja Syrenko”. Nigdy nie wiedziała, czemu Dominika nazywała ją Syrenką, ale było w tym coś seksownego i dziewczęcego zarazem.

Spróbowała znowu. Z telefonem przyklejonym do ucha przeszła z kuchni do salonu. Rozszczelniła drzwi tarasowe. Usłyszała dźwięki nocy, szum bulgoczącej wody w oczku wodnym oraz delikatny szum wiatru.

Wyszła do ogrodu.

– Jesteś tu? – zapytała, ale nikt jej nie odpowiedział.

Połączenie się urwało. Przeszła się wokół domu. Ani śladu.

Zadzwoiła ponownie. Miała wrażenie, że usłyszała znajomy dźwięk komórki. Dzwonek, który ustawiły, gdy dała jej telefon w prezencie. Tylko one znały ten numer, nikt więcej.

Nie dochodził z podwórza.

Podeszła bliżej wysokiego ogrodzenia od strony ulicy.

Dźwięk stał się wyraźniejszy i głośniejszy.

Wcisnęła przycisk, by otworzyć furtkę, i wyszła na ulicę.

Nie odrywając telefonu od ucha, przeszła w kierunku frontowej części ogrodzenia, które otaczało dom z trzech stron. Z tyłu, tam, gdzie znajdowały się stawy, a dalej już lasy, podwórze otaczało ogrodzenie z siatki.

– Kochanie? Jesteś tutaj?

Odpowiedziało jej milczenie i nocne nawoływanie zwierząt leśnych.

Połączenie znów się urwało. Zadzwoiła ponownie. Cisza wypełniła się znaną jej melodią, którą obie uwielbiały. Poznały się właśnie przy tej piosence i już na zawsze miała być ich, bez względu na przyszłość tej znajomości. Bo to, co je połączyło, nie mogło trwać długo. Wiedziała, że to się nie uda. Miała córkę i męża.

Dotarła do krańca ogrodzenia i wyjrzała za róg.

Nawet się nie zorientowała, kiedy jej palce się rozluźniły, a dłoń stała się niemal całkowicie bezwładna. Jej telefon upadł na asfalt.

Ledwo zdusiła krzyk.

– Niech pan powie, jaką ten młody człowiek dysponuje kwotą i jakie są jego oczekiwania.

Krauze popatrzył na Marcela, który rozglądał się po sklepie ze sprzętem komputerowym. Trzynastoletek z rozwichrzonymi blond włosami sięgającymi za ucho wzruszył ramionami. Miał na sobie kolorową bluzę, spodnie skater-skie oraz znoszone trampki w barwie wysychającego błota, ale równie dobrze mógł mieć kalosze, adidas albo trampki – ubrania nie miały dla niego żadnej wartości. Spełniały swoją funkcję. Chroniły przed chłodem.

– Młody? – Popchnął syna. – Słyszysz, że pan wywołuje cię do odpowiedzi?

Chłopak popatrzył na ojca znudzonym spojrzeniem.

– Ma być dobry i ma rznąć każdy najnowszy tytuł w ultradetalach.

Sprzedawca z trudem stłumił śmiech, objął palcami usta, jakby podziwiał wyjątkowy obraz w muzeum.

– Jeśli naprawdę zależy ci na czymś silnym, to proponuję ten. – Pokazał palcem jakiś model.

Krauze z trudem ukrył emocje.

– Co to takiego? – zapytał, udając, że go to nie interesuje.

– Cudo. Dość spory, ciężki, bo ma solidne podzespoły, w tym chłodzenie, ale za to karta graficzna... bajka!

Mężczyzna ubrany w czarną koszulę i wytarte dżinsy odsunął plakietkę informacyjną na bok, chwycił laptopa i postawił go przed nimi na ladzie. Zaczął wymieniać parametry techniczne urządzenia, które, jak ich zapewnił, pociągnie każdą grę w najwyższych detalach graficznych. Jego monolog trwał dwie, może trzy minuty. W tym czasie Filip patrzył na sprzęt, a oczy miał jak pięcioletki. Wreszcie mu przerwał. Wiedział już to, co powinien, więc nie musiał.

– Ile kosztuje?

– Siedem tysięcy czterysta dziewięćdziesiąt.

– Widzę cenę – rzucił, cmokając. Zamyślił się. – Pytam, ile wynosi cena ostateczna.

– Mogę zaproponować coś tańszego, tyle tylko, że kosztem jakości albo wydajności podzespołów. Niestety, niższa cena oznacza gorszą jakość i wydajność.

– Niech pan lepiej zaproponuje rabat. Zapłacimy gotówką, wyjdziemy zadowoleni, polecimy paru osobom ten sklep... Rozumie pan...

– Musiałbym zadzwonić do kierownika.

– To niech pan dzwoni – odpowiedział szybko.

Sprzedawca zniknął na zapleczu. Wtedy Krauze obejrzał z bliska laptopa, potrząsnął nim, jakby chciał się upewnić, że ta cała elektroniczna magia, o której tak zawzięcie opowiadał sprzedawca, była tam naprawdę.

– Szef się zgodził na kwotę siedem tysięcy dwieście płatne gotówką – oznajmił w tej samej chwili pracownik sklepu.

– Doskonale. – Krauze się uśmiechnął, a potem rozwichrzył włosy syna.

– Dobra, Jezu, nie rób już siary. – Marcel się skrzywił. – Zaraz ci oddam, że się nie pozbierasz.

Lubili się mocować, boksować, nawet w miejscach publicznych traktowali się po koleżeńsku.

– To dawaj, pokaż, ile masz siły.

– W domu. Zobaczysz. Wezmę cię z zaskoczenia.

– W twoich snach.

– Dobra, skończ. Mówię ci, nie rób siary przy ludziach. Tylko obciachu nam narobisz.

Sprzedawca uwinął się w niespełna pięć minut. Spakował komputer, przygotował fakturę, a potem przyjął gotówkę i podał Marcelowi pudło, które wyglądało jak walizka.

Filip zawiózł syna pod dom. Zanim Marcel wysiadł z auta, wyciągnął otwartą dłoń w kierunku ojca i spojrzał wymownie.

– Co znowu?

– Hajs.

– Jaki znów hajs?

– Zapomniałeś już? Za tę szopkę w sklepie.

Filip prychnął głośno.

– Jesteś niemożliwy.

– Może i tak, może i nie. Hajs.

– Wychowałem hienę, nie syna. – Krauze popatrzył na swoją mniejszą, młodszą i równie pyską wersję przenikliwym spojrzeniem, które może działało na przesłuchiwanym, ale Marcel był na nie odporny.

– Pożyczyłem ci siedem kafli, które mam z komunii. Musiałem zerwać lokatę, którą sam mi założyłeś. Więc niby co, mam się obejść bez procentu? Obowiązuje cię jakaś specjalna taryfa ulgowa?

– Tak. Zniżka rodzinna.

– Zapomnij.

– Ile? – zapytał, dając za wygraną.

– Dwie stówki albo zadzwonię do mamy i powiem jej, co zrobiłeś z moją kasą – powiedział Marcel, wyjmując komórkę. – Powiem, że mnie zmusiłeś. Odegram scenę.

– Czekaj chwilę – odpowiedział łagodniej, zaglądając do portfela. – Sto pięćdziesiąt. Nie mam więcej.

– Jasne. Serio mam w to uwierzyć?

– No nie mam. Sto pięćdziesiąt i anuluję ci pierwsze wykroczenie drogowe, gdy już będziesz miał prawo jazdy, czyli za parę lat.

Chłopak się namyślił. Tym razem to on popatrzył przenikliwie na ojca.

– Niby jak to zrobisz?

– Zapomniałeś, gdzie pracuję?

– Dwa przewinienia. I chcę to mieć na piśmie.

Krauze pokręcił głową i podał synowi pieniądze.

– Tylko ani słowa mamie, bo inaczej nici z naszej umowy – zapowiedział.

– Masz to jak w banku – rzucił Marcel i pobiegł do domu.

Mieszkali w nowoczesnym budynku na czwartym, ostatnim piętrze. Mieli apartament z dużym tarasem. Uwielbiali to miejsce, było spełnieniem ich marzeń.

Filip Krauze schował portfel, popatrzył na leżące na tylnym siedzeniu pudełko laptopa, a potem z uśmiechem na ustach ruszył swoim starym zabytkowym jaguarem na komendę.

– Zaraz padniesz – powiedział do Igora.

Fijałkowski spojrział na niego zaciekawiony, podnosząc głowę znad biurka. Miał na sobie koszulę w kratę i zielone spodnie bojówki. Z pokrytą bliznami twarzą wyglądał jak rasowy dresiarz w dniu ślubu. Były to ślady, które wprost mówiły o tym, że nie należał do spokojnych i ugodowych osób. Jego szczeka, rozprawiająca się z kolejnym kęsem suchej kiełbasy, którą czuć było w całym biurze, znieruchomiła.

– Znowu chcesz mi wjechać za oglądanie Jackassów z Marcelem?

– Było, minęło. A to, co mam, powali cię na łopatki bez bicia.

– Oby tylko nie robota, bo dopiero zacząłem śniadanie. Drugie. Albo trzecie. Czuję się tak, jakby żołądek chciał mnie wessać. Ciągnie i ciągnie, pierdoloniutki, normalnie jak pompa ssąca w mojej hondzie.

– Nowy laptop – rzucił uradowany i podniósł walizkę. – Możemy czasami popykać w wolnych chwilach.

– Nie mamy wolnych chwil.

– To je znajdziemy.

– Mówisz, że lepszy od mojego kompa?

– Na twoim to się nawet pasjans zawiesza. A na tym odpalimy wszystko – reklamował, rozpakowując sprzęt.

– Ile dałeś?

– Ponad siedem.

– Sprzedałeś jaguara?

– Prędeż bym twoje organy sprzedał niż swój samochód.

– Skąd tyle miałeś?

– Marcel mi pożyczył.

– A skąd on tyle ma?

– Wpłacił mi kiedyś kasę z komunii na lokatę. I tak rok po roku robiła się niezła sumka. Nie żeby jakaś zawrotna, ale dobra na start. Młody uczy się podstaw przedsiębiorczości.

– Ta, jasne, do czasu, aż go własny stary nie ojebie z kasy. – Igor zarżał.

– Nie bój się, on jest bardziej cwany niż my dwaj razem wzięci. Za to, że pożyczył mi kasę, wziął procent z góry. Ma łeb na karku.

– Moja krew.

Filip nie skomentował. Zajął się uprzątnięciem biurka. Odsunął wszystkie akta na bok, by mieć miejsce na komputer, ale w tej samej chwili drzwi otworzyły się na oścież. Na progu stał ich przełożony, naczelnik wydziału kryminalnego. Nadinspektor Jan Byczewski był wysokim mężczyzną przed sześćdziesiątką. Chudy, z długimi rękami, wyglądał jak skrzyżowanie pajęczaka z modliszką.

– Bry, szefie – rzekł Igor na powitanie.

– Chuja tam dobry. Ale widzę u was wszystko gra. Gitara nastrojona.

– Grunt to być dobrze nastrojonym w robocie, szefie – przyznał Igor.

– A ty jak zwykle wpierdalasz – mruknął szorstko nadinspektor. Jego usta pod poślizgiem od papierosów wąsem wykrzywiły się w grymasie. – Powodzi się. I nudzi chyba, kurwa. A tu nudzić się wam nie powinno, bo mamy w cholerę roboty.

– A szef jak zwykle pełna kultura.

– A co my mamy napisane przy wejściu? „Dom Kultury w Kłodzku” czy „Policja”?

Jan Byczewski zaciągnął się papierosem tak mocno, że aż zrobił się czerwony, po czym wypuścił dym w ich kierunku, jakby chciał ich zdmuchnąć z tego świata.

– Sprawy trzeba rozwiązywać, a nie wrzucać do szuflady. Wisisz mi raport, który był na przedwczoraj, a dziś jest już jutro. A macie jeszcze przesłuchanie gościa. Czeka w pokoju zwierzeń. Chryste Panie, czemu muszę wam o tym przypominać. Jeszcze dziś chcę mieć zamkniętą sprawę. Czy to jasne?

– Okej, będzie raport.

Nadinspektor splunął na podłogę tytoniem.

– Tylko go nie rąb po głowie, Igor. Nie chcę się potem tłumaczyć przed komendantem, że znów kogoś poszarpałeś. Lepiej będzie, jak zrobisz papiery, tylko bez błędów ortograficznych. Filip, ty go przesłuchaj.

– Nie mam zamiaru nikogo szarpać, to nie w moim stylu – odpowiedział Fijałkowski, przełykając.

Znali się już kilkanaście lat, więc żaden nie ukrywał, że mają do siebie dość znikomą szacunek. Komenda to nie miejsce, w którym ludzie klepią się przyjaźnie po plecach. Tutaj się wykonywało zadania, zwykle podłe, a naturalnym językiem stały się złośliwości i przytyki.

Byczewski wyszedł, nie zamykając za sobą drzwi.

Krauze wysprzątał biurko, odsuwając akta na bok. Podłączył zasilacz i uruchomił komputer. Klawiatura zaślniła paletą intensywnej barwy.

– Ale cudo. Będziesz kosił na tym sprzęcie. – Igor popatrzył z zazdrością.

– W co gramy? – zapytał, zacierając ręce. – Rajdówka czy strzelanka w zombie?

– A nie ma takiej, co weździesz rajdówką w zombie?

– Sprzedaj komuś ten pomysł, to nachapijesz się milionów, geniuszu – odparł i zalogował się do sklepu internetowego z gramami, kupił kod potrzebny do aktywacji, a potem zaczął ściągać plik instalacyjny.

Wiedział, że chwilę to potrwa, więc włożył pendrive'a i włączył plik z niedokończonym raportem, dopisał kilka zdań z pamięci, a potem go wydrukował. Przeczytał szybko ponownie i dał Igorowi do sprawdzenia. Obaj zgodnie stwierdzili, że raport jest nad wyraz idealny, mimo że zawiera kilka literówek, których Filipowi nie chciało się już poprawiać.

– Pójdź z nim pogadaj, okej? – powiedział Krauze. – Ja w tym czasie zainstaluję grę. Tylko go nie męcz. Miejmy to już z dyńki.

Ekspres przelewowy powoli sączył kawę do dzbanka. Igor stukał niecierpliwie palcami po starym blacie stołu w pomieszczeniu socjalnym. Wszyscy nazywali to miejsce kuchnią, ale poza kilkuletnim ekspresem, starą mikrofalówką oraz zlewem i ponadrywanym blatem, na którym można było przygotować kanapki, nie było tu niczego, co by przypominało kuchnię z prawdziwego zdarzenia. Przechylił głowę w jedną i drugą stronę z taką siłą, że zatrzęszczały mu kregi szyjne. Poczul ból w tylnej części głowy, aż zapiekło. Ale jak zwykle to zignorował.

Nie mógł odgonić myśli kłębiących mu się w głowie od wczoraj – myślał o sprawie, którą musieli zamknąć. Zwinęli mężczyznę, który pobił swoją partnerkę i już się brał za jej syna, ośmioletniego Damiana. Dzieciak w porę uciekł z mieszkania, a potem zawiadomił policję. Igor znał tego gościa, dlatego pojechał tam z patrolem, a potem przywieźli go na komendę.

Uderzyć kobietę, cholera, jakie to proste, a potem jeszcze grozić dziecku. Czemu damscy bokserzy pastwią się nad słabszymi od siebie? Dlaczego pobił osobę, którą kiedyś podrywał, którą szanował, głaskał po czole, karku, szyi, piersiach, której mówił miłe rzeczy?

Nigdy nie potrafił zrozumieć facetów, którzy musieli się wyładować po pijaku lub, co gorsza, na trzeźwo. Nie potrafił pojąć ich toku myślenia. Ich zaburzonej logiki. Motywacji. Tego, co sami o sobie myślą. O ile to w ogóle robią. Bo co mogło kierować gościem, który zaciska pięść, po czym bije słabszą i delikatniejszą osobę? Myśli, że będzie mógł się tym pochwalić przed kolegami? Dlaczego nie stanie do walki z równym? Czemu – w chwili przyływu złości – nie wychodzi na ulicę, by trzepnąć po ryju równego sobie?

Przeszedł z kuchni na drugie piętro. Wszedł do pokoju przesłuchań zwanego przez policjantów pokojem zwierzeń. Zamknął za sobą drzwi.

Usiadł na krześle. Podwinął rękawy. Popatrzył na czterdziestoparoletniego gościa. Mężczyzna miał podkrążone oczy, ciemne, przetłuszczone włosy do ramion. Wyglądał na takiego, co lubi pić. Może i ćpać.

Igor wyłamywał palce, raz, drugi, aż zatrzęszczało. Uwielbiał każdy rodzaj bólu, a najbardziej taki, który sam sobie zadawał.

– Zapierdol mi, chuju, z całej siły – powiedział bez wstępu.

– Co? – zapytał tamten zmieszany.

– Głuchy jesteś? Przecież mówię wielkimi literami. Przypierdol mi.

– Co?!

– Wał, kurwo jebana. Wał, ile masz sił. Wał. Wał!

– Nie chcę.

– Uderzyłeś swoją partnerkę, więc jak się domyślam, lubisz sporty walki. Lubisz boks. Więc proszę, jestem tutaj, przyjedź mi. Albo sam ci zaraz tak przypierdole, że ci wypadną zęby i wylecą odbytem.

Mężczyzna patrzył na Fijałkowskiego jak na zjawę z innego wymiaru.

– No już. Nie widzisz mojej mordy? Mam ci pomóc? – Igor skierował palce obu rąk na twarz.

– Nie chcę, nie mogę, nie powinienem.

– Nie chcesz mi walnąć, bo jestem gliną, czy dlatego, że nie jestem twoją kobietą?

– W ogóle nie chcę – odpowiedział niepewnie. Jego oczy stały się czujne. Odsunął się, ale oparcie krzesła stawiało opór. Za nim była już tylko ściana.

– Daję ci ostatnią szansę, bo chcę ci pomóc. Przypierdol mi z całych sił. Obiecuję ci, że ci nie oddam. Nie bój się. Masz moje słowo. Słowo harcerza zwanego policjantem. Będę tu siedział nieruchomo, ręce z tyłu. Nie tknę cię, bo chcę ci pomóc. Zrozum. Chcę, żebyś się na mnie wyładował. Najmocniej jak się da. No. Dawaj. Pomóż sobie. Zrób to. Ale w zamian oczekuję jednego.

Facet milczał. Nie wiedział, czy to jakaś gra, czy rozmowa na serio.

– Czego? – zapytał, bo wreszcie zrozumiał, że powinien zadać to pytanie.

– Tego, że zostawisz swoją partnerkę w spokoju. I że już nigdy jej nie tkniesz.

– Ale ja nie chcę cię bić. To... to był błąd. Popiłem, wytrzeźwiałem, już nie zrobię jej nic złego.

Igor zaśmiał się tak, że aż się opluł, słysząc te bzdury, ale się nie wytarł.

– Więc co ci zrobiła, że ją tknąłeś?

– Nawinęła się... Przepraszam. Źle to brzmi. Źle to...

– Nawinęła się – powtórzył niczym echo. – I co, pieprzony Tysonie, poczułeś ulgę?

Mężczyzna potrząsnął głową, wprawiając w ruch przetłuszczone włosy.

– Skoro nie poczułeś ulgi, to skąd wiesz, że nie tkniesz jej ponownie, sflaczała parowo?

– Nie tknę. Obiecuję.

Igor znów prychnął.

– Okej, to pomyślmy. Hipotetycznie. Być może niebawem wrócisz do domu, o ile cię wypuścimy. I co zrobisz?

Gość nie wiedział, co ma powiedzieć, ale wyczuł, że to rodzaj gry.

– Co zrobisz?

– Wejdę do domu. Zjem coś.

– A kulturalne przywitanie to nie łaska?! – huknął.

– No tak, tak – potaknął, bo tak chciał policjant.

– I co potem?

Zatrzymany, który wciąż nie do końca zdawał sobie sprawę z sensu rozmowy, wzruszył ramionami.

– Nie wiem, może coś obejrzę.

– A do filmu dobrze wypić, nie? Ile wypijesz?

– Piwo, może dwa.

– Tyle ci wystarczy, żeby się ugotować?

– Chyba nieee – przeciągnął niezdecydowanym tonem. Czuł, że policjant zaczyna go rozgryzać. Był niebezpiecznie blisko prawdy.

– Więc? – Igor potrząsał nerwowo nogą. Zaciskał szczękę i pięści. Wyglądał jak tykająca bomba, która w każdej chwili może eksplodować. Wystarczyło poruszyć niewłaściwy kabel. W tym wypadku były to źle dobrane słowa. Nawet nieodpowiednie spojrzenie.

– Wypiję trzy piwa. Będzie już okej. Włączę jakiś film.

– Jaki?

– Może sensacyjny. Potem zjem jakieś mięcho. Tak, zjem kawał mięcha – dodał, by zaspokoić oczekiwania policjanta.

– Okej. To dobry plan. Sam bym tak zrobił na twoim miejscu. – Kiwnął głową. – A wtedy, gdy przywaliłeś swojej partnerce, ile wypileś?

– Z pięć browców. I dojechałem setkę czystej. Może trochę więcej. Trochę mnie poskładało. Bo, jak to mówią, kto nie pije, ten ma w głowie żmije.

Igor nie skomentował. Podeszedł bliżej.

– Wstań.

Mężczyzna zrobił to, choć miał pewne obawy. Przytrzymał się ściany. Pomieszczenie było małe, zbyt małe, by czuć się w nim swobodnie.

– Posłuchaj mnie uważnie. Bardzo uważnie. Bo ja nigdy nie powtarzam.

Mężczyzna skinął głową i przyjrzał się wściekłym oczom policjanta.

– Skoro nie masz odwagi mi przyjechać, to jeśli kiedykolwiek przyjdzie ci na myśl, żeby choć raz, jeden, kurwa, raz tknąć swoją dziewczynę, wyżyć się na niej, przysięgam ci, że przyjadę do tej twojej psiej nory, wyciągnę cię na środek ulicy, krzyknę tak głośno, żeby do okien zbiegli się wszyscy sąsiedzi tej oszczonej kamienicy, a potem narobię ci takiego wstydu, że przez tydzień będą się z ciebie śmiali. Przypierdolę ci nie raz, ale kilka. Wybije ci te popsute zęby, które od co najmniej czterdziestu lat nie widziały ani pasty, ani dentysty. A potem, gdy już wszystkie będą leżały na asfalcie, przeciągnę cię za te tłuste kudły po jezdni. I gdy już uznam, że ci narobiłem wystarczającego syfu wokół dupy, to przywlekę cię do aresztu, wsadzę do moich ziomali, którzy są mi winni przysługę. Powiem im, że rozbierałeś się pod przedszkolem, pokazując swojego pomarszczonego siuraka, i zaczepiałeś małe dzieci. Przeorają ci dupsko tak, że przez miesiąc będziesz chodził jak kowboj po przejażdżce na koniu przez całą Arizonę w środku lata.

Mężczyzna zbladł jeszcze bardziej.



– Zrozumiałeś?

Facet potaknął gorliwie. Zadrzała mu szczęka.

– Potraktuj to jak ostrzeżenie. A teraz podpisz mi ten dokument – powiedział, przesuwając w jego kierunku kartkę – i wypierdalaj stąd. I módl się, żebyśmy się więcej nie spotkali.

Igor poszedł do sekretariatu załatwić formalności. Nie było go w biurze kilkanaście minut. Gdy wrócił z kubkiem kawy w ręku, Filip siedział przy laptopie. Cieszył się jak małe dziecko, które jeszcze nigdy nie widziało tak cudownej zabawki. Usiał obok niego.

– Cholera, też bym taki chciał. Może sprzedam auto.

– A czym będziesz do pracy jeździł?

– Mój dobry kolega ma ładny zabytkowy samochód. Mógłby po mnie przyjeżdżać. – Mrugnął porozumiewawczo.

– I potem jeszcze odwozić, co?

– Czytasz w moich myślach.

– Sorry, ale nie znam nikogo takiego.

– Dobra, nie pieprz, tylko się suń. Robimy rundę na zmianę, ja pierwszy.

Nim zdążyli uruchomić grę, otworzyły się drzwi i znowu stanął w nich naczelnik. W zębach ścisnął dopalonego do połowy papierosa. Wyjął go i strzepnął popiół na podłogę.

– A tu wciąż jebie. Wietrzycie tu czasami?

– Nigdy.

– Domyśliłem się. Gdzie Schwarzenegger?

– Coś ma na mieście do zrobienia.

– To źle, bo siłą grawitacji spadło to na was.

– Co?

– Robota. Ktoś na was czeka w pokoju przesłuchań. Uwińcie się z tym szybko.

– Już się tym zajęliśmy, naczelniku. Mamy nowy status sprawy. Zakończona.

– Nie mówię o tym gościu.

Naprzeciwko nich siedziała kobieta. I to jaka kobieta. Piękne oczy, kształtny nos, ponętne usta. Cerę miała jak nastolatka, choć mogła być przed trzydziestką. Rękaw modnej czarnej bluzy odsłaniał złoty zegarek. Trzęsła się ledwo zauważalnie, jakby jej było zimno, ale Krauze pomyślał, że jest przestraszona. Oszałamiająca uroda na co dzień musiała jej dodawać pewności siebie, teraz jednak kobieta wodziła dookoła zagubionym wzrokiem.

– Podkomisarz Filip Krauze, a to starszy aspirant Igor Fijałkowski, wydział kryminalny. W czym możemy pomóc o tak nietypowej porze, jaką jest to piękne październikowe popołudnie?

Kobieta milczała.

Przyglądali się sobie. Dwie strony pokoju przesłuchań, ciasnego i nieprzyjemnego pomieszczenia, w którym zawsze było duszno, jakby tlenu wystarczało tylko na parę minut rozmowy, a każda kolejna stwarzała ryzyko uduszenia. To właśnie dlatego spotkania w tym miejscu starali się ograniczać do minimum. Czasami to nie policjanci, ale przesłuchiwanym prosili o zakończenie rozmowy. Nierzadko sami się łamali. Poddawali się, mówili, że jest im słabo i chcą już stąd wyjść.

Krauze chrząknął, ale kobieta się nie poruszyła. Coś jest na rzeczy, bo w tym pomieszczeniu chrząknięcie niemal zawsze działało.

– Powiedziała już wszystko, gdy dzwoniłam.

Krauze uśmiechnął się szczerze.

– I to wyjaśniło sprawę?

– Nie – odpowiedziała cicho, jakby się wstydziła własnego głosu.

– Jeśli nie, to musimy wiedzieć, co się przydarzyło pani lub komuś innemu.

– Proszę opowiedzieć wszystko od początku – odezwał się łagodnym głosem Filip.

– Zaginęła moja... partnerka... – przerwała i przeczesła włosy.

Policjanci spojrzeli po sobie. Igor uniósł kąciki ust. Filip chrząknął z nadzieją, że Fijałkowski nie zacznie się popisywać.

– Gdzie, kiedy i w jakich okolicznościach? – zapytał.

– Wczoraj w nocy. U mnie w domu, to znaczy pod domem.

Krauze wypuścił teatralnie długopis.

– Proszę nas zrozumieć. Nie jesteśmy czarodziejami. Nie znamy faktów. Bez tego nie ruszymy. Imię i nazwisko, miejscowość, okoliczności.

– U mnie w domu. Dwadzieścia kilometrów od Kłodzka.

– Gdzie?

– Czy dokładny adres coś zmieni?

– Zawsze zaczynamy od podstaw – wyjaśnił Igor. – Bez tego nic nie zrobimy.

Nie odpowiedziała. Westchnął ostentacyjnie, by wyrazić niezadowolenie. Po cholerę nacelnik ich tu wysłał? Równie dobrze mógł się tym zająć pierwszy lepszy funkcjonariusz. Ale podejrzewał, że Byczewski zrobił im na złość, by potem ich gonić za to, że czegoś nie skończyli lub nie dopilnowali.

Kobieta wpatrywała się w niewidoczny punkt, w którym zakotwiczyła swoje myśli.

– Okej, jeśli tak ma wyglądać nasze spotkanie, to proszę się zgłosić do stosownego komisariatu, bliżej miejsca zamieszkania. Ewentualnie możemy przysłać tego samego policjanta, z którym pani rozmawiała. Wrzucimy sprawę do systemu. A pani niebawem otrzyma oficjalne potwierdzenie przyjęcia sprawy. Tyle od nas. A dziewczyna kiedyś się pewnie znajdzie – powiedział poirytowany i wstał.

– Nie wiem, co mam robić. Boję się... Po prostu... zaginęła. Co się mogło stać? Jak to możliwe? Jestem w szoku. Odwrócił się.

– Czego się pani boi?

– Tego, że coś się jej stało. Nie odzywa się do mnie. Nie ma jej. Miała do mnie przyjechać, ale nie dotarła. Pod domem leżał tylko porzucony rower. Nie było nic więcej. Nie mam z nią kontaktu. Jej telefon jest wyłączony. Nie wiem, co się dzieje, boję się, że coś złego...

Krauze przerwał jej gestem.

– Igor, przynieś pani wodę – poprosił kolegę. Ten skinął głową i wyszedł bez słowa. Gdy zamknęły się drzwi, podjął rozmowę. – Jak się nazywa pani dziewczyna?

– Dominika.

– Nazwisko.

Nie odpowiedziała. Odwróciła wzrok.

– Może to dziwnie zabrzmiało, ale nie znam.

– Nie wie pani, jak się nazywa pani partnerka?

– Proszę mnie zrozumieć, to dla mnie trudna sprawa. Z wielu powodów... Nie znamy się długo. Spotkałyśmy się dosłownie parę razy. To wszystko. Mam córkę i męża, nie chcę, by się dowiedzieli, że... No wie pan...

– Czyli rozumiem, że to tylko przelotna znajomość, o której nikt nie wie i nikt się ma nie dowiedzieć?

Potaknęła.

W drodze do pokoju przesłuchań wzięli od dyżurnego wydruk zgłoszenia. Krauze przejrzał go pobieżnie, nie wyczytywał się w całość. Dłuższych i trudniejszych tekstów naczytał się w szkole i ten etap życia dawno temu uznał za zamknięty, dlatego studiowanie raportów i zgłoszeń było formalnością do odhaczenia i zapomnienia. W dowolnej kolejności. Nawet nie uruchamiał emocji. Zapoznał się z okolicznościami zniknięcia i rysopisem zaginionej. Kobieta była młoda, nosiła spięte w kucyk włosy.

– Widzi pan, chodzi o to, że poznałyśmy się niedawno.

– Rozumiem – odpowiedział, niczego nie rozumiejąc. – A zatem przejdźmy do nieco wyższych poziomów szczegółowości. Czy brała pani pod uwagę fakt, że ktoś się dowiedział o waszym związku, na przykład pani mąż, i...

– Nie – wtrąciła szybko, nie dając mu dokończyć – on nic nie wie. Rzadko bywa w domu. Teraz jest za granicą. Zawsze mnie informuje o swoim powrocie.

– Może dowiedział się ktoś z jego otoczenia – zasugerował, mając w pamięci istotny fakt wynikający ze statystyk, że to członkowie rodziny najczęściej stoją za tego typu przestępstwami.

– To nie ma nic wspólnego z moim mężem. Wyjechał kilka dni temu. Na dwa tygodnie. Nigdy jej nie widział.

– Okej, wobec tego nie będę ciągnął tego wątku. Gdzie i kiedy się poznałyście?

– Przez internet, przez aplikację dla... no wie pan...

– Chyba się domyślam – przyznał, drapiąc się długopisem po głowie. – Dla osób homoseksualnych? Biseksualnych?

– Zgadza się. Sam pan rozumie, nie mieszkamy w dużym mieście, trudno tutaj o kluby dla takich par, dlatego korzystam z aplikacji. Spodobałam się jej, napisała do mnie wiadomość, ja jej odpisałam. Potem przesłałyśmy sobie jeszcze parę zdjęć...

– Intymnych? – zapytał, choć nie wiedział po co. Nie miało to znaczenia. Być może kierowała nim potrzeba zebrania informacji, na wypadek gdyby zniknięcie okazało się czymś poważniejszym. Chociaż fakt, w myślach rozbierał ją wzrokiem. Była jedną z najładniejszych kobiet, jakie w życiu widział.

– Tak.

Krauze z trudem zgasił swoje myśli.

– Co się wydarzyło później? – zapytał tonem urzędnika, a nie zwykłego faceta, któremu spodobała się osoba, z którą rozmawia. Starał się zachowywać tak, jakby nie dostrzegał jej urody. Potrafił się zachować. Bardziej bał się, że Igor zacznie odstawiać cyrk.

– Po dwóch czy trzech dniach spotkałyśmy się w mieście na kawie, a po paru dniach u mnie.

– Ile razy?

Kobieta po raz pierwszy delikatnie się uśmiechnęła, pewnie wywołały to miłe wspomnienia.

– Dosłownie kilka. I zawsze wtedy, gdy wiedziałam, że mąż jest za granicą. Gdy jest w kraju, nie mogę ryzykować.

– Wspomniała pani o córce? Poznały się?

– Widziała ją chyba raz. Powiedziałam, że to koleżanka ze szkoły, która mieszka w pobliżu i od czasu do czasu będzie do nas wpadać.

– I od kiedy się poznałyście, nie wydarzyło się nic podejrzanego?

– Nie.

– Nic dziwnego, nic, co by wzbudziło pani niepokój?

– Nic. Wydaje mi się, że wszystko było między nami okej. Wydawało mi się, że się w sobie zakochujemy, że wszystko jest wręcz idealnie, aż tu nagle... Nie mogę tego zrozumieć, nie mogę w to uwierzyć.

Krauze chwilę się namyślał. Już teraz wiedział, że trudno będzie ugryźć tę sprawę.

– Nigdy jej pani nie przyłapała na niczym... dziwnym, niecodziennym?

– Spędziłyśmy do tej pory kilka wieczorów. Oglądamy filmy, słuchamy muzyki, a rano się żegnamy. Każdy z tych dni wyglądał normalnie.

– Niech mi pani opowie o tym, co się stało wczoraj.

– Nic specjalnego. Napisała do mnie, że niedługo przyjedzie. Zawsze jeździła na rowerze. Wiedziałam, że zajmie jej to jakieś dwadzieścia minut, może pół godziny. Ogarnęłam szybko kuchnię i poszłam pod prysznic. W pewnej chwili usłyszałam jakieś odgłosy. Pod prysznicem jest dość głośno, woda zagłusza właściwą ocenę, a mimo to wydawało mi się, że usłyszałam czyjś głos.

– Jest pani pewna? – zapytał, patrząc na nią przenikliwie. Jego wyobraźnia pracowała, wciąż wyobrażał ją sobie pod prysznicem. Musiała mieć fenomenalne ciało. Takie, na którego widok facetom puszczały hamulce. Zerknął w papiery, żeby sobie przypomnieć jej nazwisko. Paulina Walas zapewne była świadoma, jak jej uroda działa na faceków. Może dlatego tak się teraz zachowywała, uruchamiając wyuczony dystans i powściągliwość.

– Pani Paulino?

– Był przytłumiony. Ale trochę mnie zaniepokoił. Wyszedłam z łazienki. Dostałam od niej wiadomość, że za chwilę przyjedzie. Czas mijał, ale jej wciąż nie było. Wyszedłam na zewnątrz, zadzwoniłam do niej. I wtedy usłyszałam dźwięk telefonu. Musiała być na zewnątrz. Zawołałam ją, ale się nie odezwała. Obeszłam dom, ogrodzenie i...

Do pokoju przesłuchań wszedł Igor ze szklanką wody. Postawił ją głośno na stole i przesunął w kierunku rozmówczyń.

– I?

– Zobaczyłam na podjeździe porzucony rower... i telefon.

– Ma pani go przy sobie? To dla nas ważne. Od tego zaczniemy.

Kobieta gwałtownie potrząsnęła głową.

– I to jest właśnie najgorsze. Bo nie było go tam.

– Zaraz, czegoś tu nie rozumiem. Jak to go nie było? Przecież powiedziała pani, że widziała telefon.

– Leżał na ulicy, jeśli dobrze zrozumiałem, to co się z nim stało? – wtrącił się Igor.

Ukryła twarz w dłoniach. Krauze to rozumiał. Została skrzywdzona. Pomyślał o porzuceniu, tak częstym zjawisku wśród par poznanych przez internet. Szybka komunikacja, kilka rozmów, wspólnych kąpeli, seks. A potem szybkie zerwanie. Bez słowa. Bez wyjaśnienia i pożegnania. Zapewne Paulina Walas tego właśnie doświadczyła.

– Gdy zobaczyłam to wszystko... rower, telefon... Zaczęłam panikować. Jedyne, co przyszło mi do głowy, to to, że wydarzyło się coś złego. Uciekłam do domu. Zamknęłam się, zamiast jej szukać. Nie wiem dlaczego. Może z podświadomej troski o córkę. Może to głupie, ale odruch kazał mi biec do domu.

– Co było potem?

– Zamknęłam za sobą wszystkie drzwi i okna, zgasilałam światła. Sprawdziłam, czy córka śpi. Wszystko było w porządku. Schowałam się za żaluzjami i przyjrzałam się otoczeniu. Patrzyłam na wejście, na furtkę. To było tak bardzo dziwne, że wciąż nie mogę zrozumieć. Po jakimś czasie zadzwoniłam do niej ponownie. Ale nie było już sygnału.

– To by oznaczało, że pani partnerka po niego wróciła – powiedział raczej do siebie niż do niej.

– Ale po co?

– Mogła coś ukrywać – zasugerował Igor. – Może chciała uciąć tę znajomość. A może się wyładować.

– Nie potrafię odpowiedzieć. Poznałyśmy się niedawno. Nie powiedziałyśmy sobie wszystkiego, ale wydaje mi się, że Dominika nie jest dziewczyną, która miałaby coś ukrywać. Wyglądała na szczerą, otwartą.

– Czym się zajmuje?

– Nie mówiła mi. Trochę nas kręciła pewna doza tajemnicy i tego, że jeszcze niewiele o sobie wiemy. A mimo to nie wierzę, że tak po prostu zniknęła. Nie wierzę, że podjechała pod dom, porzuciła rower, a potem zniknęła. To niemożliwe. Gdyby chciała ze mną zerwać, toby to zrobiła. Ale i w to nie wierzę. Dopiero zaczynałyśmy się sobą cieszyć. Zaczynałyśmy się w sobie zakochiwać. Było nam ze sobą naprawdę dobrze. Nie zrobiłaby mi tego, nie po tym, co nas połączyło.

– Co? – Igor zapytał wprost.

Paulina Walas, która do tej pory patrzyła głównie na Filipa, spojrzała na aspiranta Fijałkowskiego. Czterdziestoletni facet z wieloma bliznami na twarzy nie wyglądał na kogoś, komu można się zwierzać. A jednak usłyszeli to obaj wyraźnie.

– Prawdziwe uczucie, proszę pana – odpowiedziała spokojnie, a zarazem wyjątkowo szczerze.

– To się pani przekonała, że tak nie jest – odpowiedział w swoim stylu.

Spojrziała mu głęboko w oczy, a potem westchnęła z dezaprobataą.

– Myli się pan.

– Rozmawiała pani z sąsiadami? – zapytał Igor, ignorując jej słowa.

– Owszem, z paroma osobami, bo tyłu mam sąsiadów, ale nikt nic nie wie. Nikt jej nie widział. Mieszkam na odludziu. Poza tym powiedziałam, że chodzi o moją kuzynkę. Nie chcę, żeby mąż się dowiedział. Muszę być ostrożna.

– Na razie to by było tyle – rzucił Filip Krauze, by zakończyć spotkanie. – Postaramy się zająć sprawą jak najszybciej. Z doświadczenia wiem, że ludzie szybko się odnajdują. Według statystyk zaginieni wracają do domów najczęściej w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, cali i zdrowi, mówią, że spotkali kogoś znajomego po drodze albo...

– Dominika nie spotkałaby kogoś znajomego o dwunastej w nocy – wtrąciła, nie dając mu dokończyć. – A jeśli statystyki rzeczywiście nie kłamią, to, szczerze mówiąc, zostało jej niewiele czasu.

Czarne sylwetki. Mającą mi przed oczami, machają do mnie, kołyszą się na jasnym tle.

Ale kim są?

Czy chcą mi pomóc?

Czy skrzywdzić?

Otwieram oczy. Sufit, ściana, poświata, którą pozostawiają światła pobliskich latarni i domów. Jest już pewnie druga, może trzecia w nocy. Przecieram oczy, wstaję z łóżka, podchodzę do okna. Patrę w nieprzeniknioną czerń, która nie ma końca. Dopiero gdzieś w oddali, której nie potrafię oszacować, pojawia się niewielki pas światła. Uchyliłam okno, by wpuścić świeże, choć nieco chłodne powietrze, które oczyści atmosferę koszarnej nocy i przegoni potworne sny.

Wychodzę z sypialni. Zaglądam do każdego pokoju i pomieszczenia, nawet do kuchni i łazienki, by się tylko upewnić, że wszystko jest na swoim miejscu, a noc nie nakryła domu cząstką zła, którego nie będę w stanie się pozbyć.

Przechodzę przez korytarz, patrzę na pary butów. Staram się wszystko zapamiętać, każdy szczegół. Upewniam się, że nic się nie zmieniło, nikt do niego nie zaglądał. Z współprzymkniętymi oczami kroczę jak lunatyczka po domu, szukam kogoś, kogo nie ma. Oglądam się za siebie, by znaleźć coś, co da mi odpowiedź na wiele dręczących mnie pytań.

Szukam telefonu, aż wreszcie go znajduję, leży na kanapie, tej, na której tak cudownie się kochałyśmy, aż do utraty tchu. Niemal każdego dnia, każdego wieczoru.

Żadnych nowych wiadomości, połączeń ani powiadomień. Świat o mnie zapomniał, jakbym przestała istnieć. Jakbym pozostała już tylko we wspomnieniach.

Gaszę ekran, pokój znów tonie w ciemności, w której czają się demony. Być może wśród nich znajduje się ten, który wie, gdzie ona jest.

Ona.

No właśnie.

Kim właściwie jest?

Dlaczego nie zadałam tych oczywistych pytań?

Dlaczego byłam tak naiwna?

Dlaczego dałam się skrzywdzić?

Nagle słyszę szelest.

Dreszcz, moje ręce stają się bezwładne.

Czuję, że ktoś jest na podwórzu, choć nie mogę tego wiedzieć. Nie mam pewności. Wyrrywam się z odrętwienia, powoli przesuwam się w kierunku włączników światła i oświetlam całe podwórze. Dziesiątki mocnych punktowych lamp rozjaśniają ciemność. Mrok za oknem nie ma już dla mnie tajemnic. Widzę taras, chwiejący się leniwie hamak, krzewy, duże donice, trawnik, zraszacz, oczko wodne, basen, plac zabaw. Widzę każdy centymetr podwórka.

Wszystko jest na swoim miejscu. Nie ma tam nikogo.

Podchodzę do kolejnego okna, tego, z którego widać wjazd na podwórze.

Powoli przekręcam żaluzję, obawiając się tego, co zobaczę.

Odchylam ją, ale nie dostrzegam niczego niepokojącego.

Boże, co tu się dzieje?

Jeszcze chwila i zwariuję.

Co ją zmusiło do tego, by to wszystko porzucić? Rower, telefon. Naszą miłość.

Jeśli uciekła, to dlaczego bez słowa?

Patrę na miejsce, w którym stworzyliśmy swój bezpieczny raj.

Upewniam się jeszcze raz. Nikogo nie ma.

A mimo to wciąż się czuję tak, jakby ktoś był w pobliżu.

Dokładnie w południe minęli tabliczkę z napisem Głuszczyce. Było tu niewiele domów, większość nowych. Stały w odległości kilkudziesięciu, a nawet kilkuset metrów od siebie, co sprawiało wrażenie, jakby każdy chciał zachować azyl. Czy to była niepisana zasada tego miejsca, czy raczej kwestia przypadku?

– Była willa kosztuje tutaj pewnie więcej niż wszystkie twoje organy na czarnym rynku. Chociaż... – zawiesił głos, po czym zwolnił i skręcił – kto by kupił wątrobę albo nerki alkoholika?

– Filip, możesz przestać? – warknął Igor.

– A coś się nagle taki drażliwy zrobił?

– Nie twój interes – burknął.

– Jaki jest numer tego domu?

– Dwadzieścia.

– Czyli to ten na końcu wsi. – Filip wskazał palcem ostatni dom.

– Ładna mi wieś, raczej osada bogaczy.

Przed nimi znajdował się ogromny parterowy dom otoczony wysokim ogrodzeniem. Z ulicy nie można było niczego podejrzeć. Pojęcie prywatności nabierało tutaj zupełnie innego wymiaru.

Zaparkowali auto na poboczu, podeszli do ogrodzenia i zadzwonili.

Krauze rozejrzał się dookoła, próbując sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek tu był. Kojarzył większość wsi i miejscowości w okolicy Kłodzka, tej jednak nie znał.

W sumie to dobrze. To znaczy, że nie doszło tutaj do żadnego porwania ani morderstwa.

Tuż obok bramki znajdował się wjazd dla samochodów. Cofnął się kilka kroków i podskoczył, próbując coś dojrzeć. Niestety, nic.

Po chwili usłyszeli głos w domofonie.

– Słucham?

– Filip Krauze, Igor Fijałkowski, wydział kryminalny. Rozmawialiśmy wczoraj. Chcemy zamienić z panią parę słów.

Zabrzącał mechanizm furtki. Weszli na przestronną, zadbaną posesję z równo przystrzyżonym trawnikiem. Dom był duży, nawet za duży jak na jego gust. Ciemna elewacja, w której dominowały okna niemal na całą wysokość domu, wjazd do garażu. Niski, niemal płaski dach, przeszklone ściany. Nowoczesny, estetyczny, prosto z katalogów designerskich. Nawet gdyby pracował w policji jeszcze przez pół wieku, to i tak nie byłoby go na taki stać. Masywne drzwi jak do skarbcza otworzyły się na oścież. Stała w nich Paulina Walas. Wyglądała jeszcze bardziej atrakcyjnie niż poprzedniego dnia. A to przecież wydawało się niemożliwe.

– Czy udało się coś ustalić w sprawie Dominiki? Czekam na wiadomości od was, od niej, od kogokolwiek.

– Chyba lepiej będzie porozmawiać w środku.

Zaprosiła ich stosownym gestem. Przeszli do salonu, w którym w oczy rzucał się wysokiej klasy sprzęt audio. Ogromny telewizor zajmował prawie pół ściany. Wnętrze mogłoby być scenariem do niejednego zachodniego filmu. Salon łączył się z połyskującą kuchnią. Minimalistyczny luksus. Najbardziej zadziwiające były kwiaty – one zdumiały Krauzego najbardziej. W ogromnych grafitowych donicach pięły się rośliny przypominające dzieła sztuki nowoczesnej. Nawet nie potrafiłby ich nazwać ani opisać. Pewnie zostały sprowadzone na zamówienie z drugiego końca świata, z miejsca, o którego istnieniu nie miał pojęcia. No ale wybrał pracę, która nie dawała gwarancji dobrych pieniędzy. Właściwie nie dawała żadnych gwarancji.

Usiedli na wygodnych kanapach, przy których stała niska ława wykonana z okazałych rozmiarów drewna. W blat wtopione było ozdobne szkło. Mebel wyglądał obłędnie. Krauze uświadomił sobie, że jako policjant zarabia tyle, ile być może ona wydaje na kosmetyki w miesiącu. Chyba na tym polegał paradoks miejsca, w którym się znalazł – w środku było mało rzeczy, ale każda wydawała się cholernie droga. Czuł było wyjątkową jakość wykończenia: dobrej jakości wielkie okna, drzwi, włączniki światła, szlachetna deska podłogowa, nie mówiąc o sprzęcie elektrycznym. Takich rzeczy nie widywało się w pobliskich domach czy mieszkaniach, a bywał w wielu.

– Próbowaliśmy się czegoś dowiedzieć o pani partnerce – zaczął, gdy już siedzieli – ale...

– Ale? – ponagliła go, gdy zorientowała się, że to ona powinna przerwać ciszę.

– Problem polega na tym, że po pierwsze, nikt poza panią nie zgłosił jej zaginięcia, po drugie Dominika jest dość popularnym imieniem. Nasza baza danych nie dała nam żadnych wyników. Mamy w okolicy parę tysięcy kobiet o tym imieniu. Musimy mieć konkret. Bez tego nic nie zrobimy.

– Jak to? – zapytała, przeczesując opadające włosy. Pod dopasowanym czarnym T-shirtem rysowały się nieduże piersi. Nie nosiła stanika.

Krauzego zdziwiła postawa Igora. Zwykle w takich chwilach się wydurniał albo gadał od rzeczy, ale był dziwnie milczący, od początku wizyty się nie odezwał.

– Niczego panowie nie znaleźli?

Filip pokręcił głową, po czym pochylił się w kierunku kobiety.

– Policja ma swoje sposoby, aby rozpocząć poszukiwania, ale proszę zrozumieć, na razie nie mamy nic poza imieniem. Musi nam pani powiedzieć coś więcej. Nazwisko, miejsce zamieszkania, znaki szczególne. Może macie wspólne zdjęcie?

– Zrobiłam nam kilka selfie, ale kiedy pokazałam je Dominice, kazała mi je usunąć. Powiedziała, że źle na nich wygląda.

– W telefonie jest opcja przywracania zdjęć z kosza.

– W tym właśnie problem, że to było w jej telefonie. Tym, którego nie ma. Tym, który jej kupiłam i zarejestrowałam na siebie numer – powiedziała to takim tonem, jakby żałowała, że to zrobiła.

Krauze opuścił na moment głowę. Poprawił czapkę z daszkiem. Uwielbiał bejsbolówki, miał ich pokazną kolekcję. Dziś rano wybrał czarną z wyhaftowanym skrótem „San Francisco”.

– Nikt poza panią nie zgłosił zaginięcia osoby o tym imieniu. Dopóki nie zrobi tego rodzina...

– To nie możecie zrobić nic więcej – dokończyła.

– Otóż to.

– Rozumiem – odpowiedziała bez przekonania.

– Czy tamtej nocy wydarzyło się coś dziwnego, niepokojącego? Odgłosy, hałasy, dźwięk silnika, nietypowi ludzie kręcący się w pobliżu...

– Nic nie słyszałam, ale konstrukcja tego domu na to nie pozwala. Mamy tu solidne okna i grube ściany. A jeśli chodzi o nieznanym, to również niewiele mogę powiedzieć. Nikogo tu nie widziałam w ostatnim czasie.

Potaknęli niemal jednocześnie. Fakt, z tego miejsca trudno było dostrzec, poza wielkim podwórkiem, na którego końcu, za szpalerem krzewów, można było dojrzeć stawy, a daleko i tysiące innych las był nieodłącznym elementem krajobrazu. W takich małych miejscowościach jak ta, jak setki i tysiące innych las był nieodłącznym elementem krajobrazu.

Krauze odhaczył jej słowa w pamięci. Mało znaczące detale zwykle zapamiętywał, ważniejsze zapisywał.

– Czy w czasie waszego ostatniego spotkania cokolwiek zdradzało jej niepokój? Zachowywała się inaczej niż zwykle? – Tym razem pytanie zadał Igor, jakby wreszcie się wybudził ze stuporu. Filip miał wrażenie, że kolegę coś dręczy.

– Nie, aczkolwiek za dobrze jej nie znałam. Nie umiem ocenić, co było normą, a co nie.

– Nikt do niej nie dzwonił? Nie odchodziła, by odebrać telefon?

– Raczej nie.

– Czy zostawiła jakieś swoje rzeczy?

– Już mówiłam, że nie. Polubiłam ją, zauroczyła mnie, bardzo dobrze się z nią czułam, miło spędzaliśmy wieczory, ale... w naszym przypadku nie mogło być mowy o stałym związku, o wspólnym zamieszkanianiu, dlatego nie zostawiała tu nic osobistego. To było niemożliwe.

Filip sięgnął po leżący na stole katalog wnętrzarski. Przerzucił kilka stron, by zająć czymś ręce. Popatrzył na luksusowe wnętrza zagranicznych loftów, wielkich niczym hala do koszykówki mieszkań, na które mogli sobie pozwolić jedynie majątni przedsiębiorcy. Wnętrza tak potężne, że można było po nich jeździć rowerem i przez całkiem długi czas wcale się nie nudzić.

– Jakie ma pani relacje z sąsiadami? – zapytał, kładąc pismo na grubą ławę.

– Nie utrzymuję z nikim kontaktów.

– Czemu?

– Nie mam takich potrzeb.

– A coś pani o nich wie? Czy ktoś mógłby być w to zamieszany?

– Niewiele wiem o tych ludziach, poza tym, że dużo pracują. Rzadko się widujemy. Mieszka tu kilku biznesmenów, paru lekarzy, pewnie i prawnicy. Raczej spokojne towarzystwo. Nie podejrzewam, by wśród nich był ktoś, kto przyczyniłby się do zniknięcia Dominiki.

Krauzemu na razie tyle wystarczyło.

– Chcielibyśmy jeszcze rzucić okiem na rower, którym przyjechała – powiedział, dając znać, że rozmowa dobiegła końca.



Filip dotarł do końca ulicy. Spojrzał na nowy parterowy budynek z białą elewacją i niedużym tarasem zwróconym w kierunku góry. Dom otaczały rośliny ozdobne, dość ładne. Ale nie to zwróciło jego uwagę. Jako jedyny miał kamerę umieszczoną tuż pod dachem. Niestety była w kształcie kuli, więc nie miał pewności, jaki miała zasięg, może tylko podwórze i podjazd. Ale trzeba było to sprawdzić.

Podszedł do furtki z domofonem. Wcisnął przycisk i czekał. Po chwili usłyszał dziecięcy głos.

– Słucham?

– Jest ktoś z dorosłych?

– Na przykład kto?

– Na przykład tata.

– Kim pan jest?

– Pracuję w policji, chcę porozmawiać z twoimi rodzicami.

– Przed chwilą mówił pan, że z tatą.

– Mama też może być.

– Tata jest w szpitalu.

– Strasznie mi przykro.

– A mnie nie, bo tam pracuje.

– Możesz poprosić mamę?

– Jak się pan nazywa?

– Krauze.

– Ma pan jakieś imię?

– Mam. Zawołaj mamę.

– Dziwne imię, nie słyszałam o takim.

– Muszę porozmawiać z mamą albo kimś dorosłym.

– Proszę poczekać.

Uśmiechnął się. Przezorne dziecko. Odpowiednio nieufne. Wyrabianie poczucia ostrożności u dzieci było najlepszym, co rodzice mogli dla nich zrobić. Pożałował, że Marcel nie ma choćby cząstki takiej odpowiedzialności. Po usłyszeniu domofonu wpuściłby domokrażców albo handlarzy byle czym, posadził ich na kanapie, by robili swoje, a potem poszedł do pokoju. Ważne, żeby mu nie przeszkadzali w grze na konsoli.

– Dzień dobry, w czym mogę pomóc policji? – Głos starszej kobiety wyrwał go z zamyślenia.

– Podkomisarz Krauze, można na moment?

W tej samej chwili usłyszał brzęczenie zamka. Przeszedł krótką alejką prowadzącą do domu. Z boku podwórka zauważył oczko wodne. Jego aparatura wydawała delikatny szum. Istny raj, na który zapracowały dłonie lekarza.

Nacisnął klamkę, nie czekając, aż ktoś mu otworzy. Kulturalne zachowanie od lat miał schowane w szufladzie biurka i nie zamierzał z niego korzystać. We wnętrzu przestronnego korytarza stała starsza kobieta z włosami wymodelowanymi niczym u aktorki z *Dynastii*.

– Przepraszam za najście – rzekł, pokazując legitymację – ale chciałbym zapytać o kamerę pod domem. Czy jest włączona?

– Zdaje się, że tak. Zamontowany jest stosunkowo nowy system alarmowy i kamera. Czemu pan pyta?

– Chciałbym obejrzeć nagrania z ostatnich dwóch dni.

– Mogę zapytać, w jakim celu?

Krauze pomyślał o tym, co się wydarzyło w ostatnim czasie. O strachu Pauliny Walas. O jej tajemnicy. Nie chciał mówić niczego wprost.

– Jednemu z mieszkańców został skradziony samochód. I może ta kamera nagrała... – powiedział, nie kończąc.

– Ja w tym panu nie pomogę, proszę przyjechać, jak będzie mój syn. Powinien być za dwa, może trzy dni.

– Dwa, trzy dni, a dziewczynka powiedziała, że tata jest w pracy...

– No cóż, powiedziała tyle, ile wie i rozumie. A prawda jest taka, że syn wyjechał, pracuje w dwóch szpitalach, takie czasy. Jest chirurgiem w Opolu, czasami bywa oddelegowany do drugiego szpitala, we Wrocławiu. Jak mówię, powinien być w domu pod koniec tygodnia. Na pewno panu pomoże.

Krauze skinął głową, podziękował za wizytę. Przeszedł jeszcze raz wzdłuż ulicy, ale tylko w tym domu była kamera.

Usiadł w aucie i czekał na Igora. Nim zdążył zjeść sezamka, ujrzał jego zwinną, atletyczną sylwetkę. Kolega maszerował w kierunku wozu. Popatrzył na mężczyznę, którego lubił, z którym się przyjaźnił i z którym uwielbiał się droczyć – byli dla siebie tacy od zawsze, od dnia, gdy się poznali. W dzieciństwie wiele razy się ze sobą bili, szarpali, kłócili się o każdą pierdołę. Teraz pozostały im tylko zaczepki słowne.

Zerknął na jego łobuzerski uśmiech. Jak zwykle miał ochotę zrobić coś głupiego.

– Co masz? – zapytał, gdy Igor usiadł ciężko w fotelu.

– Kilka domów pustych. Nikogo nie było. Może siedzą w pracy – relacjonował. – A może nie chcieli mi otworzyć. Jeśli sprawa nabierze kształtu, przyślemy tu mundurowych.

Krauze w odpowiedzi wskazał palcem.

– Mamy jeden dom z monitoringiem, ale nie ma właściciela. Ma być pod koniec tygodnia. Ta kamera może być skierowana na fragment jezdni. Jeśli Dominika rzeczywiście istnieje, być może został po niej ślad. A jeśli to wszystko sfingowała, będziemy to mieli na nagraniu.

– A jak ktoś ją uprowadził?

– To wtedy – odpowiedział po namyśle – będziemy mieli poważny problem.

Usłyszał piskliwy dźwięk dzwonka. Otworzył oczy. Przez chwilę nie wiedział, co się dzieje. Ciężko dyszał. Serce waliło mu jak młotem. Spał kamiennym snem i zapomniał wyłączyć dzwonek. Rozejrzył się po sypialni. Był sam. Weronika musiała być na dole.

Po powrocie z Głuszczyca Filip pojechał na komendę, a on do domu, tłumacząc się złym samopoczuciem. Oczywiście ściemnił. Po prostu musiał odpocząć. Październikowe popołudnie robiło ze środka dnia niemal wieczór, szarość spowijała miasto szybciej, niż się tego spodziewał, dlatego czuł się senny.

– Nawijasz – powiedział, oddychając ciężko. Miał zamknięte oczy i umysł. Nie docierało do niego, co się działo, chwilowo stracił poczucie rzeczywistości.

– Tu Krzysiek, proszę, żebym dał znać w tej sprawie, no wiesz...

– Aaa, tak... Sorry, spałem, ledwo żyję – wyjaśnił, przeciągając słowa. – Co się dzieje?

– Chodzi o tego gościa, którego mieliśmy rano na komendzie.

– Chwila, poczekaj sekundę. – Igor otworzył szerzej oczy, rozejrzył się po sypialni.

Podszedł do drzwi, upewniając się, że nikt go nie słyszy. Zamknął je i podszedł do drzwi balkonowych. Mieszkali w dwukondygnacyjnym domu jednorodzinnym przy ulicy Wiśniowej. Wyszedł na zewnątrz. Temperatura była niemal idealna, osiem stopni, od razu poczuł się rześko.

– Dajesz.

– Przed momentem dostaliśmy zgłoszenie. Znowu awantura. Podobno było słyhać wrzaski, jakby kogoś obdzierali ze skóry. Na razie nie wysyłałem patrolu. Mów, co mam robić.

Igor zamknął oczy. Przekręcił szyję na bok. Złapał się za głowę i pociągnął ją mocniej w bok, potem w drugą stronę. Zrobił to mocno, zdecydowanie. Kręgi szyjne gruchnęły mu tak gwałtownie, że aż poczuł ból i drętwienie ramion. Ucieszył się. Był człowiekiem, który uwielbiał ból.

– Łooo... żesz... Ale to miało jebnięcie.

– Igor, jesteś? – usłyszał nagłą głośność kolegi.

– Tak, tylko chyba miałem orgazm... kurwa, ale odlot... – powiedział do siebie, zamykając oczy. – Nie wysyłałem patrolu?

– Jestem ci winny przysługę. Słowo to słowo.

Igor przyłożył telefon do ramienia i przycisnął go do ucha, żeby mieć wolne ręce. Zaczął pstrykać palcami. Jeden po drugim.

– Okej, nikogo tam nie wysyłaj. Zajmę się tą sprawą. Wiem, co robić.

– Pamiętasz adres czy ci podać?

– Pamiętam. Dzięki za cynk.

– Okej, tylko żeby nie było z tego jakiejś afery. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Widzimy się za parę dni, bo mam urlop do przyszłego tygodnia.

– Krzysiu, nie martw się. Znam przepisy. Zawsze o nich pamiętam. Policyjne procedury to mój priorytet.

Kilkanaście minut później zaparkował sportową hondę przed odrapaną kamienicą przy ulicy Kolejowej. Naprzeciwko znajdował się ciąg niewielkich garaży i starych niskich zabudowań. Pod jednym z nich stał wyraźnie zawiany gość z butelką z piwem.

Igor włożył broń do schowka, zamknął go na klucz, po czym wyszedł na zewnątrz. Drzwi do kamienicy były otwarte. W takich miejscach jak to nikt nie zwracał uwagi na zamykanie drzwi do starego budynku, zapewne komunalnego.

Z niektórych lokali dochodziły rozmowy lokatorów. W jednym z nich słyhać było głośną muzykę disco polo, z innego dobiegało szczekanie psa. Śmiechy kobiet. Ryki facetów. Pewnie pijanych, impreza w biały dzień. Zaśmiał się.

Z mieszkania na drugim piętrze ktoś wyszedł. Rozmawiali, dwa niskie głosy, a więc dwóch gości. Zerknął w górę, ale nie widział ich twarzy. Ukrył się we wnęcie i odczekał, aż zjedną na dół. Wychylił się przez okno w korytarzu. Wsiadł do starego czarnego bmw. Zapamiętał numer rejestracyjny. Jak zawsze, na wszelki wypadek.

Gdy zniknęli mu z oczu, wspiął się na piętro. Chyba wyszli z tego samego mieszkania. Zastukał do drzwi. Nikt nie otwierał, więc ponowił. Trzy silne uderzenia. Wreszcie usłyszał niewyraźne odgłosy i przytłumiony głos:

– Rusz się, kurwa, bachorze... Zobacz, kto to. No już!

Odsunął się od drzwi. Zaciśnął pięść, zamykając oczy. Lubił ten stan. To go kręciło, choć akurat w tym momencie nie o niego samego mu chodziło.

Drzwi uchyliły się na kilka centymetrów. Już chciał nimi trzasnąć, ale pojawiła się w nich wychudzona twarz małego chłopca. Mógł mieć siedem, osiem lat. Był wystraszony i mizerny, pod okiem wykwitł siniak, zapewne sprzed kilku dni.

Fijałkowski zaklął w myślach. „Tylko nie to. Tylko nie to”, powiedział do siebie. „To pieprzone zwierzę mu to zrobiło”.

– Dzień dobry, jak masz na imię? – zapytał najgrzeczniej jak potrafił.

– Damian.

– Damianku, czy tata w domu?

Chłopiec nieznacznie pokręcił głową.

– Więc kto tam jest? – Igor skinął głową.

– To... taki... wujek – odpowiedział niepewnie.

– W porządku, w porządku – powtórzył, rozglądając się po zaniedbanym korytarzu. Poczł, że robi się coraz bardziej spięty. – A lubisz tego wujka?

Dzieciak milczał i przyglądał się badawczo mężczyźnie. Fijałkowski uśmiechnął się do niego. Nie wiedział, czy wyszło to przekonująco, ale się starał.

– Nie – odpowiedział wreszcie chłopiec i pokręcił głową. – Bije mnie i krzyczy.

– A gdzie twój prawdziwy tata?

Mały wzruszył ramionami.

Igor wyciągnął legitymację.

– Możesz mi powiedzieć, jestem z policji. Przyjechałem wam pomóc.

– Mieszkam tu od niedawna z mamą i z... nim. Często się przeprowadzamy.

– A gdzie jest mama?

Chłopiec znowu wzruszył ramionami, odwrócił głowę. Typowy odruch, kiedy chce się uniknąć odpowiedzi, odruch skrzywdzonego dziecka.

– Znów były krzyki. Nie lubię, gdy to się dzieje. Zamykam wtedy oczy, zatykam uszy. I to znika.

– Zrobili ci coś złego? Albo mamie?

Damian potaknął.

– Mamie. Dlatego uciekła.

– Ci panowie, którzy wyszli?

– Tak.

– A kim oni są?

– To jego koledzy. Zrobili jej coś złego, a potem zaczęli pić.

– Co tu robili?

Mały obrócił się za siebie, by sprawdzić, czy nic się nie dzieje w mieszkaniu.

– Powiedz mi, pomogę wam. Obiecuję, że to się skończy. Już cię nie skrzywdzą.

– Oni są źli. Bardzo źli.

– Bili cię? Mamę?

– Pili, krzyczeli, potem kilka razy się na niej kładli. Każdy z nich. Mama bardzo krzyczała, płakała, błagała, by przestali. Jeden z nich ją uderzył. Mocno. Wtedy zaczęła głośniej krzyczeć, ale nie przestawali. Wybiegłem z domu. Schowałem się. A potem po mnie przyszedł. Ten...

Igor analizował słowa chłopca. Nie chciał zadawać za dużo pytań. Co chwilę zerkał w głąb mieszkania. Gość nie wychodził. Dobry znak.

– A kto ci to zrobił? – zapytał, pokazując palcem siniak.

Chłopak nie odpowiedział od razu. Może się bał. Igor ponownie się uśmiechnął. Polubił tego dzieciaka.

– On – szepnął i wskazał palcem za siebie.

– Damianku, obiecuję ci, że wszystko będzie dobrze – odezwał się i sięgnął do kieszeni. Wyjął kluczyki. – Dostałiśmy wezwanie, że ten wujek się źle zachowuje. Zajmę się tym. Obiecuję, że więcej cię nie skrzywdzi, ani twojej mamy. Masz moje słowo. A za swoje słowo jestem w stanie oddać wszystko. A teraz uważnie mnie posłuchaj, dobrze? Czy znasz się na samochodach?

Chłopak potaknął głową.

– To dobrze. Tutaj przed domem stoi nieduża honda. Wsiądź do niej i posłuchaj sobie muzyki. Pod żadnym pozorem nie wracaj do domu, bo muszę porozmawiać z twoim wujkiem. Dobrze? Wyjaśnię mu, że nie powinien się tak

zachowywać. Bo to niegrzeczne, prawda?

– Tak, ale...

– Nic ci nie grozi, naprawdę. Wsiądź do samochodu, posłuchaj muzyki, a potem zabiorę cię do mamy. Dobrze? Chłopak sięgnął wreszcie po kluczyki i zszedł na dół. Igor odczekał, aż zamkną się za nim drzwi.

Cholera, tego się nie spodziewał. Pokrzyżowało mu to plany. Odczekał chwilę. Schował legitymację do kieszeni. Upewnił się, że nikt go nie obserwuje, po czym wszedł do środka.

Od razu poczuł alkohol. Zamknął za sobą drzwi na zasuwkę. Wyjął z kieszeni ochraniacze na buty, które zwykle nosił ze sobą, potem sięgnął po jednorazowe rękawiczki i ruszył w głąb dużego mieszkania.

– Kto to był? – Z pokoju dobiegło go mamrotanie.

Podszedł bliżej.

Na łóżku leżał gość z przetłuszczonymi włosami. Gapił się tępo w jakiś serial kryminalny.

„Co za ironia losu”, pomyślał Igor, przekrzywiając głowę.

– Wkurwiony Święty Mikołaj – odpowiedział i rzucił się na niego.

Pierwsze uderzenie było tak szybkie, że pięść odskoczyła od twarzy jak od sprężyny. Po nim padł drugi cios. Równie silny.

– Zostaaaa...! – ryknął tamten, zasłaniając rękami twarz.

– Mówiłem... ci... – Uderzenie w twarz. – Swołoc... że... byś... ją... zostawił... – Uderzenie. – W spokoju. I nie posłuchałeś – warknął i uderzył ponownie. Tym razem w uszy, by go ogłuszyć.

Wystarczyła chwila. Kilka ciosów. Mocnych i stanowczych. Gałki oczne faceta kręciły się jak na karuzeli. Igor od dawna nie widział takiego przerażenia. Już chciał wykonać kolejny cios, ale facet szarpnął się i wybiegł do drugiego pokoju, znacząc podłogę krwią.

Igor parsknął śmiechem jak po dobrym dowcipie. Przekrzywił głowę tak mocno, że znów chrupnęło mu w karku.

– No kurwa, daj spokój, chłopie – powiedział, rozkładając ręce. – Mamy się bawić w kotka i myszkę? Ochujałeś? No, chodź tu do mnie... Dawaj, kurwo, cip, cip, do nogi. Ale już!

Mężczyzna nie zareagował. Stał w drugim pokoju, trzęsąc się. Nie miał dokąd uciec.

– Do nogi! – rozkazał Igor, cmokając. – Do nogi.

– To nie... ja... to oni...! – wykrzyknął z drugiego pomieszczenia.

Igor rzucił się tam tak szybko, że mężczyzna nie zdążył zareagować. Ścisnął mu szyję tak długo, aż gość klęknął i zaczął wycić.

– Zostaaaaw...

– Bijesz chłopca.

– Nie...

– Bijesz go. A tego nie wolno robić, wiesz? – wycedził przez zęby, po czym uderzył go w bok głowy. W ucho. – I jeszcze sprzedajesz swoją kobietę.

– Co?!

– Sprzedajesz ją? – zapytał, sycząc przez zęby.

– Czasami, gdy...

– Gdy co?

– Gdy nie mamy kasy.

– Gdzie ona jest?

Mężczyzna chyba chciał wzruszyć ramionami, ale nie mógł.

– Gdzie ona jest? – zapytał Igor, przecierając ze złości twarz łokciem.

– Wyszła. Chciała się przejść.

– Ty kurwo przekłeta, uciekła, bo ją zgwałciliście!

– Nie...

– Jak nie, jebańcu, skoro widziałem dwóch gości, którzy stąd wychodzili?

– Nieee....

– Kim są ci dwaj, co tu byli przed chwilą?

– To znajomi...

– Nazwiska, ksywki.

– Myślisz, że znam ich nazwiska? Ochujałeś? – wybełkotał. – To klienci. Nie znam ich.

– Mów albo cię załukę.

– Na jednego z nich mówią Mańkut, na drugiego Elmer, nic więcej nie wiem – wymamrotał, przymykając oczy. Ciężko dyszał. Zerkał na wściekłego Igora, widział obłęd w jego oczach. Wiedział, że musi wyjawić informacje, bo inaczej ten wściekły facet go zabije.

Fijałkowski kojarzył te dwie ksywki, a jeśli coś mu one mówiły, to pewnie nigdy nie pojawiły się w przyjemnym kontekście.

– Gdzie ona jest?

– Nie wiem, poszukaj jej. Od tego jesteś, psie – rzucił, ale kiedy zobaczył, co się stało z miną nachylającego się nad nim policjanta, od razu pożałował tych słów.

– Co zrobiłeś chłopcu?

– Dostał kilka razy.

– Kiedy?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Ile razy go uderzyłeś?

– Pięć, sześć? Skąd mam wiedzieć. Wpierdalał się w nie swoje sprawy, jak to bachor.

– Nie swoje sprawy – powtórzył Igor, parskając. Ale było to parsknięcie z bezsilności. Wyobraził sobie ogrom cierpienia kobiety i tego chłopca, którzy byli bici, zastraszeni, poniżani, gnębieni przez tego człowieka. I przez jego kolegów. Albo klientów.

– Więc żeby było sprawiedliwie, dostaniesz tyle samo. Tylko pomnożę razy dwa. Jeśli znasz matematykę.

– Nie zrobisz tego.

– Razy trzy.

– Nie.

– Razy cztery.

– Błagaam...

– Co jej zrobili?

– A co mieli z nią zrobić?

– Pytam po raz ostatni.

Mężczyzna czekał. Miał nadzieję, że to się skończy. Że nie będzie musiał odpowiadać na pytania, ale po kolejnym ściśnięciu szyi wiedział, że musi powiedzieć.

– Najpierw zrobił to Elmer, potem Mańkut. Potem miał jeszcze przyjechać Jaszczur. Ale odwołałem go. Przysięgam. To się więcej nie powtórzy. Obiecuję. Obiecuję. Obiecuję. To się nie powtórzy.

Igor pokręcił głową.

– Dobrze, dobrze... – mruknął, choć wcale nie było dobrze. Jeszcze przed paroma godzinami miał tego sukinsyna na komendzie. Gdyby wiedział, nie wypuściłby go.

Ale stało się. Znow doszło do tragedii.

Wyjął z kieszeni opaskę zaciskową, zapiął facetowi na nadgarstkach, a potem zaciągnął go pod okno i przypiął do kaloryfera. Poszedł do kuchni. Przeczesał wszystkie szuflady. Nie było nożyczek, ale znalazł ostry nóż.

Wrócił do pokoju. Mężczyzna leżący na podłodze zaczął wierzgać i wrzeszczeć na całe gardło.

– Zamknij mordę, to ci nie zrobię krzywdy. Nie rzucaj się, to cię nie przetnę – przykazał. Nachylił się i przeciął koszulę, pasek oraz spodnie. Zdarł z niego ubranie. Gość leżał teraz w samych majtkach.

– A teraz uważaj, bo jak się ruszysz, to ci niechcący obetnę jaja.

Przysunął nóż do gaci i rozciął je. Były poźółkłe od moczu. Ściągnął je.

Miał pokusę, by zrobić z nim to, co należało, ale się powstrzymał. Zostawił go na podłodze, wziął pas, a potem poszedł do kuchni, żeby namoczyć go w wodzie. Posypał go solą.

Kiedy wrócił, mężczyzna wił się wokół własnej ręki niczym wściekły pies uwiązany przy budzie.

– Poluzuj... błagam!... Zaraz mi odpadną ręce! – wykrzyczał, patrząc na swoją dłoń.

Igor też to zauważył. Spuchła i robiła się bordowa. Za parę minut to się mogło źle skończyć. Musiał przyspieszyć.

– Ostrzegalem cię. A ty co? Wracasz do domu i znów to samo. Bijesz ją, bijesz małego. To nie tak ma działać społeczeństwo. Jesteś chory. Jesteś zepsuty.

– Przysięgam, więcej tego nie zrobię. Odjechało mi, naprawdę, odjechało mi.

– Mnie też. I już tego nie zatrzymamy. Stało się. Nie ruszaj już ręką, bo dostaniesz martwicy. Z każdym niepożądanym ruchem opaska będzie się napinała. Najpierw stracisz rękę, potem kolejne części ciała.

Zbliżył się do mężczyzny, pomógł mu wstać i postawił przed oknem. Otworzył je na oścież. Igor zauważył, że pijaczek nadal stoi pod garażem.

– Stań na palcach, żeby tamten gość widział twojego pisiora.

– Nie zrobię tego – mruknął, oglądając się za siebie.

– Zrobisz, zrobisz – westchnął. – Za moment będziesz mnie błagał, żebym tylko na tym poprzestał.

– Nie – upierał się tamten, próbując się wyszarpnąć.

Igor stanął z boku, w odpowiedniej odległości. Przymierzył się.

I wtedy padł pierwszy strzał napiętym skórzanym pasem na gołe pośladki. Mężczyzna zawył. Jego ciało spięło się niczym struna. Po pierwszym uderzeniu od razu wycelował ponownie. Facet zawył jeszcze głośniej.

– To jak, lecimy w to? Podoba ci się? Kręcimy dalej imprezę?

– Nieee! Zostaw!

– Więc powtarzaj za mną głośno, żeby wszyscy słyszeli: „Jestem ludzką gnidą”.

– Nie, nie zrobię tego...

W tej samej sekundzie padł kolejny mocny cios.

– Jestem!

– Ludzką – podpowiedział Igor.

– Ludzką!

– Gnidą.

– Gnidą! – wykrzyczał z całych sił. – Już dość, dość, kurwa. Więcej tego nie zrobię, przysięgaam!

Wymierzył kolejne uderzenie, tym razem mocniejsze. Mężczyzna zawył i zgiął się wpół.

– Niiieeee!

– Jeszcze nie skończyliśmy spowiedzi.

– Doooość! Błagaam!

– Rób, co mówię, albo ci zacisnę opaskę na kutasie. W mniej niż minutę go stracisz. Chcesz tego? Nie zmuszaj mnie. Bo na chuj ci brak chuja?

Igor dostrzegł, że stojący pod sklepem mężczyzna spojrział w kierunku okna i zaczął się śmiać.

– A teraz powtarzaj, sukinkursywnie: „Nigdy więcej nie uderzę kobiety ani dziecka. Tak mi dopomóż Bóg”. Powtarzaj to w kółko. Albo tu zgnijesz.

– Nigdy więcej nie uderzę... – zawałał się. Przerwał, ale kiedy ukradkiem zobaczył, że stojący za nim mężczyzna zamachnął się, dokończył: – Kobiety. Ani... Dziecka. Tak mi dopomóż...

– Bóg.

– Bóg!

– Piłuj ryja z całych sił, to może przeżyjesz. No już!

Mężczyzna zaczął wrzeszczeć z całych sił. Zdanie po zdaniu. Tak jak mu kazał.

Igor usiadł na kanapie. Uśmiechnął się. Zamknął na chwilę oczy. Wiedział, że przez kilkanaście najbliższych godzin nie będzie potrzebował snu, jego organizm pompował adrenalinę z kosmiczną szybkością. Popatrzył na to popieprzone widowisko.

Ostrzegął gnoja w komendzie. I nie minęło parę dni, tygodni czy miesięcy – facet zrobił to od razu po powrocie do domu. Miał wybór. Wybrał złe, więc dosięgnęła go kara.

Igor nagiął wiele procedur i złamał wiele zasad. Poza jedną i najważniejszą. Wymierzył sprawiedliwość. W tej robocie tylko to go interesowało.

Czuł, że może wylecieć z policji, ale miał to w dupie. System był chory. Przepisy były chore. Społeczeństwo było chore. I ci, którzy wydawali mu polecenia, również byli chorzy.

Musiał to zmienić. Musiał usunąć chorą tkankę społeczeństwa, pozbyć się tego zepsucia. Mógł to zrobić tylko tymi samymi metodami, jakimi posługiwali się tamci. Psychole, gwałciciele, mordercy. Siłą. Przemocą.

Niewinna kobieta. Kilkuletni chłopak regularnie bity. Jeśli się stąd w porę nie wyniesie, za kilka lub kilkanaście lat będzie taki sam. Przemoc stanie się jego naturalnym językiem, sposobem porozumiewania się z otoczeniem. Będzie tak samo zdobywał kobiety, będzie tak samo zdobywał jedzenie, alkohol, papierosy.

Siłą i przemocą.

„Bezsensowna przemoc to nowotwór”, pomyślał. „Atakuje społeczeństwo część po części, rozrasta się”.

Wstał i podszedł do mężczyzny. Zapytał, gdzie jest kobieta, i usłyszał odpowiedź. Igor skinął i znów powiedział coś tamtemu na ucho. Mężczyzna drgnął, a potem zaczął wrzeszczeć na całe gardło:

– Nigdy więcej nie uderzęęęę kobietyyyy!!! Nigdy więcej nie uderzę dzieckaaaaa!!!

Ten głos, ten wrzask i ten skowyt Igor słyszał jeszcze przez kilka minut, aż do momentu, gdy ruszył samochodem spod kamienicy.

Wieczorem wybrał się na zakupy, żeby zrobić zapas na nadchodzące dni. Mieli ogromną lodówkę, w której wiele się mieściło, ale Filip odczuwał nasilającą się od lat potrzebę gromadzenia żywności. Zachowywał się jak rasowy preppers, więc nadmiar zapasów ładował w piwnicy, w której trzymał wszystko, co potrzebne do życia: jedzenie z długim terminem, wodę, wiele narzędzi, gaśnice, zapas baterii i – najważniejsze – spore zapasy broni palnej, amunicji, gazów, pałek teleskopowych oraz noży. Od parunastu lat miał fioła na punkcie broni. Kupował zdecydowanie więcej, niż potrzebował.

Gdy wrócił z piwnicy, zadzwoniła Ola. Powiedziała, że będzie w domu za godzinę lub dwie, czyli praktycznie w nocy. Przepraszyła go, ale musiała zostać w firmie. Od dwóch lat prowadziła agencję nieruchomości, stawiała na sprzedaż i wynajem nowych mieszkań. W ciągu ostatniego roku rozwinęła działalność, zatrudniła już dwie młode dziewczyny, które przyuczała do pracy. No i od niedawna wreszcie zaczęła zarabiać. Nie były to jeszcze oczekiwane zyski, ale mogli sobie pozwolić na nieco więcej niż do tej pory.

Kilka miesięcy temu zdecydowali, że zainwestują w zakup małego mieszkania. Znajdowało się na poddaszu jednej z kamienic w pobliżu rynku. Filip planował urlop, by je odświeżyć. Malowanie, montaż nowych żaluzji, parapetów, wykładziny, wymiana frontów kuchennych i drobne prace remontowe. Ola miała zająć się resztą, czyli organizacją wynajmu krótkoterminowego. Gdyby się udało, mieliby kolejne źródło dochodu.

Nagle usłyszał dzwonek. Odebrał od razu.

– Co jest?

– Cały czas próbuję rozkminić coś z tej sprawy – zaczął Dominik – ale niewiele mamy, więc zwijam się na chatę. Nie mamy zgłoszenia zaginięcia, nie ma jak sprawdzić połączeń, bo gadały tylko ze sobą, ta Paulina kupiła jej telefon i wzięła na siebie numer. Więc ogólnie sprawa wygląda cienko. Szukałem też dziewczyn o tym imieniu, ale bez rezultatu. Bez nazwiska odbijam się od ściany.

– Mogła to wszystko zmyślić? – zapytał.

– Raczej nie, bo technicy zabezpieczyli odciski linii papilarnych z roweru, ale nie mamy ich w bazie. To mi wygląda na jakąś chorą relację, więc może dziewczyna postanowiła to zakończyć.

– Odhaczamy i do archiwum? – zapytał Filip. Przygryzł wargę, wpatrując się w widok za oknem.

– Sam nie wiem, na razie nie mamy na czym się oprzeć. A ty?

– Poczekajmy do końca tygodnia na monitoring, żeby się potem nie okazało, że odhaczyliśmy sprawę, której teczka jest pusta. Zróbmy coś, niech to przynajmniej jakoś wygląda. Jak coś ustalimy, zgłosimy się do sieci telefonicznej o udostępnienie danych. Chyba że wpisała fałszywe.

Pożegnali się. Filip uporządkował zawartość lodówki, potem pozmywał naczynia. Marcel trząsał w worek w swoim pokoju, słuchając przy tym głośnej muzyki.

Odgrzął obiad. Mieli dużą przestronną kuchnię. Gładkie drewniane fronty, drewniane blaty, czarny sprzęt AGD.

Poszedł z talerzem naleśników przed telewizor, włączył kanał informacyjny. Nim zdążył przełknąć drugiego, usłyszał telefon. Zignorował dźwięk, nawet nie spojrzął, kto dzwoni, chciał dokończyć kolację. Przełączył kanał, nie zamierzał się wkurzać. Wolał obejrzeć po raz kolejny losowy odcinek *Przyjaciół*, niż słuchać wiecznie kłócących się polityków. Gdy kończył trzeciego naleśnika, telefon zadzwonił ponownie. Melodia z drugiej części *Terminatora* uparcie rozbrzmiewała raz za razem. Niechętnie odebrał.

Dzwoniła Weronika Fijałkowska.

– Słucham cię, kochana. Jak bardzo twój świat musi być szary i smutny, że dzwonisz do mnie o tej porze?

– Filip, musisz mi pomóc – powiedziała zdenerwowana. – Chodzi o Igora.

– Co się dzieje?

Usłyszał westchnienie. Krótkie, nerwowe, zdradzające niepokój. A może i strach.

– Najgorsze jest to, że nie wiem. Wygląda, jakby miał wypadek, ale nie chce mi nic powiedzieć. Boję się, że coś nawywiłaj. Nie chce ze mną rozmawiać. Bełkocze. Nie daje sobie pomóc.

Weronika miała silną psychikę. Na ogół, gdy mówiła o Igorze i komentowała jego zachowanie, sprawiała wrażenie osoby zdystansowanej, nieco ironicznej. Miał wrażenie, że wciąż widziała w swoim mężu przerośniętego, niedojrzałego dzieciaka, dlatego nie zawsze brała na poważnie wszystkie jego wyskoki. Kochała go, to było pewne, ale momentami traktowała ze sporą dawką pobłażliwości. Teraz Filip usłyszał w jej głosie strach.



– Przywykłam do jego awantur, do tego, że czasami przyjeżdżał podchmielony. Ale dziś jest naprawdę źle. Coś się stało. Coś złego. Pomóż mi. Wiesz, że jest zdolny do strasznych rzeczy.

Otworzył okno. Chciał, by w salonie zrobiło się nieco chłodniej. Spojrzał w dal. Uwielbiał patrzeć z góry, uwielbiał niewyraźny horyzont, fragmenty miasta, migające w oddali latarnie, przesuwane się sznury aut. Westchnął i obejrzał się za siebie, by się upewnić, że nikt go nie słyszy.

– Podejrzewasz bójkę?

– Gorzej. On jest w jakimś amoku – powiedziała niemal szeptem. Szybko oddychała, a kompulsywnie wypowiadane słowa sprawiały wrażenie, jakby się dławiła.

– Chwila. Igor dzisiaj był jak zawsze w robocie. Zrobiliśmy parę rzeczy. Nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło, więc kiedy to się stało?

Nagle w słuchawce usłyszał krzyk. Nie musiał się wsłuchiwać, by rozpoznać głos kolegi, którego znał dłużej niż kogokolwiek. Od wielu lat, niemal każdego dnia słyszał ten ton, który miał w sobie tyle siły co uderzenie rzeźniczego tasaka.

Teraz słyszał ten sam głos, tyle że przytłumiony.

– Po pracy poszedł się zdrzemnąć, potem nagle wyszedł z sypialni, mówiąc, że za chwilę wróci. Nie było go dłużej czas, nie wiem, gdzie był ani co robił. Wrócił zakrwawiony i pijany.

– Przyjechał autem po pijaku?

Przytaknęła.

– Ledwo mógł ustać na nogach. Ma rozbitą głowę, pięści. A jeśli coś zrobił po drodze? Jeśli jechał pijany i w coś uderzył? Potrafił kogoś? Filip, co robić?

Krauze analizował. Wypadek albo stłuczkę trzeba będzie wyjaśnić. Na razie nieformalnie. Potem się zobaczy. W takiej sytuacji ich pozycja mogła wiele zdziałać. Policjanci chronili swoje tyłki. Oczywiście nie wszyscy i nie zawsze, ale panowała względna solidarność, zwłaszcza w chwilach słabości. Nieraz wyciągali się nawzajem z bagna, by nikt o niczym się nie dowiedział. Takie życie. Ratowanie sobie nawzajem dupy nie należało wyłącznie do tego zawodu. Inni też to robili, pewnie nawet na większą skalę.

– Mówił coś, zanim wyszedł z domu? – zapytał, przypominając sobie miniony dzień i wszystko, co działo się w pracy. Igor był spokojny, może aż za bardzo, zwłaszcza u Pauliny Walas. Sprawiał wrażenie wyciszonego. Wcześniej prowadził przesłuchanie. No i jak zawsze parę drobnostek na boku. Dzień jak co dzień. Z tą różnicą, że wrócił do domu wyjątkowo wcześniej, potem wyjechał, upił się i nawywijał.

Ale dlaczego? Spotkał kogoś? A może znów się wdał w awanturę w jakimś barze? To się mogło zdarzyć, Fijałkowski był nieobliczalny, trudno go było powstrzymać przed atakiem, kiedy się na kogoś wkurzył.

– Nie. Zapowiedział tylko, że niedługo wróci, a po paru godzinach przyjechał w takim stanie – powtórzyła. – Wszedł na chwilę na górę, do łazienki, potem coś robił po pijaku w pokojach...

– Gdzie jest teraz?

– Zamknęłam go w kotłowni. Nie miałam wyjścia. Przed chwilą walił w drzwi, wrzeszczał, szarpał się. Bałam się, że rozwali pół domu. Najgorsze, że Zuzia wszystko słyszała.

– Okej, zaraz będę. Daj mi chwilę.

Schował telefon i zaklął pod nosem. Czemu teraz, czemu właśnie w takiej chwili?

Zajrzał do Marcela i powiedział, że musi na chwilę wyskoczyć. Młody tylko machnął ręką, nie przestając walić w worek treningowy.

Zjechał windą do garażu, wsiadł do czerwonego jaguara, a potem ruszył przed siebie.

Jechał wąskimi uliczkami, hamował na progach zwalniających, po czym przyspieszał, by znów za moment najechać spokojnie na kolejny próg.

Jasny jednopiętrowy dom Fijałkowskich przy ulicy Wiśniowej miał spadzisty dach i balkon skierowany w stronę terenów, które jeszcze nie zostały zabudowane. Choć, jak podejrzewał Krauze, już niedługo właściciele przekwalifikują je na działki budowlane, sprzedadzą z zyskiem, a potem osiedle się rozrośnie.

Zaparkował auto na podwórzku, tuż przed bramą garażową.

Wszedł do środka, nie bawiąc się w dzwonienie czy pukanie.

Weronika siedziała na schodach. Miała na sobie białą bluzkę z kołnierzykiem, zielony sweter i niebieskie dzinsy. Wyglądała fatalnie.

– Dobrze, że jesteś – odezwała się, wstając.

Uścisnęli się mocno. Musiał jej dodać otuchy.

– Dalej tam siedzi?

– Od paru minut jest spokojny, ale boję się otwierać.

– Tobie nie zrobi krzywdy.

– Akurat, nie wiesz tego.

– Znam go. Prawie tak długo jak on ciebie. Chyba jest w stanie skrzywdzić każdego, ale ciebie i Zuzi nigdy by nie tknął. Znam go – powtórzył, by podkreślić znaczenie swoich słów. – Ma świadomość, że gdyby ciebie tknął, to byłby jego koniec.

– Może by mnie nie ruszył, ale on kompletnie nie słucha, co się do niego mówi, jest w jakimś szale.

Krauze nieznacznie wzruszył ramionami.

– Okej, idź na górę. Weź prysznic i odpocznij. Nie chcę, żebyś słyszała, o czym rozmawiamy. Dla swojego dobra.

Siedział skulony w kącie niewielkiego pomieszczenia. Na dźwięk otwieranych drzwi odwrócił głowę. Miał zmasakrowaną twarz – podpuchnięte oczy, rozcięty łuk brwiowy i wargę, sine policzki. Filip od tak dawna pracował w policji, że bez trudu odróżniał ślady walki od śladów wypadku samochodowego. To, co zobaczył na twarzy przyjaciela, wskazywało na ostrą szarpaninę. Oszacował, że była to walka o przetrwanie, na śmierć i życie. Ale bez broni.

Zamknął za sobą drzwi i klęknął przed nim.

– Gdzie się tak załatwił?

Igor zmrużył oczy, by wyłapać ostrość. Chwilę to trwało, nim się zorientował, z kim rozmawia.

– Co ty tu robisz?

– Przyjechałem na ciasteczka i kawę. Szkoda, że to nie od ciebie dostałem zaproszenie, ale od Weroniki.

– Dowcip ci się wyostrzył. Idź się napij tej kawy i zostaw mnie w spokoju.

– Odpowiadaj. Rozjebałeś łeb, samochód, Weronika omal nie dostała zawału.

– Potknąłem się na chodniku. Krzywe są. Jak całe pieprzone Kłodzko – wyrecytował, jakby miał przygotowaną wypowiedź, w którą, jak zapewne sądził, ktoś uwierzy. Udawał mniej pijanego, niż był.

– Pokaż się. – Krauze zaczął oglądać rany. – To trzeba zszyc. Igor, koniec gry wstępnej i dość ściemniania. Mów, co się działo.

– Wychlapałem parę piwek.

– Kiedy, gdzie, z kim?

– Po pracy.

Podkomisarz spojrział na jego dłonie. Poobijane kostki, zdarty naskórek. Prawa ręka pokiereszowana bardziej, to nią musiał uderzać w coś lub w kogoś. Krew zdążyła zaschnąć.

– Musi cię zbadać lekarz, bo możesz mieć wstrząs mózgu.

– Chuja tam... Żaden wstrząs. Nic mi nie jest, zostaw mnie. Prześpij się tu, przy kotle. Przytulę się do bojlera jak do pocziwej grubej baby. Jutro będzie okej.

– Jutro to będziesz przepraszał rodzinę. A teraz musi cię zobaczyć lekarz.

– Zostaw mnie.

Igor opuścił głowę. Resztki sił zaczynały odpływać. Alkohol obezwładniał mięśnie. Filip dobrze go znał i wiedział, że to nie było parę piwek, jak powiedział, a co najmniej sześć, może siedem. Poza tym jego kumpel jechał samochodem, a na pewno wdał się w ostrą szarpaninę.

– Biłeś się?

Igor pokręcił głową.

– Nie pieprz, okej? Mów, z kim się szarpałeś.

– Z nikim.

– Igor, skończ pierdolić. Wiesz, że mam swoje sposoby na wyciąganie informacji. Nie każ mi tego robić.

– Z Mańkutem i Elmerem.

– Którym Mańkutem?

– No ten z... – przejechał palcem po twarzy – blizną na ryju. Nie pamiętam, jak się nazwa. Ale teraz będzie miał dwie blizny.

– Gdzie to było?

– W Acapulco.

– No to świetnie, naprawdę – zadrwił. Mordownia pierwszej klasy. Tanie piwo i woda ściągały licznych meneli i kryminalistów. Nie trzeba było się specjalnie starać, żeby dostać tam w mordę. Szczęściarze wychodzili o własnych siłach, pechowcy kończyli na pogotowiu. Widać Igor należał do tych pierwszych.

– Powiedz mi, co się działo, bo jutro nie będziesz pamiętał. Trzeba coś odkręcać? Ktoś wzywał patrol? Może być z tego afera.

– Nikt nie wezwał glin. Znają mnie tam, wszyscy wiedzą, że jestem psem.

– Pijanym psem. Do takich trzeba wezwać patrol, bo stanowią zagrożenie.

– Jestem jak anioł na pastercie – mruknął Igor. – Grzeczny, potulny.

Filip popatrzył na niego. Nie współczuł mu. Wręcz przeciwnie, wściekłość rosła w nim z każdą sekundą. Przysunął się bliżej i położył rękę na ramieniu kolegi, mocno je ściskając.

– Skoro tak, to spójrz na mnie i spowiadaj się, kurwa, jak przed księdzem. – Ścisnął jeszcze mocniej. Przyjaciel podniósł głowę. Spojrzał na Filipa, ale się nie odezwał. – Co im zrobiłeś?! Wiesz, że inaczej nie wyciągnę cię z tego syfu.

Znów machnął ręką i schował głowę w ramionach opartych o kolana.

– Są w gorszym stanie ode mnie. Rzucili się na mnie. Zaatakowali.

„Elmer i Mańkut”, powtórzył w myślach. Mieli ksywki, a więc nie byli niewinni. Próbował sobie przypomnieć ich twarze i wszystko, co o nich wie. Obaj z kryminalną przeszłością, to pewne, bo inaczej by ich nie kojarzył. Wiele lat temu wydział współpracował z wrocławskim wydziałem do spraw walki z przestępczością zorganizowaną. Pamiętał, że interesował się tą sprawą, przeglądał akta, wczytywał się w doniesienia prasowe. Od tamtego czasu minęło może dziesięć lat. Niektórzy bandyci i gangsterzy od dawna byli na wolności, inni kończyli odsiadki, a jeszcze inni żyli bezkarnie, prowadząc swoje interesy. Obaj przewinęli się przez dokumenty, ale nie potrafił skojarzyć konkretnych spraw.

Z tego mogła wyjść grubsza i nikomu niepotrzebna afera, więc musiał się sprężyć, jeśli miał wyciszyć sprawę. Skoro się szarpali, to nie odpuszczą. Zaangażują więcej ludzi. Musiał pomóc kumplowi. Wiedział, że Igor zrobiłby dla niego to samo. Niedawno uratował mu życie w Nowej Rudzie, trudno więc o lepszą i stosowniejszą okazję do odwdziżenia się.

Analizował. W Acapulco nie było monitoringu. Jednoosobowa obsługa baru, stary Kazik, z kryminalną przeszłością jak większość klientów. Od lat był czysty i na prostej, więc jeśli miałoby dojść do konfrontacji, pewnie nie zechce zeznawać przeciwko kolegom. Przeciwko Igorowi też nie. Nie potrzebował większych problemów niż te, które osławiły go przed laty. Tutaj nie było się czego bać. Nie sypnie żadnej ze stron.

Bar zamykano w nocy albo po wyjściu ostatniego klienta.

– Kto kogo zaatakował? – Potrząsnął Igorem.

– A już sam nie wiem... – Machnął ręką. – Ale chyba oni.

– Zaczepiałeś ich?

– Neeee. Od razu się na mnie rzucili.

– I?

– I nic, dostali wpierdol. Ale żyją – wymamrotał.

– Rozwaliłeś coś w barze? Okna, stoliki? Rzuciłeś czymś? – dopytywał się, bo wiedział, że Igor podczas ataku traci nad sobą kontrolę i może zdemolować wszystko, pobić każdego, kto mu się napatoczy. Był silny i walił jak maszyna, z siłą i precyzją godną dobrej klasy boksera, może z nieco mniej wyrobioną techniką, ale i tak był w stanie położyć na łopatki większość przeciwników.

– Neeee... Czemu... dopy... tujesz? – wysapał.

– Chcę ci chronić dupę. Możesz mieć problemy, myślałeś o tym?

– Kurwa, nic nie rozjechałem. Bar jest czysty, możesz zapytać Kazika.

– Okej, potem się tym zajmę. Teraz siedź tu spokojnie i nie wychodź.

Poszedł do kuchni, namoczył ścierki i wrócił, by otrzeć Igorowi twarz. Po zmyciu krwi wyglądała trochę lepiej. Teraz łatwiej było ocenić obrażenia. Z rozciętego łuku brwiowego wciąż sączyła się krew. Nos nie był złamany. Obmył Igorowi pięści. Kostki mocno roztrzaskane, ale nie wymagały szycia. Najgorsze były ewentualne obrażenia wewnętrzne, których Krauze nie był w stanie rozpoznać.

– Trzymaj mocno ścierkę. Cały czas leci ci farba, więc nie puszczaj.

Filip zawołał Weronikę. Wychyliła się z łazienki. Miała na sobie biały szlafrok.

– No i jak?

– Będzie żył. Co z Zuzią?

– Położyła się spać. Prosiłam, żeby nie schodziła na dół. Powiedziałam jej, że tata był na imieninach kolegi i trochę przeholował. To nastolatka, swoje już wie, więc nie zmyślałam niczego, w co by nie była w stanie uwierzyć.

– To dobrze, tyle wystarczy. Pochłał ostro, i tyle. Ale pod żadnym pozorem nie powinien był wsiadać za kierownicę.

– Powiedział ci coś więcej?

– Gada od rzeczy. Pobił się z dwoma draniami, których sam bym chętnie sprzął, gdybym miał tyle siły co on – odpowiedział, siląc się na lekki ton.

Wyciągnął telefon i zaczął przeglądać listę kontaktów. Wybrał numer do Ireneusza Amsterdamskiego, lekarza, z którym współpracowali i który często przyjeżdżał na miejsca zbrodni. Był patomorfologiem, ale z uwagi na braki kadrowe pełnił też funkcję zastępcy ordynatora oddziału chirurgii i ortopedii w kłódzkim szpitalu. Świat tutejszych policjantów i lekarzy był ze sobą powiązany. Łączyło ich jedno. I jedni, i drudzy robili wszystko, by zapobiec wypadkom i śmierci, i jedni, i drudzy pojawiali się w tym samym miejscu, gdy do nich dochodziło.

– Wierzysz mu?

– Kojarzę gości. Bez względu na to, kto zaczął, należało się im.

Filip chrząknął, gdy usłyszał głos po drugiej stronie słuchawki.

– Co jest, jakieś zwłoki? – zapytał lekarz.

– Żebyś wiedział. Masz dyżur w szpitalu?

– Jest noc, co innego może robić samotny lekarz bez żony?

– Mam zgadywać?

– No próbuj, zobaczę, czy jesteś dobrym śledczym.

– W sumie może kiedy indziej, jeszcze źle wydedukuję i stracisz we mnie wiarę.

– Mów, po co dzwonisz, bo mam sporo pracy.

– Igor zaniemógł. Ma rozwaloną głowę. Trzeba go zszyć. Dasz radę?

– Szycie czy coś jeszcze?

– Nie wiem, po prostu trzeba go obejrzeć, potem postawić do pionu.

– Przywieź go na izbę. Zadzwoń, gdy będziesz na dole, zajmę się nim. Zrobimy, co należy.

– Igor będzie twoim dłużnikiem.

– Obaj jesteście moimi dłużnikami – odpowiedział i wyłączył się bez słowa pożegnania.

Filip znał Amsterdamskiego od ponad dziesięciu lat i zawsze mógł na niego liczyć.

– Spakuj mu jakieś rzeczy. Na pewno zostanie na obserwacji. Ja się zajmę resztą – przykazał Weronice.

Bez słowa poszła do sypialni. Filip napił się wody, zrobiło mu się gorąco. Wyjął lód z zamrażarki i wrzucił do woreczka foliowego. Potem wziął z łazienki ręczniki i chusteczki.

– Co jeszcze? – zapytała, podając mu torbę.

– Potrzebne mi bandaże. Zrobię tymczasowy opatrunek.

Gdy dała mu to, o co prosił, poszedł opatrzyć koledze głowę. Potem przetransportował go do samochodu i wrócił do Weroniki. Wyjął z portfela wizytówkę i podał jej.

– Tu masz mechanika, powołaj się na mnie, to zrobi ci po kosztach. Robi nam auta na komendzie, więc mamy zniżki. Zderzak na pewno jest do wymiany. Prostowanie blach i te sprawy, ale nie wyniesie cię to zbyt dużo. Bez obaw.

– Dziękuję – wyszeptwała. – Dziękuję ci za wszystko...

– Nie musisz. Możecie spać spokojnie.

Woda wirowała, uderzając go w plecy raz mocniej, raz słabiej. Prysznic z funkcją hydromasażu robił swoje, uwielbiał to. Ola już spała, była zmęczona. Ze względu na to, co się stało, tym lepiej dla niego. W normalnych okolicznościach by ją obudził, pocałował, a potem zaczął pieścić. I to by był dopiero początek. Dzisiaj jednak co innego miał na głowie. I wcale nie chodziło o to, że nie miał ochoty na seks, po prostu to nie był odpowiedni moment.

Gdy już poczuł się lepiej, owinął się ręcznikiem i poczłapał do kuchni. Miał ochotę przekąsić coś tłustego, najlepiej pizzę albo nasączonego tłuszczem burgera, który wyciekałby z ust, spływał po brodzie, a potem zapić to wszystko piwem. Przed kilkoma tygodniami był u gastrologa, bo męczyła go zgaga, a ten stanowczo zabronił mu jeść na noc. Ale Krauze nie umiał się stosować do jego zaleceń. Wydawały mu się absurdalne, ale od tego są przecież lekarze, żeby zakazywali i pouczali, za to brali kasę.

Przegryzając, zastanawiał się nad Igorem. Kilka lat temu takie bójkę zdarzały się częściej i przez to robiły na nim oraz na Weronice mniejsze wrażenie.

Wziął łyk lekkiego jasnego piwa. Pomyślał, że będzie musiał pomóc Weronice z naprawą samochodu. Nie było szansy, żeby Igor był w stanie się tym zająć. Amsterdamski zalecił zwolnienie lekarskie, gdy tylko go zobaczył. Rany nie wyglądały za dobrze, lekarz orzekł, że musiały zostać zadane czymś metalowym, ostrym, ale nie nożem. Raczej kastetem. Igor miał też kilka siniaków na plecach. Albo leżał na glebie, albo dostał z zaskoczenia.

Kanapa w salonie była wygodna, ale nie mógł zasnąć. Na ekranie przesuwaly się napisy po skończonym filmie. Wyszedł na taras, by zaczerpnąć świeżego powietrza. W oddali migaly pomarańczowe latarnie, nad jezdnią unosił się obłok mgły, który pęczniał niczym para nad wrzącym garnkiem. Przyglądał się miastu, miejscu, które kochał i nienawidził jednocześnie. To ono go ukształtowało, wychowało, dało tożsamość. Czuł wobec niego pewien rodzaj zaciągniętego długu, który musi dożywotnio spłacać. Nie mógłby mieszkać nigdzie indziej.

Jego rozmyślenia przerwała melodia z *Terminatora*. „Amsterdamski, Fijałkowski albo Weronika”, pomyślał. Telefon leżał na grubej ławie z surowego drewna. Uwielbiał stylowe meble. Toporne, solidne, po których można było skakać bez obaw o uszkodzenie czy choćby porysowanie. Kupili je nie tylko dlatego, że kochali lite drewno, lecz także z powodów praktycznych – przy dziecku, które było w stanie rozwalić wszystko, często przypadkowo, lepiej było wyposażać mieszkanie w solidne rzeczy.

Telefon z komendy. Wahał się, czy odebrać, bo już z góry wiedział, że jego dzień pracy się nie skończy, a miał ochotę wreszcie odpocząć, wypić jeszcze jedno piwo, a potem przyłożyć głowę do aksamitnej poduszki, przytulić się do Oli, poczuć jej zapach, ciepło. Ale nie mógł tego zignorować.

– Dajcie żyć, ludzie. Mam już wolne – mruknął nieprzyjemnym tonem.

– Dzięki za powitanie, podkomisarzu, ale przed paroma minutami otrzymaliśmy zgłoszenie. Znalezione zwłoki.

Już chciał przekląć, ale się powstrzymał. Nie winił dyżurnego ani nikogo innego. Każdy robił swoje. Policja była miejscem pracy jak każde inne, jak zakład, firma czy korporacja.

– Mów – powiedział wreszcie, przekreślając tym samym swoje plany związane z przyjemnym odpoczynkiem.

– Bezdomni znaleźli zwłoki młodej kobiety na nieczynnym wysypisku śmieci.

– Wiadomo, co się wydarzyło?

– Na razie czekamy na szczegóły. Wszystko wskazuje na morderstwo.

Zamknął oczy i wtopił się w skórzaną kanapę. Wyobraził sobie, że stoi tyłem do fali morskiej, i pozwolił się jej ponieść. Delikatny powiew chłodu zza uchylonego okna wystarczył, by się tak poczuć.

– Od kiedy bezdomni mają telefony? – zapytał, choć nie miało to znaczenia.

– Gdy znaleźli zwłoki, pobiegli w kierunku drogi, tam zatrzymali przejeżdżający samochód. Kazali natychmiast zadzwonić na policję.

Krauze rejestrował informacje, ale nie wnikał w szczegóły. Przez moment żałował, że nie wyłączył telefonu, ale przecież gdyby to zrobił, pod jego domem pojawiłyby się radiowóz i zbudziłyby wszystkich dzwonkiem do drzwi. Od obowiązków nie da się uciec. Drugą ręką zaczął masować skronie i wodzić palcami po zamkniętych powiekach.

– Gdzie?

– Nieczynne wysypisko w pobliżu Łądka. Powiadomiliśmy też inne osoby, w tym prokuratora Jerzego Sokołowskiego. Gembarowski jest poza miastem. Niedługo wszyscy będą na miejscu. Za ile możesz przyjechać?

Spojrzał na zegarek. Wpół do pierwszej. „Idealna pora, by zacząć dzień pracy”, pomyślał.

Rozłączył się, odburknąwszy, że postara się jak najszybciej. Zrobił kawę do termosu. Mocną, która tak orała żołądek, że od razu odzywał się refluks.

Przegryzł sezamka. Dieta policjanta śledczego, idealna, by wywołać rozwolnienie. Ale przynajmniej dawała pewność, że się nie uśnie.

Włożył czarną kurtkę chroniącą przed wiatrem i deszczem. Wiedział, że za progiem przywita go chłodny wiatr. Wysypisko śmieci też niczego dobrego nie wróżyło, potrzebował kaloszy, jeżeli nie chciał ugrzęznąć w odpadach i błocie.

Zszedł na dół, wszedł do auta i włączył głośno muzykę. Wypił duszkiem kilka łyków kawy. Od razu poczuł się lepiej, wiedział, że czeka go koszmarna noc. Nieprzespana. Godzina, może dwie na nogach, jeśli nie więcej.

Ruszył gwałtownie i nie dostrzegł stojącej na chodniku osoby, która odwróciła głowę w kierunku znikającego w dali auta podkomisarza. Dostrzegła tylko czerwone światła. Splunęła na jezdnię i zniknęła w ciemności.

Droga z Kłodzka do Łądko-Zdroju wiała się wśród długich, niemal nieprzeniknionych ścian drzew i bezkresnych pól. Z góry przypominała krętą ścieżkę, która omija wyrastające w przypadkowych miejscach przeszkody.

Wysypisko śmieci od lat było nieczynne z powodu wyczerpania swoich możliwości przestrzennych, bo, jak każde takie miejsce, z roku na rok się rozrastało, aż w pewnym momencie stało się niebezpiecznie duże.

Podkomisarz dojechał do bramy. Dostrzegł dwa radiowozy, auto prokuratora i pogotowie. Kilka metrów dalej straszyla zrujnowana budka ochrony. Na jej ścianach przed laty wymalowano sprayem jakieś bazgroły.

Przed ogrodzeniem stał Dominik Rudzki, który w ortalionowej kurtce wyglądał jak bramkarz na dyskotecę, tyle że nie przypominał klasycznego wielkoluda. Ważył nie więcej niż dziewięćdziesiąt kilogramów, ale była to, jak sam wielokrotnie wspominał, praktycznie czysta masa o niskim procencie tkanki tłuszczowej. Sprawdzał coś w telefonie, jego masywne dłonie z niewielkimi tatuażami na kostkach poruszały się nieznacznie.

Krauze wysiadł, choć nie miał na to ochoty.

– Teleportowałeś się? – spytał.

– Nie – odpowiedział Rudzki najnaturalniej na świecie, jakby kompletnie nie zrozumiał sarkazmu. – Zabrałem się z Jurkiem Sokołowskim. Bez sensu gnać w kilka samochodów. Trzeba być eko.

Krauze mruknął coś pod nosem, po czym ruszyli w kierunku hałdy setek tysięcy ton śmieci. Wspinając się po niewysokim nasypie, pomyślał, że za kilka lat nikt tu nie rozpozna sztucznego tworu uformowanego z odpadków. Wchłonie go las i stanie się częścią krajobrazu.

W oddali dostrzegł pozostałych funkcjonariuszy i prokuratora. Oświetlali miejsce latarkami, ale Krauze wiedział, że niebawem się to zmieni, technicy postawią tutaj halogeny. Zmarznięte sylwetki kulily się, a kurtki i płaszcze trzepotały na wietrze niczym porzucone i powbijane w ziemię czarne chorągwie. Był październik, zapowiadano, że w tym roku jesień będzie wyjątkowo zimna. Już teraz robiło się parszywie.

Zapiął kurtkę, zaciągnął kaptur.

Nim skończył jeść sezamka, dotarł na miejsce. Podszedł do prokuratora Sokołowskiego, który nawet tutaj, na wysypisku, po północy, miał pod szyją muchę. „Relikt przeszłości, obiekt muzealny”, pomyślał, patrząc na elegancko ubranego mężczyznę, który zawsze wyglądał jak wykładowca akademicki.

– Technicy? – zapytał bez powitania.

– Już jadą. Powinni być za pół godziny.

– Gdyby mieli dobry samochód – prychnął – toby pokonali trasę w piętnaście minut. Okej, trzeba to ogarnąć. Kto ją znalazł?

– Bezdomni. Wciąż się tu kręcą – odpowiedział jeden z miejscowych policjantów. Nie znał go.

– Kręcą? – dopytał. – Niby czego tu jeszcze szukają? Smrodu z dawnych lat? Nasz im nie wystarcza?

– Pomieszkują w pobliskich barakach. – Chłopak machnął ręką, nie wskazując niczego konkretnego.

– Kto to? Sprawdzaliście ich?

– Tak. Dwóch tutejszych, znamy ich. Nienotowani, nie sprawiają problemów. Żyją po swojemu, na uboczu, na tych śmieciach. Zaglądają tu codziennie. To ich życie.

Krauze skinął głową. Dobre i to. Od czegoś trzeba zacząć, a wykluczenie dwóch osób będzie małym bonusem na start.

– Zeznali coś?

– Jak niemal co dzień rozgrzebywali teren. Mimo że jest zasypany sporą warstwą ziemi, prawie każdego dnia wygrzebują coś nowego. A to metal, który można sprzedać na złomie, a to aluminium czy trochę miedzi – powiedział młody policjant z równo przyciętą brodą. „Nieco za rzadką, by w ogóle ją zapuszczać, a co dopiero równo przycinać”, zauważył Krauze.

– Widzieli kogoś?

– Nie.

– Gdzie są teraz?

– W domu.

– Bezdomni nie mają domu – zauważył prokurator.

Krauze spojrzął za siebie.

– Jureczku, to pierwsza w twoim życiu złośliwość, jaką usłyszałem. A jednak po tylu latach czegoś się od nas nauczyłeś – rzucił, nieznacznie się uśmiechając. – Dobra, czyli mamy bezdomnych, którzy znaleźli zwłoki. Wiemy, kiedy nastąpił zgon?

– Podejrzewam trzy, góra cztery godziny temu – odparł lekarz. Miał na sobie pomarańczową kamizelkę. – W pro-sektorium ustalą godzinę śmierci.

Krauze minął zebranych i podszedł bliżej. Kucnął przed zwłokami. Włożył rękawiczki. Z niebieskiego worka na odpady wystawała głowa młodej kobiety. Worek częściowo był przykryty gałęziami. Odślonił nieznacznie, by niczego nie ruszać. Błada twarz, napuchnięte usta, opadające wilgotne włosy do ramion. Miała około trzydziestu lat. Może trochę mniej, ale trudno było ocenić z tej pozycji.

Podniósł nieco folię. Kobieta była naga. Leżała w pozycji embrionalnej, ale sądząc po długości tułowia oraz wielkości worka, uznał, że nie była wysoka, raczej średniego wzrostu. Biała twarz, szatynka. Nieduże piersi, podgolone łono – włoski zdążyły wyrosnąć na milimetr, może dwa. Na szyi sine bruzdy, typowe ślady zadzierzgnięcia. Rozchylił powiekę. Miała wybroczyny na spojówkach, plamy wylewowe, które wypełniały znaczną część gałek ocznych. Dotknął szyi. Nie miał pewności, ale kobieta chyba miała złamane chrząstki krtani i kość gnykową, co utwierdziło go w przekonaniu, że została uduszona.

Morderstwo. Na razie tyle mu wystarczyło. Przypomniawszy sobie sprawę zaginięcia niejakiej Dominiki, o której nic nie wiedzieli. Poza faktem, że była kochanką Pauliny Walas.

Popatrzył znów na jej twarz. Lustrował ją niczym sprawny komputer skanujący. Na razie tylko tyle mógł. Nie chciał ruszać ciała bez techników.

Nie dostrzegł żadnych innych obrażeń. Zamknął oczy. Cholera, momentami miał dość, choć lubił swoją pracę. Ale właśnie to go męczyło najbardziej. Wezwania w nocy, z dala od domu. Przeklął w myślach. Czasami miał ochotę oddać stery komuś innemu, żeby poprowadził ten statek z truposzami, który – odnosił wrażenie – płynął donikąd. Ta podróż nie miała końca.

– Przed bramą jest budka strażnika, ale rozumiem, że od dawna nikt nie pilnuje tego miejsca?

– Tak, to opuszczone miejsce.

– Macie podejrzenia, jak się tu znalazła?

– Wiemy tyle co wszyscy – odpowiedział Jerzy Sokołowski. – Zapakował ją, przewiózł w bagażniku, potem wyrzucił.

– Tylko dlaczego tutaj? – zapytał Krauze, wstając.

– A czemu nie?

– No właśnie nie wiem – mruknął, wciskając dłonie do kieszeni. To się wydawało proste. Tyle że aż za bardzo. Zawsze go interesował szeroki kontekst wydarzenia, a nie tylko ono samo jako wycinek. Okoliczności, powód i znaczenie morderstwa: te czynniki analizował. Reszta należała do techników, oni uzupełniali niewiadomą i nieodgadnioną treść, której nie dało się wyczytać gołym okiem.

Prokurator machnął ręką, mogło to znaczyć wszystko i nic, chrząknął, po czym rzekł:

– Bo to, moim zdaniem, idealne miejsce na pozostawienie zwłok. Mógł je wrzucić do rzeki, ale w końcu by wypłynęły. Mógł je zostawić w lesie, ale pojawiłaby się zwierzyna, grzybiarze, myśliwi. Porzucenie dobrze zawiązanego worka między innymi śmieciami wydaje się wcale niegłupim pomysłem.

Krauze słuchał, ale nie patrzył na Jurka. Rozglądał się, choć niewiele było widać. Zrobił kilka kroków, kierując światło latarki na wilgotną ziemię, a potem w dal, na ścianę oddalonych o ponad sto metrów drzew. Przypominały publiczność, martwo, niemo przyglądającą się temu widowisku.

– Więc to nam mówi, że zabójca nie jest stąd.

– Czemu?

– Bo miejscowi wiedzą, że mieszkają tu bezdomni i rozgrzebują wysypisko każdego dnia. Myślał, że nikt jej nie znajdzie.

Policjanci spojrzeli po sobie. Pomysł wydawał się logiczny.

– Sądzicie, że przyniósł ją w tym worku? Czy tutaj do niego wrzucił? I co z ubraniami?

– Mało prawdopodobne, by tu ją rozebrał. Ciuchy... Sam nie wiem. Mógł wyrzucić, zakopać, spalić, wrzucić do dowolnego dzikiego zbiornika wodnego lub pozbyć się ich w jeszcze inny sposób. Trzeba przeszukać okolicę. I rozpuścić wici, może jakiś mieszkaniec natknie się na nie, spacerując po lesie, po pobliskich łąkach, gdzieś przy drodze.

– Tylko dlaczego to zrobił? – zapytał Krauze, by samemu nie wydawać przedwczesnych osądów.

– Na przykład żeby pozbyć się śladów – odpowiedział Dominik.

– Bał się, że zostawił ślady, i dlatego wyrzucił ubranie? – dopytał prokurator. – Trochę naciągane.

– Ale nie niemożliwe.

– A rozebrał ją, bo? – zapytał młody policjant z Łądko-Zdroju. Miał rangę starszego posterunkowego, był tak chudy, że jego ciało rzucało cienki, niemal niewidoczny cień.

Krauzemu nie chciało się odpowiadać, ale uznał, że popiszę się przed młodym.



– Powodów może być kilka, ale prawdziwy jest pewnie tylko jeden – odezwał się wreszcie. – Na przykład chciał jej odebrać godność, więc zdarł z niej ubranie. Pozbawił ją ochrony, którą nosi każdy z nas. Odarł ją z pewności siebie. A odebranie człowiekowi tego, co buduje jego tożsamość, to coś, czym lubią się karmić zwyrole.

– Chciał ją odczłowieczyć, mówiąc wprost – dorzucił prokurator. – Rzadko nam się tu coś takiego zdarza. O takich rzeczach raczej się czyta w podręcznikach albo ogląda w filmach.

– Właśnie. Pewnie psychiatrzy i biegli sądowi lepiej by to nazwali. Kłódzko, w ogóle Polska, nie jest wylęgarnią seryjnych morderców, w tym seksualnych. Co nie zmienia faktu, że jeśli w tym, co mówimy, jest ziarno prawdy, musimy się liczyć z zaplanowanym działaniem, a nie przypadkiem. A skoro to zaplanował, nie musiał się męczyć, by ją ubrać. A to by oznaczało, że uprawiali seks. Albo ją zgwałcił. Dlatego trzeba zbadać, czy tak było. Jeśli odpowiedź będzie twierdząca, to może uda się zdobyć materiał genetyczny. Ale jest jeszcze jedna ważna rzecz. Sposób popełnienia zabójstwa mówi najwięcej. Uduślenie to jeden z najbardziej osobistych sposobów uśmiercania. Wskazuje na dość bliski stosunek ofiary i mordercy.

Prokurator machnął ręką, tak że załopotaly skrzydła jego płaszcza, i postawił kornierz. Czuł się równie niekomfortowo jak pozostali. Krauze pomyślał, że bez względu na pełnioną funkcję absolutnie nikomu nie marzy się pobyt na starym wysypisku śmieci o pierwszej nocy, i to jeszcze przy mroźnym wietrze, który przybierał na sile.

– Panowie, goni nas czas, działajmy! – zawołał i ponownie kucnął obok ciała denatki. Podniósł część worka tyle, ile się dało. Przesunął wzrokiem po jej brzuchu, biodrze, udach i łydkach. Potem przyjrzał się jej dłoniom. Miała lekkie zasinięcia na nadgarstkach. Czyżby była związana albo przytrzymywana?

Wyprostował się i zaczął oświetlać wysypisko. Z tego miejsca rozciągał się widok na niewielkie wzgórza, porastające lasem wzniesienia, pola i łąki. W oddali można było dostrzec małe punkty światła, ślady oddalonych o dwa, trzy kilometry podgórskich miejscowości.

– Wypadałoby się przyjrzeć temu miejscu – oznajmił. – Z samego stania niewiele wyniknie. Im szybciej się tym zajmiemy, tym wcześniej wrócimy do domów. Jedna osoba zostaje, pozostali przeszukują teren. Szukamy czegoś, co potencjalnie mógł zostawić sprawca. Coś swojego. Albo coś należącego do niej. Rękawiczki, broń, ubrania, dokumenty, telefon, plecak, kosmetyki. Otwórzcie oczy i umysły. Starajcie się też nie zdeptać terenu, bo technicy nas zapierdolą samym spojrzeniem.

Ruszyli w różnych kierunkach. Szli ustalonym schematem, systemem siatkowym, żadnych skosów, chodzenia po przekątnej, tylko proste, równoległe i prostopadłe trasy względem miejsca, w którym leżało ciało. Te niewidoczne linie miały ułatwić późniejszą pracę techników.

Krauze nie miał pojęcia, czy to coś da. Dotarł do krawędzi wysypiska. Gdyby w porę nie zauważył spadu, mógłby skończyć na dole z połamanymi zębami. Ustawił inne światło i poświecił w dół. Stromą ścianę wysypiska porastały niewielkie krzaki i młode drzewa. Natura łączyła się z odpadami, które tu przez lata wyrzucano. „Co za podła kolej rzeczy”, pomyślał, po czym zszedł na dół, starając się nie pośliznąć.

Cisza. Ciemność. Żadnego śladu. Spojrzał w dal, w gęste zarośla.

Idealne miejsce na kryjówkę – chciał powiedzieć na głos, bo niemal zawsze przy każdej takiej okazji mówił do Igora, ale jego słowa pozostały w głowie.

Przeszedł kilkadziesiąt metrów w jedną i drugą stronę, potem przystanął i spojrzął na wysypisko. Kilka minut wystarczyło, by zrozumieć, że niczego tu nie znajdzie. Spodziewał się tego. Otoczenie miejsca zbrodni, zwłaszcza to widoczne, rzadko sprzyjało śledczym.

Gdy się odwrócił, dostrzegł migoczące na górze małe światełka latarek policjantów. „Dziwny widok”, pomyślał. Był tutaj tylko raz, przejazdem. Wtedy jeszcze wysypisko funkcjonowało. Wracali całą rodziną z wycieczki do Łądka-Zdroju. Marcel zapytał, co to za wielki kosz na śmieci. Bardzo się wtedy śmiali. Pamiętał, że zatrzymali się na poboczu, by wyjaśnić dziecku, co się dzieje ze śmieciami, które wyrzucają do kosza pod zlewem. Niedługo potem pojawiły się wszelkie możliwe sposoby utylizacji i recyklingu, a takie miejsca stopniowo wyłączano z użytkowania.

Krauze zrobił jeszcze kilka kroków. W pewnej chwili światło latarki omiotło budę z desek, płyt MDF i pofalowanego eternitu. Z dachu wystawał komin wykonany z fragmentu blaszanej rury, kiedyś to chyba była rynna.

Zastukał do drzwi. Po chwili w progu stanął mężczyzna mniej więcej po sześćdziesiątce. Miał brudną twarz, długą brodę i małe oczy.

– Kim pan jest? – Przenikliwe spojrzenie się wyostrzyło.

„Cholera, ale gość”, pomyślał Krauze. Wyraziste spojrzenie jak u dzikiej zwierzyny, dłonie jak u wprawnego stolarza: spracowane, żylaste.

– Policja, podkomisarz Filip Krauze. To pan znalazł tę kobietę?

Mężczyzna skinął głową i wyszedł przed szopę, po czym poświecił niewielką latarką.

– Od razu pan to zgłosił czy po jakimś czasie?

– Od razu. Może jakiś godzinę temu. Nie umiem dokładniej powiedzieć. Mam zegarek, ale jak nie nakręcę, to się ociąga. Radziecki mechanizm, bywa zawodny. Jak wszystko stamtąd.

– Jak się pan nazywa?

– Wojciech Łazuka.

– Jak ten Łazuka?

– Co?

– Jak ten aktor?

– A, tak. Od wielu lat nie oglądałem telewizji i zapomniałem, że ktoś taki w ogóle żył.

– Nadal żyje.

Mężczyzna machnął ręką, jakby go to nie interesowało. Nie jego świat, nie jego sprawy.

– Mieszka pan sam?

– Z kolegą.

– Nazwisko.

– Rysiek Bandura.

Krauze zapamiętał. Łatwiej mu było przyswajać nazwiska krótkie i zakończone samogłoską. Sprawdzi na kalendarzu, choć wiedział, że to raczej formalność.

– Jak pan zawiadomił policję?

– Wyszedłem na ulicę. – Mężczyzna wskazał palcem w kierunku nieprzeniknionej ciemności. – Stałem na środku jezdni, zatrzymałem auto i kazałem gościowi zadzwonić, gdzie trzeba.

– Nie bał się pan? W pobliżu leżały zwłoki, zabójca na wolności...

Nim mężczyzna odpowiedział, zacharczał, potem splunął obok Krauzego.

– A niby czego? – zapytał. Głos miał suchy jak u gada pustynnego. – Jak ktoś miałby mnie ujebać, to tylko by skrócił moje męki.

– Widział ją pan kiedyś? Żywą oczywiście.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Jest pan pewien?

– Nigdy jej nie widziałem.

– Przypomina kogoś, kogo pan zna?

– Ciężko skojarzyć, trup nikogo nie przypomina. Jest tylko powłoką, martwą, niczym się już nie różni od tego, na czym leży.

„Racja”, pomyślał. Zwłoki zaczynają stopniowo przypominać coraz bledszą masę, stają się sine, później zaczyna się proces gnilny, ludzkie ciało przestaje przypominać to, czym było.

– Słyszał pan, żeby w ostatnim czasie ktoś w okolicy zaginął?

Mężczyzna pokręcił głową, powoli, ale stanowczo, a z ust zrobił podkowę.

– Nie znalazł pan przy niej żadnych dokumentów? Portfela? Ubrań? Torebki?

– Nic.

– Mogła mieć pieniądze, wiem o tym. Nie mam żalu, jeśli je wzięliście, chodzi mi tylko o dokumenty, bo musimy ustalić tożsamość i powiadomić rodzinę.

– Niczego nie ruszałem.

– A pana kolega?

– Powtarzam, nic tam nie było.

– Zależy mi tylko na dokumentach – powtórzył policjant.

– Za kogo pan mnie ma?! Powtarzam, niczego żeśmy nie wzięli. Po co mi dokumenty nieboszczyka?

– W porządku. – Podkomisarz dał za wygraną. – Ktoś się tu kręcił w ostatnim czasie?

– Nie, to już nie te czasy. Ludzie tu nie przyjeżdżają. Coraz mniej rzeczy do wyciągnięcia z wysypiska, wszystko przebrane.

– To co tu jeszcze robicie?

– Bo my, panie – zaczął już innym tonem. Dało się wyczuć nutę żalu, jakby przełykał między słowami bolesną część swojego życia – mamy sztychówki, kilofy, żeby łatwiej było odgruzować i przebić się przez ubite warstwy. Kopiemy, jak mamy siłę. W piecu się pali tym, co się znajdzie w lesie. Nie liczymy na cud. Liczymy na to, że uda nam się przeżyć.

– A jedzenie?

Mężczyzna splunął. Krauze nie wiedział, czy miało to coś znaczyć.

– Jakoś się żyje, czasami coś upolujemy. Nie powiem, że jest łatwo, bobym skłamał. Wręcz przeciwnie. Jest kurewsko ciężko. Ale człowiek może żyć z tego, co znajdzie, co sam zbierze. Da się. Czasami też ходzimy do miasta, w Łądku jest kilka sanatoriów, wielu gości, kuracjuszy. Czego nie zjedzą, co się ma zmarnować, to nam zostawiają przy bramie.

– Mogę zajrzeć? – Wskazał palcem na drzwi. – Jeśli to nie kłopot.

– Może pan, chociaż zwykle tu nikogo nie wpuszczamy. Niech pan niczego nie rusza, jeśli nie musi.

Kiwnął głową na znak, że zrozumiał zasady.

Pomieszczenie było nieduże. Prawie całą niewielką przestrzeń zajmowały zbierane przez długie lata przedmioty rozmaitego użytku – otwieracze do puszek, rozwalone piecyki elektryczne, dwa materace, obrazki, gazety, parę książek, kilkanaście kubków i niezliczona masa innych utensyliów. Sklecony z desek regał był wypełniony dziesiątkami rzeczy. Przeszukanie wszystkiego, nawet gdyby miał kogoś do pomocy, zajęłoby kilka godzin. Jeśli ci dwaj coś przy denatce znaleźli, mogli to tak schować, że znalezienie tego graniczyłoby z cudem. Cokolwiek – portfel, ubrania, inne rzeczy osobiste.

W kącie spał drugi mężczyzna. Nawet się nie poruszył. Krauze widział tylko jego łysinę. Zastanowił się, czy był pijany, ale nie dostrzegł żadnego alkoholu – ani butelek, ani sprzętu do pędzenia bimbrowa. Poza tym wyczułby alkohol.

Przeczesał wzrokiem ułożone w piętrzące się stosy elementy codzienności mężczyzn, których połączył podobny, ciężki los.

– Nikogo pan nie widział, nikogo nie słyszał? – ciągnął, patrząc na zebrane rzeczy. – Samochód? Krzyki? Dziwne dźwięki? Odgłosy duszenia? Może wzywała pomocy?

– Niczego nie słyszałem. Niedaleko stąd jest droga gminna, słychać auta. One wszystko zagłuszają. Może nie o tej porze, ale wcześniej tak. Pewnie często pan to słyszy?

– Co?

– Że nikt niczego nie widział ani nie słyszał.

– Za często.

– Bo człowiek żyje swoim życiem, myśli o innych rzeczach. Trudno się zorientować, że dwieście metrów od domu ktoś zostawia zwłoki. A jeśli już to robi pod osłoną nocy, to chyba tak, żeby nikt go nie zauważył.

Krauze kiwnął głową. Facet miał rację. Nie można mieć pretensji do innych, że czegoś nie zauważyli. To żaden obowiązek, raczej kwestia przypadku. Świadek jest lub go nie ma.

– Znacie to miejsce jak własną kieszeń, wysypisko od lat jest zamknięte, niczego nowego tam nie znajdziecie, a jednak coś was tam pognało...

Wyraz twarzy mężczyzny się zmienił. Stał się bardziej czujny, podejrzliwy. Włożył dłonie do kieszeni. Krauze nie widział, czy Łazuka czegoś w nich szuka, czy może chce coś zmanifestować.

– Coś pan sugeruje?

– Chciałbym mieć jasny obraz sytuacji.

Mieszkaniec baraku głośno westchnął, a posiwiałe wąsy drgnęły.

– Ma pan leżące na środku wysypiska zwłoki kobiety. Podłe, że tak skończyła. Smutne, bo można zostawiła jakąś rodzinę. Co wiem, to wiem, sporo się w życiu naczytałem kryminałów, bo parę żeśmy wygrzebali ze śmieci. I powiem panu jedno: nie wyglądało nam to na samobójstwo, panie policjancie, tylko na klasyczne morderstwo. Miała sińce na szyi, więc ktoś ją udusił, sama by tego sobie nie zrobiła, nawet gdyby siebie nie lubiła. Zrobiliśmy, co do nas należało, bo zawiadomiliśmy służby. A teraz przychodzi pan i jeszcze ma pretensje, że znaleźliśmy tę kobietę? A może pan mnie podejrzewa?

Krauze z zaciekawieniem przysłuchiwał się słowom mężczyzny. Nie powinien nikogo osądzać, oceniać ani niczego insynuować. On miał robotę do wykonania, oni mieli swoje sprawy – chcieli żyć w spokoju, po swojemu i na swoich zasadach. Musiał to zaakceptować i uszanować. Skinął głową na pożegnanie i wyszedł.

W tej samej chwili usłyszał dzwonek. Spojrzał na wyświetlacz. Ireneusz Amsterdamski. Krauze miał ochotę odrzucić połączenie, ale zważywszy na porę, lekarz raczej nie dzwonił, by popłotkować. Przypomniał sobie to, co niegdyś powiedziała mu Ola – ludzie, którzy rzadko do nas dzwonią, odzywają się z ważnych powodów.

– Co jest?

– Filip, coś się dzieje i nie wiem co...

– Irek, brzmisz, jakbyś zobaczył ducha – westchnął.

– Nie wiem, jak to się stało...

– Co?

– Nie mam pojęcia, jak do tego doszło, ale... Zajrzałem do Igora po skończonym obchodzie. Był cały we krwi...

– Mów, o co chodzi, do jasnej cholery, bo stoję na wietrze i zaraz się zamienię w kostkę lodu. Dość mam tych kalamburów. Był cały we krwi, gdy ci go przywiozłem.

– Filip, on jest cały zakrwawiony. Pobity, zmaltretowany. Nie wiem, jak to się stało.

– Żle go zszylęś? Rany się otworzyły? Kurwa, co jest?

– Nie o to chodzi. Od razu zabraliśmy go do sali zabiegowej. Był zszywany w czterech miejscach. Został opatrzony i odwieziony do sali. Typowa robota. Problem w tym, że to się znów stało. Ktoś go musiał pobić.

– Co ty bredzisz?

– Opatrunek jest poszarpany. Szwy naderwane. Jakiś, kurwa, absurd! Sęk w tym, że nikt nic nie wie. Nikt nikogo nie widział.

– Brałeś pod uwagę, że mógł sobie rozszarpać rany? Może coś mu się uroiło albo przyśniło i zaczął je wyrywać?

– Nie, nic z tych rzeczy. Ma czyste dłonie. Poza tym ma zakrwawione dziąsła i nadkruszony ząb. Ktoś tu musiał być.

– Ja pierdole, przecież to szpital! Jak mógł zostać pobity w szpitalu? I niby przez kogo?

– Próbuujemy ustalić, ale co ja mogę? – zapytał retorycznie.

– Sam jest w tej sali?

– Tak.

– A pielęgniarki? Żadnej tam nie było?

– Mam w tej chwili trzy osoby na dyżurze na nocnej zmianie. Każda z nich cały czas coś robi. Mam mnóstwo ludzi po operacji, którzy wymagają stałej opieki.

– Wyjaśnij mi, kurwa, jak mogło do tego dojść? Bo kompletnie tego nie ogarniam.

– Nie mam pojęcia. Jestem lekarzem, a nie ochroniarzem.

„Słabe wytłumaczenie”, pomyślał podkomisarz, kipiąc ze złości.

– Jesteś pewien, że się nie pomyliłeś, i to świeże ślady pobicia?

– Wiem, jak wygląda pobity człowiek.

Krauze znów zaklął, tym razem w myślach. Miał ochotę rzucić ze złości telefonem, latarką, wszystkim, co miał w ręce, ale wiedział, że nic by to nie zmieniło.

– Jak on się czuje?

– W tym problem, że ciężko ocenić. Żyje, to wiemy, ale jest nieprzytomny – westchnął tak wymownie, jakby chciał wyrzucić z siebie cały ból. – Powinieneś tu jak najszybciej przyjechać.

Krauze nie był w stanie szczegółowo odtworzyć w pamięci tego, co się działo w ciągu ostatnich piętnastu minut. Pamiętał tylko, że minął po drodze auto techników, którzy zmierzali na miejsce zbrodni. Na pewno wiele razy słyszał trąbienie innych samochodów, które w ostatniej chwili zatrzymywały się, gdy zajeżdżał im drogę na skrzyżowaniu lub wyprzedzał w niedozwolonym miejscu. Pamiętał również, że jeden z patrolujących radiowozów na widok pędzącego czerwonego jaguara włączył syreny i zaczął go ścigać. Pogoń za Krauzem trwała niespełna pół kilometra jedną z głównych arterii miasta. W pewnym momencie, gdy uznał, że sprawa robi się zbyt niebezpieczna, zatrzymał się tak gwałtownie, że pędzący za nim radiowóz prawie uderzył go w zderzak. A gdyby tak się stało, zapierdoliłby ich gołymi rękami.

Wybiegł z auta, podszedł w ich kierunku, pokazał legitymację, mówiąc, by się od niego odpiardolili. Tyko tyle i aż tyle. Nie miał ochoty na wyjaśnienia. Na pewno nie byli z jego komendy, boby ich kojarzył.

Pędził, nie zważając na sygnalizację świetlną. Miał to w dupie, choć zwykle się pilnował, żeby nie narażać życia innych.

Niespełna cztery minuty po zatrzymaniu był już na miejscu. Zostawił auto na ulicy Szpitalnej, wbiegł po schodach i popędził na oddział chirurgiczny, prosto do gabinetu lekarskiego. Wszędzie unosił się zapach medykamentów. Ireneusz Amsterdamski, wysoki mężczyzna liczący co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu, z włosami ostrzyżonymi na zapałkę i posiwiiałymi skroniami, siedział zamyślony na krześle. Wyglądał na zmęczonego.

– Co z nim?

– Na szczęście parę minut temu odzyskał przytomność. Monitorujemy parametry życiowe.

– Co konkretnie? – powtórzył pytanie tak ostrym tonem, jakby był gotów rozszarpać każdego, kto znajdzie się w zasięgu jego rąk. Lekarz najprawdopodobniej to wyczuł.

– Nie obiecuję, że szybko wydobrzeje. Od kilku godzin jest na silnych lekach przeciwbólowych. Możliwe, że dzięki nim nie czuł za bardzo tych uderzeń.

– Co teraz?

– Czekam na salę, zaraz go będę zszywał. Jeśli szybko tego nie zrobię, będzie źle. Za niespełną minutę powinniśmy zacząć.

Krauze zdjął czapkę z daszkiem, związał włosy w kucyk, a potem znów nasunął ją na głowę.

– O co tu chodzi? Co to, kurwa, ma znaczyć? Kto zaniedbał swoje obowiązki? – Jego głos brzmiał jak dźwięk wiertarki wbijającej się w betonową ścianę.

– Wiem tyle, ile ci powiedziałem. Ledwie co go zszyłem, założyliśmy opatrunek i odwieźliśmy go do sali. Ktoś w tym czasie musiał się zakraść. Więc lepiej ty mi powiedz, co tu się dzieje. Jestem bliski zadzwonienia na policję.

– Nie wkurwiał mnie jeszcze bardziej. Ja jestem policjantem.

Amsterdamski nie skomentował tego, był zbyt inteligentny, by się nie zorientować, że dzieje się coś złego, coś, czego sam Krauze nie kontrolował. Odezwał się więc klasycznym lekarskim tonem.

– Będę go musiał poddać wielu badaniom. Musimy też wykonać tomografię głowy. Po moim dyżurze zajmie się nim mój dobry kolega. Potrafi zachować dyskrecję. A ty, Filip, zadbaj o to, by nic więcej się nie wydarzyło. Nie chcę tu burdelu, jasne? Nie chcę tu waszych chorych porachunków, rozumiesz?! Zapanuj – zaakcentował – nad tym.

Krauze parsknął z bezsilności.

– Jestem zmęczony, ale chyba nie aż tak, bym sobie to wszystko zmyślił.

– Filip, robię to, bo się znamy. Trzymam język za zębami, bo wiem, kim jesteście. Ale nie mogę ci niańczyć Igora. Mamy sporo roboty i nie mogę się skupiać tylko na nim. Mam za mało ludzi. Może to nie moja sprawa, ale... w co się wplątaliście?

– Macie ochronę? Może ktoś widział napastnika? Któraś z pielęgniarek?

Krauze usłyszał skrzywienie, Amsterdamski pewnie przymknął drzwi do pokoju, by nikt ich nie słyszał. Ta rozmowa miała charakter prywatny, mimo że do ataku doszło w miejscu publicznym.

– One nie pilnują wejścia. To nie jest oddział zamknięty. Teoretycznie każdy tu może wejść, bo i one muszą czasami iść na przykład do toalety, napić się czegoś. Szpital to nie areszt, nie mamy tu strażników, klawiszy, sale nie są zamykane. To szpital miejski. Naprawdę nie wiem, co tu się wydarzyło, ale chyba należą mi się jakieś wyjaśnienia.

Krauze stanął przy oknie i spojrzął na mieniące się światła blokowisk. Potem popatrzył na pokój, w którym prowadzili rozmowę. Dwa krzesła, mały fotel rozkładany i stojący w kącie komputer. Dostrzegając to, a jakby w ogóle nie widział. Co innego teraz zaprzętało jego myśli. Miał podejrzenie, co się wydarzyło, ale musiał zachować to dla siebie.

– Później to ustalę. Nie wykluczam, że Igor ruszył jakąś delikatną sprawę. Wiesz, że w naszej pracy ciągle balansujemy. Nigdy nie wiesz, komu zaszkodzisz. Ale teraz najważniejsze jest jego zdrowie. Zajmij się nim.

Czuł, że sytuacja go przytłoczyła. Rzucił okiem na zegarek. Było pięć po drugiej. Uświadomił sobie, że nie spał od ponad dwudziestu godzin.

– Mogę go zobaczyć?

– Potem. Teraz idę do sali zabiegowej.

– Okej, poczekam, aż skończysz. Macie tu monitoring? – zmienił temat.

– Jest, ale nie wszystkie oddziały są monitorowane. Zejdź do ochroniarza na dole. Wylegitymuj się, to nie powinno być problemu z odtworzeniem nagrań.

Amsterdamski wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Podkomisarz słyszał odgłos kroków, który po kilku minutach ucichł. Jego umysł pracował na pełnych obrotach. Starał się poskładać to, co do tej pory wiedział.

Wyjął telefon i uruchomił mapę Kłodzka. Znał miasto na pamięć, prawie każdy jego kąt, ale chciał to zwizualizować. Dom Igora, bar Acapulco.

Był przekonany, że Igor wdał się w jakąś bójkę, ale sytuacja przedstawiała się zupełnie inaczej. Acapulco było wylęgarnią zła. Bar znajdował się po drugiej stronie miasta, nie ma więc uzasadnienia, żeby Igor zajrzał tam przypadkiem.

Co go tam zwabiło, do cholery?

W długim holu szpitala dwie kondygnacje niżej chłopiec ścisnął swoją ulubioną zabawkę. Czerwony superbohater skakał z parapetu na parapet i na krzesła, a ponieważ korytarz był długi i niemal całą jego ścianę zajmowały okna, miał dużo miejsca do zabawy. Mama mówiła, że niedługo wrócą do domu. Ale to „niedługo” trwało tyle co lekcja, a może i dłużej. Bohater ponownie się rozpędził. Kiedy chłopiec usłyszał ciężkie kroki, które zbliżały się w jego stronę, przystanął. Spojrzał na mijającego go mężczyznę i otworzył usta ze zdziwienia, gdyż wyglądał on jak inna jego ulubiona postać. Mężczyzna był wysoki, miał na sobie czarną kurtkę, a kiedy szedł, jej boki powiewały niczym peleryna Batmana. Nieznajomy przystanął obok strażnika. Wyglądał na podenerwowanego, zresztą jak wszyscy tutaj. Każdego coś bolało, a to noga, a to głowa, albo cierpiał na jakieś inne dolegliwości. Chłopiec z ciekawością obserwował obu mężczyzn. Chciał wiedzieć, o czym rozmawiają. Postanowił, że podkradnie się do nich, ubolewał tylko, że nie może być niewidzialny. Ten wysoki wyjął coś, co wyglądało jak portfel, i pokazał temu drugiemu. Policjant! Pytał o jakieś nagrania i o kamery. Usłyszał, że chodziło o wejście, wyjście i oddział chirurgiczny. Kiedyś już słyszał tę trudną do wymówienia nazwę. Potem strażnik pokazał coś na monitorze. Policjant pochylił się i spojrzał na ekran. Trochę to trwało. Chłopiec dotarł do automatu z napojami, który buczał jak lodówka. Nie odrywał wzroku od mężczyzn.

Po chwili ten ubrany na czarno wyjął telefon i zaczął z kimś rozmawiać, gestykulując przy tym. Odszedł parę metrów, potem wrócił do strażnika. Zaczął się rozglądać, jakby tu był po raz pierwszy i dokładnie się nie orientował, a może kogoś szukał. Nagle szybkim krokiem ruszył w jego kierunku i zatrzymał się przy automacie. Wyjął portfel i kupił duży kubek kawy.

Cofnął się, oparł o ścianę i odchylił głowę do góry.

Krauze upił kolejny łyk. Czuł ulgę, gdy przez przełyk przepływał mu gorący napój. Było mu zimno. Na zewnątrz było kilka stopni, do tego wiał przenikliwy wiatr. Dawno nie pamiętał, żeby pogoda w październiku tak dała wszystkim w kość.

Miał już pewność, że to, co się wydarzyło tego wieczoru i tej nocy, nie było kwestią przypadku. Igor wpakował się w niezłe gówno. Przed kilkoma godzinami pobił dwóch kryminalistów, Elmera i Mańkuta, starych zwyrolów mających powiązania z gangiem kłódzkim. Wywodzili się ze starej szkoły, a ci nie odpuszczają. Jeśli Igor nadepnął im na odcisk, nie wypłacze się tak łatwo. To, że jest policjantem, nie będzie miało znaczenia. Sprawa wygląda na większy przekręt, niż mu powiedział.

Usłyszał jakiś odgłos i spojrzał w bok. Dopiero teraz dostrzegł stojącego nieopodal chłopca, który mu się przyglądał. W rękę trzymał figurkę.

„To rzadkość, dzieci teraz bawią się smartfonami”, pomyślał.

– Mój syn też takiego miał. Też lubił Spidermana.

Chłopak lekko się uśmiechnął.

– Widziałem, jak pan tam stał. Jest pan policjantem?

Krauze odwzajemnił nikły uśmiech. Miły akcent normalności w nienormalny dzień, właściwie noc.

– Tak, a co? Coś ci się stało? Jesteś tu sam?

– Jestem tu z mamą. Jest lekarką i została „pilnie wezwana” – wyjaśnił, kreśląc w powietrzu znak cudzysłowu. – Teraz operuje jakąś panią.

– Czyli mama jest lekarką w tym szpitalu?

– Tak.

– Nie boisz się tu być sam?

– Nie, czasami mnie tu przywozi. Prosiła tamtego pana – wskazał palcem na strażnika, z którym przed chwilą rozmawiał – żeby miał mnie na oku. Nie ma z kim mnie zostawić. Już kilka razy przyjeżdżałem z nią w nocy.

– Jesteś głodny? A może chcesz się czegoś napić?

Chłopiec wzruszył ramionami. Podkomisarz zinterpretował to jako potwierdzenie.

Kupił gorącą czekoladę i podał małemu.

– Jest pan prawdziwym policjantem?

– Tak.  
– Ma pan prawdziwą legitymację?  
– Tak.  
– I łapie pan bandytów?  
– Tak.  
– Jeździ pan radiowozem na sygnałach?  
– Czasami, ale radiowozy nie jeżdżą szybko, wolę swój samochód. Mój gna jak błyskawica. – Uśmiechnął się i mrugnął do niego.  
– A ma pan broń?  
– Mam.  
– A dlaczego nie ma pan munduru jak inni?  
– Bo jestem trochę innym policjantem. Nie patroluję ulic, nie ścigam złych kierowców. Mam inne zadania.  
– A co pan robi w szpitalu? Przyjechał pan z tymi dwoma, też takimi dużymi? To też policjanci?  
Krauze pokręcił głową na znak, że nie rozumie, o co chodzi.  
– Leży tu mój kolega. Został ranny. Ale nic więcej nie mogę powiedzieć, to tajemnica. – Podniósł kubek na znak toastu. – Jak masz na imię?  
– Marcin.  
– A ja Filip.  
Chłopiec napił się czekolady, po czym wzruszył ramionami.  
– Pomyślałem, że pan kogoś ściga. Ci dwaj wyglądali na groźnych.  
– Kiedy ich widziałeś?  
– Niedawno. Musiałbym spytać mamę. Zaraz po tym, jak tu przyjechaliśmy. Mama poszła operować, a ja szedłem korytarzem i minąłem tych dwóch. Byli źli. Jeden z nich miał krew na ręce.  
– Gdzie to było? Tu czy na górze?  
– Na górze. Wychodzili z sali.  
– Pamiętasz, jak wyglądali?  
– Nie wyglądali na lekarzy. Ani na ochroniarzy. Byli w czarnych kurtkach.  
– Takich jak moja?  
– Podobnych. Ale aż tak się nie przyglądałem.  
– A ich twarze?  
– Jeden był łyсы, drugi miał krótkie włosy. I bliznę na twarzy. Taką ooo. – Zademonstrował, przeciągając palcem od ucha do ust.  
Krauze wstał. Poczł dreszcze na plecach. Jego umysł działał jak komputer, a więc to oni.  
Kurwa mać. Jest źle. Będzie jeszcze gorzej. Skoro mają odwagę przyjechać do szpitala i zaatakować policjanta, to są gotowi na wszystko.  
Ale skąd wiedzieli, że tu przebywa?  
Jedyną słuszną odpowiedzią było to, że pojechali za Igorem i poznali jego adres. Później czekali na rozwój wydarzeń. Krauze nie pamiętał, czy przed domem lub w pobliżu stały jakieś auta. Nie myślał o tym. Ale teraz sprawa zaczynała się robić poważna.  
– Który z nich miał bliznę? Możesz go opisać?  
– Ten niższy, niższy od pana. Tak mi się wydaje.  
– Ile miał lat?  
– Był stary, miał ze czterdzieści lat.  
– Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, ale bardzo mi pomogłeś rozwiązać trudną zagadkę. Dobry z siebie chłopak. Mały uśmiechnął się szeroko i popił komplement gorącą czekoladą.

Krauze wrócił na oddział. Po drodze spotkał pielęgniarkę. Powiedziała mu, że doktor Amsterdamski jest jeszcze na bloku operacyjnym, ale niedługo powinien skończyć.

Wszedł do sali, w której wcześniej leżał Igor, usiadł na krześle pod oknem i przymknął powieki.

Uznał, że skoczy na komendę i sprawdzi ich w bazie danych.

Dowiedział się, że na Jana Jagielskiego, Elmera, było zarejestrowane czarne bmw 5. Romuald Bańko, Mańkut, ma audi kombi. Obaj z wyrokami za nakłanianie do prostytucji, gwałty oraz handel alkoholem i narkotykami. Przekiblowali w sumie kilka lat za rozboje, wymuszenia i pobicia.

Co ich połączyło z Fijałkowskim?

Fakt, Igor uwielbiał pożerać padlinę. Lubił się babrać w miejskim gównie, nawet najpodlejszym, ale Krauze nie podejrzewał, by zrobił coś aż tak głupiego, żeby przypłacić to życiem.



Przez chwilę przyglądał się kartce i analizował sytuację.

Schował ją do kieszeni i pomyślał o kolejnej kwestii. Co powiedzieć Weronice? Całą prawdę czy zachować na razie wszystko w tajemnicy?

Problemy się piętrzyły. Za szybko. Wdepnęli w to gównu obaj. Tak to traktował. Wypowiedzenie wojny Igorowi równało się z atakiem na nich obu, byli przecież jak bracia.

Zdecydował, że trzeba to załatwić po cichu. Amsterdamski był ordynatorem oddziału chirurgicznego, więc wiele mógł robić dyskretnie – nie musiał się przed nikim tłumaczyć, że w nocy zszywa pijanego policjanta.

Pielęgniarki ustawiały łóżko. Igor miał owiniętą bandażem twarz. Nie ruszał się, pewnie był pod narkozą. Krauze poczekał, aż skończą podpinanie kroplówki i urządzeń monitorujących funkcje życiowe. Kiedy wyszły, podszedł do łóżka i odruchowo potrząsnął kumplem, ale ten nie reagował. Nie wiedział, czemu to w ogóle zrobił.

– Po takiej dawce leków raczej się nie obudzi. – Usłyszał za plecami. W odbiciu okna ujrzał masywną sylwetkę lekarza.

– W jakim jest stanie? – zapytał.

– Stabilnym, ale musi zostać na obserwacji.

– Ma jakieś poważne urazy?

– Na szczęście nie. Ktoś, kto mu to zrobił, nie wiedział, jak się do niego dostać. Albo Igor ma twardy łeb jak u goryla, albo...

– Albo miał więcej szczęścia niż rozumu.

– To akurat w jego przypadku oczywiste, choć wciąż zastanawia mnie jedno. Czemu ktoś zadał sobie tyle trudu, by zmasakrować twarz policjantowi? I to jeszcze w takim miejscu. Bez względu na odpowiedź, pamiętaj, że nie chcę mieć z tym nic wspólnego, jasne?

– Przecież nie ty to zrobiłeś.

Lekarz pokiwał ponuro głową.

– Mógłbyś czasami przestać kpić.

– Zadbaj, żeby ktoś miał go na oku. Jeśli nie masz kogo tu postawić, załatwię jakiegoś posterunkowego.

– Nie trzeba. Poproszę salową, żeby do niego zaglądała. Poza tym zaraz zamkniemy drzwi i nikt już nie wejdzie na oddział.

– Na razie nie mów nikomu, co się tu wydarzyło.

– A jak mnie spytają?

– Niby kto i dlaczego?

– Niedawno rozmawiałeś z ochroniarzem, to wystarczy. Plotki szybko się rozchodzą. Ledwie ktoś umrze w sali, dyrektor szpitala już o tym wie. Bo wie o wszystkim.

– Trzymaj sprawę w tajemnicy, dopóki możesz. Potem zobaczymy. Postaram się namierzyć tych, którzy to zrobili. Nawet jeśli to jakieś nieporozumienie, trzeba je wyjaśnić.

Żadne nieporozumienie, Krauze doskonale to wiedział.

Nie mógł jednak powiedzieć tego Amsterdamskiemu.

Gdy schodził po schodach, zatrzymał się przed stanowiskiem ochroniarza. Rozejrzał się. Chłopca, z którym rozmawiał, już nie było. Zerknął na ochroniarza. Powiedział mu wcześniej, że jest tu nieoficjalnie, i rzucił formułką o ewentualnym utrudnianiu śledztwa i dobraniu się do dupy, jeśli facet wspomni komuś o sprawie.

Wyszedł przed szpital. Na zewnątrz było zimno i wiał silny wiatr. Wyciągnął paczkę papierosów i zapalił jednego. Przez moment krążył po parkingu przed budynkiem. Rozejrzał się, ale nigdzie nie dostrzegł ciemnego bmw ani audi. Mogli już jeździć innym autem. Nie zauważył też facetów, którzy odpowiadaliby rysopisowi podanemu przez chłopca.

Przypomniał sobie nieprzytomnego przyjaciela ze zmasakrowaną twarzą. Nie wiedział, czy Filip kiedykolwiek odzyska normalny wygląd. Owszem, zawsze miał porozbijane łuki brwiowe, przetrącony nos, ale to, co go właśnie spotkało, było poza kategoriami ucziwej walki. Krauze cisnął papierosem przed siebie.

Czymkolwiek Fijałkowski zawinił, nie zasłużył na to.

Ktokolwiek go tak urządził, zachował się jak bandyta.

Jadąc do wyznaczonego celu, popijał kawę z kubka termicznego. Na stacji benzynowej zaopatrzył się w kilka batonów energetycznych i sezamki, które pochłonął w kilka minut. Ale w schowku, na wszelki wypadek, miał ich dziesiątki. To było uzależnienie, mógłby je jeść na okrągło.

Słodycze i ćwierć litra kawy postawiły go na nogi. Znał swój organizm, wiedział, że teraz jest w stanie działać na wysokich obrotach przez kilka kolejnych godzin.

Zabrał z domu najpotrzebniejsze rzeczy. Przepakował je do samochodu Oli, małej czarnej mazdy. W piwnicy, którą wiele lat temu zamienił na spory magazyn, gromadził najpotrzebniejsze rzeczy, miał też sporo alkoholu oraz stary zapasowy sprzęt elektroniczny.

To wszystko w widocznych szafkach, do których czasami zaglądała też jego żona.

W drewnianych kolumnach muzycznych miał też schowane dwa Glocki i dubeltówkę. Były właściwie nie do znalezienia. Do tego sztucery w szafkach zamykanych na kłódkę, noże, kubotany, pałki teleskopowe, gazy łzawiące, kilka paralizatorów, strój taktyczny, apteczka, środki dezynfekujące, dziesiątki opatrunków, środki chemiczne.

Był gotowy na każdy rodzaj ataku i zagrożenia.

Psychiatra nazwałby to obsesją.

On miał inne określenie.

Zwolnił. Budynek wielorodzinny przy Śląskiej stał tuż przy wąskim chodniku, nieopodal mikroskopijnego boiska i placu zabaw. Zaparkował samochód nieco dalej, przy dawnej stacji paliw, po której zostały tylko podniszczone dystrybutory i zadaszenie. Wyjął z bagażnika paralizator i gaz pieprzowy i włożył je do kieszeni, sprawdził, czy ma amunicję do Glocka. W drugiej kieszeni umieścił latarki: oślepiającą o sile ponad dwóch tysięcy lumenów oraz mały szpaceracz.

Wziął kij bejsbolowy. Bezszelestnie zamknął bagażnik i zawrócił. Szedł spokojnie. Nie mógł się rzucić w oczy.

Nigdy nie był w tym budynku, nie znał rozkładu lokali ani nie wiedział, co z drzwiami wejściowymi. Ale na wszystko jest sposób.

Pokręcił się chwilę, zajrzał na tyły. Nikogo nie zauważył, jednak odczekał chwilę. Musiał mieć pewność, że nikt go nie zaskoczy.

Sprawdził okna. Oceniał, że w domu mieszkają cztery rodziny. Dostrzegł kolejne drzwi, prowadzące na półotwarte podwórze. Nie były zamknięte. Na końcu podwórka znajdowały się garaże. Poświecił latarką przez szczelinę. W przedostatnim stał samochód, czarne BMW piątką. Nie widział rejestracji, ale to było auto, którego szukał. A właściwie jego właściciela. Skierował wiązkę światła na ziemię i ujrzał świeże ślady opon.

Spojrzał na sfatygowaną kłódkę, nie była nawet zatrzasknięta, tylko przełożona. Cicho otworzył drzwi do garażu i wszedł do środka. Teraz już miał pewność, to auto Jagielskiego, Elmera. Wyjął szczyrtek i wbił go w przednią oponę. Robił to powoli, by odgłos spuszczanego powietrza nie był zbyt głośny. To samo zrobił z drugim kołem. Jeśli cokolwiek się wydarzy, to da mu trochę czasu.

Wrócił przed budynek, nacisnął delikatnie klamkę i otworzył drzwi. Czekał. Nasłuchiwał. Nie musiał patrzeć na zegarek, by wiedzieć, że minęła minuta.

Wszedł do środka. W obskurnym korytarzu śmierdziało moczem i stęchlizną. Były tu dwa mieszkania – symetrycznie po lewej i prawej stronie. Musiał wyczuć rytm, powtarzalność dźwięków i akustykę budynku. Chwilę później uznał, że wszyscy mieszkańcy już śpią. Zgasił latarkę, by przyzwyczaić oczy do ciemności.

Włożył kominiarkę, podszedł do drzwi po lewej stronie. Zapukał. Cisza. Kolejne stuknięcie, ciut głośniejsze. Żadnego odgłosu, żadnej reakcji. Uderzył tym razem na tyle mocno, że nie dało się tego nie słyszeć. I wtedy rozległo się jakieś skrzypnięcie, szuranie, po chwili kroki.

– Kto tam? – zapytał mężczyzna. To musiał być on.

– To ja – powiedział zmienionym głosem.

Po chwili usłyszał dźwięk przesuwających się zasuw. Krauze błyskawicznie przykleił się do ściany.

Otworzyły się trzy zasuwki. Drzwi uchyliły się na szerokość kilku centymetrów, dalej blokował je łańcuch. W ciemności ujrzał jasną, posiniaczoną twarz. Błyskawicznie postawił stopę w drzwiach i włożył rękę najdalej, jak

mógł. Zaatakował paralizatorem. Mężczyzna zawył i runął na podłogę. Filip ostrożnie wsunął rękę za drzwi i odblokował łańcuch, po czym zamknął je niczym kulturalny gość.

A potem rzucił się na mężczyznę i przygniół go do podłogi.

Trzymał go za gardło przez dłuższy czas. Starał się nie wydawać żadnych dźwięków, aby nie zaalarmować sąsiadów. Ucieszył się, że dobrze mu poszło. Nie wyszedł z wprawy. Lata pracy w policji, aresztowania, ćwiczenia w sali gimnastycznej, zajęcia z trenerem od samoobrony i pogoń za bandziorami pozwalały przewidywać ruchy przeciwnika. Jedynym czynnikiem, który mógł mu pokrzyżować plany, była zmienna nieoczekiwana liczba przeciwników. I ewentualna broń.

Reszta była zbyt łatwa do przewidzenia, zwłaszcza w nocy. Teraz też dobrze mu poszło. W krótkim czasie Krauze zdążył wejść do mieszkania i unieszkodliwić Jagielskiego. Zaskoczył go. Teraz przysunął się do niego i szepnął mu do ucha:

– Ani słowa. Jeśli się odezwiesz, uszkodzę ci gardło.

– Co ty, kurwo, do mnie rozmawiasz w ogóle? – wycharczał tamten, próbując się oswobodzić. – Dojadę cię, nim się obejrzyysz.

Krauze ścisnął mocniej, ograniczając mu możliwość mówienia. Odczekał chwilę, by gość nabrał pewności, że to nie żarty.

– Nie możesz się odzywać. Jeśli czegoś nie zrozumiałeś, ścisnę ci kość gnykową i do końca życia już się nie odezwiesz. Później będę schodził niżej, a ty stracisz oddech i zaczniesz się dusić. Boleśnie, nerwowo. Popękają ci naczynia krwionośne. Twarz zrobi się czerwona. Najpierw stracisz przytomność, potem zaczniesz odchodzić. Na zawsze. W bólu. I pełnej świadomości. Minuta po minucie. Rozumiemy się?

Mężczyzna poruszył głową. W ciemności niewiele było widać, ale przebijające się przez okna światła miasta kładły się na podłodze, tworząc kilka jaśniejszych plam,

Krauze odsunął się ostrożnie. Zdjął kurtkę, odsłaniając broń. Odłożył kij bejsbolowy. Z każdą minutą wzrok coraz bardziej przyzwyczajał się do ciemności.

Rozpoznał już układ mieszkania, widział meble, krzesła, stół. Podejrzewał, że trafi do jednej z melin, ale się mylił, o dziwo, nie panował tu bałagan.

Znowu zbliżył się do bandyty, demonstrując narzędzie negocjacji – paralizator.

– Zasady są proste. Po pierwsze ja pytam, ty odpowiadasz.

Mężczyzna próbował się wyrwać i zaatakować Krauzego, ale policjant był szybszy. Elmer dostał dawkę wysokiego napięcia z paralizatora. Trzepnęło nim znów o podłogę, zawył.

– Zabiję cię. Zabiję cię, kurwo zawszona.

– Zostawmy tę przyjemność na później.

Mężczyzna zerknął nieufnie. Niemal nieustannie poruszał dłońmi i nogami, jakby cierpiał na przypadłość polegającą na niekontrolowanym wykonywaniu ruchów. Krauze przypatrywał mu się badawczo.

– Po pierwsze mam przy sobie każdy rodzaj broni, więc od razu cię uprzedzę, nie rób nic, czego mógłbyś żałować. To po drugie. Po trzecie odpowiadasz na każde pytanie szeptem, tak bym tylko ja usłyszał, i tylko na zadane pytanie. Nie odpowiadasz ani nie mówisz o czymś, o co nie pytałem, jasne?

– Tak – odważył się powiedzieć na próbę. I rzeczywiście odpowiedział szeptem.

– Po czwarte i ostatnie, jeśli uda ci się przeżyć, bo zakładam, że tak może być, nigdy więcej mnie nie zobaczysz. Nie będziesz mnie szukał, a o naszym spotkaniu nikomu nie powiesz, jasne?

– Tak – odpowiedział śmiejąc.

– Jeśli spróbujesz mnie szukać, znów cię odwiedzę. W nocy. Albo nad ranem, kiedy będziesz spał. Może za kilka dni, może za parę miesięcy.

Jagielski skinął głową. Krauze usiadł na niewielkim pufie, odpiął broń i położył ją na kolanie. Ponownie włączył paralizator, tym razem ostrzegawczo. Już sam odgłos błyskawicznego przeskakującego impulsu elektrycznego potrafił zniechęcić do ataku. Przyjrzał się Jagielskiemu. Był to mężczyzna po pięćdziesiątce, miał króciutkie, niemal niewidoczne siwe włosy i sadystyczne spojrzenie. Twarz rasowego kryminalisty. I niestety twarz gwałciciela.

Miał na koncie ataki na kobiety. Prawie za każdy dostał wyrok, kilku mu nie udowodniono. Poszkodowane na kilka dni przed rozprawą wycofały oskarżenie. Krauze podejrzewał, że zostały zastraszone. Znał takich jak on. Gnidy karmiące się słabością innych.

Po Jagielskim wciąż było widać ślady wieczornej bijatyki. Na dłoniach również. To te pięści zmasakrowały twarz jego przyjaciela. Nigdy mu tego nie wybaczy. Wymierzy stosowną karę.

– Kiedy i z kim byłeś w Acapulco?

– Kim ty jesteś?

Krauze nachylił się, znacząco przysuwając paralizator, i wtedy dopiero padła właściwa odpowiedź:

– Z Mańkutem, a po chuj ci to?

– Ile wypiliście?

– Parę piwek.

– Ktoś jeszcze z wami był?

– Nie, tylko on.

Okej, zdał pierwszy test. Teraz należało zrobić drugi. Na szczerłość. Krauze odczekał chwilę.

– Dla kogo pracujesz?

– Jak „dla kogo pracuję”?

– Nie zadawaj zbędnych pytań.

Nagle Elmer zaczął się rzucać, jakby od spodu zaczęły go podgryzać szczury.

– Wypierdalaj, kurwo, z mojego domu, bo cię zabiję! Zresztą już nie żyjesz. Jesteś na wykończeniu.

Krauze nacisnął przycisk w paralizatorze. Urządzenie wydało głośne trzaski. Jagielski odsunął się odruchowo, uderzając głową o nogę stojącego obok stołu.

– Ostatnie ostrzeżenie.

– Dla nikogo nie pracuję, śmieciu zawszony.

Krauze nachylił się i przyłożył mu paralizator do ciała. Gościem znów zatrzęsło, zawył, a wtedy Filip ścisnął mu usta.

– Odpowiadasz grzecznie, kiedy pytam, jasne?

Elmer pokiwał głową. Krauze odsunął dłoń i usiadł na pufie.

– Mam firmę. Robimy różne rzeczy.

– A Mańkut?

– Jest ze mną. Mówię, mamy paru klientów. Ogrodnictwo i te sprawy.

– Interesuje mnie miasto, wasze lewe dochody. Narkotyki? Samochody?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Kobiety?

Znów ta sama odpowiedź.

– Kradzieże?

– Kiedyś. Dawno temu. Teraz nie.

Filip głośno westchnął, ale nie ciągnął tego wątku. Ten temat nie interesował go zbyt.

– Wróćmy do Acapulco. Co tam robiłeś?

– Wypiłem parę piwek. Mówiłem już.

– A potem?

– Wróciłem tu.

Przysunął bliżej paralizator. Jagielski wrzasnął, ale Krauze od razu zasłonił mu usta.

– Nie kłam. A co z awanturą w barze?

Mężczyzna odcharknął i splunął na podłogę. Nie odpowiedział od razu. Próbował się przyjrzeć napastnikowi, ale nie był w stanie rozpoznać ani oczu, ani głosu.

– Kim ty, kurwa, jesteś?

– Kimś, kto chce wiedzieć, co się tam wydarzyło. Kimś, kto pilnuje tego miejsca.

– Nie pierdol, to Kazik jest właścicielem.

– Masz pewność?

– Wszyscy w tym mieście to wiedzą. Każdy zna Kazika, nie ciebie.

– Bo taki mamy układ. Ale tu nie chodzi o mnie. Mów, co tam się wydarzyło.

– Powiedział nam, że nie będzie robił dymu, mamy tylko pokryć koszty. Poza tym nic wielkiego się nie stało. Rozjebaliśmy kilka krzesel i stolików. Ale to nie przez nas. To ten skurwiel się tak rzucał.

– Wiem, jakie są straty, bo widziałem. – Krauze się nie spodziewał, że kłamstwo przyjdzie mu tak łatwo, więc uznał, że warto je kontynuować. – O co poszło?

Jagielski odetchnął.

– Możesz już we mnie nie celować. Już wiem, kim jesteś, zaraz wszystko wyjaśnię. Tylko odsuń broń, kurwa.

– Mów. Nie rękę za siebie.

– Popiliśmy... trochę. Miałem już dobrze w czubie. I nagle do baru wpadł ten wariat.

– Kto?

- Nie pamiętam nazwiska, to furiat.
- Wiesz, co się stanie, jak wyczuję kłamstwo.

Elmer się zawahał. Rozejrzał się, chyba sprawdzał, czy ma jakieś szanse na ucieczkę, ale dotarło do niego, że nie ma żadnych. Wciąż leżał na podłodze, trzymając się za rękę.

- Ma na imię Igor. Taki łysy pojeb z nacięciami na ryju i głowie.

– O co poszło?

- Nie wiem, czy był trzeźwy, czy nie... – urwał i zaczął przecierać twarz. Z niezagojonych ran sączyła się krew.

– Mów, o co poszło.

– Podeszedł do mnie i bez słowa przyjechał mi z całej siły. Padłem na ziemię. Wtedy do tańca poderwał się Mańkut, ale ten skurwiel był szybszy, złapał szklaną popielniczkę i mu nią zajebał. Potem dostaliśmy po kilka ciosów. Powiedział, że nas zapierdoli gołymi rękami. Gdy mieliśmy dość, wstał i wypił duszkiem dwie setki. Potem, jakby nigdy nic, poszedł do kibla. Sięgnąłem po telefon i zadzwoniłem do kolegów, żeby się dowiedzieć, o co chodzi. Jeden z nich powiedział, że niedługo przyjedzie. I że weźmie do pomocy swojego kuzyna Karakana. Wtedy będzie po sprawie.

Krauzemu stężała twarz, napiął mięśnie.

W tym mieście każdy znał Karakana. To była jedna z ważniejszych i mocniejszych ksywek w Kłodzku. Przemysł, handel narkotykami, alkoholem, papierosami, prostytutka. Jedną czwartą swojego życia spędził w więzieniu za rozboje i wymuszenia. Został skazany za udział w zorganizowanej grupie przestępczej.

– Jesteś pewien?

– Jestem.

– Czemu go chcieli zajebać? – zapytał. Jeśli Igor zadarł z Karakanem, było gorzej, niż podejrzewał.

– Nie wnikałiśmy. Nic nie mieliśmy do tego gościa, dopóki nas nie zaatakował, więc zadzwoniłem po kolegów.

– Co było dalej?

– Wyszedł z kibla, zamówił piwo, potem kolejne. Patrzył na nas. Dziki pieprzony zwierz. Miałem wrażenie, że chce nas rozszarpać. Myśleliśmy, jak go przetrzymać.

– Dlaczego Karakanowi tak na nim zależało?

– Już mówiłem, że nie wiem.

– I co było później?

Jagielski nie odrywał ręki od nosa. Sprawdzał, czy jest cały i czy wciąż leci mu krew.

– Podeszliśmy do niego i powiedzieliśmy, żeby wyszedł z nami na zewnątrz, bo chcemy z nim pogadać. Skłamaliśmy, że chcemy wyjaśnić sprawę.

– A on? Co zrobił?

– Zaśmiał się. Powiedział, żebyśmy spierdalali na drzewo wpierdalać kasztany.

Krauze wyobraził sobie tę scenę. Znał to spojrzenie Igora, wyrażające więcej niż dziesiątki słów.

– Ale nie odpuściliście, bo zdemolowaliście bar.

Mężczyzna przytaknął.

– Fakt, Mańkut nie odpuścił. Kazał mu wyjść na zewnątrz. Igor powiedział, że najpierw dokończy piwo.

– Rozumiem, że nie czekaliście – dopowiedział podkomisarz.

– Mańkut zaczął się z nim szarpać, chciał go wyprowadzić, ale facet popchnął go z całej siły, odpychając się jednocześnie nogami od ściany. Trzepnął Mańkutem o bar. Potem zaczął go bić, bez opamiętania. Mimo wszystko nie sądziliśmy, że będzie tak ciężko, nawet we dwóch.

Wszystko zaczynało się ze sobą łączyć, choć Krauze wciąż nie wiedział, co było powodem bójki. Zastanawiał się, co łączyło Igora z Karakanem, czy się znali. Zdawał sobie sprawę, że świat policjantów i świat gangsterów się ząbały. Igor bywał w dziwnych miejscach, trenował zapasy, ćwiczył w siłowni, zaglądał do tych samych barów co oni. Kiedyś to było jego środowisko. Na pewno znał wielu z nich, ale raczej nie łączyły go z nimi żadne interesy.

– A Kazik?

– A Kazik... Wiadomo. Zamknął drzwi. Nie chciał, żeby weszli kolejni świadkowie. Chyba czuł, że będzie ostro. Zaczął odsuwać stoliki, bo wiedział, że to będzie meganapierdalanaka.

– Pomogłeś koledze?

– Na ile mogłem. Musieliśmy to załatwić na czysto. Ale wyszło inaczej. Igor zrobił z Mańkuta worek treningowy. Dostał serię ciosów, po których nie był już w stanie się podnieść.

– Wkurwiliście go. Tylko czemu w moim barze? Wiesz, ile wynoszą straty?

– Źle oszacowaliśmy swoje możliwości. Nasz błąd. Był rozwścieczony jak byk na arenie. Podeszedł do mnie, wałnął kilka razy w brzuch, dostałem parę razy z liścia. Gdy zobaczył, że zostaną już na glebie i się nie będę rzucał, spokojnie dokończył piwo.

– A wy?

– Kiedy się zebraliśmy, szepnąłem Kazikowi słówko, że za wszystko zapłacę. Nie zasłużył na demolkę.

– Nie o to mi chodzi. Co z tym gościem?

– Musieliśmy go tam zatrzymać do przyjazdu Karakana. Wiedzieliśmy, że z nim tak łatwo sobie nie poradzi. Wyszedł. Zaczailiśmy się na niego. Po jakimś czasie wyszedł z baru. Był wcięty, ale nie najebany.

– Więc czemu, do jasnej kurwy, nie zostawiliście go w spokoju?

– Bo wiedzieliśmy, że przyjedzie Karakan. Jemu się nie odmawia.

– Co było potem?

Nastąpiło długie zawahanie.

– Opuściliśmy sobie. Zostawiliśmy go w spokoju.

– Kłamstwo – rzucił Krauze, po czym wstał i uderzył Jagielskiego w twarz. To był silny cios, ale jeszcze nie naj- silniejszy. – Kłamiesz, a ja powiedziałem, że nie toleruję kłamstwa.

Elmer skrzywił się i zaczął tarzać z bólu. Cios wymierzony w twarz był precyzyjny. Krauze wiedział, jak bić, aby zadać ból, nie wysilając się przy tym, choć wiele mu brakowało do Igora. Nie miał takiej mocy i dynamiki jak on.

– Przejdźmy do konkretów – powiedział, siadając znów na pufie. – Od tego zależy, czy przeżyjesz. – Cały czas miał przed oczami skatowanego kolegę, którego musiał pomścić. Igor zrobiłby to samo dla niego. Zamachnął się, ale wtedy usłyszał Elmera.

– Będę... – wysapał. – Powiem... co... chcesz.

– Co się wydarzyło po wyjściu z baru?

– Wiedzieliśmy, że nie damy mu rady. Nie było sensu się szarpać, bo zrobiliby z nas miazgę. Pozwoliliśmy mu odjechać. Ale pojechaliśmy za nim. Okazało się, że wstąpił do jakiegoś sklepu po alkohol.

– Ile?

– Nie wiem. Widzieliśmy tylko, że wyszedł ze sklepu, wypił za jednym pociągnięciem prawie ćwiartkę wódki i pojechał do domu.

– Pojechaliście tam za nim?

– Tak. Wiedzieliśmy, że wóda szybko go sieknie, bo ledwo co wjechał do garażu. Chyba też rąbnął zderzakiem. Potem poszliśmy pod dom.

– Po co?

– Żeby go stamtąd wytargać. Ale się nie dało. Zamknął drzwi do garażu i zgasił światła. I to koniec opowieści. Nic więcej się nie działo.

– A wy?

– Czekaliśmy na rozwój wydarzeń, ale nasze plany poszły się szybko jebać, bo ktoś do niego przyjechał.

– Kto?

– Nie widzieliśmy nawet sylwetki, bo gość wjechał i błyskawicznie zniknął w domu.

Krauze analizował. Na razie wszystko się zgadzało.

– A potem?

– Po jakimś czasie wyjechał. Wiedzieliśmy, że w aucie były dwie osoby. Podejrzewaliśmy, że Igor i ten drugi. Pojechaliśmy za nimi do szpitala. Czekaliśmy. Potem dotarł Karakan.

Krauze wstał i zaczął nerwowo chodzić po pokoju, cały czas obserwując Elmera. Leżał na dywanie, a padające z ulicy nagle światło wyławiało wciąż niezagojone rany na jego twarzy. Igor miał przetrąconą twarz, ale i Elmerowi się oberwało. Podejrzewał, że Mańkut również dogorywał w mieszkaniu.

– I zostaliście tam, by go dojechać?

– Możliwe.

– Co to, kurwa mać, znaczy „możliwe”? Tak czy nie? – Podniósł wyżej rękę, markując zamach.

– Tak.

– Jak go znaleźliście?

– Karakan zagadał, gdzie trzeba, powiedział, że na oddział chirurgii został przywieziony nasz brat, typowa zagrywka. Zabajerowała babkę, wprawdzie nic nie wiedziała, ale poradziła, żebyśmy spytali na oddziale chirurgii ura- zowej. Tam go namierzyliśmy.

– I co?

– Czekaliśmy na odpowiedni moment. Nie chcieliśmy robić dużego zamieszania. Kiedy nikogo nie było w pobliżu, weszliśmy do sali, w której leżał.

Krauze zamknął na chwilę oczy. Znowu wyobraził sobie ten moment.

– Sprawa zakończona?

– Karakan powiedział, że od tej pory to już jego sprawa i mamy się nie wpierdalać.

Krauze popatrzył na zegarek. Nie chciał kusić sprzyjającego mu jak dotąd losu.

– Nigdy nikomu nie wspomnisz o mojej wizycie albo przyjadę i przypomnę ci, że rozmowa ze mną może być bar- dziej bolesna. I pamiętaj – dorzucił – że do końca tygodnia macie czas na pokrycie szkód w barze.

Gdy wyszedł spod prysznic, wskazówka na zegarku wskazywała czwartą nad ranem. Wykonał jednak telefon do Amsterdamskiego. Lekarz określił stan Igora jako ciężki, ale stabilny. Seria ciosów zadanych w twarz była silna, Fijałkowski doznał dotkliwych obrażeń. Miał wybite dwa zęby, naruszone chrząstki nosa, pękniętą żuchwę, krwiaki okularowe, obustronne stłuczenie czaszki, zasinienie nasady nosa, obrzęk policzków z krwiami sięgającymi do stawów żuchwowych, liczne zadrapania. Na szczęście obyło się bez krwiaków wewnątrzczaszkowych.

– I tyle, Filip – podsumował zmęczonym głosem Amsterdamski. – Co mam ci więcej powiedzieć? To, że tylko cud boski sprawił, że twój kolega żyje? Tego chyba nie muszę ci mówić, ktoś jednak chyba nad wami czuwa.



Obudził się przed południem. W nocy, a właściwie nad ranem słyszał, że jego telefon dzwonił kilka razy. Za każdym razem robił to samo – kładł poduszkę na głowę i przyciskał ją do głowy. Nie miał sił zwlec się z łóżka, by wyłączyć dźwięk w telefonie. Komórka leżała w drugim pokoju na stole, ale wibracje powodowały tak duże drgania, jakby ktoś wiercił mu nad głową wiertarką. Nie słyszał nawet wychodzącej do pracy Oli, nie słyszał Marcela, choć ten zwykle szycował się do szkoły tak głośno, jakby odbywała się próba generalna przed koncertem Rolling Stoneów.

Nie wypił przed snem ani grama alkoholu, a i tak czuł się jak na kacu. Odczuwał ból w skroniach, bolał go kark. Napisał do Oli esemesa, że ją kocha, ale ma dużo pracy i nie jest w stanie wracać o normalnych porach. Do wiadomości dodał kilka emotikonów z przeproszącą miną.

Nie mógł przecież powiedzieć jej prawdy.

Otworzył na oścież żaluzje przy przeszklonej ścianie. To właśnie lubił w ich mieszkaniu, wystarczył obrót i z dnia robiła się noc, z nocy dzień. Wypił kilka łyków gorącej kawy, gapiąc się tępo w dal. Zjadł pierwszy od wielu godzin posiłek, delikatną papkę czegoś, co Ola zmieliła blenderem i wstawiła do lodówki. Nawet nie wiedział, co to było.

Gdy wreszcie poczuł się rozbudzony, dopił kawę i spojrzął na wyświetlacz telefonu. Nieodebrane połączenia od Ireneusza Amsterdamskiego, z komendy oraz kilka od Weroniki Fijałkowskiej.

Po rozmowie z lekarzem dowiedział się, że Igor był przytomny. Dochodził do siebie, próbował odtworzyć miniony dzień, ale niewiele pamiętał. Amsterdamski nie wnikał w kulisy pobicia, chodziło mu tylko o sprawdzenie pamięci Fijałkowskiego. Ten nie wiedział, co wydarzyło się wieczorem i w nocy. Urwał mu się film. Krauze dał znać, że zajrzy do niego późnym popołudniem, wcześniej mu się nie uda.

Pomyślał o Weronice, wiedział, że stan Igora nie daje jej spokoju. Musiał się zastanowić, jak to rozegrać i co jej powiedzieć.

Przed wszystkim jednak musiał ustalić, czego Karakan chciał od Fijałkowskiego. Cokolwiek to było, należało to wyjaśnić i jak najszybciej rozwiązać sprawę. Możliwie bezboleśnie. Dla obu stron.

Na zewnątrz, mimo przebijającego się nieśmiało zza chmur słońca, było zimno. Gdy przekroczył próg biura, była prawie trzynasta.

Zrobił kawę, ale już po pierwszym łyku uznał, że to nie był dobry pomysł. Zbierało mu się po niej na wymioty, bo nigdzie nie smakowała tak źle, jak tutaj. I mimo że pijał ją od lat, nie potrafił się przyzwyczaić do jej parszywego smaku. Może była to kwestia wody, może tego, że mury nasiąkły zgnilizną, a może chodziło o ekspres, którego nikt od lat dokładnie nie wyczyścił.

Z kuchni powędrował do biura. Dopiero teraz zauważył w kącie pudło po laptopie. Kompletnie o nim zapomniał. Na biurku czekały zdjęcia z miejsca zbrodni. Wziął je z taką obojętnością, z jaką urzędnik patrzy na kolejny wniosek czy podanie. Zobaczył martwą kobietę. Leżała na wielkim nasypie; naga, w plastikowym worku, porzucona na pożarcie zwierząt niczym przynęta, która miała zwabić hieny.

Zajrzał do notatek techników, potem lekarza. Sekcja zwłok jeszcze się nie odbyła.

Wczytał się w każde zdanie, każdą informację, zestawiał je ze zdjęciami, które rozłożył na blacie. Upił łyk kawy, sięgnął po tabletki na nadciśnienie i od razu łyknął dwie, a potem zagryzł wszystko sezamkiem. Żołądek jak zwykle mu podziękował, poczuł, a zaraz potem usłyszał bulgotanie, jakby tsunami zaatakowało jego wnętrza.

Udużona miała nie więcej niż trzydzieści lat, była naga, żadnej biżuterii ani dokumentów poświadczających tożsamość. Jej skulone ciało morderca włożył do plastikowego worka budowlanego. W takiej pozycji musiała się znajdować niemal od śmierci, o czym świadczyły plamy opadowe. Ręce ułożone wzdłuż ciała. Miała bladą, niemal białą skórę, jakby ktoś ją pomazał kredą.

Technicy opisali miejsce znalezienia ciała, dokonali pomiarów, zrobili dziesiątki zdjęć. Od nadmiaru detali i naturalistycznych zbliżeń zrobiło mu się niedobrze.

Nie znaleźli na ciele ani na worku odcisków palców, natomiast technik wspomniał, że zabezpieczył na nim kilka śladów gantkopiijnych, czyli śladów po rękawiczkach. Na odbitce było widać kilka charakterystycznych zgieć i delikatnych nacięć, ponieważ, jak zdążyli ustalić, były to rękawiczki robocze nakrapiane powłoką gumową. Technik

dodał, że zrobił to dla porządku, choć takie wyniki rzadko dają jakieś sensowne rezultaty. Wiele rękawic roboczych ma uniwersalny rozmiar, więc trudno ustalić chociażby wielkość dłoni sprawcy.

Lekarz podał, że kobieta zmarła między osiemnastą a osiemnastą trzydzieści.

– A więc została zamordowana wczoraj – powiedział do siebie.

Nadal nie wiedzieli, kim była. Trzeba przejrzeć wszystkie zawiadomienia o zaginięciu, monitorować zgłoszenia na komendę i pobliskie komisariaty. Wcześniej czy później ktoś zgłosi brak kontaktu z córką, matką, siostrą, żoną.

– Co jeszcze? – rzucił w powietrze. – Co dalej?

Sporo teraz zależało od techników i od lekarza, który wykona sekcję.

Może na naskórku kobiety znajdą się mikrodrobinki, które wskażą na miejsce przechowywania ciała. Technikom być może uda się odkryć ślady biologiczne mordercy, może ślady linii papilarnych na ciele. Tym urzędniczo-medycznym czynnościom daleko było do obrazów, jakie pokazywali w filmach. W rzeczywistości na wszystko trzeba czekać. Dni, tygodnie. Na opinie niektórych biegłych nawet miesiące.

Zadzwoił do dyżurnego z prośbą o sprawdzenie, czy w ciągu ostatnich dni nikt nie zgłaszał zaginięcia kobiety w całym rejonie, nie tylko w mieście.

Zrobił zdjęcie jednej z fotografii, by było widać twarz denatki, a potem wysłał je Paulinie Walas. Pomyślał, że to może być jej kochanka.

Odchylił się do tyłu. Był tak zmęczony, że nie potrafił się skoncentrować. Poruszanie głową uruchamiało lawinę bólu, dopóki więc siedział spokojnie z zamkniętymi oczami, czuł się w miarę znośnie.

To, co się wydarzyło w pobliżu Łądko-Zdroju, nie było niczym wyjątkowym. Odstępstwem od reguły było jednak to, że nagie zwłoki zapakowano do worka. Ale i to szczególnie go nie poruszyło. Pracował w wydziale kryminalnym już tyle lat, że nic go nie było w stanie przerazić, praktycznie nic go nie szokowało, widok zwłok był tym, czym dla lekarza widok pacjenta – nawet będącego w stanie krytycznym. Robota, gorsza czy lepsza, łagodna, pozornie przyjemniejsza czy nie – ostatecznie każdą można było kochać i każdą nienawidzić.

Wybrał numer do Weroniki i czekał. Nim odebrała, zdążył zmienić tapetę w telefonie, czarno-białe wieżowce, pewnie amerykańskie. Anonimowe, nowoczesne, idealnie czyste. Doskonałe miejsca dla ludzi mrówek upchanych w setkach tysięcy ton stali, betonu i szkła, którzy bez mrugnienia okiem wykonywali polecenia szefów. Miejsce tyranii. Procedur. Nadgodzin. Setek połączeń. Tysiąca kserokopii.

A mimo to, musiał przyznać, wieżowce dobrze się prezentowały na ekranie jego telefonu.

– Dopiero teraz mam czas oddzwonić – powiedział, tłumacząc się. – Jestem w robocie.

– Widziałeś się z Igorem? – zapytała bez powitania. Tego się spodziewał. Znali się tyle lat, ale za każdym razem Weronika zachowywała się tak samo, pragmatycznie.

– Był zszywany, potem robili mu badania. Jest obity, ale nie ma wstrząsu mózgu ani żadnych krwiaków wewnątrzczaszkowych. Wszystko będzie dobrze, musi teraz dużo odpoczywać.

– Nadal zachodzę w głowę, co się stało.

– Pobił się z dwoma podłymi typami z dość grubą kartoteką. Gdy się poczuje lepiej i będzie można z nim pogadać, wszystkiego się dowiem.

Weronika nie odpowiedziała od razu, a to już był pewien znak. Znak, że zastanawia się nad wszystkim. Znał ją i wiedział, czego się spodziewać.

– Boże, on już od tak dawna nie pił, nie awanturował się, było trochę lepiej, co?

Krauze omal nie parsknął. Fijałkowski był ostatnią osobą, o której można by powiedzieć, że się nie awanturuje. Po prostu sporo ukrywał przed żoną.

– Co mam robić? Boję się o niego... o nas.

– Na razie nie ma powodu do niepokoju, zaufaj mi – skłamał.

– Na razie?

Chciał przekląć, ale tylko zganił się w myślach. Źle się wyraził. Mimo wszystko nie mógł teraz pozwolić jej na spotkanie z Igorem. W cokolwiek się wpakował, nie chciał, by tam przyjeżdżała.

– Chodzi o to, że nie macie powodu do obaw. Igor pewnie niebawem wyjdzie, kto wie, może nawet jutro? Tam jest młyn, jeśli będziesz się chciała czegoś dowiedzieć o jego stanie, dzwoń, w porządku? Pomóc wam jakoś? – zapytała.

– Sama nie wiem. Od paru lat żyłam już spokojnie, w poczuciu, że już zawsze będzie dobrze... A teraz?

– Nie przesadzaj, pomyśl racjonalnie. Igor miał jeden wyskok, nie możesz go oceniać na tej podstawie. Robi wszystko, żeby być jak najlepszym mężem i ojcem. Wierz mi, wszystko się wyjaśni i wróci do normy. Pamiętaj, że trzeba się zająć samochodem. Zadzwoń, umów się do mechanika. Gdyby były jakieś problemy, daj znać.

– Dziękuję ci, Filip.

– Będę u niego wieczorem, zadzwonię lub napiszę.

Kiedy godzinę później Krauze jadł na mieście zapiekankę, żołądek znów mu podziękował za „zdrowe” jedzenie. Pomyślał, że trudno mu będzie pracować w terenie bez odpowiednich ubrań, a według wszelkiego prawdopodobieństwa czekało go sporo pracy poza komendą. Październik w tym roku nie przypominał, że to miesiąc złotej polskiej jesieni. Padał deszcz ze śniegiem, a wiatr przyganiał nowe chmury. Temperatura wynosiła kilka stopni, choć miał wrażenie, że było jeszcze zimniej. To wystarczało, by trząść się już po krótkim marszu.

Pojechał do Galerii Twierdza. Zajrzał do sklepu z odzieżą górską. Przymierzył kilka ciemnych kurtek ocieplanych, wreszcie zdecydował się na taką, która nie szeleściła i była nieprzemakalna. Do tego dobrał solidne buty trekkingowe, rękawiczki i czapkę. W takim stroju wyglądał jak zawodowy ratownik górski po godzinach pracy. Kiedy wychodził z pełnymi torbami, zadzwonił oficer dyżurny.

– Filip, mamy informacje z jednego komisariatu. Kobieta zgłosiła zaginięcie córki.

– Kiedy?

– Wczoraj późnym wieczorem. Mówiła, że córki nie było w domu prawie cały dzień, mniej więcej od godzin południowych.

– Zgłosiła zaginięcie już po paru godzinach? Ile ta córka ma lat?

– Z danych wynika, że dwadzieścia sześć.

– Dane by pasowały. Ale zgłaszanie zaginięcia dorosłej osoby tak wcześnie...

Krauze podrapał się po brodzie, namyślając się. Kłodzko nie było dużym miastem. Znał statystyki przestępstw w okolicy. Jedno, dwa zaginięcia w miesiącu, z czego połowa po jednym lub dwóch dniach kończyła się powrotem domu. Powodem takich „zaginięć” najczęściej były ostre popijawy, imprezy. Trwałych, wielotygodniowych czy wielomiesięcznych było mniej, znacznie mniej. Ale każde zgłoszenie należało traktować priorytetowo, bo mogło się łączyć z ich sprawą.

– W porządku, załatw mi wszystkie szczegóły i podeślij do biura.

Nim zdążył wsunąć telefon do kieszeni, otrzymał wiadomość od Pauliny Walas. Dwa lakoniczne zdania.

„To nie Dominika. Jestem pewna”.

Usiedli przy stole konferencyjnym dla dziesięciu osób, ale zajęli tylko połowę miejsc. Znajdowali się w świeżo wyremontowanym pomieszczeniu z dużym wyświetlaczem multimedialnym wiszącym na głównej ścianie. W pokoju siedzieli dwóch funkcjonariuszy: Tomek Rabicki i Dominik Rudzki oraz technik kryminalistyki Radek Tokarz. Na spotkanie ściągnęli też człowieka z Łądka, bo potrzebowali miejscowego.

– Jak sprawy techniczne? – Krauze spojrział na Tokarza.

– Nie ma śladów linii papilarnych na ciele, choć ma sporo zasinień, zwłaszcza na nadgarstkach. Ale, jak już wspominałem w notatkach, udało nam się zabezpieczyć mało wyraźne ślady rękawiczek na worku i na przedramionach denatki. Nie są co prawda idealne, ale nadają się do porównania z innymi.

– Zasinienia... Czyli była bita.

– Widzieliście włóki. Nie ma wątpliwości.

– Coś jeszcze znaleźliście?

Technik podrapał się po głowie, po czym zatopił spojrzenie w swoich notatkach.

– Powiem, że to nie był łatwy teren do pracy. Grząski, miękki, podmokły. Podłoże ciągle pracuje. Śmieci są przykryte cienką warstwą ziemi, w związku z tym to wszystko po chwili się odkształca, czasami sprężynuje. Co oczywiście nie znaczy, że nie zebraliśmy próbek śladów traseologicznych. Zabezpieczyłem ślady różnych butów. Podejrzewam, że dwóch albo trzech osób, choć nie mam pewności. Wstępnie zakładam, że to ślady kogoś, kto był przy samej ofierze. Skoro nie są to ślady bezdomnych ani nikogo od nas, mogą należeć do osoby bezpośrednio związanej z mordstwem.

– Cieszy nas to – powiedział Krauze, sięgając po sesamka. Lubił mieć czymś zajęte ręce. W pokoju zapadła cisza, którą przerwał Dominik.

– Czy coś wynika z tych śladów? – zapytał.

– Udało nam się ustalić trasę osoby, która zostawiła ją w tamtym miejscu. Jak wspominałem, jest jeden problem. Czasami ślady stają się mniej wyraźne, potem nieco wyraźniejsze przy ofierze. Wynika to z charakteru podłoża. W niektórych miejscach ziemia jest zmieszana z piachem, żwirem pokrywającym śmieci, a na niektórych odcinkach zbita, lepiej utwardzona.

Podkomisarz przysłuchiwał się sugestiom technika, lecz na wnioski było jeszcze za wcześnie. Wiedział, że zbyt szybko interpretowanie tego, co zastaje się na miejscu zbrodni, może spowodować przyjęcie błędnych hipotez.

Głos Tokarza wyrwał go z zamyślenia. Mężczyzna wciąż mówił o śladach.

– ...podeszwa buta roboczego, budowlanego, numer czterdzieści cztery, góra czterdzieści pięć. Postaram się wyodrębnić dokładnie wzór i porównać z tym, co mam w bazie. Może namierzę producenta, ale nie obiecuję.

Technik wstał, włożył do gniazda komputera pendrive'a i otworzył folder ze zdjęciami. Rozjaśnił nieco obraz na ekranie, po czym zaczął referować. Objąśniał szczegóły obrazu traseologicznego, krążąc między stołem konferencyjnym a ścianą. Trzymał w dłoni pilota i co chwilę podchodził do wyświetlacza, by wskazać charakterystyczne ślady na podeszwie. Pokazał im nacięcia w górnej części buta, powstałe najprawdopodobniej na skutek wdepnięcia na szkło lub coś ostrego. Taki ślad powodował, że podeszwa stawała się niemal tak unikatowa, jak niepowtarzalny może być odcisk palca.

– O ile samo znalezienie w bazie śladów niczego nie wykazało, to pomoże nam w kolejnych porównaniach. Jeśli w okolicy wydarzy się podobne morderstwo i uda nam się zebrać ślady, będziemy mogli stwierdzić, czy stoi za tym ta sama osoba.

– No dobra, a skąd pewność, że to ślad mordercy? – zapytał Rudzki, głaszcząc się po krótkiej brodzie tak intensywnie, jakby dotknięcie własnego zarostu sprawiało mu niesłychaną przyjemność. Lubił też ścisnąć swoje bicepsy, by sprawdzać ich twardość, a potem gładził się po ramionach, by upewnić się, że każda żyła była odpowiednio wyeksponowana. Istny spektakl.

– Robimy w tej robocie od dawna i każdy z nas wie, że zawsze istnieje ryzyko błędu. Zakładam pewien stopień prawdopodobieństwa... – Technik zawiesił głos. Podszedł do komputera i pokazał inne zdjęcia odlewów śladów. – Po pierwsze, warunki pogodowe. Przy takiej aurze ślady nie utrzymują się długo na miękkim podłożu. Stąd przypuszczenie, że ten odcisk podeszwy powstał niedawno, w przeciwnym razie w ogóle by się nie zachował. Po drugie, rozmawiałem z Filipem. – Spojrzał na podkomisarza, powołując się na ich wcześniejszą rozmowę. – Bezdomni zeznali, że poza nimi w zasadzie nikt już nie chodzi po wysypisku. Od dawna. Aż do wczoraj.

Krauze skierował wymowne spojrzenie na policjanta z Łądka-Zdroju.

– Fakt, z naszych ustaleń wynika, że po tym terenie kręcą się tylko bezdomni. Nikt też nie pilnuje wysypiska. Gdy było jeszcze czynne, stała tam budka strażnicza, kontrolowano każdą ciężarówkę, każdą wchodzącą osobę. Ale to było lata temu.

– A ci bezdomni? – zapytał Krauze, wydlubując paznokciem kawałek przyklejonego do zęba sezamka. Jak zwykle zachowywał się tak, jakby go nie obchodziło, że obok są inni ludzie.

– Żaden z nich nie figuruje w naszych bazach, nie zanotowaliśmy żadnych zakłóceń z ich udziałem, nie zgłaszano problemów. Żyją spokojnie, na uboczu. Czasami widujemy ich w mieście. Dostają resztki z różnych sanatoriów.

– Okej, ale miejcie ich na oku. Czy w ostatnim czasie w mieście pojawili się jacyś obcy? Kręcił się ktoś podejrany?

– Mamy spory przepływ ludzi, ciągle ktoś przyjeżdża i wyjeżdża. Kilka czynnych uzdrowisk, do tego hotele, pokoje na wynajem. To daje setki osób tygodniowo.

– Tak czy siak, miejcie oczy dokoła głowy – powiedział Filip i spojrzał na Tokarza. – Co dalej?

– Ślady opon. – Technik znalazł odpowiedni folder ze zdjęciami, po czym włączył pokaz slajdów.

– Niedaleko zjazdu na wysypisko znaleźliśmy też ślady opon. Mamy ich odlewy, wprawdzie mało wyraźne, ale to lepsze niż nic. Moim zdaniem to raczej nieduży samochód. Na razie tyle wiemy. Nie miałem czasu, żeby zająć się dokładną analizą bieżnika opon.

Krauze zatrzymał się i popatrzył w okno.

– Podejrzewam, że to auto kogoś, kto był na wysypisku tamtego dnia – ciągnął Tokarz. – Oczywiście da się to podważyć, jednak pasuje do mojego założenia. Bo kto inny by się tam zatrzymał? Ale tu napotykam mały problem, bo jakieś pięćdziesiąt metrów od wjazdu natknąłem się na inne ślady, trochę większego samochodu. Może nam to trochę komplikować sprawę.

– Kto inny by tam przyjeżdżał?

– Na przykład ktoś, kto przywozi śmieci – powiedział policjant z Łądka-Zdroju. – Ludzie, zwłaszcza we wsiach, nie mają co robić ze śmieciami, bo są za rzadko wywożone, czasami raz na miesiąc. Więc ostatecznie albo palą je na swoich podwórkach, w piecach, albo szukają dzikich wysypisk.

Krauze spojrzał na zgromadzonych przy stole.

– Staram się to jakoś ogarnąć, ale boję się, że na razie wciąż mamy za mało danych. Obawiam się, że dopóki coś się nie wydarzy, to nic z tego nie ulepimy.

- Czy ta sprawa wiąże się ze sprawą zniknięcia kobiety w Głuszczykach? – zapytał Rudzki.
  - Nie, wykluczyliśmy to. Dopóki nie ma żadnych punktów styecznych, traktujemy te sprawy oddzielnie.
  - Filip, to, że ich nie mamy, nie oznacza, że się nie łączą.
- Krauze przez chwilę się nad tym namyślał.
- To znaczy?
  - Podobny czas zniknięcia Dominiki oraz naszej N.N. Różnica jednego dnia. Po drugie, miejsce. Między Głuszczykami a Łądkiem jest jakieś czterdzieści kilometrów. To niedużo. Wiek kobiet również podobny. Wymieniać dalej?
  - Chcesz mi powiedzieć, że mamy do czynienia z seryjnym zabójcą albo jakimś porywaczem?
  - Nie możemy tego wykluczyć.
  - Nie przesadzajmy, przecież to nawet brzmi śmiesznie.
  - Serio, nie widzisz wspólnych cech czy tylko udajesz lub nie dopuszczasz tylko dlatego, że to brzmi niewiarygodnie?
  - Okej, spróbujmy pomyśleć o tych sprawach jako o czymś, co może się łączyć – skwitował Krauze – ale nie szukajmy na siłę wspólnego mianownika, bo można się ładnie na tym przejechać – powiedział i urwał. Zadzwoił jego telefon. Przez chwilę zdziwiony patrzył na wyświetlacz. Tego połączenia nie mógł zignorować. Nie teraz.
- Wyszedł na zewnątrz, by odebrać.

– Możesz wszystko powtórzyć? – powiedział spokojnie.

Dzwoniła Zuzia, córka Igora, roztrzęsiona, choć, jak zawsze, mówiła logicznie. Powiedziała, że rano, gdy szła do szkoły, obok niej zwoził ciemny samochód. Jakieś kombi z przyciemnianymi szybami. Jechał tak przez kilka minut. Powoli. Nie miał tablic rejestracyjnych, Siedział w nim jakiś gość. Miał przysłoniętą twarz. Najpierw jej pomachał, a potem, gdy zbliżyła się do ogrodzenia szkolnego, wyprzedził ją i krzyknął, że będzie następna. Od razu zadzwoniła do niego. Krauze uspokoił ją, mówiąc, że to pomyłka. Poprosił, żeby nikomu o tym nie mówiła. Weronika mogłaby wpaść w panikę.

Krauze wiedział, że to nie była żadna pomyłka.

Działo się coś złego.

Zrobił kawę, potem włączył głośno płytę Molesty. Kochał ich, mógłby słuchać godzinami, a poza tym chciał zagłuszyć dźwięki otoczenia.

Musiał przemyśleć każdy swój ruch. Igor wciąż był w ciężkim stanie, formalnie na zwolnieniu, i pewnie przez dłuższy czas nie wróci do pracy. Parę dni to nie problem, ale potem ludzie zaczną się dopytywać. Wieści w mieście szybko się rozchodzą.

Na szczęście na komendę nie wpłynęły żadne zgłoszenia w sprawie awantury w Acapulco, co Krauze zdążył już odnotować. Nie było również skarg z kamienicy, w której mieszkał Elmer. Było jednak ryzyko, że prawda wyjdzie na jaw. Musiał stworzyć solidną wersję, której nikt i nic nie podważy.

Trudno jednak coś wykombinować, nie wiedząc, co właściwie jest grane. Jedno nie podlegało dyskusji – ma do czynienia z groźnymi ludźmi, którzy mogą posunąć się do najgorszego. Choć Mańkut i Elmer nie byli bardzo niebezpieczni, to jednak mieli bezpośredni związek z gangiem kłódzkim, który miał dużo do powiedzenia. Wczoraj usłyszał też ksywę groźnego bandyty, Karakana, członka gangu, którym od wielu lat kierował niejaki Rox. Nad nim stał Waldemar Szolc, pseudonim Barakuda, zbir najgorszego sortu.

Krauze usiadł w swoim gabinecie i włączył laptopa. Zajrzał do folderu, w którym zapisano doniesienia z lokalnych gazet i portali na temat gangu kłódzkiego. Nie było tego dużo.

Szolc rozpoczął kryminalną karierę w latach osiemdziesiątych, podobnie jak większość szefów grup przestępczych, od drobnych przestępstw: włamań do garaży, piwnic, później mieszkań.

Szybko zgromadził wokół siebie szajkę, którą bezlitośnie sobie podporządkował. Potem doszły kolejne specjalizacje: samochody, alkohol, papierosy. Jego grupa działała głównie na terenie Kłódzka, ale trzymali z grupami zgorzelecką, jeleniogórską i wałbrzyską oraz z mniejszymi przygranicznymi. W latach dziewięćdziesiątych przemycali wszystko, co się dało: spirytus, papierosy, sprzęt elektroniczny. Barakuda przejął pomniejszych grupy, które kontrolowały przemysł mrówek wzdłuż granicy czeskiej oraz – częściowo – niemieckiej, choć tam rządili ludzie ze Zgorzelca.

Początkowo niezwykle hermetyczna grupa chłopaków na posyłki, masywnych i groźnych osiłków, z roku na rok stawała się coraz bardziej bezwzględna. Ich działania nabierały rozpędu. Stali się wyjątkowo brutalni, ale i skuteczni. Już w latach dziewięćdziesiątych gang mógł liczyć trzydziestu, może czterdziestu członków, bezwzględnie podporządkowanych Barakudzie oraz jego najbardziej oddanemu człowiekowi, niejakiemu Roxowi. Gang był świetnie zorganizowany. Przez wiele lat funkcjonował jak doskonała maszyna do zarabiania pieniędzy.

Policja niewiele robiła. Dopóki nikt nie strzelał, a w mieście panował względny spokój, dopóty policjanci nie zaprzęтали sobie nimi głowy. Czasami przemykali płotki, drobnych złodziejaszków, handlarzy spirytusem, szmuglerów. W latach dziewięćdziesiątych, kiedy gang zarabiał najwięcej, w dolnośląskiej policji nie istniały wydziały walki z przestępczością zorganizowaną, toteż nie było mowy o masowej akcji aresztowań.

Oczywiste było dla wszystkich, że zarobione pieniądze Barakuda i Rox inwestowali w różne interesy, które w pełni kontrolowali. Po latach w swoich rękach mieli dziesiątki w pełni legalnych biznesów, zakłady mechaniczne, kantory, bary, hotele, sklepy, hurtownie, zakłady pogrzebowe. Podejrzewał jednak, że było tego znacznie więcej. Legalnie wypracowane zyski pracowały na kolejne przedsięwzięcia, stworzyli piramidę na solidnych fundamentach, a między nimi, w szczelinach, działały mniejsze i większe nielegalne interesy.

Zamknął klapę laptopa. Zaczął przecierać nerwowo oczy.

Namyślał się, chwilę wahał, w końcu wybrał numer do osoby, z którą od lat nie zamienił słowa.

– Szolcowi nigdy nie udowodniono kierowania grupą przestępczą, ale to chyba wiesz.

– Jak to możliwe?

– Zawsze się dobrze krył. To świetny strateg, chociaż kawał skurwysyna. Potrafi się obstawić ludźmi.

– Jak on to robi, że unika wpadek, aresztowań? – zapytał z irytacją Krauze.

– Można powiedzieć, że bardzo uważa, ale to truizm. Jest cholernie inteligentny. Nie pojawia się już na spotkaniach, nie wydaje bezpośrednio poleceń. Kontaktuje się z dwiema, może trzema osobami. Reszta pewnie nie wie, jak wygląda ani gdzie mieszka. Pamiętaj też, że facet ma swoje lata, jest po sześćdziesiątce, więc pewnie siedzi w jakimś zaciszu, nie wychyla się, zgarnia tylko hajs, na który ostro zapierdalają inni.

– I już? Wystarczy inteligencja i spryt, żeby zarabiać krocie i nieprzerwanie przez tyle lat prowadzić nielegalne interesy?

– Filip, to nie tak – powiedział rozmówca, po czym westchnął.

Naprzeciwko podkomisarza siedział emerytowany policjant wydziału kryminalnego Konrad Karpowicz. Przez kilka lat pracowali razem, wtedy to on był najważniejszym śledczym w wydziale, to jemu podlegali. A potem ich drogi się rozeszły.

Mężczyzna miał na sobie zieloną kurtkę wojskową z pagonami bez naszywek, a jego łysina odbijała zamglone lampy knajpy Malaga, jednego z najgorszych możliwych miejsc spędzania czasu wolnego. A mimo to właśnie tutaj, wśród naderwanych tapet zdobiących ściany oraz stolików przykrytych ceratą, wielu emerytowanych policjantów spędzało popołudnia i wieczory, jakby przez tyle lat nie znaleźli powodu, by szukać innych miejsc.

– Więc jak?

Karpowicz pokręcił głową i niemal się roześmiał, wypuszczając dym papierosowy, jakby chciał tym gestem pokazać, że tego tematu nie da się opowiedzieć w kilka minut. W co oczywiście Krauze nie wątpił. Konrad należał do policjantów z dużym doświadczeniem, w pełni angażował się w każdą trudniejszą sprawę, poświęcając przy tym zdrowie i kontakty ze znajomymi. Swego czasu miał totalnego fioła na punkcie pracy. Sypiał w komendzie, grzebał bez opamiętania w syfie, w aktach, w dokumentach, w analizach. Przesiadywał na miejscach zbrodni dłużej niż inni. Na kolację pił szklanke wódki, wypalał dziesiątki papierosów i kładł się spać.

– Dobrze wiesz, jak mało kto zresztą, że latami próbowałem rozpracować Barakudę. Wiesz, że przypląciłem to zdrowiem. I doskonale zdajesz sobie sprawę, że tego faceta trudno rozgryźć.

– Wiem, dlatego cię zaprosiłem na piwo.

– Tylko dlatego? Myślałem jednak, choroba, że chcesz się spotkać ze starym kumplem – zacharzał kaszlem nałogowego palacza, któremu – jak sądził – zostało parę lat życia. Może mniej. Emerytowany policjant nie wyglądał za dobrze. Miał ogromne sińce pod oczami, nieco przygaszone spojrzenie i cerę w kolorze jesiennego nieba.

– Konrad, wiesz, że chujowy ze mnie dyplomata, walę prosto z mostu, co mi leży na sercu. Nie będę udawał, że się za tobą stęskniłem, bo tęsknota to stan, którego nie odczuwam. Zaprosiłem cię na browar, bo jesteś mi potrzebny.

– Szkoda. – Zaśmiał się gorzko, ale po chwili spowaźniał.

To Karpowiczowi udało się dorwać i wsadzić za kratki Barakudę na trzy lata. Była to drobnostka. Jedno pobicie. I to tylko dzięki temu, że niemal zmusił poszkodowanego do złożenia obciążających Szolca zeznań. Kosztowało to wiele wysiłku, ale udało się. Dopiął swego.

W sali rozpraw Konrad siedział dumnie wyprostowany, patrząc na Barakudę z zaciętą, niemal krwiożerczą miną. Wymierzył sprawiedliwość może nie w takim zakresie, w jakim pragnął, ale i tak udało się mu odciąć na trzy lata gang kłódzki od szefa. Potem wpakował do więzienia jego dwóch żołnierzy.

Później Karpowicz wziął na celownik domniemanego zastępcę szefa, Tomasza Roksowicza. Udało mu się doprowadzić do zatrzymania przestępcy w jednym z jego domów w pobliżu Bystrzycy Kłodzkiej, jednak dowody przeciwko niemu okazały się niewystarczające. Po dwóch dniach Rox, groźny przestępca, tymczasowy lider gangu, został zwolniony z aresztu. Konrad uznał to za osobistą porażkę, z którą nie mógł się pogodzić, i wkrótce wystąpił z wnioskiem o przeniesienie w wydziału kryminalnego do podrzędnego komisariatu na obrzeżach miasta. Do emerytury szedł za biurkiem, odwalając nudną papierkową robotę.

– No dobra, jakoś to zniósę. – Wypił łyk piwa i trzepnął kuflem o blat stołu. W kącie baru rzęziło stare radio, wydając dźwięki przypominające piłowanie drewna tępą piłą. Krauze miał ochotę podejść i wypieprzyć je za okno. –

Słuchaj, on stworzył niemal doskonałą, hermetyczną grupę przestępczą. Organizację dopracowaną do perfekcji, jeśli chodzi o zasady działania.

– To znaczy?

– To znaczy, że formalnie ten skurwysyn jest nie do złapania. Interesy wykluwają się i znikają. Część z nich jest praktycznie nie do wykrycia, a sposoby na ich pomnażanie idą w dziesiątki. I niemal zawsze za jego interesami stoi słup. W ostatnich latach doszły zakłady bukmacherskie, wymuszanie pieniędzy od ubezpieczycieli, fingowane i ustawiane wypadki samochodowe. A stare numery, od lat każdemu znane, to wystawianie lewych faktur, wyłudzenie VAT-u, handel paliwem. Wiem, że w ostatnich latach próbowali swoich sił w sklepach internetowych. Oferowali produkty wysokiej jakości, między innymi drogi sprzęt RTV. Po zebraniu okrągłej sumy zwiłali interes. Kiedy takie wydziały zaczęły powstawać, Szolc był już nie do wykrycia, bo swoje lewe interesy przerzucił gdzie indziej, na przykład na wykupowanie ziemi rolnej, którą przekształcał na działki budowlane, zarabiając na tym krocie, czy kupowanie ziemi pod nowe inwestycje. Wystarczyło wiedzieć, gdzie i kiedy. A on wiedział, bo zawsze miał kogoś w urzędzie miasta. Zarobioną kasę inwestowali w kolejne interesy – hotele, dyskoteki, bary, zakłady mechaniczne, hurtownie budowlane, zakłady pogrzebowe, sklepy, solaria, siłownie, kluby fitness, biura podróży.

Jednocześnie jego ludzie cały czas kręcą na boku. Pracujesz w kryminale od lat, więc wiesz, co mam na myśli. Połącz te nici, a jadąc dzisiaj autem do domu, spójrz na rzędy sklepów, punktów usługowych, dziesiątki interesów. I pomyśl, że niemała część z nich należy do gangu. Bo to legalne biznesy, nie znajdziesz tam skazy. Każdy paragon, zakup torebek foliowych, nowej miotły i nowego wyposażenia – wszystko się kręci zgodnie z przepisami.

– A ta nielegalna część... Narkotyki, alkohol, kradzieże samochodów, handel bronią... Pominąłem coś? – zapytał Krauze.

– Prostyucja, kasyno w centrum miasta, handel ludźmi – głównie młodych kobiet z Białorusi oraz innych wschodnich krajów.

– Do?

– Do pracy w agencjach towarzyskich, legalnych i nielegalnych, głównie w zachodnich Niemczech oraz Holandii. Ale trudno ich z tym powiązać. Mają świadomość, że to oczko w głowie Interpolu i Europolu, więc są ostrożni. Zlecają sprawę mniejszym grupom, biorą procent, dają ochronę albo pomagają załatwić transport, a w razie wpadki umywają ręce.

– Ja pierdołę – wyszczał wściekły Krauze. – Aż trudno uwierzyć, że to się jeszcze dzieje.

– Oczywiście co pewien czas policja rozbija grupy porywaczy. W mediach musi się czasami pojawić sukces, bo MSWiA lubi o tym trąbić. Ale oni łapią płotki, drobnych przemytników, którzy pójdą siedzieć na kilka lat. O tym, że na miejsce jednej grupy wskazuje kolejna, media milczą.

– Nie chce mi się wierzyć, że za wszystkim stoi Barakuda.

– Nie on sam i niebezpiecznie. On jest górą, kimś, kto wydaje polecenia albo kogo trzeba pytać o pozwolenie. Ludzie się go boją, bo wiedzą, że jego grupa jest silna, więc idą na współpracę. Nie wszystko robią przeciw ludzi Barakudy.

– Nie rozumiem.

– Jeśli nie rozumiesz – charknął odruchowo, po czym splunął do śmierdzącej popielniczki – to zacznij zadawać konkretne pytania.

Filip zaczął się namyślać. Fakt, chciał się dowiedzieć jak najwięcej o gangu, ciekawiło go to, ale ważniejsze były informacje dotyczące Karakana oraz możliwych konsekwencji zatargów z nim. Miał świadomość, że w tej sprawie należało myśleć kompleksowo – ruszenie jednego z nich oznaczało ruszenie całej bojówki. Jeśli tknie Karakana, jego ludzie zaatakują.

– Ilu ludzi dla niego pracuje? – zapytał podchwytliwie, żeby się zorientować, iloma ludźmi jest w stanie zaatakować Karakan. To on kierował żołnierzami.

– Trudno powiedzieć, samych żołnierzy ma na pewno ponad dwudziestu. To ruchoma liczba.

– Nie aż tak dużo.

– Bo dziś nie potrzeba więcej. Mamy inne czasy. Zmienił się rodzaj działalności. Dziś jest mniej wymuszeń, znacznie mniej haraczy. No i mniej typowych rozbojów z bronią w ręku, strzelanin czy głośnych egzekucji. To nie lata dziewięćdziesiąte.

– Wiem, ale przecież są im potrzebni zwykli żołnierze.

– Mówię, może ze dwudziestu, plus minus. Do tego dolicz parę wyżej postawionych oficerów, którzy pilnują swoich pitbulli, jak ich kiedyś nazywaliśmy. Nie licząc pojedynczych, rozlokowanych w całym regionie dilerów i handlarzy czym popadnie. To są tak mało znaczące osoby, że nawet nie wiedzą, dla kogo pracują. Pchełki, które handlują drobiazgami, kradzionymi rzeczami, spirytusem, żyją z włamań. Ci ludzie za dużo nie pytają, ani dla kogo robią, ani kto jest szefem. Głównie dlatego, że i tak nie otrzymują odpowiedzi, choć wiedzą, że skoro przyjeżdża dwóch ludzi niezłą furą, to mają plecy i nie jest to byle kto. Zasada jest prosta, nieważne, czy chodzi o „spirytowników”, jak ich nazywam, czy o typowych dilerów – mają siedzieć cicho, trzymać mordy na kłódkę i opylać towar.



– Ciągłe takich zamykamy. Kiedyś i teraz. Jednego zamkniesz, za moment pojawia się kolejny.

Karpowicz nieznacznie prychnął.

– I co? Ktoś z nich kogoś wyspał?

Krauze spojrział na niego wymownie. Obaj wiedzieli, że nie.

– No właśnie, nigdy. Bo nic nie wiedzą. Kiedyś wszystko zatrzymywało się na Dakocie czy Bamboszu, skurwielach, którzy trzymają za mordę parunastu swoich ludzi.

– A gdzie ci wyżej postawieni?

– Mówię ci, Filip, dopóki coś porządnie nie pierdolnie, dopóki jeden z nich nie pójdzie na współpracę, nikt nie sięgnie nawet Roxa. A te wszystkie drobne wpadki, o których mówię, to są rzeczy nie do wytępienia. Zamkniesz jednego dilerka, nieważne czy narkotyków, czy dopalaczy, pójdzie siedzieć na parę miesięcy, a w to miejsce już wskakują następni. Niekończąca się historia. Tak właśnie na wszystkim zarabiają, oddają działkę żołnierzom, oni swoim kapitanom, najwięcej trafia do szefów. Hierarchia, jak wszędzie, w każdej organizacji. Tyle że ta jest trudna do inwigilowania, bo szybko się pozbywają wszystkich niepewnych ludzi.

Krauze się zamyślił. Fakt, są dyskretni, skoro od lat nikt poważniejszy nie został zamknięty, ale nie wierzył, by nie istniała luka, przez którą dałoby się ich podejrzeć lub wedrzeć do środka. A potem wszystko rozpierdolić w drobny mak.

– Liczyliście kiedyś, ilu może być takich pojedynczych handlarzy?

– Nie ma szans, stary. Tego się nie da ustalić. Dziesiątki w regionie... oczywiście zależy, o jakim rejonie mówimy, całym powiecie czy też zasięgu gangu, czyli szacunkowo dawnego województwa wałbrzyskiego. Każda dziura, mniejsza czy większa miejscowość, ma melinę, każde miasteczko gminne co najmniej dwie, trzy. Do tego handlarze fajkami, narkotykami, dopalaczami. Nie zliczysz tego. A psy niewiele robią, bo albo nie ma ludzi do pracy w policji, albo jeśli już kogoś złapią, to się chępią w lokalnych mediach, że przechwycono kilkadziesiąt gramów kokainy czy marihuany. Czyli sukces. I tak to się kręci. Chujowo, bo chujowo, ale się kręci.

Krauze chrząknął, ciężko mu się oddychało w tym stężonym powietrzu.

– Czy nad Szolcem stoi ktoś jeszcze? – zapytał, by skierować rozmowę na temat, który go najbardziej interesował.

– Nigdy nie udało mi się tego ustalić. Próbowalem to od niego wyciągnąć, ale kiedy przychodziłem na widzenia, milczał jak zakłęty. Nasze ówczesne działania operacyjne nie dały jednoznacznej odpowiedzi.

– Czuję, że jest jakieś „ale”.

Karpowicz zapalił kolejnego papierosa. Dopiero kiedy drugi raz się zaciągnął i wypuścił dym, odpowiedział:

– Powiem tak, możliwe, że ktoś nad nim stoi. Interesy w kłodzkim podziemiu mają się od wielu lat nadzwyczaj dobrze, co pewnie wynika z doskonałych źródeł informacji, sposobów dystrybucji, transportu, logistyki. No a przede wszystkim przepływu kasy, który jest praktycznie nie do rozpracowania.

– Nie odpowiadasz na moje pytanie.

– Bo nie znam dokładnej odpowiedzi. Takiej opcji nie można wykluczyć. Ale tego się nie dowiemy, bo tacy jak Rox i Barakuda są dla nas raczej nieosiągalni. I nawet jeśli by ktoś taki był, to już nie nasza działka. Ani twoje, ani moje wpływy nie sięgają tak daleko. Ty siedzisz w kryminale, ja na emeryturze.

Krauze bez słowa wstał i poszedł do baru po piwo dla Konrada. Dla siebie wziął colę i orzeszki.

– Jedyne, co możemy jako policja, to grzecznie sprzątać po ich błędach. Choć to się zdarza coraz rzadziej. Bo oni się aż tak bardzo nie rzucają w oczy. Mijasz ich codziennie na światłach, gdy siedzą w swoich mercedesach. To już trochę inna liga. Ludzie niewidoczni. Nawet Barakuda i Rox dostosowali się do tych czasów, nie pchają się na świeczniki, prowadzą swoje legalne biznesy. A to zarejestrowane na żonę, kochankę, konkubinę, dalekiego kuzyna, kolegę. Przypuszczam, że formalnie mają status emeryta. A od czasu do czasu śmigają po mieście brykami za ćwierć miliona. Oczywiście autem zarejestrowanym na kogoś innego albo wziętym w leasing na jedną z firm. Mieszkają w domach, które też nie należą do nich. I co? Co im zrobisz?

Krauze nie odpowiedział, Konrad zrobił to więc za niego.

– Prędej padniesz z wycieńczenia.

– No dobra, rozumiem, ale nadal mnie nie przekonuje argument, że ktoś za nimi stoi. Bo kto by to miał być?

– Nie zamierzam cię do niczego przekonywać, Filip. Masz swój rozum, swoje doświadczenie. Sam wyciągnij wnioski. Ale wiedz jedno. Od kiedy pamiętam, na tym terenie działa niepodzielnie Barakuda. Zna kogo trzeba, ludzie znają jego, wiedzą, że to szef, choć nikt tego nie mówi na głos. Zawsze był bezwzględny liderem. I co, uważasz, że robi to bez odpowiednich pleców? Bez prawników? Bez świetnych finansistów, którzy piorą mu kasę?

– A stary Kadi? – zapytał Krauze. Przypomniał sobie ten pseudonim i sprawę morderstwa w okolicach Nowej Rudy. Zajmował się tą wyczerpującą sprawą, aż wreszcie trop zaprowadził go do starego bandziora. Wtedy jednak mówiło się, że Kadi wyjechał za granicę, by uniknąć aresztowania, choć wcześniej był liderem w okolicy.

– Owszem, ale został sprzątnięty.

– Co?! Nie żyje? – rzucił z niedowierzaniem.

Karpowicz napił się piwa, a potem gorzko potaknął.

– Z tego, co wiem. Kadi był biznesmenem, starym graczem, wiedział, jak pomnożyć zarobioną kasę. Tyle tylko, że miał za duże ambicje, odbijało mu. Kadi był zbyt zachłanny, organizował imprezy, na których za dużo się działo. Chciał pokazać ludziom z okolicy, że dużo może. I to się ponoć nie spodobało Roxowi, więc kazali go zdjąć.

Krauze musiał wrócić do niższych szczebli. Chwilę milczał, jakby próbował pokazać, że nie wie, o co zapytać, ale była to celowa zagrywka. Kiedy niezręczna cisza zaczęła się przedłużać, zapytał:

– Ostatnio widziałem na mieście Karakana i Dakotę – skłamał. – Czy oni nadal robią dla Roxa?

– Tak, Dakota to jego zaufany człowiek, bierze na siebie wszystko. Jeśli kiedyś interes jebnie i cała piramida pierdolnie, to sprawa się skończy na nim. Policja się dalej nie przebiję. Chyba że pod bardzo silnym naciskiem Dakota się rozpruje, ale to się pewnie nie stanie. Wolałby dostać dożywocie niż cokolwiek powiedzieć o Roxie.

– Czyli jednak niewiele się zmieniło od czasów, kiedy się tym interesowałem. A skoro mowa o Roxie, to jak się ma ten psychol? – zaryzykował Filip, siląc się na lekki ton.

– Prowadzi czyste interesy.

– Ale coś poza firmą ochroniarską?

– Dwa hotele. W każdym razie o dwóch wiem, jeden w Karpaczu, drugi w Szklarskiej Porębie. Mają też jakieś hotele w Kotlinie przy granicy. Oczywiście formalnie każdy na inną osobę. Do tego klinikę medyczną w rejonie Międzygórze, ale niewiele o niej wiem. Dolicz kilka pubów, oficjalnie na jego żonę. Problem w tym, że nie mam już tak dobrych dojsć jak dawniej, o wielu rzeczach mogę nie wiedzieć.

– Kurwa, Konrad, gdyby tak złapać jakiegoś żołnierzyka za mordę i... – Krauze wykonał gest zaciskającej się pięści.

Konrad Karpowicz zaśmiał się tak gorzko, że Krauze poczuł tę gorycz w sobie.

– Zapomnij. Nie ma szans, nie sypną. Wiedzą, że to pewna śmierć. Oni są w tej kwestii bezwzględni. Choćbyś wziął go na komendę i zagroził wieloletnim wyrokiem, nie wygadają się. A żeby komuś tyle wjechać, to trzeba mieć grubsze dowody. Twarde, betonowe wręcz dowody, Filip. A my nie mamy nic. Wy, kurwa, nic nie robicie. Sprzątaacie trupy, gonicie kierowców, uczycie dzieci w szkołach o bezpieczeństwie, jeździcie na pijackie interwencje. Z czym ty chcesz, kurwa, wystartować?

– To któregoś kapitana. Na takich są metody.

Rozmówca pokiwał głową na boki, jakby się wahał i robił podejście go grubszej polemiki. Czekał, myślał, głowił się.

– Są metody, są sposoby, owszem, ale... Policjanci nie mogą takich stosować – stwierdził enigmatycznie, a Filip chyba zrozumiał, co miał na myśli.

– Ty już nie jesteś policjantem. Ale przypominam ci, że byłeś jednym z pierwszych psów, którzy zmusili kogoś do złożenia zeznań przeciwko niemu. Zrobiłeś to na tyle skutecznie, że udało ci się udupić skurwiela na dwa lata. Podejrzewam, że przy odrobinie szczęścia znów by ci się powiodło.

– Może po prostu miałem dużo szczęścia.

– Nie pierdol. Masz... masz to coś. – Krauze pstryknął palcami. – Wiedziałeś, jak przydusić do ściany gościa, żeby zaczął sypać na Barakudę.

Konrad uśmiechnął się, a z dzikich oczu dało się wyczytać coś więcej niż zwykle zadowolenie. Filip dostrzegł to od razu. A potem spojrzął na jego policzek – przecięty niemal od samego ucha aż do ust. Ślad po spotkaniu z Szolcem.

– To jak?

Nagle Karpowicz podniósł wysoko głowę, wyprostował się i spojrzął na Krauzego z góry, jak sędzia, który ogarnia wzrokiem salę sądową, by za parę sekund wydać surowy wyrok. Wyglądał, jakby obudził się z głębokiego zamyślenia.

– No dobra, teraz powiedz mi, o co ci chodzi. Po co to wszystko? – rzucił.

– Jakie „wszystko”?

W oczach byłego gliny błysnęło coś niepokojącego.

– Dzwonisz do mnie, wybudzasz mnie z mojej osobistej martwoty, każesz przyjechać na spotkanie pod pretekstem wypicia piwa, choć ani przez sekundę nie wierzę, że to prywatne spotkanie, bo ani nie masz ochoty na wspomnienia, o czym sam mówiłeś, ani na zwykłą pogawędkę, chyba że zmęczyło cię domowe ciepło, ale i w to nie uwierzę, bo nie chlasz już z kolegami i ani ci się, kurwa, nie śni spotykać ze starymi kumplami. Choć i owszem, znam cię na tyle, że wiem, że nie masz złych intencji – wysyczał przez zaciśnięte zęby, przysunął się bliżej, by nikt ich nie usłyszał. – Przecież, kurwa, widzę, że coś kroisz. Próbuję to rozgryźć od chwili, od kiedy postawiłeś mi piwo, i nic. Minęło już dwadzieścia minut. Zero przejęzyczenia, zająknięcia, mrugnienia okiem. Jesteś nie do wybadania, jak, kurwa, gadający kamień. Więc mi nie pierdol, że chodzi o zwykłą pogawędkę o gangu kłodzkim, jasne?

Krauze nawet nie mrugnął. Potrzebował informacji, więc przygotował różne scenariusze.

– Wszystko wskazuje na to, że będziemy się na nich szykowali – oznajmił spokojnie. – Na razie potrzebujemy rozeznania. Chcemy się o coś zahaczyć, rozważamy, w kogo uderzyć, a potem przejdziemy do konkretnego działania.

– Filip, skoro przychodzisz i pytasz o tak podstawowe sprawy jak szeregowi gangsterzy, wypytyujesz mnie o Dakotę, o Roxa, o legalne interesy Szolca, który jest jak czeczeński weteran wojenny, po prostu nie do zajebania, to znaczy, że nie wiecie nic, zero. A gdy się nie ma nic, to się nie atakuje.

Podkomisarz kiwnął głową i wziął łyk coli. Słuchał, analizował, zastanawiał się, co mu się przyda. I czy w ogóle się przyda. Czuł jednak, że powinien dowiedzieć się więcej o Barakudzie. Dziś ten człowiek żył w cieniu, miał swoje lata, ale wciąż był ostrym zawodnikiem, niebezpiecznym i bezwzględny.

Poczuł w kieszeni wibrację i spojrzął ukradkiem na wyświetlacz. Dzwonił Rudzki. Nie mógł teraz z nim rozmawiać, więc odrzucił połączenie.

– A pomyślałeś, że chcę zrobić coś, czego ty nie dokończyłeś? Że możemy dopaść tych sukinsynów? Wiem, Konrad, że ci zależy. Nigdy nie przestałeś się nim interesować.

– On jest nie do ruszenia – powtórzył spokojnie, jakby był zaimpregnowany na próbę podchwycenia tematu.

„A może wręcz przeciwnie”, pomyślał po chwili Filip. „Może celowo próbował go od tego pomysłu odwieść, by sprawdzić jego zaparcie, zaangażowanie”.

Krauze podjął tę grę.

– Przecież od lat nie próbowałeś.

Karpowicz prychnął, niemal opluwając Filipa.

– Wiem o nim więcej niż ktokolwiek inny. Zbieram o nim informacje, od kiedy sięgam pamięcią, mam tego więcej niż wszystkie dolnośląskie komendy razem wzięte. Zrozumiem, że jeśli nie skażesz go za złe parkowanie, to nie skażesz go za nic. Za nic.

Krauze rozumiał. Ale założenie rąk i udawanie, że nie powinno się go ruszać, byłoby niewybaczalnym błędem.

– Wiem, że istnieje sposób, by go wykończyć. I dowiem się jaki – zapowiedział rozszłoszczony.

– Ja go akurat nie znam. A chciałbym.

– To go opracujemy, tu i teraz, wspólnie – skwitował.

– Tak? – zachnął się Karpowicz. Twarz mu poczerwieniała, nerwowo zaciskał pięści. – Taki jesteś ze mną szczery, a wciąż nie powiedziałeś mi najważniejszego.

– Niby czego?

Nie odpowiedział od razu. Patrzył Filipowi prosto w oczy. Czekał. Czekał, aż się wygada, aż wreszcie się otworzy. Ale jego słowa trochę Krauzego zaskoczyły.

– O co walczysz?

– O nic. Chcę się za niego zabrać, ale najpierw wezmę się za tych z dołu. Myślę, jak to zrobić.

– Skoro nie masz pomysłu – przerwał mu – to nie próbuj. Wystarczy, że gość wykona jeden telefon. Przyjedzie dwudziestu ludzi. Z bronią, pałkami, a jak trzeba, to i armatą. Oni się chronią nawzajem.

– Mylisz się, Konrad. Wcale nie potrzebuję armii, która pokona ich armię. Potrzebuję dobrego planu. I informacji. O jego interesach, o jego żołnierzach, oficerach, o jego słabych i mocnych stronach, o tym, gdzie jada obiady w niedzielę, jakim jeździ samochodem, gdzie parkuje, gdzie teraz mieszka. A potem zbiorę to do kupy i uderzę.

– Sam? – zapytał, by się upewnić, czy dobrze usłyszał.

– Sam. Albo z armią policjantów. Obecnych, a może i byłych – dodał Krauze znacząco.

Konrad Karpowicz, policjant wyglądający jak rasowy bandyta, któremu lepiej zejść z drogi, odsunął się z krzesłem. Zdążył już opróżnić szklankę. I nagle się zaśmiał – z bezsilności, a może rozbawiło go coś innego.

– Widzisz, myślałem, że wreszcie się przyznasz. A ty wciąż idziesz w zaparte. I wciąż nie jesteś ze mną szczery. Po co ta cała szopka?

– O czym mówisz?

– Szanuję cię, lubię, jak pewnie wiesz, ale śmierdzi mi to wszystko na kilometr i wybac, że mówię ci to wprost, ale dwaj doświadczeni policjanci, którzy się znają, chyba mogą sobie na to pozwolić. Więc, proszę cię grzecznie, skończ pierdolić, okej?

– Co ci znów śmierdzi?

– Wszystko, co mówisz.

Krauze potrząsnął głową na dowód, że nie rozumie sugestii, choć powoli zaczynał podejrzewać, że Karpowicz przejrzał go na wylot.

– Więc czemu się ani słowem nie zająknąłeś na temat Igora? Co?

– A niby czemu miałbym to robić? – Udał zdziwienie, choć w tej samej chwili zrozumiał, co jest grane. Karpowicz o wszystkim wiedział.

– Bo powinieneś być ze mną szczery. A teraz sam nie wiem, co mam o tobie myśleć. Wiem, że Igor nadepnął komuś na odcisk. Wiem, że został pobity, a wcześniej to on ostro nawywijał.

Filip zagotował się ze złości. Nawet nie próbował nad tym zapanować.

– Wszystko wskazuje na to, że od początku naszej rozmowy kłamałeś, albo, mówiąc bardziej dyplomatycznie, nie mówiłeś mi wszystkiego. – Konrad zapalił papierosa metalową zapalniczką zippo, zamknął ją ostentacyjnie i schował

do kieszeni. A gdy wypuścił dym, powiedział: – Czekam, Filip, aż potok słów zamienimy na szczerą rozmowę. Ale tak się nie dzieje. I co? Myślisz, że, kurwa, nie wiem, że twój kumpel leży pobity na oddziale intensywnej terapii? Masz mnie za idiotę?

– Dopiero teraz mi to mówisz?! – wściekł się Krauze. – Mów, co wiesz, skąd. Mów! – powiedział tonem nieznośnym sprzeciwu, tonem śledczego, który za moment eksploduje.

Karpowicz zaciągnął się mocno, wypuścił gęsty dym, a potem spojrzał przez niego na kolegę.

– Parę tygodni temu wyszedł z paki jeden z ważniejszych ludzi Dakoty, nazywa się Bambosz. Miał odsiadkę za jakieś drobności, pobicie, zatajenie przed urzędem skarbowym części dochodów. Nie muszę ci mówić, że ten księgowy już dla niego nie pracuje. Co dziwne, gość miał niedawno wypadek. Na rowerze, potrącił go samochód, nie znaleziono sprawcy. A sam potrącony, czyli ten księgowy, nie zadzwonił po policję. I nie pytaj mnie, skąd to wiem. Rozumiesz, do czego zmierzam?

– Nie bardzo. Zważ na to, że jest już późno, jestem po całym dniu pracy i nie mam ochoty na zgadywanki. Wól prosto z mostu.

– Bambosz to jeden z brutalniejszych ludzi, jakich znam, a zarazem najlepszy kumpel Karakana. Likwiduje każdego, kto stanie mu na drodze, a przynajmniej unieszkodliwia, na przykład powodując trwałe kalectwo. Igor spotkał tego gościa. Jeśli ktoś zadarł z Bamboszem, to jakby zadarł z całą resztą. Tacy są, to zawzięte skurwysyny. Znają się po piętnaście, dwadzieścia lat. Wypili razem ocean wódki, piwa, stłukli setki mord. Nie odpuszczają.

– Jak dobrze znasz sprawę?

– Nie tak dobrze, jak byś chciał. Wiem, że Igor nie jest bez winy. Jeśli mnie źródła nie mylą, to stali za tym Mańkut z Elmerem. Ale był z nimi Karakan. Pilnował, czy dobrze wykonali robotę. To była zaplanowana akcja.

– Ale po co?

– A skąd mam wiedzieć? Ich pytaj. Albo Igora.

– Zapytałbym. Tyle że Igor jest w ciężkim stanie. Ale choćbym, kurwa, miał skonać, i tak się dowiem, co się stało.

– Niestety, nie pomogę ci. Powiedziałem ci wszystko, co wiem.

– Nikt, kurwa, nie wie, co się dzieje. Igor ledwo żyje. Pobicie w barze, a potem w szpitalu. Muszę wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi! Konrad, kurwa mać, pomóż mi. Tknęli mojego przyjaciela, który uratował mi życie, grozili jego córce, nastraszyli ją w szkole. Rozumiesz? Nie wiem, co się dzieje, ale nie daruję im.

Karpowicz wyraźnie zaczął się niepokoić, coś go gryzło. Zastanawiał się, a może wahał, czy wyjawić swoje wątpliwości.

– Trochę dziwne, że tego nie dokończyli, co? Przecież gdyby mieli go zabić, po prostu by to zrobili. Nie jestem pewny, ale skoro Fijałkowski żyje... – były policjant zaciągnął się łapczywie dymem, napawając się jego śmiertelnym smakiem – to znaczy, że mają z nim coś do załatwienia. Dali mu czas. W przeciwnym razie nie spotkalibyśmy się tutaj, Filip, ale na cmentarzu, nad grobem naszego kolegi.

Filipa nie było w biurze od dłuższego czasu, telefonu nie odbierał. Dominik Rudzki sięgnął po dokumenty, które flegmatycznie wypluła drukarka. Przebiegł papiery wzrokiem. Monika Marczuk mieszkała w Kłodzku przy ulicy Morcinka, razem z matką, Bogusławą Marczuk, która zgłosiła jej zaginięcie. Kobieta zeznała, że córka wyszła z domu około południa. Obiecała, że wróci za nie więcej jak godzinę. To było akurat dość ważne, bo zostawiła pod opieką matki półroczną córkę Nadię.

Przeczytał do końca. Marczuk miała na sobie kurtkę dżinsową, ciemne spodnie oraz czarne buty sportowe. Ciemne, niedługie włosy spięte w kucyk.

Aspirant zadzwonił do komisariatu, do którego wpłynęło zgłoszenie, z pytaniem, czy mają zdjęcie zaginionej. Policjant dyżurny obiecał sprawdzić.

Rudzki odłożył słuchawkę i zaczął chodzić po pokoju. Wsadził do ust kilka gum miętowych, wypił kilka łyków koktajlu białkowego. Jedno nie przeszkadzało drugiemu, lubił mieszać smaki, choć w gruncie rzeczy lubił wszystkie możliwe – wypił tysiące litrów odżywek proteinowych, od bananowych, przez czekoladowe, truskawkowe, aż po toffi. To samo z aminokwasami, kreatyną, witaminami. Smak był kwestią wtórną, nierzadko więc mył zęby, a potem pił kawę bez cukru, by od razu napić się soku. Oczywiście niskokalorycznego.

Monika Marczuk. Dwadzieścia sześć lat. Denatka znaleziona w pobliżu Łądko-Zdroju miała nie więcej niż trzydzieści lat, ciemne włosy, dość krótkie, maksymalnie do ramion.

A więc to była ona. Jak nic. Nie wierzył w przypadek.

Zaklął w myślach. I jakby tego było mało, został ze wszystkim sam.

\* \* \*

- Dzwoniłeś – powiedział do Dominika.
- Gdzie jesteś?
- W terenie, a co?
- Nie odbierałeś, a mamy to zgłoszenie zaginięcia.
- Coś obiecującego?
- Raczej tak. Jest kilka punktów stycznych. Wiek, wstępny rysopis, miejsce, możliwa godzina zgonu. Mieszka z matką, ma paromiesięczną córkę. Dziewczyna wyszła z domu koło południa, no i, jak wiadomo, już nie wróciła. Powtórzył w myślach słowa Rudzkiego. Przeanalizował je.
- Sądziś, że to może być ona?
- Jadę do matki po zdjęcia. Jeśli nie będziemy mieć pewności, przeprowadzimy identyfikację.
- Okej, ale jeśli to możliwe, oszczędź jej tego.
- Będziemy w kontakcie – powiedział Dominik i się wyłączył.

Igor Fijałkowski leżał z półotwartymi oczami. Na widok stojącego w drzwiach kolegi poruszył głową. Nieznacznie drgnęły kąciaki ust. Tylko na tyle było go stać.

Krauze umówił się z Amsterdamskim, że równo o szesnastej będzie mógł odwiedzić Igora, który stopniowo odzyskiwał przytomność. Dało się już z nim nawiązać kontakt, jednak rozmowa wciąż była utrudniona. Lekarz wciąż określał jego stan jako ciężki, chociaż dający nadzieję na powrót do formy w ciągu kilku tygodni.

Amsterdamski zadbał, by Igor w sali był sam. Przynajmniej tyle i aż tyle.

Krauze przyjrzał się przyjacielowi.

– Jak się masz? – zapytał, uśmiechając się szeroko. Podszedł do niego i chwycił leżącą wzdłuż ciała zabandażowaną prawą dłoń. To nią walił najmocniej, lewa dłoń była w lepszym stanie.

– Le...dwo... ży...ję – wycedził Igor przez nieznacznie rozchyloną szczękę. Jego klatka piersiowa unosiła się wolno, ciężko, niczym stary miech.

– Trudno się przy tobie nudzić, jak nie sraczka, to padaczka.

Fijałkowski nie odpowiedział, przymknął oczy. Zrobił przy tym niezrozumiały grymas. Pewnie coś go zabolalo.

– Pamiętasz, co się wczoraj wydarzyło?

– Nieee...

– Kompletnie nic?

– Może... Coś... Chuj wie.

– Mów „tak” lub „nie”.

Filip nachylił się nad łóżkiem, żeby lepiej słyszeć.

– Wczoraj wieczorem spotkałeś starych bandziorów, którzy postanowili spuścić ci wpierdol. Klasyk gatunku, który przerabialiśmy setki razy, czyli trzaskanie po mordzie, kopa w dupę, nie?

– Ta...

– To Mańkut z Elmerem próbowali cię zgarnąć na polecenie Karakana. Tak?

– Bli...żej. – Fijałkowski spojrział koledze głęboko w oczy, a ten w mig zrozumiał, co to oznaczało. Nie było to zwykłe spojrzenie, które towarzyszyło przyjacielskiej pogawędce. – Mu...sisz... je... chro...nić – wydyszał. Mówienie kosztowało go dużo wysiłku.

– Kogo?

– Werę... i Zu...zię...

– Coś im grozi?

Igor powoli i wymownie zamrugał. Czerwone powieki wyglądały jak łupiny granatu, toteż ciężko mu było nimi poruszać. Spod zamkniętej powieki wydostała się łza i popłynęła leniwie po poharatanej twarzy. Zatrzymała się nad ustami i zniknęła. Teraz Krauze miał już pewność. Zuzia nie kłamała, choć przez chwilę miał wrażenie, że może coś się jej przywidziało. Ale nie. Ktoś na nie polował. Na nich.

– Wy...wiesz je... – Fijałkowski z trudem otworzył oczy, potem znów je zamknął. – Chroni je... prosz...

– Coś ty narobił, człowieku?!

– Chroni. Musisz... Proszę...

– Co jest? – ponaglił go, mocno już wkurwiony.

– Zajebią... mnie... I je... – wydyszał z takim trudem, jakby miał za moment skonać.

– Igor, kurwa mać, wiem, że im podpadłeś. Tylko powiedz mi czemu. Co zrobiłeś? Jakoś to załatwię – rzucił, by dodać mu otuchy.

Czekał kilkanaście sekund, minutę. Spojrzął na monitor elektrokardiografu, na którym bezlitośnie pulsowały wykresy. Fijałkowski miał regularny oddech, ale puls mu skoczył, od kiedy zaczęli rozmawiać.

– Igor, coś wykombinujemy. Nie takie rzeczy żeśmy robili. Przypomnij sobie Nową Rudę... Przypomnij sobie inne akcje. Damy radę, ale mów, z kim i dlaczego mam walczyć. No!

– Nie... zostaw to. Za...łatwię to. Gdy... zagoi... – wysapał, zamknął oczy, a potem znów się ocknął. – Chroni... je...

– Jeśli nie chcesz, żebym się w to wpierdalał, zrobimy to oficjalnie. Możemy ich przyskrzynić. Dziś, jutro, pojutrze. Ale musimy mieć podstawę do zatrzymania...

– Nie...

– To bądź ze mną szczerzy, do cholery. Ratuję ci dupę od wczorajszego wieczora, ryzykując, że i mnie będą chcieli odjechać. Nie mówiąc o tym – obejrzał się odruchowo, upewniając się, że nikt ich nie słyszał – że za to, co zrobiłem, mogę wylecieć z roboty.

Fijałkowski znów zamknął ciężkie powieki, głośno westchnął i spojrzął na niego głębokim, przeszywającym spojrzeniem. Przed chwilą Krauze dostrzegł we wzroku Fijałkowskiego strach, ale teraz zobaczył w jego oczach złość. Prawdziwą gorycz i płonąca nienawiść.

– Filip... jest... źle – wysapał, z trudem wymawiając spółgłoski. – Powiedzieli, że nas zajebią... Znajdź mój...

– Co?

– Telefff... – urwał.

– Co?

Podkomisarz poczuł uderzenie gorąca. Było tak gwałtowne, że aby nie zemdleć, zacisnął dłonie na poręczy szpitalnego łóżka. Zbiały mu kostki. Odczekał moment. Igor wciąż miał zamknięte oczy.

Wstał i podszedł do okna, a potem zaczął nerwowo krążyć po sali. Nie wiedział, co ze sobą zrobić. Ta historia zaczynała go przerażać. Zły ruch i wszyscy pójdą na wiele lat do więzienia. Albo do piachu.

Przesunął krzesło pod okno i spojrzął w dal. Widział część ulicy Szpitalnej, fragment jezdni oraz wjazd na tyły szpitala. Obsługa, catering, dostawy. To tutaj, jak w małym którymś miejscu, było widać mielącą się codzienność, podział na godziny, czynności, ruchy, wjazdy, wyjazdy, odwiedziny.

Wciąż czekał, ale jego przyjaciel nie otwierał oczu.

Godzinę później Rudzki odebrał kolejny faks. Słabej jakości zdjęcie, które zaniosiła na komisariat Bogusława Marczyk. Zrobiono je w szpitalu, w dniu narodzin Nadii, w sali porodów. Malutka istota, podobna do dziesiątek tysięcy noworodków, w objęciach swojej młodej mamy. To zdjęcie było tak typowe, że nie dało się w nim dostrzec niczego niezwykłego, prawie każda matka ma na twarzy ten sam uśmiech radości pomieszany z ogromnym zmęczeniem. Przyglądał się Monice Marczyk, próbował się doszukać znaków szczególnych, znamion, na których mógłby oprzeć identyfikację, ale niczego takiego nie dostrzegł.

Odszukał w dokumentach numer telefonu do Bogusławy Marczyk, wybrał go i czekał.

– Słucham – omal nie krzyknęła. Była zdenerwowana.

– Aspirant Dominik Rudzki, dzwonię w sprawie pani córki. Chciałbym panią prosić o dostarczenie na komisariat lub komendę zdjęcia w lepszej jakości. To, które pani przekazała, nie spełnia standardów identyfikacyjnych.

– Czekaj panie, czego?

– Ciężko porównać, jest słabej jakości.

– Panie, jestem sama, z małą wnuczką. Jak mam niby przyjść do was w tę pogodę?

Dominik wyjrzał przez okno. Rzeczywiście, to nie była dobra pora na wyjście z małym dzieckiem. Zdawał sobie sprawę, że ubranie niemowlęcia, przygotowanie wózka i wszystkich niezbędnych przedmiotów było niełatwym zadaniem, zwłaszcza gdy się miało przed sobą cel tak podły, jak przekazanie zdjęcia córki niezbędnego do identyfikacji.

– Mogę do pani podjechać w ciągu godziny? – zapytał, patrząc na zegarek.

– Nigdzie się nie wybieram. Bo i gdzie? A nuż Monika wróci. Bo przecież ona zaraz wróci, prawda? Do Nadii, do mnie. Dlaczego niby miałyby nie wrócić?

Wyjaśnił pokrótce plan działania, poprosił, by do nikogo nie dzwoniła, nie wychodziła ani nikomu nie otwierała drzwi, nawet zaufanemu sąsiadowi, listonoszowi czy kurierowi. Dodał, by pogasiła w domu wszystkie światła.

Musiał odpocząć od napływających z każdą minutą myśli. Włączył muzykę, żeby zagłuszyć wszystko to, co działo się dokoła, również w jego głowie, choć to akurat było trudniejsze.

Zajechał na stację benzynową po kubek kawy oraz arsenał batonów energetycznych. Kupił ich niemal całą reklamówkę. Wziął również dwa opakowania tabletek przeciwbólowych. Czasem się nimi ratował, gdy opadał z sił. Był tak skupiony na robocie, że nie odróżniał bólu związanego z nadciśnieniem i migreną, choć lekarz nieraz mu to tłumaczył. Krauze nie miał do tego cierpliwości, brał jedno, potem, gdy ból nie znikał, łykał inne, a później zapijał to wszystko kawą. Wiedział, że jeśli nie przystopuje z lekami, kawą i słodyczami, skończy na intensywnej terapii.

Czekał go długi dzień, wieczór, może i noc. Z tego powodu nie lubił jesieni, bo już późnym popołudniem dzień stawał się niemal beużyteczny, błyskawicznie jednał się z ciemnością, krajobraz wypełniał się wszystkimi kolorami szarości, a potem czernią.

Wjechał w uliczkę domków jednorodzinnych. Dotarł do miejsca, w którym kończyła się Wiśniowa, zawrócił i podjechał pod dom Fijałkowskich. Wyłączył światła, ale się nie zatrzymał. Auto toczyło się powoli. Wjechał na podwórze i zaparkował za domem, tak by samochód był niewidoczny z ulicy.

Obszedł budynek, po czym stanął pod jednym z drzew. Czekał. Patrzył na nowy, zbudowany kilka lat temu dom, miejsce, w którym Fijałkowsky chcieli się czuć dobrze, a przede wszystkim bezpiecznie. Pomyślał ze smutkiem, że była to zbyt łatwa do sforsowania przestrzeń. Nie mieli nawet drzwi antywłamaniowych, metalowych rolet w oknach ani alarmu. Znał Igora lepiej niż inni, wiedział, że poza glockiem nie miał żadnej innej broni. I poza swoimi pięściami, które teraz były beużyteczne. Zrobił nimi, co mógł. Niestety nie to, co powinien.

Poprosił ją przez telefon, by obserwowała podjazd przy zgaszonym świetle, z bezpiecznej odległości, więc na pewno widziała, że przyjechał. Nie mógł jej wytłumaczyć, o co chodzi. Zgodziła się bez zająknięcia. Zresztą nie miała wyjścia.

Upewnił się, że nikogo nie ma w pobliżu. Dopił kawę, wrzucił kubek do śmietnika i wszedł na umówiony sygnał.

– Co się dzieje? – zapytała, zamykając za nim drzwi.

Przeszedł do ciemnego salonu i usiadł na kanapie. Weronika naprzeciw niego. Była ubrana w obcisłe dzinsy i koszulę w kratkę. Pasowała jej. Ze swoją aparycją wyglądała jak pogodynka telewizyjna. Miła, sympatyczna twarz budząca zaufanie, rozpuszczone włosy sięgające ramion.

– Gdzie Zuzia?

– W swoim pokoju.

– Wszystko dobrze? Dopytuje o Igora?

– To nastolatka, jest bystra, od razu wyczuła kłamstwo.

– Wymyślisz coś – mruknął, rozglądając się niespokojnie.

– Powiesz mi wreszcie, co się dzieje? I co ma znaczyć twój telefon? Dlaczego miałam nikogo nie wpuszczać?

Filip wyprostował się niczym strażnik stojący przed bramą jednostki wojskowej. Przypomnił sobie telefon od Zuzi. Obiecała, że niczego nie powie mamie. Może to jednak był fałszywy alarm, może nikt jej nie śledził?

– Od kwadransa siedzę jak na szpilkach – powiedziała niemal szeptem, choć i tak wyczuł siłę jej głosu. – Nie wiem, co jest grane. Zlituj się.

Krauze usłyszał jej prośbę, słowa, całe zdania, intonację, ale nie odpowiedział. Zaczął wodzić wzrokiem po pokoju, lustrował niewidoczne punkty za oknem. Po chwili ujrzał pas światła, który najpierw przesunął się po ścianach i przeszedł na sufit.

Bezszelestnie wstał i poszedł do okna. Zrobił to jak zawodowy włamywacz, który na sygnał był gotowy do działania.

Odchylił kurtkę i wy dobył z kabury broń.

Odchylił nieznacznie zasłone, rozszczelnił okno, żeby słyszeć, co się dzieje na zewnątrz. Niewiele widział, było już ciemno.

Obok domu wolno przejechał samochód. Przyhamował, potem powoli ruszył.



– Idź po Zuzię – wyszeptał. – Spakuj najważniejsze rzeczy. Na dwa, trzy dni. Później ci wszystko wyjaśnię. Masz pięć minut.

Bez słowa zrobiła, co kazał.

Wyszli tylnym wyjściem i od razu wsiadli do samochodu. Wyjął z bagażnika lornetkę i podszedł do żywoplotu, który otaczał ich posesję. Na końcu ulicy, jakieś sto, może sto pięćdziesiąt metrów dalej, stało ciemne auto ze zgaszonymi światłami. Może to przypadek, to mógł być mieszkaniec osiedla, ale po tym, co się wydarzyło, przestał wierzyć w przypadki. A przynajmniej wolał spodziewać się najgorszego, by nic więcej go nie zaskoczyło.

Zanotował tablice rejestracyjne i wysłał je do Dominika Rudzkiego z prośbą o ustalenie danych właściciela pojazdu. Aspirant odpisał po minucie, że jest poza komendą, ale postara się szybko dać znać.

Wrócił do auta, uruchomił silnik, ale nie włączał świateł. Wyjechał polną drogą, która znajdowała się za domem, równoległe do głównej drogi. Przejechał kilkadziesiąt metrów, potem skręcił na drogę gruntową, przy której stało parę domów w budowie, nie miały jeszcze dachów, w ciemności straszły wysokie ściany. Zapewne droga z twardą nawierzchnią jest jeszcze w planach. Dotarł nią do końca i wyjechał niezauważony.

Przez całą drogę milczała, choć wiedział, że chciała, aby jej wszystko wyjaśnił. Ale uparł się, że niczego nie powie, dopóki nie dotrą do celu. Patrzyła zamyślona w mieniące się latarnie, które mijali z dużą prędkością.

Dojechał do centrum miasta, do rynku. Wprowadził je do niedużego mieszkania na poddaszu, które niedawno z Olą kupili. Przygotował świeżą pościel i ręczniki, a potem zawołał Weronikę do drugiego pokoju.

– Wysłuchaj mnie do końca, zanim zadasz pytanie.

Potaknęła, patrząc mu prosto w oczy. Dopiero teraz zauważył, że się trzęsła. Nie wiedział, czy z zimna, czy niepewności, czy może ze strachu.

– Masz tu wszystko, czego potrzebujecie. W szafach są produkty z długą datą ważności do spożycia. Potem przywiozę wam resztę. Bez wychodzenia z domu można przeżyć wiele dni. Jesteście tu bezpieczne. Na wszelki wypadek, gdyby dowiedzieli się, gdzie jesteście...

– Kto? Filip, kto?!

– Niedawno wymieniliśmy drzwi na antywłamaniowe. Nie da się ich wyważyć. Nie da się tu wejść, chyba że je otworzycie. Na wypadek, gdyby was znaleźli, choć tego nie robią, w szufladzie – wskazał palcem – jest broń. Gaz i paralizatory. Jedno dotknięcie i ofiara pada. W kuchni są noże, duże, małe, dwa tasaki. A na poddaszu, tuż przy wejściu, masz ostrą broń, ale raczej nie będziesz tego potrzebowała. Traktuj to jako ostateczność.

Spojrzała na niego przerażona, ale nie przerywał swojego wywodu.

– Podejź – rzekł spokojnym, choć rozkazującym tonem, przyglądając się jej uważnie. Musiał mieć pewność, że go słuchała, choć zdawał sobie sprawę, jak trudna była dla niej ta sytuacja. Może zbyt trudna. Jeszcze dwa dni temu siedziała spokojnie w domu, a dziś musiała się ukrywać przed bezimiennymi wrogami. Słuchała, ale jakby nic z tego nie rozumiała. Nocą, w obcym mieszkaniu, czuła się obco. Patrzyła na niego, jakby czekała na informację, że to wszystko żart.

Pokazał jej, jak używać paralizatora i gdzie jest schowana broń.

– Słyszałaś? Tu masz najskuteczniejszą rzecz do samoobrony. Nawet dziecko umie się tym posługiwać. To profesjonalny model, jakiego używają zawodowcy. – Poza tym – zawiesił głos, przeszukując szufladę – są tu dwa noże myśliwskie do patroszenia zwierzyny. Na wszelki wypadek.

– Filip, powiedz mi wreszcie, co się dzieje, bo już tracę głowę – powiedziała tak spokojnie, jakby miała zaraz opaść z sił i nadziei, niczym balon, z którego stopniowo ucieka powietrze, kurczy się, marszczy, a potem nic z niego nie zostaje.

– Ktoś was może szukać, więc przez dzień lub dwa nie możecie wychodzić z domu. Gdyby coś się działo – wskazał palcem i podszedł do okna – wszędzie są rolety antywłamaniowe. Do tego mieszkania nie da się wejść z zewnątrz, rozumiesz? Do tego broń, telefon do mnie, alarm w mieszkaniu. Praktycznie nikt i nic was stąd nie wyciągnie.

– Błagam, wyjaśnij mi!

Krauze zamilkł. Dawno się tak nie czuł. Ostatnie godziny uruchomiły w nim odpowiedni czujnik, który zmobilizował wszystkie jego myśli, dotychczasowe działania związane z bezpieczeństwem, troską o bliskich. Wreszcie spojrział jej prosto w oczy i powiedział:

– Nie wiem, co się dzieje, ale polują na Igora, a mogą też na was. Jeśli zajdzie potrzeba, to będziecie musiały wyjechać. Być może Igor też. Na razie czekamy na rozwój wydarzeń.

– O Boże! – Niemal krzyknęła i od razu dotknęła dłonią ust. Dał jej chwilę, żeby się wyplakała. Przytulił ją, bo wiedział, że tego potrzebowała. Był jedyną osobą, która mogła zapewnić im teraz bezpieczeństwo. Po południu roz-

mawiał też z Olą, wyjaśnił jej, że Igor ma kłopoty. Powiedział, że przez najbliższe dwa, może trzy dni będzie poza domem. Nakazał jej, by odprowadzała Marcela pod same drzwi szkoły, zwracała uwagę, czy ktoś za nimi nie jeździ, i informowała go na bieżąco, gdyby coś się działo. Powiedział też o schowanej w domu broni i dodał, że ze względu na rosnące zagrożenie być może będą musieli wyjechać z miasta.

Spojrzał na Weronikę.

– Wiem, że to będzie trudne... że to jest trudne – poprawił się – ale nie mamy wyjścia. Zaufaj mi, o wszystko się zatroszczę. Zadbam o was. Gdyby coś się działo, dzwoń. Tylko do mnie, do nikogo innego.

– Filip, co nam grozi? Kto na niego... na nas poluje?

– Powiedziałem ci, ile mogłem. Igor zadarł z wyjątkowo podłym zbirem z Kłodzka. Postaram się to jakoś odkręcić. Ale dopóki to się nie stanie, musicie tu zostać. Rozumiesz?

– Ale jak to możliwe? Pobił go? Uderzył go? Potrącił?

– Sam niewiele wiem. Zostaniecie tu tak długo, jak będzie trzeba. Tylko my z Olą mamy klucz do tego mieszkania, więc gdy usłyszysz zamek, to będzie jedno z nas. Jeśli ktoś się zacznie dobierać do zamka, a w wizjerze zobaczysz obce twarze, lepiej sięgnij po broń.

Było ciemno, nad ziemią wisiała mleczna mgła. Nie dostrzegł ani jednej osoby, ale wcale go to nie dziwiło, bo pora nie sprzyjała ani spacerom, ani bieganiu – była bardziej odpowiednia do oglądania filmów, czytania książek albo spania.

Zabrał z piwnicy najpotrzebniejsze rzeczy, włożył je do bagażnika, po czym wsiadł do auta.

Zadzwoił na komendę i powiedział, że zmarła jego ciotka. Poprosił o dzień urlopu.

Po dziesięciu minutach dotarł na miejsce. Po obu stronach ulicy znajdowały się domy jednorodzinne, nowe, zadbane, z równo przystrzyżonymi trawnikami.

Zostawił auto za budynkiem. Rozpakował torbę, a potem poszedł na górę, by włączyć światło. Przed godziną ktoś obserwował dom, a zatem zrobi to ponownie. Musiał zachować pozory i udawać, że życie toczy się normalnie. Po dwudziestej pierwszej włączy światło w sypialni, udając, że Weronika i Zuzia kładą się spać.

Przygotował posiłek i usiadł na moment przed telewizorem. Przełączał nerwowo kanały, nic go jednak nie zaciekało. Poszedł do łazienki, żeby się przebrać. Kiedy stał przy lustrze, popatrzył na siebie, na wysportowaną, choć raczej szczupłą sylwetkę czterdziestolatka, na twarz z lekko rysującymi się zmarszczkami na czole i wokół oczu, ostrą szczęką. Miał zwężone źrenice i zmęczone spojrzenie.

Wziął broń i wyszedł na zewnątrz. Przeszedł tylną bramą, a właściwie czymś, co miało się w tym miejscu znajdować.

Chwilę później dotarł do ostatniego domu na końcu ulicy, a potem przeszedł między posesjami i zatrzymał się na skraju niewielkiego placu, na którym stało wtedy tamto auto. Wsłuchiwał się, obserwował rytm życia mieszkańców, ale nic się nie działo. Żadnych odgłosów, nawet psy nie czekały.

Kiedy wracał tą samą drogą, spoglądał w okna mijanych domów. Patrzył na toczące się spokojne życie mieszkańców cichego osiedla.

Starł się zapamiętać układy posesji, wjazdy, wyjazdy, przesmyki. Zamknął za sobą furtkę i w niewidocznym miejscu przywiązał do niej przezroczystą nitkę.

Rozejrzał się.

Ani śladu samochodu. Ani śladu kogoś obcego, podejrzanego. Bał się, że to może być cisza przed wyniszczającą burzą, po której zostają same zgliszcza.

To była chwila.

Ledwie obudził się ze snu.

Przez parę godzin śnił, a może myślał o tym, co go czeka po powrocie, gdy wyzdrowieje. Będzie musiał powiedzieć wszystko Weronice. Przyzna się do tego syfu. Przeprosi ją. Wybłaga jej łaskę. Zrobi wszystko, o co tylko poprosi. Będzie chodził na kolanach. I obieca, że to nigdy, przenigdy już się nie powtórzy. Nigdy więcej nie ściągnie na nie takiego szamba.

Potem porozmawia z przyjacielem. To głównie jemu należały się wyjaśnienia i przeprosiny. Ufali sobie, traktowali się jak bracia. Może jeszcze da się zatrzymać ten syf. O ile nie skończy z przestrzelonym kolanem albo poderżniętym gardłem.

Chwila.

Ledwie otworzył oczy.

Jednym z masywnych gości był Karakan. Miał czarną, chyba skórzaną kurtkę. Niski, szeroki w barach. Na ręce lśnił duży złoty zegarek oświetlony lampami jarzeniowymi. Dwóch innych nie kojarzył, ale byli jeszcze więksi. Jeden z nich uderzył go w twarz, potem wyrwał kropłówkę. Drugie uderzenie przerwało pracę urządzenia rejestrującego puls. Elektrokardiogram zaczął wydawać coraz wyraźniejsze dźwięki. Pikanie stawało się przeraźliwie głośne.

Pi.

Odgłosy przypominały rytm bicia jego serca.

Pi.

Być może zaraz się urwą, podobnie jak jego życie.

Piii.

Potem poczuł silny cios w skroń. Głowa osunęła się na bok. Uderzenie w brzuch.

Chwycili go z obu stron i wyciągnęli z łóżka. Gdzieś go wlekli. Ledwo kontaktował, wzrok zmętniał, wszystko było zniekształcone, jakby patrzył przez butelkę albo brudną szybę. W przypływie adrenaliny próbował reagować, ale nie mógł. Byli silniejsi.

Nie czuł bólu. Nie wiedział, czy to dlatego, że działa jeszcze morfina, czy dlatego, że stracił czucie.

Zapamiętał, że na korytarzu stał kolejny, również ubrany na czarno, równie wielki. Może Mańkut, może inna wesz. Przytrzymał ubranego w zielony fartuch mężczyznę. Lekarz? Sanitariusz?

Wsiedli do windy.

Myślał tylko o tym, żeby nie tknęli jego rodziny. Modlił się w duchu. Zaklinał rzeczywistość. Przemknęło mu przez myśl, że właśnie traci je na zawsze. Najbliższe, najukochańsze osoby, o które miał walczyć do końca, dla których żył i które były całym jego światem.

Zanim dojechali na dół, Igor miał przed oczami niemal wyłącznie czerń, za którą – miał wrażenie – nie było już nic więcej.

Po półgodzinie poszukiwań znalazł ten cholerny telefon. Był w szafie wciśnięty między bluzy. Igor wyciszył dźwięk, pewnie dlatego Weronika nie słyszała, że wielokrotnie dzwonił. Może to i dobrze, nie odebrała i nie usłyszała czegoś, czego być może nie powinna.

Krauze bez problemu odblokował ekran. Znał kod, setki razy widział, jak Igor go wbijał. Przejrzał listę połączeń. Siedem nieodebranych. Jedno z komendy, reszta numerów to były komórki. Nieznane numery. Czyli to byli oni. Chcieli go dopaść albo jakoś się dogadać.

Ale w jakiej sprawie? Czym im zawinił?

Bez względu na to, jaka była odpowiedź, Krauze miał pewność, że tu wróca.

Przez kolejne minuty analizował wnikliwie telefon kolegi, bo wciąż pamiętał jego słowa. Odczytał wszystkie wiadomości, pomijając te od Weroniki, od innych znajomych i od rodziny. I nagle znalazł coś, co być może miał znaleźć. Może właśnie o to chodziło Igorowi. Była to wiadomość sprzed kilku godzin wysłana z obcego numeru.

*Jeszcze masz wybór. Albo ty, albo rodzina.*

W tej samej chwili Krauze usłyszał dźwięk swojego telefonu. Nim odebrał, podszedł do okna, żeby znów sprawdzić, co się dzieje na zewnątrz. Odsłonił zasłony i rozszczelnił okna. Cisza, spokój.

– Dajesz – rzekł bez słów powitania, odchodząc od okna.

– Mam te dane, o które prosiłeś.

– Notuję – powiedział, choć nie miał niczego do pisania. Musiał się zdać na swoją pamięć.

– Auto należy do Sławomira Dakowskiego. Znasz go?

– Raczej nie.

– Tknięto mnie, bo skoro pytasz, pewnie nie jest to przeciętny Kowalski. Sprawdziłem go w bazie. Wielokrotnie notowany – powiedział Dominik niskim tonem. Krauze wyobraził go sobie: pewnie siedział przed komputerem, gładził się po krótko przyszytych brodzie i popijał koktajl proteinowy albo inny, na redukcję, a może na masę, w zależności od tego, w jakiej był akurat fazie treningowej. W tym momencie nawyki Rudzkiego były jednak drugorzędne, ważne, że robił wszystko, co należało. I najważniejsze – można mu było ufać w każdej sprawie, potrafił trzymać język za zębami, zupełnie jakby zaprzedał duszę diabłu policji.

– Za co?

– Artykuł dwieście pięćdziesiąty ósmy. Udział w zorganizowanej grupie przestępczej. Trzy wyroki. Narkotyki, posiadanie broni, liczne pobicia. Mam spis miejsc zamieszkania. Potrzebujesz?

– Wyślij mi ostatnie. Podejrzewam, że starsze są już nieaktualne. Masz coś jeszcze?

– Wiek, pseudonim, zdjęcie, znaki szczególne. Zależy, co cię interesuje.

– Mów.

– Wiek czterdzieści cztery, z danych operacyjnych wynika, że mówią na niego Dakota.

Krauze potrząsnął głową. Dopiero teraz skojarzył. Nazwisko, pseudonim. Pokrywały się. A więc to o nim mówił Karpowicz. Jeden z najgorszych gangsterów, i to on czekał na Weronikę i Zuzię.

Aż nim zatrzęśło.

– Jak wygląda?

– Gość ma tatuaż na skroni, jakieś wijące się ścierwo, ale to chyba nie wąż.

– Więc co?

– Wygląda mi na – zawiesił na chwilę głos – skolopendrę.

– No dobra, przyda mi się ta mordą, więc podeślij. I... Wrzuc w KSIP pseudonim Karakan.

– Karakan? Serio ten gość? Kojarzę go, aż za bardzo. Czasami bywa w siłowni. To chodzące zło, rzuca się do bicia jak popieprzony. Parę lat temu do mnie burzył, ale ktoś nas rozdzielił. Byłem wtedy na pompie, więc nie wiem, jakby się to skończyło.

– Też go kojarzę, szła macicy na ulicy. Co mówi baza?

– Chwila... chwila. Zawiesza się ta kupa złomu.

Po jakimś czasie usłyszał głos kolegi.

– Krystian Grodnicki, pseudonim Karakan, lat czterdzieści dwa. Sekunda... Co tutaj mamy... Handel narkotykami, kilkanaście spraw o ciężkie pobicie, stręczycielstwo, zamieszany w handel kobietami, pobicie dziewczyny, nielegalne posiadanie broni, jakieś machlojki z VAT-em, ale nie udowodniono, handel kradzionymi samochodami. Nie udowodniono. Nękanie... I znów handel kobietami. Posiadanie nielegalnej broni. Nie udowodniono. Dopalacze. Ostatni wyrok, skazany na kilkanaście miesięcy.

– Dość. Potrzebne mi zdjęcie.

– Zaraz je będziesz miał. Coś jeszcze?

– Rox.

Po tym słowie nastąpiła cisza. Krauze nie wiedział, czy coś zakłóciło połączenie, czy Dominik zamilkł.

– Filip?

– No?

– Co ty, kurwa, kombinujesz? – Nie wiedział, czy rzeczywiście tak było, ale miał wrażenie, że ton kolegi zmienił się na poważny, zbyt poważny. Chyba do tej pory takiego nie słyszał.

– Nic.

– Jak nic? Pytasz o ludzi, o których się nie powinno pytać. A wiem, co mówię, bo bywam tu i ówdzie. Kojarzę te dzikie ryje.

– Nie jesteś moją matką ani ojcem, więc nie mów, co mam robić. Za to mów, jak pytam – rzucił butnie, choć nie był przy tym nadmiernie niemily. Miał nadzieję, że Dominik nie weźmie tego do siebie.

– Okej, więc jesteś pewien, że chodzi ci właśnie o tego – zaakcentował Rudzki – człowieka? Wiesz, kim on jest?

– Tak – odpowiedział spokojnie.

– No dobra. Moment. Mam w systemie „Rox” pisane przez „x” albo Roks przez „ka-es” na końcu. Tomasz Rokowicz, zamieszkały w Stroniu Śląskim. Dwie odsiadki po pięć lat, na początku lat dziewięćdziesiątych oraz od dziewięćdziesiątego dziewiątego do dwa tysiące czwartego. Handel walutą, przemyt spirytusu, rozboje, wymuszenia. Udowodniono mu tylko udział w jednym z nich. Druga odsiadka za zmuszanie do prostytucji. Pobicie dziewczyny pracującej w jego knajpie. Podejrzewany o kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą. I znów posiadanie nielegalnej broni, rozboje, wymuszenia, pobicia.

– Zdjęcie i adres.

– Za parę minut będziesz miał. Coś jeszcze?

Krauze chwilę się zastanawiał. Myślał o rozmowie z Karpowiczem, pseudonimy migwały mu przed oczami niczym koła z obrazkami w jednorękim bandycie.

– Tak, ostatnia osoba to Bambosz. Nie wiem, jak się nazywa.

– Okej, tak tylko ostrzegam i mówię, że jakby co, to nie będę wiedział, jak ci pomóc...

– Wcale o to nie prosiłem. A co na komendzie? – zapytał, by zmienić temat.

– Na razie niewiele. Badam sprawę tej dziewczyny.

– Działaj i dawaj znać. Wyślij mi na maila dane Bambosza. Muszę skończyć. W kontakcie.

Rozłączył się. Napisał wiadomość do Oli, by dała znać, gdyby coś się działo. Nie mógł przestać o niej myśleć. Poprosił ją również, żeby zadzwoniła do Weroniki i ją wsparła. Powiedział jej, że musi je przenocować w nowym mieszkaniu. Wolał, by o wszystkim wiedziała. W okrojonej wersji.

Popatrzył na zegarek. Czas mijał, a jednocześnie jakby stał w miejscu. Podejrzewał, że to będzie długa i trudna noc. O ile podejmą decyzję, by zaatakować.

Mimo wszystko musiał zrobić, co do niego należało. Skoro jeden z nich zjawił się pod szkołą Zuzi, przyjechali tutaj, to znaczy, że mieli plan działania. Chcieli je nastraszyć albo skrzywdzić.

Nie mógł przysłać policji do ochrony. Nawet jeśli by poprosił, żeby funkcjonariusze stali przed domem, niewiele by to dało. Gangsterzy przyjechaliby jutro, pojutrze, za kilka dni.

Z rozmyślań wyrwał go dźwięk telefonu. Zaklął w myślach. Amsterdamski. Jeszcze tego mu brakowało. Ostatnia rzecz, na jaką miał ochotę, to rozmowa z lekarzem.

– Co jest? Nasz pacjent lepiej się poczuł? – zadrwił.

– Kurwa, w coś ty mnie władował?! O mały włos mnie nie pobili. Było ich czterech. Czterech pierdolonych osiłeków. Przyjeżdżaj tu natychmiast. Albo wzywam policję.

– Nie spinaj dupy, co się stało?

– Wpadło tu czterech ludzi. Najpierw narobili zamieszania, a potem zabrali Igora! – wrzasnął do słuchawki tak przerażonym głosem, jakby cudem uniknął śmierci. Słyszał, że próbuje złapać oddech. – Jeden z nich przyparł mnie do ściany, ścisnął za gardło, omal się nie udusiłem. Mam to w dupie, dzwonię na policję, koło chuja mi latają wasze tajemnice. Jestem ordynatorem. A oni tu wtargnęli, porwali mi pacjenta.

– Czekaj chwilę, zaraz tam będę.

– Filip, ja nie żartuję. Widziały to dwie pielęgniarki.  
– Sam wezwę patrol. Za dziesięć minut będzie ktoś z komendy.  
– Obyś, kurwa, nie kłamał, bo inaczej... Filip, obiecuję, że jeśli za moment nie pojawi się policja, to gorzko pożałujesz, że władowałeś mnie na taką minę! – wydarł się.  
– Nie bój się. Zaraz wszystko załatwimy, jak należy. Przyjadą, spiszą zeznania. A teraz powiedz mi powoli, co się dokładnie stało – powiedział spokojnie, choć wcale nie czuł spokoju. Musiał grać. Zmienił temat. – Jak wyglądali?  
– Czterech karków. Wielcy jak szafy dwudrzwiowe. Jeden z nich przycisnął mnie do ściany i kazał zamknąć mordę albo mi oczy wydlubie. A miał czym. Trzech poszło do sali, wyrwali całą aparaturę, w tym kroplówkę, i wyta-  
chali Igora na zewnątrz. Zjechali windą. Filip, to już przekracza wszelkie granice.  
– Wygląd. Co zapamiętałeś?  
– Jeden miał tatuaż na szyi, coś co przypominało skolopendrę. Reszta wcale nie miłsza.  
– Rozpoznasz ich, jak pokażę ci zdjęcia?  
– Tego, który mnie trzymał, na pewno. Wiedziałem doskonale jego ryj. Miał wybite co najmniej dwa zęby. Okropny gość. Tamci nie lepsi.  
– Jeden z nich był niski i napakowany? Z włosami na bok?  
– Tak.  
– Świetnie – rzucił Krauze. Tym niższym był Karakan. Ten z wybitymi zębami to pewnie jeden z tych, których pobił Igor. Pewnie Mańkut. Elmera widział z bliska. Chyba miał wszystkich.  
– Znasz ich? – zapytał roztrzęsiony Amsterdamski.  
– Poniekąd.  
– Świetnie, kurwa. Nie wiem, w co pogrywacie, Filip, ale róbcie to gdzie indziej. Wara od mojego szpitala. I mojego oddziału! Słyszałeś?!  
– Ochłoń. Za dziesięć minut będzie patrol. Zgłoszą się do ciebie. Nic się już nie wydarzy, obiecuję.  
– Nie chcę tu więcej żadnego z was. Zawsze, gdy mam z wami do czynienia, to mi podsyłacie trupy albo ściągacie tu jakichś bandytów. Obaj jesteście równo popierdoleni.  
Podkomisarz się rozłączył. Miał ochotę trzasnąć z całej siły telefonem o ścianę. Musiał zgasić w sobie tę pokusę, podobnie jak przed momentem miał ochotę opierdolić Amsterdamskiego, ale ugryzł się w język. Musiał utrzymywać z nim dobre stosunki.  
Zamknął oczy. Zacisnął z całej siły pięści. Zrobił to tak mocno, że poczuł paznokcie wbijające się w skórę dłoni. Skurwiele go porwali, a więc go zabiją. Potem przyjdą po Weronikę i Zuzię.  
Pierwszy plan nie wypalił.  
Czas na plan B.  
Nie chciał tego robić, ale nie miał wyjścia. Musiał się przygotować na najgorsze.

Dominik Rudzki odebrał tak szybko, jakby trzymał telefon w dłoni i czekał na sygnał.

– Dopiero co się wzięłem za bazę danych. Daj mi chwilę.

– Nie chodzi o to. Sprawa jest cholernie delikatna i nie możesz nikomu niczego powiedzieć, jasne?

– Czyli jak zawsze.

– Weź zaufaną osobę i jedźcie do szpitala kłodzkiego. Zgłoś się do Amsterdamskiego. Spisziesz zeznania. Jego i dwóch pielęgniarek. Czyli tylko bezpośrednich świadków ataku. Potem wrócisz na komendę i tyle. Nic, absolutnie nic więcej z tym nie rób. Wiecie o tym tylko ty i ten, kto z tobą pojedzie. Ma to wszystko wyglądać, jak należy.

– Czegoś tu chyba nie rozumiem.

– Nie musisz. Zrób dokładnie tak, jak ci powiedziałem.

Rudzki nieznacznie parsknął.

– Przecież dyżurni zobaczą, że jestem w szpitalu. Mają na mapie naszą lokalizację, wszystko, co trzeba.

– Więc zostaw radiowóz w pobliżu. W razie czego kontrolowałeś drogę. Ja się z tego będę rozliczał. Masz moje słowo. Oficjalnie jedziesz na zwykły patrol. Nie powinno wam tam zejść więcej niż dwadzieścia minut.

– Okej, jakoś to załatwimy. A możesz mi powiedzieć, o co chodzi? Bo czuję, że kręci się coś poważnego i nie wiem, czy nie nadstawiamy karku. Nie mówiąc o tobie.

– Nie bój się, żadne głowy za to nie polecą – powiedział Krauze, kończąc rozmowę.

Rozłączył się i popatrzył na zegarek.

„A więc plan B”, powtórzył w myślach.

Zadzwoił do Konrada Karpowicza. Były policjant odebrał po dłuższej chwili. W tym czasie Krauze zdążył dokładnie przyjrzeć się zawartości swojej torby. Sprawdził, czy ma wszystko, co potrzeba.

– Musisz mi pomóc – rzekł cicho, gdy kolega odebrał. Potem opowiedział o niespodziewanych wydarzeniach, o swoim planie i o tym, co czekało Igora i jego rodzinę.

– Czego potrzebujesz? – zapytał Karpowicz stanowczym tonem, który, jak ocenił Filip, wyrażał zgodę na działanie.

– Potrzebuję wszystko, absolutnie wszystko, co na nich masz.

– Kilkanaście pękatek teczek, wiele skrzynek. Pozwoli ci to zrozumieć, z kim mamy do czynienia. Sami nie damy rady.

– Damy. Mam plan.

– Chcesz im wypowiedzieć wojnę? Jesteś pewien?

Krauze nie kazał mu długo czekać na odpowiedź.

– Tak.

– Gdzie?

– Czekam na ciebie w domu Igora. Tylko się pośpiesz, mamy coraz mniej czasu.



Czterdzieści minut później podwórce rozświetliły jasne światła terenówki, która w ciemności wyglądała jak amfibia gotowa staranować wszystko, co stanie na jej drodze. Karpowicz zaparkował za domem, więc z ulicy jego auto było niewidoczne, podobnie jak samochód Filipa.

Krauze pomógł mu wnieść do domu duże kartony z dokumentami. Zamknęli za sobą drzwi i przeszli do salonu. Krauze aż gwizdnął z wrażenia. Karpowicz zdjął kurtkę.

– Ułożone tematycznie – oznajmił, wskazując placem. Miał ciężki, głośny oddech, Filip pomyślał, że taki dźwięk wydaje respirator. – W pudłach na dole są wycinki z gazet. Na górze pudła z aktami. Tyle, ile zdołałem zdobyć, nim odszedłem na dobre. I zanim większość tego typu spraw przeszła pod skrzydła CBŚ. Część podesłały dobre dusze z różnych komend. Za dobrą whisky.

Karpowicz wytarł pot z czoła. Zmęczył się. Szybko, za szybko się męczył. Czas robi swoje. Niegdyś mocny, nawet zbyt mocny jak na policjanta, niezłomny, uparty i waleczny facet, powoli gasł. Zapewne chorował. I ta choroba go zjadała. Krauze nie chciał go jednak o to pytać, jeszcze nie. Pogadają jutro, pojutrze.

– Możesz mi powiedzieć, jaki masz plan? – zapytał Konrad, obserwując, jak Krauze przekłada dokumenty. Na zewnątrz panował chłód, ogrzewanie w mieszkaniu nie było włączone, ale gruba dębowa deska na podłodze dobrze izolowała od zimna.

– Na razie zacznę od tego – odpowiedział spokojnie, jakby chodziło o coś oczywistego.

– Ale co zamierzasz? Chcesz się z nimi spotkać, zasalutować im i się przedstawić, wypić piwko, pożartować i zapytać, czym im podpadł Igor? Czy chcesz im, kurwa, wytoczyć wojnę? – Mówiąc to, wyjął z torby ogromny nóż komandoski z hartowanej stali.

Krauze patrzył na akta. Przekartkował część z nich. Nie odpowiedział. Przed nim znajdowały się kartony wypełnione po brzegi tysiącami dokumentów. Było tu niemal wszystko, co udało się zebrać na temat gangu Barakudy. Ogólnodostępne wycinki z gazet jeszcze z lat dziewięćdziesiątych, ale też nowsze. Kserokopie akt i materiały dowodowe. Dziesiątki informacji, chociaż według sędziego i prokuratora wciąż za mało, by kogoś oskarżyć.

W innym pudle były fotografie, wydruki z baz danych policji, liczne zapiski, numery rejestracyjne samochodów, wykaz lokali, barów, hoteli i mieszkań należących do gangu kłodzkiego. Zapewne część tych informacji wymagała uaktualnienia, ale i tak była to świetna baza. Najbardziej zdziwiły Krauzego najnowsze dokumenty policyjne, dokładne dane osobowe wielu gangsterów. Ktoś musiał je na bieżąco przekazywać Karpowiczowi.

– Wciąż żałuję, że już dla nas nie pracujesz – odezwał się. – Jesteś skrupulatny i wytrwały. A takich ludzi nasza policja potrzebuje. Mówię serio.

Konrad znów zacharczał. Trudno było ocenić, czy miało to coś znaczyć, czy był to odruch palacza.

– Doceniam, ale wystów się wreszcie. Jakie masz plany? Chcesz odbić kolegę?

– Zanim to zrobię, chcę mieć pewność, że niczego nie przeoczyłem. Oni grozili nie tylko Igorowi, lecz także jego rodzinie. Nie odpuszczają.

Plan Filipa był szalony i cholernie ryzykowny. Jeszcze nigdy tak bardzo nie ryzykował i nie działał na granicy szaleństwa i obłądzenia. Mógł się jeszcze wycofać, mógł powiedzieć: nie.

Jeszcze nic się nie wydarzyło.

Po chwili jednak stłumił ten głos.

– Czy oni wszyscy wiedzą, dla kogo pracują? – Przeniósł spojrzenie na Karpowicza. – Pytam, bo muszę wiedzieć, jak długi jest ten łańcuch. I kto ewentualnie wydał polecenie pobicia i porwania Igora... Albo zabicia.

– Tak – odpowiedział Konrad, wbijając wzrok w zdjęcia, które trzymał Filip. Znajdowały się na nich sylwetki wielu żołnierzy gangu. Ostre i nalane twarze. Wytatuowane szyje, ręce i twarze. – Ale nikt nie wymienia ksywki Barakudy. Takie są zasady. Nawet w prywatnych rozmowach żołnierzy nikt o nim nie wspomina.

– Rozumiem – przytaknął.

Nagle coś sobie uświadomił. W teczkach znajdowały się zdjęcia z działań operacyjnych policji oraz zrobione przez Konrada, z oddali, z ukrycia. Nikt o pokojowych zamiarach nie gromadzi takiej ilości dokumentów przeciwko zorganizowanej grupie przestępczej. Nieważne, czy to policjant w stanie spoczynku, emeryt, czy w służbie. Te dokumenty mówiły same za siebie: Karpowicz również chciał im wytoczyć wojnę, zwłaszcza Szolcowi.

– Jeśli w szeregach mówi się o jakimś szefie, to tylko o Roxie – ciągnął rzeczowo Konrad. – Pod nim są dwaj oficerowie, Dakota i ten drugi, największy skurwiel wśród oficerów, Bambosz. Moim zdaniem to sadysta i psychopata. Potem Karakan, możliwe, że i Bliźniak, ale nie mam pewności.

– Nie słyszałem o nim.

– Bo on się nie rzuca w oczy. Ale to zajob. Zawsze ubrany w garnitur, biały kołnierzyk, eleganckie koszule. W wolnych chwilach lubi kogoś skatować, choćby swoich pracowników.

– Czemu „Bliźniak”?

– Nie wiem, brata nie ma. Pozornie wydaje się normalny. Wiem, że odpowiada za część interesów związanych z narkotykami i samochodami oraz większym kradzionym sprzętem. Możliwe, że kontroluje też automaty. Tak mi się kiedyś obilo o uszy.

– Samochody? Masz na myśli kradzieże?

– I handel częściami. Jest właścicielem zakładu mechanicznego przy wjeździe do Kłodzka. Podejrzewam, że kręca tam ostre wałki. Dobre miejsce, nierzucające się w oczy, na uboczu.

Krauze odnotował to w pamięci, namyślił się, a potem zapytał to, o co pytał już wcześniej:

– A co z finansami? Kto im to wszystko pierze? Kto inwestuje?

Karpowicz głośno westchnął, jakby gniołło go coś, co chciał z siebie w końcu wyrzucić. Zapalił papierosa.

– To najtrudniejsze do rozgryzienia.

– Ale nie niemożliwe, co?

– Wspominałem ci, że gang jest podzielony na struktury. Niektórzy działają w pełni legalnie, taki Rox prywatnie jest czysty jak łąza, biznesmen rozliczający podatki co do złotówki. W jego barach i restauracjach jest czystiej niż w stołówce w niejednym ministerstwie. Nie ma tam nielegalnego alkoholu, nie ma miejsca na narkotyki. No ale są też na przykład knajpy i lokale, w których sprzedaje się tylko nielegalny alkohol, choć te już nie są oficjalnie na nich, tylko na podstawionych ludzi. Takie jest najtrudniej z nimi powiązać.

– Nie odpowiadasz na pytanie.

– Bo nie da się odpowiedzieć wprost. Podejrzewam, że kasę pierze im ktoś, kogo mi się nie udało namierzyć. Ale ten ktoś istnieje. A jeśli tak, jeśli przez tyle lat udało mu się przed nami ukryć, to znaczy, że jest zajebiście przebiegły i ma łeb na karku. Prawnik, finansista, ekonomista. Ktoś, kto się nie rzuca w oczy.

– Ale coś o nim wiesz?

– Wiem, że istnieje.

– Wiek, pseudonim, cokolwiek?

– Nic nie mam. Kiedyś słyszałem, że ktoś wspominał o osobie, którą nazywają Samson. Tam w kartonie masz pustą kartkę z tym pseudonimem, obok znak zapytania. Nie umiem tego ugryźć. Nie wiem nawet, jak się do tego zabrać, moje źródła aż tak głęboko nie sięgają. To musi być najważniejsza osoba w gangu, jeśli chodzi o finanse. A jeśli ktoś zawiaduje kasą, to znaczy, że jest bardzo wpływowy. Mówimy tu o naprawdę wielkiej kasie, o setkach milionów, które zarobili przez lata w ten czy inny sposób. Podejrzewam, że same legalne biznesy przynoszą im parę baniek. A te nielegalne? Kilka razy tyle. Ktoś, kto do tej pory nie wpadł, jest sprytny. I cholernie inteligentny. Nie rzuca się w oczy. Jest wykształcony. Zna się na inwestowaniu, na podatkach, ulgach, darowiznach, obligacjach, na obrocie walutą. Może wykłada finanse na wyższej uczelni w dużym mieście. Wcałe bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że jest poważanym doktorem czy profesorem. Wszystko biorę pod uwagę, bo mówimy o sporych inwestycjach. A takiej kasy nie powierza się komuś, kto jest powszechnie znany – nawet, jak wspominałem, w szeregach gangu. To jest człowiek cień, który, jak sądzę, utrzymuje kontakty tylko z Barakudą.

Krauze potaknął, wsłuchując się w słowa kolegi.

– Pewnie nawet ze sobą nie rozmawiają przez telefon – podsumował.

– Raczej spotykają się w jakimś neutralnym miejscu. Żaden z nich nie może ryzykować rozmów telefonicznych, maili, esemesów. Wolą minimalizować ryzyko wpadki. Pamiętaj, że mówimy o gangu, którego szef nigdy nie dostał porządnego wyroku i nikt mu nigdy nie udowodnił kierowania zorganizowaną grupą przestępczą. A te jego odsiadki – prychnął i splunął kawałkami tytoniu – to nic. Mówimy o swoistym fenomenie.

Krauze potaknął.

– Okej, wróćmy do ludzi stąd. Do tych, którzy grożą Igorowi i wydali na niego wyrok.

– To znaczy?

– To znaczy, że... muszę ich dopaść. Teraz. Tu. Z tobą.

Konrad Karpowicz bez słowa podszedł do jednego z pudeł. Pogrzebał w nim, a potem wyciągnął kartkę i podał Filipowi.

– Co to?

– Nie co, tylko kto. To Bambosz. Stary bandyta. Od jakiegoś czasu bardzo ostrożny, choć nie uniknął wpadki. Już ci mówiłem. Coś jest na rzeczy. Między nim a Igorem.

– Co?

– Nie wiem, ale to dziwna sprawa, zwłaszcza że dopiero wyszedł z aresztu. Nie pcha się bezpośrednio na, jak to nazywam, działania w terenie. Co nie znaczy, że nie jest groźny. Z moich wieloletnich obserwacji wynika, że to jeden z najgroźniejszych ludzi Roxa.

– Masz jego zdjęcie? – zapytał Filip, przerzucając gorączkowo wszystkie fotografie.

– Tak, jest tam odbitka z akt policyjnych sprzed paru lat. Słaba, bo słaba, ale jest.

Podkomisarz przeszukał pudełko, w którym znajdowało się kilkadziesiąt fotografii. Wreszcie trafił. Pod niewielkim zdjęciem znajdował się pseudonim. Okrągła, nierzucająca się w oczy twarz, zapadnięte oczy. Bez znaków szczególnych, bez zarostu. Bambosze nie wyglądał na groźnego faceta. Przypominał raczej mechanika lub pana złotą rączkę, który od rana do wieczora zasuwa po osiedlu z torbą pełną narzędzi.

Krauze odwrócił się i pokazał koledze zdjęcie.

– Serio, to on?

– Tak. Wiem, co chcesz powiedzieć. Nie daj się zwieść pozorom. Wygląda jak podstarzały tatuś, który codziennie odbiera swoje dzieci ze szkoły. Ale to naprawdę jeden z groźniejszych ludzi, jakich spotkałem w tej kurewsko podłej robocie. Podobnie jest z Dakotą. Lubi pojechać na akcję, rozpiardolić komuś twarz tulipanem, a potem się zwinąć do domu. Taki typ, który wychował się na ulicy, ma za sobą dziesiątki rozbojów i setki bijatyk i doszedł do nieco wyższej rangi. A mimo to wciąż nie potrafi się wyzbyć dawnych nawyków, czyli pospolitej potrzeby przypierdolenia komuś w twarz.

– Jak zwierzęta.

– Jak wielu z nas, Filip. A Igor jest lepszy? Nie zachował się jak zwierzę? – zapytał, ale nie dał Filipowi czasu na odpowiedź. – Oni, poza tym, że są nadzianymi gośćmi, też mają potrzebę, by od czasu do czasu pojechać na akcję. Podobnie jest z Bamboszem czy Karakanem. Mały, kurewsko zadziorny, od razu rzuca się z pięściami do rozmówcy. Niski, odpowiednio nabity.

– Zaczynam się gubić. Więc z kim zadarł Igor?

– Z Bamboszem i Karakanem. Tyle że ten drugi odpowiada za grupę mięśniaków. Jedno gwizdnięcie i lecą jak psy. Handluje, czym popadnie, siedzi też w panienkach. Jest samozwańczym królem wszystkich dyskotek. Pan i władca, który wozi się szeroko i za nic nie płaci. Wszystkie laski jego. Burdele, hotele i menele. Jeździ czerwonym mercedesem cabrio E klasy. Oficjalnie wzięty w leasing. Ma firmę transportową, przeprowadzki, wynajem hali pod hurtownie.

– Masz jego zdjęcie? – zapytał, choć pamiętał, jak wyglądał.

– Po co ci ono? Przecież mówiłeś, że niedawno go widziałeś.

– Wolę się upewnić.

– Gdzieś tam jest. – Skinął głową, pokazując karton, w którym już grzebał. – Włosy zaczesane na bok, boki wygolone na zero. Rozpoznasz go. Widziałem go parę miesięcy temu na ulicy, szedł z dziewczyną. Wszyscy, którzy go kojarzą z dyskotek i jakichś imprez, unikają go, bo to popierdoleniec, istny wariat, ale ważny w gangu.

Krauze znalazł zdjęcie. Tak jak wspomniał Konrad, Karakan miał blond włosy zaczesane na bok. Wyglądał jak student wychowania fizycznego z sińcami pod oczami i wygolonymi brwiami. Ale pewnie po prostu nie odrastały z powodu wielu blizn po bijatykach.

– Siedział?

– Głównie za pobicia, chyba za nic poważniejszego.

– Muszę wiedzieć jeszcze coś, co da mi jakąś przewagę taktyczną.

– Przez lata trenował sztuki walki. To taki bulterier, przy okazji sprytny, dlatego wspiął się nieco wyżej od szeregowych żołnierzy. Gdyby nie to, że jest dość bystry i ma zmysł rządzenia innymi, nadal by tkwił na swojej dawnej pozycji, czyli na dyskotekach. Ale wyczuli, że się im przyda, bo zobaczyli, że potrafił sobie podporządkowywać wielu osiłków. A tacy wciąż się jeszcze przydają. Mniej niż kiedyś, ale jednak.

Podkomisarz przytaknął, nie odrywając się od zdjęć. Potem znów sięgnął po dokumenty, żeby zająć czymś ręce i wchłonąć to, co powinien wiedzieć o tych facetach. W pewnej chwili trafił na zdjęcie nowego, dużego, jednopiętrowego domu. Wyglądał na niedawno zbudowany, ale był jeszcze niewykończony.

– A to? – zapytał, pokazując zdjęcie Konradowi.

– Jeden z domów Barakudy. Zbudowany kilka lat temu. Jakieś trzydzieści kilometrów od Kłodzka. Podobno ma kilka domów i mieszkań, ale znam tylko to. Parę lat temu próbowałem go tam dopaść. Siedziałem tam prawie tydzień, i nic. Potem zrobiłem kilka tygodni przerwy. Wróciłem tam. Innym samochodem. Obserwowałem dom i działkę przez lornetkę. Nie pojawił się ani razu. Szukałem go ponownie parę miesięcy temu. Znowu bez skutku.

– Można by tam wejść, poszukać dokumentów, faktur, rachunków za prąd...

– To jest jakaś myśl. Myślałem, żeby się tam włamać, ale wtedy wyszłoby na jaw, że ktoś go szuka i na niego poluje. Kij ma dwa końce.

– Nikt tam się nie kręcił przez ten czas?

Karpowicz spojrział na niego i pokręcił przecząco głową.

– Ani razu. On się pilnuje. Jest jak pierdolony cień. Zrozum, facet nawet nie mieszka tam, gdzie powinien. Nie mieszka w miejscu zameldowania. Zbudował dom, by w nim nie mieszkać. Rozumiesz, o jakim stopniu ostrożności mówimy? Staralem się zdobyć jakieś billingi, ale się nie udało. Chciałem go powiązać z Roxem albo kimś, kto wydaje polecenia. Gdybym uzyskał billing, to może udałoby mi się udowodnić, że każdy telefon wiązał się z ich działaniami.

– Nie rozumiem.

– Gdzieś w tych dokumentach znajdziesz zeznanie przedsiębiorcy, który wykonuje nagrobki. Wynika z niego, że przyjechało do niego czterech ludzi i zażądali płacenia za ochronę. Tysiąc euro miesięcznie. Niedużo, ale nie chciał zapłacić, mimo że go dość sugestywnie przekonywali.

– Co zrobili?

– Skopali go. Jeden z nich na odchodne wziął kamień, nieduży odpadek z kamienia nagrobnego, i rzucił mu w plecy. Gość poważnie oberwał.

– Kiedy to było?

– W kwietniu tego roku.

– Nie przypominam sobie takiej sprawy, a zwykle u nas lądują takie rzeczy.

– Nie przypominasz sobie takiej sprawy, bo nic takiego nie wpłynęło. Wiem o tym nieoficjalnie. Gość zgłosił to na komisariacie pod miastem. Tak się akurat złożyło, że znam się z jedynym policjantem. Sprawa jednak została szybko zamieciona pod dywan. Trzy dni później gość wycofał zgłoszenie. Powiedział, że się pomylił, bo był, tu uważaj, na bani, i wszystko zmyślił.

– Chyba wiem, do czego zmierzasz.

– No właśnie, klasyczny, wręcz książkowy przykład zastraszenia.

– A te billingi...

– Gdyby się udało połączyć, że Rox albo Dakota komunikowali się ze sobą powiedzmy szóstego albo siódmego kwietnia w godzinach ściągania haraczu, miałbym jakiś punkt zaczepienia. Nikły, ale zawsze. Gdyby zestawili więcej takich spraw, może udałoby się znaleźć w tym pewien schemat, konkret.

– Sądziś, że Barakuda zleca, gdzie i komu ma ściągać haracz?

– Nie. Już ci mówiłem, wszystko zleca Rox.

– Cholera, więc jak go możemy dopaść? – zapytał, sięgając po sezamka.

Jeśli unieszkodliwią paru żołnierzy, a nie dotrą do liderów gangu, oni i tak nie odpuszczą. Wtedy będą jeszcze bardziej zdeterminowani, żeby się zemścić.

Ta lawina wszystko i wszystkich zmiażdży.

– Gdybyśmy chociaż mieli jego telefon, to udałoby się go namierzyć.

– W tym właśnie problem. Nie udało mi się zdobyć numeru. W tych sprawach jest kompletnie nie do namierzenia, bo często je zmienia. Sądzę, że co parę tygodni. Karty pre-paid. To samo z Roxem, Dakotą, Bamboszem, Karakanem czy Bliźniakiem. Wszyscy oficerowie mają setki kart i zmieniają je co parę dni lub tygodni. Podejrzewam, że część to numery zagraniczne, żeby jeszcze trudniej było wskazać właścicieli.

– I ani jednego nie zdobyłeś?

Konrad pokręcił głową.

– Może gdybyśmy mieli telefon któregokolwiek z oficerów albo chociaż jakiegos żołnierza, to numer po numerze doszlibyśmy wyżej, do Roxa, a potem do samego szefa. Można by mu założyć podsłuch.

– Masz kogoś, kto by się tym zajął?

Podkomisarz uśmiechnął się po raz pierwszy od dłuższego czasu. Cholera, cokolwiek się wydarzy, dziś, za tydzień czy za rok, czuł, że ten facet ma wszystko zaplanowane. I wie więcej niż całe CBS razem wzięte.

– Może... Jeśli odpowiednio nagramy temat, może coś z tego być. Tyle tylko, że trzeba by wyjść z cienia, a poza tym z tego, co wiem...

– Ciii... – Filip podniósł wymownie rękę. Karpowicz popatrzył na niego, nie rozumiejąc, co się dzieje.

Krauze poszedł do drugiego pokoju, w którym było ciemno, i zbliżył się do okna.

Jakiś samochód przyhamował przed domem. Chwilę później ruszył, ale nie odjechał daleko. Filip dostrzegł jarzące się czerwone światła stopu. Nie miał pewności, ale to chyba to samo, co poprzednio, ciemne auto.

Odczekał, ale samochód nie wracał.

Albo był to mieszkanie pobliskich domów, albo oni. Wziął telefon Igora, lornetkę i wyszedł przed dom. Stanął przy ogrodzeniu, ale tak, żeby nie było go widać z ulicy. Spojrzał przez lornetkę.

Numery rejestracyjne się zgadzały. To był samochód Dakoty.

Zaklął w myślach i zacisnął pięści w nerwowym odruchu.

Chcieli zaatakować. Przyjechali po Weronikę. I po Zuzię.

Wrócił do domu. Karpowicz siedział w salonie i popijał piwo.

– Znalazłem w lodówce – wytłumaczył się, podnosząc butelkę na znak toastu.

– Wypij za zdrowie Igora.

– A ty?

Sięgnął do torby i wyjął najpotrzebniejsze rzeczy.

– Zobaczyłem kogoś znajomego. Wypadałoby się wreszcie przywitać – westchnął.

Poszedł tą samą trasą, którą przemierzał, kiedy sprawdzał okolicę. Ominął domy, idąc przez niezabudowane jeszcze działki. Dotarł do końca ulicy, przeszedł między barakami i wreszcie dotarł do celu.

Przykucnął i schował się za ogrodzeniem, kiedy dostrzegł zbliżający się samochód. Jasne kombi przyhamowało, po czym skręciło i wjechało na podwórze.

Czekał, aż kierowca wejdzie do domu.

Ucieszył się, że nie było to kolejne auto gangsterów. Z kilkoma naraz mógłby sobie nie poradzić.

Rozejrzał się. Nasłuchiwał. Musiał mieć pewność, że nikt go nie namierzy.

W stojącym w pobliżu czarnym aucie siedzieli dwaj mężczyźni. Jeden miał ogoloną niemal na zero głowę. Drugi, z nieco dłuższymi włosami, był znacznie niższy od swojego kompana, sięgał do połowy zagłówka.

Wszystko się zgadzało.

Dakota. Człowiek do zadań specjalnych.

Pochylony, by nie dostrzegli go w lusterkach, wyszedł powoli z kryjówki, przykucnął i schował się za ich samochodem.

Sławomir Dakowski nie spuszczał z oczu domu Igora. Paliły się światła, a więc byli w środku.

Wolał nie zlecać tego zadania żadnemu ze swoich ludzi. Nie mogli popełnić nawet najmniejszego błędu. Elmer z Mańkudem dali dupy nie tylko w barze, ale także później, w szpitalu. Dlatego uznał, że sam się nimi zajmie. Fijałkowski zmięknie, kiedy się dowie, że mają jego żonę i córkę. Każdy miękł na myśl o skrzywdzeniu rodziny.

Czekał na wiadomość, że Fijałkowski został już dostarczony na miejsce. Pieprzony pies namieszał tak, że trzeba było szybko naprawić ten bajzel.

Na razie jednak czekali.

Karakan co chwilę zmieniał stacje radiowe, dosłownie co kilka sekund, aż w końcu zaczął się tak zachowywać, jakby się zapętlił, wciskał wszystko od nowa, powtarzał każdy ruch. Nerwowo pociągał nosem, jakby musiał znowu coś wciągnąć. A mówił, że od tygodnia nie ćpał. Wkurwiało go to. Miał mu ochotę przyjebać.

– Zostaw to, bo można ochujeć! – wrzasnął. Nie zdążył nic więcej powiedzieć, bo usłyszał dzwonek telefonu. Spojrzał na ekran. Nie miał zapisanego tego numeru, ale znał go doskonale. Zdziwił się. Przecież ten pieprzony pies nie miał przy sobie komórki, obszukali go dokładnie.

– Co jest, do cholery?... – mruknął. Zanim zdążył zapytać o to samo Karakana, usłyszał huk rozbijanej szyby.

Rozsypała się w drobny mak, jej odłamki wsypały się do auta. Przed oczami zamigotał mu długi metalowy pręt. Nie zdążył sięgnąć po broń, a trzasnęła kolejna szyba. Tym razem z jego strony, od kierowcy. Wnętrze samochodu znów zalał deszcz błyszczących kawałków szkła.

Chciał zareagować, ale poczuł bolesne ukłucie, od szyi aż po czubek głowy. Niemal całe ciało opanował obezładniający ból, tak dotkliwy, że prawie zlał się w spodnie.

Dwie, może trzy sekundy później zobaczył, że Karakan wybiega z auta.

Spojrzał na niego kątem oka, nic innego nie mógł zrobić z przekrzywioną i sparaliżowaną szyją. Karakan przebiegł przed maską samochodu i nagle runął na ziemię.

Dakota usłyszał głośnie trzaski paralizatora. Kolejne.

Chwilę później obraz zniknął.

Siedział przywiązany do krzesła. Nie mógł się poruszyć. Próbował coś zrobić, ale wszystko go bolało. Spodziewał się, że tak to się skończy. Wiedział, do czego byli zdolni.

Ledwo żył. Co chwilę tracił świadomość, po czym znów ją odzyskiwał. Co chwilę go cucili. Kołysanie. Falowanie. Balansował na granicy jawy i snu. I jeszcze jedno uderzenie w twarz, nie za silne, pewnie miało go wybudzić.

Gdy ocknął się po raz kolejny, zobaczył przed sobą dwie sylwetki. Rozpoznał tę twarz, twarz starego skurwysyna, którego miał ochotę zmasakrować.

– I znów się spotykamy, zwierzęta policyjna szmato – powiedział Bambosz, zaciągając się fajką i przeczesując nerwowo włosy do tyłu. – Tyle tylko, że u mnie i na moich warunkach. I teraz jesteś na mojej smyczy. Tak krótkiej, że się za moment udusisz, szmaciarzu niemyty.

Dawne demony wyszły z piekła.

Kilka lat temu wpadli na siebie w dyskotecę, pijany Igor i naćpany Bambosz. Zaczęło się, jak to często w życiu bywa, niewinnie. Zahaczyli o siebie barkami. Od prychnięcia do mordobicia minęło parę sekund. Nim bramkarze zajarzyli, co się dzieje, Igor leżał na Bamboszu i okładał go pięściami. Potem podbiegło dwóch osiłków i wyciągnęło ich na zewnątrz.

Wtedy walka był dość równa, o dziwo, nikt się nie wtrącał, mimo że otoczyli ich koledzy Bambosza. Igor nie umiał się opanować. Lał go z całej siły. Uderzenia były metodyczne i precyzyjne, wymierzane tak szybko, że Bambosz nie miał szansy na kontratak.

Bił z dwóch powodów. Dlatego, że Bambosz go zaczepił. I dlatego, że wiedział, z kim ma do czynienia. Z podłym sukurskurwysynem, szefem pieprzonych sutenerów, alfonsów, którzy handlowali kobietami, bili je, gwałcili, oddawali na orgie. A poza tym był zwykłym bandziorem, któremu należał się ostry wpierdol.

I tak, tylko o tym myślał, kiedy ciskał w niego razy. Jeden, drugi, trzeci. Kolejne. Nie mógł się opanować. Nie przejmował się jego kolegami. Wiedział, że w każdej chwili mogli ruszyć do ataku. Ale nie ruszyli.

Blokowali ucieczkę z pola walki.

Po dwóch, może trzech minutach Bambosz podniósł rękę. Miał złamany nos, wybite zęby, naderwane ucho. Rozewrane ubranie. Miał dość. Kiedy pozbierał się z ziemi, powiedział, że przyjdzie czas rewanzu. Nie były to wyraźne słowa, raczej bełkot, zawrodoenie człowieka na skraju utraty przytomności.

Z zamyślenia wytrąciło go kolejne uderzenie, płaski liść na twarz.

– Spierdoliłeś to wszystko, psie. – Bambosz palił papierosa, a jego twarz i sylwetkę spowijał dym. Patrzył Igorowi prosto w oczy, z pogardą.

– Zabrałeś coś, co należy do nas. I chyba się domyślasz, że chcemy to z powrotem.

Igor zacharczał, by zebrać ślinę.

– Czy to reguła, że wam tak wszystkim jebie z ryja jak z dupy? – zapytał spokojnie, wypluwając plwocinę w kierunku Bambosza, ale ślina z domieszką krwi do niego nie doleciała.

Tamten prychnął głupkowato.

– A jeśli o dupie mowa, skoro wolisz ze mną tak gadać... Za moment będziesz miał rewizję na chacie. Szukamy czegoś, co jest nasze. Zresztą, podejrzewam, że chłopaki zrewidują nie tylko twoją chatę, ale również dupę twojej żony. Chciałeś nas wydymać, więc się odwdzięczymy tym samym. Wyruchamy kogoś, kto jest ci bliski. A dokładnie twoją żonkę. Ulica Wiśniowa, tak? Taki jednopiętrowy domek.

– Skur...wie...le. Nigdy! Za...bra...niam ci, szmato. Mam, co wasze. Mam, ale nie ruszaj żony, nie rusz, bo cię zajebię.

– Rachunek jest prosty. Nawet ktoś tak głupi jak ty powinien to zrozumieć. Zrób to teraz, dzisiaj. Albo polecą twój łeb. I łeb twojej pięknej żonki. Córkę może oszczędzimy. Chyba że będziesz za bardzo fikał.

– Zostaw... rodzinę... – wyjęczał Fijałkowski i spojrzał na Bambosza. Nie umiał sprecyzować, co dokładnie mu w nim nie pasowało, ale wyglądał tak pospolicie. Tak zwyczajnie. Jak przeciętny mężczyzna jadący autobusem do pracy. Naprawdę ciężko było uwierzyć, że pod tą niewinną fasadą krył się prawdziwy zwyrol.

– Dobra, psie. Ustalmy fakty. Masz to, co należy do nas. Oddaj to, a będziemy kwita. Chociaż... – powiedział po chwili namysłu – może zrobimy sobie jeszcze gratisik za fatygę, za to, że nam spierdoliłeś dzień. Powinieneś nam

zapłacić dniówkę, bo musiałem otworzyć zakład i teraz muszę ludziom wypłacić nadgodziny. Czaisz? Taki program lojalnościowy za to, że zostaliśmy pogryzieni przez wściekłego, pierdolniętego psa.

– Mam jakieś pieniądze na koncie. Dam ci je, ale nie rusz żony i córki.

– Ile?

– Chyba z piętnaście, może dwadzieścia tysięcy. Mogę wam dać, potem oddam to, co wasze, i zapomnimy o sprawie – powiedział poważnym tonem, by zyskać na czasie.

Bambosz parsknął śmiechem.

– Dwudziestką to ja sobie podcieram dupę.

– To musisz mieć ostrą sraczkę, skoro potrzebujesz aż tyle papieru.

– Nie pomagasz sobie, kurwo zwietrzała.

– Mam dwadzieścia tysięcy, mam samochód. Weź go i spierdalajcie.

– Mało, za mało – cmoknął. – W sumie na uparte go mógłbym je wziąć w rozliczenie, ale boję się, że jest spalone na mieście. Auto po policjancie? Trochę nie bardzo to widzę. Chyba że dorzucisz je w gratisie za to, że cię nie zajemy na mieście któregoś dnia. Jeśli więc nie komis, to opylę części, a blachy potniemy na żyłetki.

– Odpierdol się. Więcej nie mam. Jeśli masz honor, to przyjmij propozycję.

Bambosz, wstał i zaczął rozmyślać, chodząc po ciemnym pomieszczeniu. Wreszcie się zatrzymał.

– Widzisz, Igor, to trochę źle, że się znów spotkaliśmy. Nie wiem, po co nas ruszałeś. Po co znów z nami zacząłeś. Jesteś tak głupi, czy tak pierdolnięty?

– Jakoś mnie tak ciągnie do takich jak ty. Śmierdzących gównem. A może padliną. Trudno odróżnić. Karmię się miejskim zepsuciem i chyba dlatego ciągle na siebie wpadamy.

Bambosz nie zareagował, jakby w ogóle tego nie usłyszał.

– Mam pomysł, który może cię od tego uwolnić. Będzie gwarancją, że nic więcej nie wywiniesz.

– Jaki?

– Zrobimy umowę sprzedaży twojego domu, podpiszesz ją, a potem przechowam ją na wszelki wypadek, gdybyś znów coś odjechał. Wtedy ją wyciągnę, pomacham nią i każę cię wyrzucić na zbity pysk. To będzie moje takie... nazwijmy to... małe zabezpieczenie. Oczywiście zrobimy to legalnie, z notariuszem, jak należy.

– Chyba zwariowałeś, kretynie.

Bambosz uderzył go w twarz. Połała się krew, ale Fijałkowski ledwo ją poczuł. Już nieco oprzytomniał. Wiedział, że nie uniknie ciosów, ale mógł je zminimalizować. Gdy go wcześniej walili w brzuch, napinał mięśnie, a gdy trzasnęli po twarzy, odsuwał ją. Wciąż bolało, bo tego się nie dało uniknąć, ale mniej.

– Serio tylko to chcesz powiedzieć osobie, od której zależy twoje życie? – zapytał Bambosz, zaciągając się końcówką dopalającego się papierosa. Miał spojrzenie psychopaty, który nie odczuwa współczucia. Człowieka, który karmi się bólem innych.

– Mówimy o domu. Dużym, nowym, z działką – powiedział z trudem, łapiąc przy tym oddech, jakby właśnie przebiegł całą długość boiska.

Jego przeciwnik podszedł do stolika w kącie pomieszczenia. Metr dalej siedział napakowany sterydami żołnierz. Ruchy miał nerwowe, ale starał się nam nimi panować. Igor dawno nie widział u człowieka tak dzikiego spojrzenia.

– Tu są papiery – powiedział Bambosz. – Podpiszesz je, oddasz, co nasze, a potem będziemy kwita. Wybieraj.

– Wypierrrdaaalaaaj! – wrzasnął na całe gardło. – Podrzyj to, nie podpiszę żadnego papieru. Poza tym... Nie da się. Do tego potrzebny jest nie tylko mój podpis.

Mężczyzna uśmiechnął się, jakby na ten moment właśnie czekał.

– I tutaj mam dla ciebie, Igorze drogi, małą niespodziankę. Otóż taki sam plik dokumentów ma Karakan, który stoi pod twoim domem i obserwuje twoją seksowną żonkę. Czeka, aż zaśnie. A wiesz, że on lubi mężatki w średnim wieku. – Uśmiechnął się, szczerząc kły. Przynal się bliżej i zaczął wodzić wzrokiem po zmasakrowanej twarzy Fijałkowskiego. Czuć było od niego smród gnijących dziąseł i taniego tytoniu. Być może przemycanego zza wschodniej granicy. Bo pewnie i tym śmieciem handlowali.

– Nie trzymaj mnie w niepewności i odpowiedz wreszcie, ale tak serio, Bambosz, czemu wam tak wszystkim jebie z mordy? Czy w wolnych chwilach liżecie sobie nawzajem dupska, a potem zapominacie się umyć?

Bambosz się zaśmiał, ale błyskawicznie spowaźniał.

– Karakan czeka na sygnał. Stoi pod twoim domem. Masz podjąć decyzję. A potem przystępujemy do działania. Zastanów się. Pomyśl o dupie swojej żony, która zostanie przeorana przez niewyżytych facetów. I pomyśl jeszcze o tym, co cię czeka. Pomyśl o przyszłości, psie. O waszej przyszłości. Ona ci tego nie wybaczy. Rozwiedzie się z tobą, pozbawi cię praw rodzicielskich tylko dlatego, że ją na to naraziłeś. Ją, a właściwie je. Zamieszkanie osobno. Córka przestanie się z tobą widywać. Będziesz próbował walczyć o żonę, o dziecko, ale wyrzekną się ciebie. Zacznieś stopniowo dziadzieć, chlać na boku. Dzień w dzień, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu, aż cię wyjebią z policji. I tak się skończy twoje życie. – Wyprostował się. – Chyba że podpiszesz ten dokument. Wtedy my, jako starzy kumple, zapomnimy o całej reszcie. Chcę tylko tego, żebyś nam oddał, co nasze, a potem dał mi to pierdalone



zabezpieczenie. Zaraz wróć, do tego czasu masz podjąć decyzję – zapowiedział, po czym podszedł do drzwi. – Kolejnej szansy nie będzie. Kiedy Karakan zapuka do drzwi twojego ładnego białego domku, już go nie powstrzymam.

Kolejne ukłucie.

Leżał rozebrany na zimnej betonowej podłodze. Ale coś go dzieliło od betonu. Musiała to być deska. Czuł jej chropowatą fakturę na gołej skórze. Ręce miał unieruchomione, związane z tyłu. Potwornie bolały go nadgarstki. To samo z resztą ciała – naprężona cienka linka, którą był związany na wysokości brzucha i nóg, boleśnie wrzynająca się w skórę.

Nie miał szans, by się uwolnić.

Rozejrzał się po niedużym pomieszczeniu.

Piwnica, garaż? Nie umiał ocenić, nie wyczuwał zapachu silnika, oleju ani pożywienia, więc nie miał pewności.

Stojący przed nim mężczyzna miał maskę. Wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna w kombinezonie roboczym trzymał w dłoni coś cienkiego, strunę albo linkę.

Byli sami.

Mężczyzna wyjął z torby pilnik do metalu i szmatę. Przyniósł bliżej baniak z wodą.

O co chodziło?

Co się stało?

Jak się tu znalazł?

Kto go tu przyprowadził?

Kto rozebrał?

Gdyby miał wolne ręce, rozszarpałby go na kawałki, wydarł mu zębami język, przegryzł szyję. Walczyłby. Ale teraz, przywiązany do deski, nie był w stanie podnieść nóg nawet na centymetr, nie mówiąc o całym ciele, które ślabło z każdą chwilą.

Miał świadomość, że nie może nic zrobić.

Nic.

Stojący nad nim mężczyzna położył obok siebie dwa przedmioty, po czym rzekł niskim głosem.

– Ruszysz się, drgniesz, to potniesz sobie nogi, brzuch, a ja ci nie pomogę.

– Kim...

– Masz jedną jedyną szansę – przerwał mu, podnosząc palec – by mnie powstrzymać. Jedną – podkreślił.

– Kim jesteś? – wybełkotał spod przewiązanych szmatą ust.

– Jeszcze mogę ci darować życie. – To był zniekształcony głos, jakby słowa generował komputer, syntezator. Próbował się przyjrzeć mężczyźnie, znaleźć choćby najmniejszy znak szczególnie, dostrzec kolor oczu – cokolwiek, co pomogłoby mu zidentyfikować napastnika. Nie rozpoznawał go. Może to jakiś konkurencyjny gang. Ale przecież od lat nie toczyli walk o wpływy. Żadnych strzelanin czy likwidowania rywali. Poza tym Rox by uprzedził, że jest problem, zawsze wiedział takie rzeczy.

– Powiesz mi wszystko, co chcę usłyszeć. Będziesz mówił jak na spowiedzi. Skłamiesz, a ja użyję czegoś, co naprawdę zaboli.

Dakota potaknęła nieznacznie. Tamten zdjął knebel.

– Nazywasz się...

– Dakowski.

– Dla kogo pracujesz?

– Dla nikogo. Mam dwa puby w Kłodzku.

– Co jeszcze?

– Bar z fast foodami i burgerami.

– Co jeszcze?

– Zakład wulkanizacyjny i siłownię.

– Legalne?

– Tak – odpowiedział po namyśle, po czym zaśmiał się nerwowo. Domyślał się, że to dopiero początek.

– A teraz powiesz mi, dla kogo pracujesz naprawdę.

– Mam swoje interesy, sam dla siebie jestem szefem.

Mężczyzna w stroju mechanika zaczął cmokać i kiwać głową na boki. Patrzył na niego tak intensywnie, tak przenikliwie, jakby chciał odczytać jego myśli.

– Mówiłem, że to będzie trudny test. Skłamałeś, a myślałem, że chcesz przeżyć.

– Chcę...

– Więc odpowiedz, do kurwy nędzy, dla kogo pracujesz?

– Jestem właścicielem tych miejsc, przysięgam!

Mężczyzna sięgnął po pilnik. Wyjął z torby kawałek drewna, po czym wsadził go z całej siły w zęby Dakoty. Docisnął, sprawdził palcami ułożenie kołka, upewnił się, że zęby są odpowiednio wysunięte. Gdy skończył przygotowania, rzucił zdecydowanym, choć wciąż spokojnym tonem:

– Prosiłem, żebyś mówił prawdę, ale nie chciałeś. To będzie coś, co można nazwać bólem, ale... Poczujesz się tak, jakbym próbował oderwać ci kawałek twarzy. Wrażenie nie do opisanania.

Mężczyzna zacharczał przeraźliwie, próbując się wyrwać, ale nie miał szans. Popatrzył na pilnik i kołek. Tyle wystarczyło. Wiedział, czym jest czeczeńska tortura. Jedna z najokropniejszych.

– Niektórzy nazywają to wilczymi kłami. Paradoks tej tortury polega na tym, że od niej nie umrzesz. Ale... – zrobił krótką przerwę, by splunąć – nikt nie jest w stanie tego wytrzymać. Ból piłowanych zębów sprawia, że popadasz w obłąd.

Gdy tylko Dakota poczuł dotknięcie zimnej stali na zębach, zaczął się rzucać na boki. Mężczyzna w ciemnym kombinezonie docisnął długi pilnik i przesunął go po zębach. Ciężki pilnik z ostrymi zadziorami gotowymi spiłować metal świetnie sobie poradził ze szklivem.

Dakowski zawył całym sobą. Wszystkie jego żyły napęczniały. W życiu nie czuł nic równie nieprzyjemnego i czegoś tak dziwnie bolesnego. Ból zmroził mu na moment mięśnie, spiął się od stóp do głów. Pęcherz nie wytrzymał, kilka kropel moczu zmoczyło mu spodnie.

Mężczyzna odłożył pilnik i wyjął kołek z ust Dakoty.

– Wiem, że to straszne. Ale poczekaj, aż poznasz fałakę.

Dakota cały się trząsł.

– Pracuję dla...

– Nie słyszę.

– Kurwa... Nie mogę, zajebią mnie.

– Albo ja, albo oni. Liczę do dwóch. Jeden...

– Dla Roxa.

– Gdzie go znajdę?

– Nie wiem.

– Błąd. Powiedz, gdzie mieszka. Potrzebny mi adres, a dam ci spokój.

– Ma dwa mieszkania i dwa hotele, jeden w Karpaczu, nazywa się Słoneczna Śnieżka, a drugi... U szczytu gór, zaraz za Dusznikami. Zwykle tam przebywa.

– Doskonale. – Mężczyzna odszedł na bok i zanotował coś na kartce. – A Szolc?

– Kto?

– Waldemar Szolc, mówią na niego Barakuda. Taki stary wojownik z kucykiem. To też twój szef. Ale nie wiem, czy cię do niego dopuszczają. Tylko Rox z nim gada.

Dakota nie odpowiadał. Namyslał się, może coś rozważyć.

– Podaj mi jego adres.

– Nie znam.

– Ostatnie ostrzeżenie. – Przesunął pilnikiem w powietrzu.

– Nie znam go osobiście, przysięgam. Wiem tylko, kim jest, ale nie gadamy o nim. Nie wolno. Nigdy nie byłem u niego w domu. – Zazrzytał nadpiłowanymi zębami, chwytając krótkie, urywane oddechy. – Nie wiem, gdzie mieszka. Przysięgam na matkę. Na wszystkich. Na kogo tylko chcesz.

Mężczyzna sięgnął po kołek i pilnik.

– To nic nie da. Zabij mnie. Ale nie wiem, gdzie on mieszka. Nigdy nie byłem. Nie wiem – wydyszał jednym tchem, panikując.

– Jego jeden dom stoi pod Kłodzkim, nowy, pusty. A drugi?

– Pamiętam... że kiedyś... pewnie przez pomyłkę... Rox powiedział, że do niego jedzie. Ale nie powiedział dokąd. Potem – zaczął ciężko dyszeć – gdy zadzwoniłem do Roxa, powiedział, że jest w Lewinie Kłodzkim. Może mu się wymknęło. Chuj wie. Ale dodałem dwa do dwóch.

Mężczyzna wbił kołek w usta Dakoty i sięgnął po pilnik. Gdy tylko przyłożył go do nadpiłowanych zębów, Dakota znów zaczął się szarpać. Drzazgi wbijały mu się w plecy, a więzy uniemożliwiały ruchy, ale ten ból był niczym w porównaniu z torturą. Miał wrażenie, jakby od tego przerażającego piłowania wibrowała mu czaszka.

Głowa była zbyt mocno unerwiona. Przerażające. Koszmarne. Obezwładniające. Z oczu popłynęły łzy. Nie był w stanie się opanować.

Mężczyzna zatrzymał pilnik w połowie drogi do ust bandziora.

– Chcesz powiedzieć coś nowego czy będziesz łągał? – zapytał, wyciągając kolek.

– Kurwa, kurwa, litościiii... Duży... dom, jakiś... pensjonat w... Lewinie Kłodzkim. Przy samej... granicy, prawie w lesie. W razie czego, by spierdolić... za granicę. Dosłownie kilkaset... metrów od granicy... czeskiej. To jeden z... domów Barakudy. Przy...sięgam, nie wiem nic więcej. Tam mieszka – wyrzucił z siebie i zaczął drzeć, a potem się zmoczył. Nie panował nad odruchami fizjologicznymi. – Jezu. Ratuj. Nie wiem – wydyszał. Łapał oddechy. Krótkie. Rwane. Gwałtowne. – Nic. Przysięgam. Nic więcej nie wiem. Ratuj. Jezu. Za co to? Co ci zrobiłem?

– Jeśli uznam, że mnie oszukałeś, zaserwuję ci coś znacznie mniej przyjemnego. Mam tu jeszcze kilka przydatnych przedmiotów do kontynuowania rozmowy. Falaka. Zapamiętaj to słowo. Po tym już nic nie będzie takie samo. Przez całe życie będzie ci towarzyszyć ból.

– Przysięgam... Nie kłamie. Nie kła...mie – powtórzył, drżąc. Opadał z sił. Rozsypywał się. Wiedział, że jeśli ściemni, to będzie dopiero początek przesłuchań.

– Kiedy ostatnio widziałeś Barakudę?

– Mniej więcej rok... temu – powiedział, dławiąc się własną śliną. – Gadał na parkingu z... Roxem...

– W porządku. A teraz – mężczyzna spojrzał na zegarek i zagryzł usta – czas na jeszcze jedno. Jeśli się zawahasz, piłujemy dalej, aż do dziąseł, do zera. Zemdlejesz. Ale ja ci na to nie pozwolę. Wyleję na ciebie wodę, cały baniak, ocucę cię, a potem wrócę do piłowania. Kiwnij na znak, że rozumiesz.

Dakota przytaknęła. Bał się to zrobić gwałtownie, by nie dotknąć zębami o zęby. Wciąż czuł swąd spiłowanych kości, który wywoływał ciarki. Próbował wypluć spływające mu do przełyku plwociny i opilki, ale nie miał siły, więc cała zawartość lądowała na nim.

– Parę godzin temu twoja grupa porwała Igora Fijałkowskiego. Gdzie on jest? Gdzie go zabraliście? – Mężczyzna znów się zbliżył.

– Neee! – wykrzyknął z otwartymi ustami. – Neee, neee, wszystko poweeeeemm. Baagaamm.

– Co z nim? – zapytał, odsuwając metal od zębów. Wyjął kolek, by mógł mówić.

– Jest w... zakładzie... Aaaauto-Nap...aawa – wydukał, nie wymawiając niektórych głosek. – Wjazd z Kłodzka od st...oony północno-zachodniej.

– Ulica.

– Nowo...udzka.

– Ilu jest tam twoich ludzi?

– Czte...rech.

– Kto?

– Bam...bosz... Azir... Pająk... Kucol.

Napastnik wstał i odłożył pilnik na podłogę w bezpiecznej odległości.

– Jeśli się okaże, że skłamałeś, wrócę tu.

Dakota pokiwał głową na znak, że zrozumiał.

Mężczyzna stanął przed drzwiami i popatrzył na gangstera. Faceta, który przez ostatnie lata trzymał w strachu całą okolicę na rozkaz swoich szefów. Osobę wpływową i niebezpieczną, która bezwzględnie rządziła rozwścieczonymi i oddanymi żołnierzami, gotowymi pobić, skatować, porwać lub zabić każdego, kto im się nawinął.

Dakota międlął w ustach smak swoich spiłowanych zębów. Jego mocz spłynął po desce na betonową podłogę. Próbował się poruszyć, zrobić coś ze swoim ciałem. Przede wszystkim chciał się skulić, ułożyć w pozycji embrionalnej, która pozwala koić ból, upokorzenie i bezradność.

Ale nie mógł tego zrobić.

I to też była jedna z tortur.

Weronika odebrała po pierwszym sygnale. Pewnie cały czas trzymała telefon w dłoni, czekając na kolejne informacje. Nie dziwił się jej.

– Co się dzieje? – zapytała nerwowo.

– Wręcz przeciwnie. Na razie wszystko w porządku – powiedział ściszym głosem. Obrócił się i spojrzał za siebie, na dom. Zajrzał przez okno do kuchni. Karpowicz siedział przy stole i dopijał resztkę piwa. Sprawdzał coś w telefonie.

– Co z Igorem?

– Zaraz do niego jadę. Coś mu przekazać?

– Tak. Że cały czas o nim myślę. I żeby szybko wracał do zdrowia – powiedziała po chwili, nieco zmieszana, jakby nie była przygotowana na to pytanie.

– Przekażę – odpowiedział, choć nie wiedział, czy uda mu się spełnić tę obietnicę. – Wszystko dobrze?

– Tak, Zuzia już usnęła. Nie wiem, co ona myśli. Ale wyczuła, że coś jest nie tak...

– Jeszcze tylko dzień lub dwa – przerwał jej. – Nie bój się, nic wam nie grozi, to dla waszego bezpieczeństwa. Chcę mieć pewność, że sytuacja się uspokoi.

– Obiecujesz, że to się dobrze skończy?

– Nigdy cię nie okłamałem. Mam nadzieję, że niczego wam nie brakuje? – zmienił temat.

– Niczego, dziękuję.

– Nie masz za co. Odezwę się jutro – rzucił na koniec i z ulgą przeciągnął czerwoną ikonę po ekranie.

Potem zadzwonił do Dominika.

– Zająłem się sprawą, o którą mnie prosiłeś. Amsterdamski i dwie pielęgniarki, jak się umawialiśmy. Plus ten ochroniarz.

– Uspokoiłeś doktora?

– Mam nadzieję, choć był strasznie wkurzony.

– Masz zeznania?

– Tak.

– Świetnie. Wrzuć wszystko do mojej szuflady w biurku.

– Możesz mi powiedzieć, co...

– Jeszcze nie. – Nie pozwolił mu dokończyć. – Dowiesz się w swoim czasie. Masz moje słowo. Jak wyglądali napastnicy?

– Czterech osiłków, jeden niski z blond fryzurą. Charakterystyczny, podejrzewam, kto to, ale nie chcę mówić przez telefon. Sam wiesz dlaczego. Reszta to zwykłe matoly na posyłki.

– Dzięki za pomoc, o to mi chodziło.

Wyłączył telefon i przymknął na moment oczy. Przypomniał sobie tamten wieczór, upewnił się, że zrobił, co trzeba. Że obaj od momentu przyjazdu tych ludzi pod dom Igora, od chwili ataku, niczego nie pominęli. I że o wszystkim pomyśleli.

To należało do niego. Reszta do Karpowicza. Tak się umówili. Krauze nie chciał brać w tym udziału. Gdyby doszło do wpadki, mógł za to beknąć.

– Co masz? – zapytał, siadając naprzeciwko zmęczonego Konrada.

Ten zrelacjonował, co udało mu się wyciągnąć od Dakoty.

– Dobra, trzeba się nim zająć.

– Jadę z tobą.

– Nie, zostajesz tu i pilnujesz tych dwóch. Sprawdzaj ich co jakiś czas.

Karpowicz potaknął.

– Co z telefonem? Jest tam coś ciekawego? – zapytał Filip, kierując wzrok na smartfon.

– Jakieś wiadomości. Kilka o udanej dostawie.

– Czego?

– Nie ma informacji. Są więc dla nas bezwartościowe. Przejrzałem też telefon Karakana, bez rezultatu. Żadnych obciążających informacji.

– A książka adresowa?

– Znalazłem kilka numerów opisanych jako R., K., A., K., M., B.

– R. to pewnie Rox. K. – Karakan? A... nie kojarzę żadnego.

– Dakota mówił o jakimś Azirze. Nie znam, choć pewnie przewinął się gdzieś w aktach. Podejrzewam, że to szeregowy żołnierz na posyłki.

– A ten drugi K.?

– Kucol. Też mi o nim wspomniał. Kolejny bandzior na dole bandyckiej drabiny. To on był w szpitalu.

– M., pewnie Mańkut. B., Bliźniak? Bambosz? Barakuda? Hm... Czyżby miał numer do samego szefa? Karpowicz stanowczo zaprzeczył. Skrzywił się, słysząc ten pseudonim.

Mimo to Krauze zauważył w jego oczach cień nadziei. Może Konrad widział siebie wspinającego się po piramidzie ludzi, by dotrzeć do tej jednej, najważniejszej osoby.

– Okej, Konrad. Niedługo przywiozę tu Igora. Możliwe, że trzeba będzie zorganizować lekarza, ale takiego, który potrafi trzymać głębię na kłódkę. Po dzisiejszych wydarzeniach Amsterdamski odpada.

– Załatwię zaufanego medyka. Tylko trzeba będzie zapłacić mu ekstra.

– Pogadaj z nim, niech będzie pod telefonem.

Krauze wstał, sięgnął po torbę ze sprzętem i podeszedł do drzwi.

– Filip... – Konrad zatrzymał go w połowie drogi.

– No?

– Dakota sypnął się w sprawie Barakudy.

Krauzemu zaświeciły się oczy.

– Co powiedział?

– Marnowałem wtedy czas. Ma pensjonat w Lewinie Kłodzkim, podobno tam mieszka – mruknął i zaczął wodzić wzrokiem po podłodze, a potem znów spojrzął na kolegę. Widać było, że Karpowicz walczy z myślami, jakby próbował sobie coś przypomnieć, jakby dopiero teraz coś do niego dotarło. W tej właśnie sekundzie, gdy wypowiedział je na głos, słowo „Lewin” obudziło w nim jakieś skojarzenia. Coś, co zatopił głęboko w pamięci.

Chwilę trwało, nim się ponownie odezwał.

– Nic mi to nie mówi. Znam tę miejscowość, ale z niczym poza lasami, wiaduktem i górami mi się nie kojarzy. Jesteś pewien, że to właśnie tam?

– Jestem. Podobno czasami spotyka się tam z Roxem, żeby omawiać interesy. Sprawdziłem już. W Lewinie jest sporo pensjonatów, apartamentów na wynajem, motelików, pokoi gościnnych. Nie możemy ryzykować w ciemno. Musimy się dowiedzieć, który to dom. Nie możemy tego spieprzyć. Trzeba działać szybko. Jak się zorientują, że Dakota z Karakanem zniknęli, oni również się ulotnią. Zmieniają numery, a wtedy wszystkie, które zdobyliśmy, będą już nieaktualne. Zamieszkają w innych domach, wymienią samochody. A może wyjadą za granicę. Po jakimś czasie zbiorą siły i zaatakują nas w najmniej spodziewanym momencie. Więc trzeba to zrobić dziś, mocno i skutecznie. Póki jest noc. Mamy mało czasu, tylko parę godzin. Do rana.

– Do rana... – powtórzył Krauze, namyślając się. Był przejęty i jednocześnie zdezorientowany. – Nie martw się. Dopadniemy tego potwora.

Przez twarz Karpowicza przebiegł blady uśmiech. Krauze zdał sobie sprawę, że to niecodzienny widok. Konrad należał do ludzi, którzy noszą w sobie nieprzepracowane smutki, walczą z nimi, wałkując je w myślach każdego dnia.

Ale tego nie dało się od razu zauważyć. To było widać tylko w oczach. Smutek i niezamknięte sprawy z przeszłości, przedwcześnie skończona kariera policjanta, któremu nie udało się wsadzić do więzienia jednego z największych bandytów w Kotlinie Kłodzkiej.

– Tyle lat czekałem, żeby wreszcie go spotkać. – Karpowicz wyrwał się z zamyślenia. – Spojrzeć mu w oczy i powiedzieć, że nadszedł czas, by posłać go tam, gdzie jego miejsce. Do piekła. Z powrotem do miejsca, w którym urodził się ten mój przeklęty brat.

Musiał zwizualizować sobie to miejsce, okolicę, by nic go nie zaskoczyło. Sprawdzić wszystkie wjazdy i wyjazdy, drogę dojazdową i powrotną, zjazdy, skrzyżowania i ewentualne monitoringi, miejsca potencjalnie ryzykowne. Przybliżył widok satelitarny miejsca, policzył, ile czasu zajmie mu dojazd, potem powrót do domu – ale tym razem inną trasą, bocznymi drogami. Musiał przemyśleć wszystko. Karpowicz zamienił garaż Fijałkowskich w miejsce przesłuchań, a Filip musiał zadbać o to, by w domu Igora nie zostały żadne ślady – krwi, moczu, narzędzi ani broni. Za domem stało auto, którym przyjechali Dakota i Karakan. Miało powybijane szyby. Na szczęście większość rozbitej szyby wpadła do środka, dzięki czemu na ulicy nie został większy ślad po ataku.

W salonie urządzili miejsce przechowywania dokumentów. Na podłodze leżały dziesiątki fotografii, mniejszych i większych, kolorowych, czarno-białych, robionych z bliska i z daleka. Krauze przez ostatnią godzinę starał się zapamiętać każdą osobę, każdą twarz, każdy pseudonim.

Przejechał niemal całe zatopione w ciemności miasto, które tylko punktowo było oświetlone pomarańczowym światłem latarni.

Nawigacja podpowiedziała mu, że zbliża się do celu. Postanowił zostawić samochód dwie przecznice od zakładu. Idealna odległość, by dojść na piechotę, a w razie potrzeby szybko wrócić do auta. Choć jeśli Fijałkowski jest w ciężkim stanie, będzie musiał go taszczyć lub nawet nieść. Ale i to wziął pod uwagę. Policzył szybko w pamięci. Znajdował się jakieś sto pięćdziesiąt metrów od celu, da radę. Wystarczy zastosować chwyt strażacki i tak transportować Igora. Już go tak kiedyś niósł. Igor został pobity w lesie, kiedy zajmowali się sprawą brutalnych morderstw w jednej z dolnośląskich wsi.

Zaparkował, przebrał się w strój taktyczny, włożył czarną kamizelkę kuloodporną, nałokietniki, rękawice i kominiarękę. Do lewego przedramienia przyczepił kaburę na paralizator w formie pałki, który był również latarką dającą regulowane wiązki światła. Do prawego uda przymocował opaskami na rzepy kaburę z bronią na ostre pociski, do lewego – z bronią na gumowe kule, Smith & Wesson.

Zabrał ze sobą plecak z niezbędnymi rzeczami, po czym ruszył do celu.

\* \* \*

Dwie minuty później stał przed wysokim ogrodzeniem zakładu mechanicznego „Auto-Naprawa Dariusz Rębkowski”. Ten jednokondygnacyjny budynek o sporej powierzchni, wyglądający jak dyskont spożywczy, należał do Bliźniaka. Dwa wjazdy dla aut osobowych, na obu logo producenta opon, obok sztyld „Wulkanizacja, serwis”. Wokół budynku stały samochody, część z nich rozbita w wypadkach, w innym miejscu czekające na naprawę, po prawej stronie bramy auta naprawione.

Zostawił plecak za niedużą skrzynką ZK z licznikami energetycznymi, wyjął lornetkę i przeszedł kilkanaście metrów dalej, na niewielki plac. Widział stąd zaplecze zakładu. Przed wjazdem, tuż obok bramy, stała lampa oświetlająca teren zakładu. Z tyłu było ciemno.

Sięgnął po noktowizor. Ujrzał w zbliżeniu budynek. Zielony obraz z odcieniami czerni i grafitu. Nic się nie działo, z tyłu nikogo nie było. Odczekał minutę, obserwując tylne wyjście.

Nic.

Wrócił pod główną bramę. Przed budynkiem stały dwa samochody, oba czarne i oba luksusowe, mercedesy S klasy. Wyglądały jak nowe. W świetle lampy nocnej ich lakier połyskiwał tak intensywnie, jakby dopiero wyjechały z myjni. To nimi pojechali po Igora. Popełnili błąd. Nie powinni jeździć na akcję takimi samochodami, za bardzo rzucały się w oczy. Powinni jeździć takimi, których jest pełno na drogach i nikt na nie nie zwraca uwagi.

Obszedł ogrodzenie, żeby sprawdzić, czy jest tu jakiś pies, ale nie zauważył ani budy, ani żadnego zadaszania.

Rozejrzał się. Kiedy się upewnił, że nikogo nie ma na zewnątrz, podciągnął się i przeskoczył przez płot. Bezpiecznie wylądował między samochodami. Odczekał chwilę, ale nikt się nie pojawił.

Powtórzył w myślach. Kucol, Azir, Bambosz i ten czwarty. Mógł też być tu Bliźniak, właściciel. A więc czterech. Dwóch już leżało w domu Igora obezwładnionych. Jeśli dobrze pójdzie, to w jedną noc unieszkodliwią sześciu gang-

sterów.

Przyjrzał się budynkowi w kształcie prostopadłościanu. Nie widział stąd żadnego światła dochodzącego ze środka. Przeszedł kilka metrów i dostrzegł wąską jasną smugę wydobywającą się ze szczeliny przy bramie garażowej.

Zajrzał do wnętrza mercedesów, w których co kilka sekund błyskały błękitne diody alarmu. Nic szczególnego nie zauważył. W środku nie było żadnych przedmiotów ani dokumentów. Zbliżył się do drzwi budynku. Nacisnął ostrożnie klamkę. Były zamknięte. Nie dostanie się do środka, jeśli ich stamtąd nie wywabi.

Wrócił do mercedesa bandytów, usiadł na masce i zaczął bujać autem. Włączył się alarm. Ciemność rozświetliła się intensywnym pomarańczowym światłem. Na szczęście w pobliżu nie było budynków mieszkalnych – same zakłady i magazyny, więc nie ryzykował dużo.

Wrócił pod budynek.

Stał przy drzwiach, tuż przy futrynie, do której były zamocowane zawiasy. Wyciągnął paralizator i na wszelki wypadek broń.

Czekał.

Po chwili ktoś przesunął rygiel. Drzwi otworzyły się szeroko. Ze środka wyszedł masywny gość. Ogolona głowa, mocny kark. Miał na sobie grubą kurtkę dżinsową z futerkiem. Głośno sapnął i przeklął siarczyście. Miał dziwny akcent. Wyjął z kieszeni pilota i wyłączył alarm. Rozejrzał się, potem zrobił kilka kroków. Sięgnął po papierosa.

Krauze zamknął drzwi i ruszył za nim. Podeszedł go od tyłu i przyłożył mu do szyi paralizator. W ciszy rozległ się trzask. Po chwili olbrzym runął nieprzytomny na ziemię. Wielkość i siła człowieka nie miały tu większego znaczenia. Wysokie napięcie powalało każdego.

Krauze kucnął i się odwrócił. Nikt nie wyszedł. Na razie szło nieźle. Wewnątrz powinno być jeszcze trzech zbirów. Wyjął z kieszeni opaski zaciskowe i założył je na przeguby rąk bandyty. Obrócił go na plecy i mu się przyjrzał. Nie znał go ani nie kojarzył ze zdjęć. Typowa morda osiłka, bramkarza, którego zakres obowiązków obejmował tylko robienie odpowiedniego wrażenia, ewentualnie miażdżenie nosów. Przeciągnął go z trudem kilka metrów dalej, za budynek. Zakleił mu usta taśmą i zabrał dokumenty, kluczyki do auta oraz telefon.

Zwizualizował wnętrze budynku. Po lewej stronie masywne drzwi garażowe zapewne prowadziły do hali warsztatowej. Po prawej sklep z częściami i biuro.

Wyjął broń na kule gumowe. Dawała taktyczną przewagę w bezpośredniej walce z przeciwnikiem. W drugiej ręce trzymał paralizator.

Otworzył drzwi i zajrzał do środka. Korytarz był ciemny. Włączył latarkę. Hol miał ponad dwadzieścia metrów. Na końcu rozdzielał się w dwóch kierunkach na kształt litery T. Tak jak podejrzewał, po prawej biuro, po lewej warsztat, może magazyn.

Ruszył bezszelestnie, ale po chwili przystanął. Z wnętrza budynku dochodziło pojękiwanie. Przystanął się do ściany i schował za szafką. Korytarz był pusty. Zdjął kominiarkę, by lepiej słyszeć. Nie miał wątpliwości, że dobiegł go głos Igora. Zdawał sobie sprawę, że jego przyjaciel przeżywa katusze, ale musiał wytrzymać jeszcze moment.

Kiedy upewnił się, że nikt nie nadchodzi, ruszył. Skręcił w krótki korytarzyk, na którego końcu znajdowały się drzwi. Zacisnął palce na rękojeści broni. Drugą ręką otworzył pomieszczenie.

W środku było ciemno. Typowe biuro, dokumenty, segregatory, komputer stacjonarny. Wycofał się, zamykając drzwi.

„Trzy osoby”, powtarzał wciąż w myślach. Trzech temperamentnych gangsterów znajdowało się w hali warsztatowej, w tym najgorszy sukinyś, Bambosz.

Nim wrócił do rozwidlenia, usłyszał wyraźniejsze dźwięki. Mężczyźni przeklinali. Ich głosy niosły się w ciemności. To ułatwiło Krauzemu sprawę, bo mógł iść śmiało bez obawy, że go usłyszą.

Dotarł do drzwi, za którymi mieścił się warsztat. Jedno pchnięcie i wszystko stanie się jasne. Wreszcie wyciągnie kolegę z tego przeklętego syfu.

Przygotował broń i wszedł do środka.



Cienkie światło niewielkiej latarki punktowej nie ujawniło obecności człowieka. Na podnośniku stały dwa pojazdy. Rozejrzał się, ale nikogo nie dostrzegł. A jednak kilkanaście sekund temu słyszał głosy. Gdzieś musiało być jeszcze jedno pomieszczenie. Poczł zapach smaru i oleju silnikowego. To miejsce było nim przesiąknięte. W kącie stały beczki z towotem, obok ręgał z częściami zapasowymi. Po prawej stronie, na wprost wjazdu, stojak z oponami oraz długi stół z narzędziami. W pewnej chwili coś dostrzegł. Za stojakiem były drzwi. Kiedy tam dotarł, usłyszał odgłosy.

Jęknęcie, potem uderzenie. Jedno, drugie. Przysunął się bliżej.

– Zmień mnie, mam dość, idę za moment na fajkę. Nie wiem, co z nim zrobić. Trzyma się mocno jak pomnik faraona.

– Nie ma czegoś takiego jak pomnik faraona. Są posągi. Idź lepiej sobie przywal setę, bo ci jebie na dekiel – odpowiedział drugi głos.

– Żebyś, kurwa, wiedział. A wy wyciągnijcie od niego informacje. Musi nam powiedzieć.

Krauze się namyślał. O co im chodziło? Co Igor miał powiedzieć?

– Gdzie Kucol? Długo go nie ma – rozległ się wściekły głos.

Przez moment zastanawiał się, co zrobić – wywabiać po kolei każdego z nich czy zaatakować jednocześnie. Trzech nie powinno mu sprawić kłopotów. Po pierwsze dlatego, że był uzbrojony po zęby, a po drugie dlatego, że żaden z nich nie spodziewał się ataku. Kule gumowe i paralizator – odpowiednio użyte – dawały niesamowitą przewagę. Miał za sobą setki akcji policyjnych, nalotów, w tym również z grupami szturmowymi antyterrorystów, więc wiedział, jak zaskoczyć napastników. Na tym polegała większość ataków policji. Specjalnie podczas akcji używali granatów hukowych, by wystraszyć przeciwnika, pozbawić go poczucia pewności siebie, oszukać zmysły.

Usłyszał kolejne jęknięcia, a po krótkiej chwili następane.

Miał dość czekania.

Z całej siły trzasnął nogą w drzwi i wrzucił do środka dwa granaty błyskowo-hukowe. Poleciały do przeciwnych kątów magazynu. W tej samej sekundzie nastąpiły po sobie dwa huki oraz błyski, które zaskoczyły i zdezorientowały mężczyzn. Filip kątem oka zobaczył Igora. On również drgnął.

Krauze wycelował w największego. Strzał trafił mężczyznę w okolicę szyi. Uderzenie pistoletu paralizującego sprawiło, że facet zaczął się trząść. Z trudem próbował złapać oddech, dusił się i po chwili osunął się na ziemię.

Podkomisarz błyskawicznie podbiegł do drugiego gangstera i uderzył go w głowę, a potem wcisnął włącznik paralizatora. Urządzenie wygenerowało impulsy o gigantycznej mocy pięciuset tysięcy woltów. Chwilę później krótko ostrzyżony osiłek runął na ziemię. Miał go więc z głowy na jakiś czas, pewnie kilka minut.

W tej samej chwili stojący nad Igorem facet obrócił głowę i spojrzał prosto w oczy Filipa.

Obie postacie znieruchomiały jak w zwolnionym tempie. Wymiana spojrzeń. Krótka, ale wymowna.

To był on.

Bambosz.

Wysoki mężczyzna z psychopatycznym błyskiem w oku.

W sekundę Krauze podskoczył do niego i z całej siły trzepnął go w twarz. W tej samej chwili Bambosz rzucił się na niego. Uderzył policjanta z liścia. Zabolalo, ale nie mocno. Zamachnął się błyskawicznie i uderzył ponownie. Wziął trzeci zamach, ale tym razem Filip był przygotowany. Ukucnął błyskawicznie, podcinając go. Ale gangster nie padł. Zachwiał się i po chwili wrócił do pionu, gotowy do walki.

– Nie wiesz, z kim zadzieraaaaszzzz, kurwo niemyta – wysyczał i rzucił się na Krauzego. Ten jednak w porę się odsunął i walnął go w nos. Usłyszał głośne trzaśnięcie, które brzmiało jak odgłosy rozgniatanego jabłka. Bandzior skrzywił się, splunął i ponownie rzucił się na Filipa, który wykonał unik. Policjant szybko stanął stabilnie i ponownie wycelował w nos. Usłyszał trzaśnięcie i pęknięcie jednocześnie. Ale Bambosz wciąż stał.

– Zabiję cię, chuju zwietrzały. Zapierdołę widelceeeem!!! – wrzasnął. Odsunął rękę i przywalił Krauzemu w szyję. W tym momencie Filip włączył paralizator. Urządzenie zaczęło wydawać trzaski. Odgłos przeskakujących impulsów elektrycznych rezonował w ciasnym pomieszczeniu. Zbir odskoczył, zmienił pozycję i znów był gotowy do dalszej walki.

Krauze włączył latarkę, którą omiótł zaciemniony magazyn. Bambosz zasłonił rękami twarz, tworząc gardę jak wprawny bokser. Uderzył sierpowym, ale Filip w porę się uchylił. Gdy się wyprostował, zobaczył, że Bambosz po coś sięga. To była broń. Ostra. Krauze chwycił swoją i wystrzelił, trafiając w bark. Kolejne dwa strzały oddał w obie dłonie psychola, by je unieruchomić. Na jakiś czas.

Gangster zaczął wyc z bólu. Filip wykorzystał to i uderzył go ponownie, tym razem powalając na ziemię. Wyjął trytytki i spiął nimi przeguby rąk Bambosza. Sięgnął po jego broń i kopnął za drzwi. Gdy się upewnił, że wszyscy są unieruchomieni, zadzwonił do Karpowicza.

Igor siedział na krześle pod ścianą. Miał na sobie tylko spodnie. Z ust spływała mu krew. Miał spuchnięty nos, powieki i łuki brwiowe były skorupą. Wyglądał jak bokser po wycieńczającej walce na życie i śmierć. Chyba bliżej mu było do śmierci.

– Masz tego lekarza?

– W centrum, przy Łukasińskiego. Wiesz, gdzie to?

Krauze oszacował, że dotrze na miejsce w dziesięć minut. Może szybciej.

– Wyślij mi numer domu i mieszkania. I powiedz mu, że za chwilę będę.

Rozłączył się i popatrzył na kolegę. Jego głowa kiwała się na boki. Był skrajnie wycieńczony i zapewne nie wiedział, co się w tej chwili działo. Przeciął linę nożem. Ciało jego kumplaomal nie runęło na ziemię, ale w ostatnim momencie go złapał. Poluzował więzy na dłoniach, by przywrócić krążenie.

Podszedł do leżących mężczyzn. Żaden z nich się nie poruszał. Cztery osoby powalone w ciągu niespełna czterech, może pięciu minut. Dobry wynik.

Musiał działać szybko, bo wiedział, że niedługo zaczną odzyskiwać przytomność. Przeciągnął ich i przymocował dodatkowymi kajdankami nylonowymi do stojącego regału. Spiął im dłonie, a po chwili również nogi. Wyjął z plecaka kolejne opaski samozaciskowe, które owinął im wokół szyi i również przypiął do metalowego mebla. Oceniał, czy będą się w stanie wydostać. Podejrzewał, że nie zechcą ryzykować, gdy poczują, że każdy ruch może pozbawić ich powietrza.

Rozejrzał się po magazynku. Broń? Mieli tylko jedną. To dziwne, ale po przeszukaniu okazało się, że nie mieli nic więcej. Chyba że w samochodzie, ale tam nie dotrą.

Zabrał telefony i wrzucił do foliowego worka. Potem dokładnie sprawdził zawartość kieszeni każdego z nich. Oklepał ich nogi, tułów i ręce. Któryś z nich mógł mieć ukryty nóż, ale niczego nie znalazł. Czy na pewno o wszystkim pomyślał? Analizował to, wynosząc Igora na zewnątrz.

Zostawił nieprzytomnego kolegę przed budynkiem, upewniając się, że oddycha i nie zadławi się językiem, a potem przeskoczył przez ogrodzenie i pobiegł po samochód. Po trzech minutach był z powrotem pod bramą. Wziął z bagażnika duże nożyce dźwigniowe do cięcia metalu, które zawsze woził w bagażniku, przeciął kłódkę i otworzył bramę. Położył Igora na tylnej kanapie.

Upewnił się, że zabrał wszystkie swoje rzeczy. Poklepał się po kieszeniach i kaburach. Wszystko się zgadzało. Nie zapomniał o niczym. Rzucił worek z odebranymi telefonami na przednie siedzenie i ruszył pod wskazany adres.

Nerwowo przerzucał stacje radiowe. We wszystkich leciały bzdurne audycje o niczym albo rąbanka techno, której nie mógł znieść. Włączył polski hip-hop, ale ten sprzed lat. Współczesnego nie tolerował. Poczul ulgę, słysząc coś, co uwielbiał. Stara, dobra Molesta. Włączył ich najlepszą płytę *Skandal*. Miał nadzieję, że Marcel też kiedyś będzie tego słuchał.

Trząsł się z nerwów. Noga latała mu jak szalona. Przeniesienie Fijałkowskiego, unieruchomienie czterech gangsterów, a nieco wcześniej obezwładnienie Dakoty i Karakana – wszystko to sprawiło, że opadał z sił, a jednocześnie adrenalina zrobiła swoje. Ciało dygotało coraz intensywniej.

Do ulicy Łukasińskiego dojechał w niecałe osiem minut. Zaparkował przed wysoką ponemiecką kamienicą, po czym wytaszczył Fijałkowskiego z auta.

Wniósł go na pierwsze piętro i z całej siły zaczął walić w drzwi. Mężczyzna, który je uchylił, miał jasną twarz, tak jasną, jakby nigdy nie widziała słońca.

W przestronnym pokoju stały tapczan i niewielki stół, nic poza tym.

– Niech go pan tu położy. – Lekarz wskazał na leżankę. Miał niski, matowy głos, jakby dochodził zza ściany. Wyglądał na jakieś czterdzieści, czterdzieści pięć lat, miał ascetyczny wygląd, niczym pokutnik. Mieszkanie zapewne odzwierciedlało jego charakter. Innym wytłumaczeniem takiego stanu pomieszczeń mogło być to, że dopiero co się wprowadził lub właśnie wyprowadzał.

– Co mu się stało? – zapytał bez emocji, zapewne dotychczas zadał już tysiące takich pytań.

– Cholernie mocne pobicie.

– Dlaczego nie zawiózł go pan na pogotowie? Na SOR?

– Mam swoje powody.

Mężczyzna kiwnął głową i zabrał się do badania nieprzytomnego pacjenta. Trwało to trochę. Co rusz potrząsał głową.

– Nie wiem, czy na cokolwiek przyda się moja pomoc – odezwał się wreszcie. – Wydaje się, że potrzebna będzie pomoc szpitalna. Konrad mi mówił, że kolega potrzebuje lekarza, ale nie sądziłem, że chodzi o tak ciężki przypadek. On musi trafić na oddział. Natychmiast. Ja ze swoimi lekami i stetoskopem niewiele zdziałam. Jeśli chce pan, żeby kolega przeżył, proszę go natychmiast zabrać na SOR.

Krauze zaczął chodzić nerwowo po pokoju.

– Mam go stąd zabrać?

– Widzi pan te siniaki? – Wskazał ręką na brzuch. – Proszę zobaczyć. Kiedy ich dotykam, jego twarz wykrzywia się z bólu, mimo że jest nieprzytomny. Podejrzewam, że mogło dość do poważnych obrażeń narządów wewnętrznych. Trzeba go będzie otworzyć.

Krauze zaczął analizować. Amsterdamski odpadał.

Wyjął komórkę i poszedł do kuchni. Szukał na liście kontaktów znajomych lekarzy. Na szczęście był policjantem i znał wielu.

Nim jeden z jego kolegów odebrał, miał czas, by się rozejrzeć. Pusto, czysto, sterylnie, jakby ktoś wylał substancję dezynfekującą w całym mieszkaniu. Jak można żyć w takim miejscu?

Z drugiego pomieszczenia słyszał pojękiwania.

– Mów – usłyszał wreszcie zdecydowany głos w słuchawce.

– Mam konającego Fijałkowskiego. Potrzebna pilna pomoc.

– Dzwonił po pogotowie.

– Nie dzwoniłbym do ciebie, gdyby nie chodziło o coś dyskretnego i pilnego.

– Co mu się stało?

– Miał spotkanie z czołgiem. Obie strony konfliktu są poszkodowane.

Rozmówca westchnął tak głośno, jakby chciał dmuchnięciem wyczyścić telefon z kurzu. Krauze zamilkł. Wydawało mu się, że coś usłyszał. Rozejrzał się po kuchni, ale nikogo nie dostrzegł. Stał przed strzelistym oknem kuchennym i patrzył na ulicę, po której od czasu do czasu przejeżdżał jakiś samochód.

– Nie ma mnie w szpitalu, ale jest mój kolega. Mogę to załatwić. Zgłosisz się do Janka Pawłowskiego. Ma teraz dyżur na SOR-ze.

– Uprzedź go, że będę za dziesięć minut.

– Wisisz mi dobre whisky.

– Kupię ci całą przeklętą rozlewnię, tylko pomóż mi go uratować – odpowiedział i się rozłączył.

Odwrócił się od okna i stanął jak wryty. Pół metra od niego stał lekarz i wpatrywał się w niego matowym spojrzeniem. Wydawał się niewielki, miał twarz pozbawioną emocji, jakby ktoś zadał mu w życiu tyle cierpienia, że już nie był w stanie niczego odczuwać. Ani radości, ani smutku.

Wytrąciło to Krauzego z równowagi. Jedyne, na co potrafił się zdobyć, to uśmiechnąć się sztucznie i podziękować za wizytę.

Ponowne wyniesienie Fijałkowskiego i zawiezenie go do szpitala, na szczęście tym razem do innego skrzydła i innymi drzwiami, zajęło nieco dłużej, niż planował.

Po omówieniu szczegółów zostawił go w rękach specjalisty. Pawłowski nie wnikał, wiedział tyle, ile musiał – chodzi o życie policjanta, który został dotkliwie pobity. Po minie, tonie, stanowczości Krauzego oraz ciężkim stanie Fijałkowskiego wiedział, że nie powinien pytać o nic, co nie dotyczy urazów. Budził zaufanie.

Filipowi ulżyło, gdy wychodził na zewnątrz. Udało mu się przebrać w normalne ciuchy.

Nie miał nic więcej do zrobienia. Zneutralizował tę część bojówki Dakoty, która czyhała na Fijałkowskiego i jego rodzinę. Zrobił to brutalnie, ale, miał nadzieję, skutecznie. Przynajmniej na jakiś czas.

To jednak nie był koniec jego prywatnej wojny.

Ich wojny.

Unieszkodliwił kilka osób, z czego trzy sporo znaczyły dla gangu. Teraz musiał to mądrze wykorzystać.

Ale jak? Rozwahał kilka pomysłów, ale każdy z nich, poza pewną skutecznością, miał również wady. I to na nich teraz musiał się skupić, by niczego nie spieprzyć.

Usiadł w aucie, włożył rękawiczki i zaczął przeglądać telefony gangsterów. Miał mało czasu, ale ciekawość przeżyła.

Udało mu się włączyć tylko jeden. Reszta miała blokady. Wpisz kod, narysuj wzór albo przyłóż palec. Znajdowało się w nim ponad dziesięć wiadomości, z których jasno wynikało, że właściciel telefonu należał do zorganizowanej grupy o charakterze zbrojnym. To był niezaprzeczalny dowód, bo dwa razy wspomniano o kwasach, koksie oraz łojnych beemkach i jaguarach z Niemiec. Wystarczyło to zestawić z właścicielem drugiego telefonu.

Otrzymał wiadomości o transporcie mety, czyli amfetaminy, o kosztach związanych z rozprowadzeniem i o procencie od sprzedaży. Podane były również sposoby rozrzadzania. Nie od dziś było wiadomo, że krążąca w sprzedaży detalicznej amfetamina była chrzczona. Dilerzy dodawali sproszkowane leki, choćby tabletki przeciwbólowe lub bezsmakowe witaminy. Dzięki temu nierzadko udawało się uzyskać dodatkowo kilka lub nawet kilkadziesiąt gramów towaru. Wszystko zależało od tego, do kogo i na jaki rynek trafiał ten szajs.

Krauze nie czytał wszystkiego. Patrzył na inne wiadomości. Od D., a więc pewnie od Dakoty. Dotyczyły problemów w jednej z agencji towarzyskich. Potem krótka wymiana wiadomości, co zrobić z delikwentami, którzy za bardzo się rozkręcili. Ludzie K. mieli spuścić im na boku grzechny wpierdol. Bez świadków. K. to pewnie Karakan.

Inne esemesy: dostawa alkoholu, pół tysiąca litrów spirytusu, kolejny transport sprzętu elektronicznego do opyleń, wiertarki i szlifierki skradzione z niemieckiej hurtowni. Pytania od D. w sprawie tego, czy zgarnął kasę za automaty. Krauze domyślił się, że chodziło o automaty stawiane w barach i knajpach. Pytał również o zysk. Bambosz odpisał – „coś ponad 45k”.

Krauze się uśmiechnął. Nie mógł uwierzyć, że trzyma w rękę coś takiego. Tyle szczegółów, taki brak ostrożności. Ktoś chyba złamał zasadę gangu, by w wiadomościach nie pisać o dostawach i zleceniach. Albo czuli się już zbyt pewnie. Z tym telefonem mógłby postawić w stan oskarżenia co najmniej kilka osób.

Wszedł do multimediów. Katalog zawierał kilkanaście zdjęć. Większość to były spotkania towarzyskie przy wódce, piwie, na stole znajdował się również grubszy towar – amfetamina czy koks. Niemal na wszystkich fotografiach widać było kobiety do towarzystwa. Przesuwał dalej.

Jedno zdjęcie wyjątkowo go przeraziło – zbliżenie twarzy pobitych mężczyzn. Czy byli to ci sami, którzy awanturowali się w agencji? Sprawdził datę wykonania zdjęcia, potem wrócił do wiadomości. Dzień się zgadzał. Godzina? Różnica między wydaniem polecenia, przyjazdem grupy karków a zrobieniem zdjęcia wyniosła pięćdziesiąt dwie minuty. A więc to oni.

„Łatwo będzie im wszystko udowodnić, zbyt łatwo”, pomyślał. Trzeba to dobrze przygotować – chociażby ustalić wersję, skąd wziął telefony, jak ich dopadł i kto mu pomógł.

Ale na to przyjdzie czas.

Schował wszystkie smartfony do torebki foliowej.

Uruchomił silnik, włączył muzykę. Było późno, ale nie na tyle, by zakończyć dzień. Wręcz przeciwnie. Mimo że był zmęczony, adrenalina wciąż robiła swoje.

Nie wiedział, czy następnego dnia będzie w stanie podnieść się z łóżka. O ile w ogóle pójdzie spać.

Pomyślał o Marcelu, który spał w swoim łóżku, pomyślał o Oli, która, miał nadzieję, również spała spokojnie. Prosił ją wielokrotnie, by nikogo nie wpuszczali do domu, nie otwierali nikomu drzwi, nie wychodzili na zewnątrz, nawet unikali podchodzenia do okien. Ola początkowo myślała, że Filip się zgrywa, ale kiedy dowiedziała się, że Igor został pobity, kiedy wyjaśnił, że musiał na parę dni ulokować Weronikę i Zuzię w ich nowym mieszkaniu, zmieniła ton.

Była potwornie zła, a jednak nie potrafiła krzyknąć ani się obrazić. To nie w jej stylu. Była spokojną, wyważoną osobą, w przeciwieństwie do niego. Chciała żyć normalnie, spokojnie i trudno jej było zaakceptować ciągle zamieszanie związane z jego pracą, porozrzucane po domu akta, ciągle wyjazdy, zwłaszcza nocne.

To dlatego tak gorączkowo chował przed nią swoją broń, w piwnicy, w bagażniku, w nowym mieszkaniu. Była tylko tego nie oglądała, byle się na nią nie natknęła.

Kochał ją ponad wszystko, nie zasługiwała na kłamstwa, nawet najdrobniejsze. Dla niej i Marcela oddałby życie, ale musiał, dla ich dobra, oszczędzić im szczegółów.

Bo dzisiejsze wydarzenia, jak zaczął analizować, mogły wywołać prawdziwą wojnę.

Tomek Czaja, policyjny informatyk śledczy, odebrał po parunastu sekundach, co Krauze w swoim osobistym przekonaniu uważał za wieczność. Najbardziej lubił, gdy ludzie podnosili słuchawkę po dwóch, trzech.

– Generalnie jest już po północy, postawiłeś na nogi całą moją rodzinę, obudziłeś córeczkę i teraz będzie płakała pół nocy, ale nie przejmuj się, Filip, rozumiem, że nie mogłeś zadzwonić ani wcześniej, ani jutro z samego rana – burknął na powitanie.

– Nie mogłem.

– A to mi ulżyło, więc nie ma problemu.

Krauze udał, że nie rozumiał ironii. Choć jeszcze nigdy w życiu nie złapał Czai na ironizowaniu, nie wiedział więc, czy rzeczywiście mu ulżyło, czy też nie.

– Potrzebuję pomocy. Mam parę telefonów i muszę przekopiować wszystkie dane. Ile by ci to zajęło?

– Wszystko, to znaczy co konkretnie?

– To znaczy, że wszystko, do cholery. Wszystkie pliki, dane. Całość – powiedział, sylabizując wyraz. – Chcę to mieć w komputerze, przeczytać każdy mail, każdą wiadomość, sprawdzić listę połączeń, obejrzyć każde zdjęcie.

– To zależy, ile ma pamięci, czy mam kopiować pliki systemowe, czy tylko same dane tekstowe, na przykład wiadomości. Czy w grę również wchodzi inne pliki?

– A co ja, kurwa, jestem informatyk? Nie znam się aż tak na tym. Chcę wszystkie dane. Tak się mówi. Myślałem więc, że tak się to robi.

– No dobra, powiedzmy kilka lub kilkanaście minut na jeden telefon. Najwięcej.

– Doskonale. Przyjadę dziś w nocy albo jutro rano i podrzucę ci parę sztuk. Wyciągniesz z nich wszystko, absolutnie wszystko, co się da. Jeśli tym telefonem ktoś dzwonił na infolinię, jeśli ktoś płacił w nim za jakieś zakupy, wysłał walentynkę w wiadomości albo mailu, to też chcę o tym wiedzieć. Absolutnie wszystkie dane, transakcje, historie, pliki... również usunięte. Da się?

– Powiedzmy. O tej porze – ziewnął – zgadzam się na wszystko, bo jest mi wszystko jedno.

– Doskonale. A więc jesteśmy umówieni. Na razie zostaje to między nami, później się widzimy.

Już się miał wyłączyć, gdy usłyszał głos kolegi.

– Filip?

– No?

– Co się dzieje?

– Nic, standardowe czynności śledcze.

– Akurat.

– Powiedzmy, że chciałem się tylko dowiedzieć, jak to zrobić.

– Powiem tak. Jeśli zależy ci na dyskrecji, to mogę ci podrzucić program i sam sobie zrobisz wszystkie potrzebne kopie.

Krauze się zamyślił. Może i tak będzie lepiej.

– Odezwę się jeszcze w tej sprawie.

Dziesięć minut później był już na miejscu. Przyjechał znów pod warsztat. Nim wysiadł, zadzwonił do Karpowicza. Wiedział, że nie może mówić niczego wprost. Konrad też wiedział.

– Jak nasi goście? – zapytał, mając na myśli Dakotę i Karakana.

– Doskonale. Obaj odpoczywają. Co z kolegą?

– Jest w dobrych rękach, ale w kiepskim stanie. Może z tego wyjdzie.

– Oby.

– Pamiętam, że miałeś kiedyś busa. Takiego niebieskiego.

– Nadal mam. Jest wytrzymałszy od bestii amerykańskiego prezydenta. Przydaje mi się czasami. Zwłaszcza na działkę, gdy wożę nowe krzewy albo narzędzia. Teraz jesienią...

– Nie interesuje mnie twoja działka – przerwał mu. – Tylko twój bus. Trzeba kogoś przetransportować. Choć, może lepiej by było... – zawiesił głos. – Tak się właśnie zastanawiam, czy...

– Serio? – zapytał Karpowicz po chwili. – Wolisz na działkę?

– Duża jest?

– Bez obaw. Zmieszczą się.

– I to mi się podoba – odpowiedział, nie namyślając się długo. Spojrzał na zegarek. – Jest późno, ale to dobrze. Chwilowo czas działa na naszą korzyść. Musimy zrobić to szybko, dopóki nikt się nie zorientował, co się dzieje. A oni niedługo znajdą sposób, by się jakoś wydostać z zakładu. Wtedy będziemy mieli problem. Już kilka razy ktoś do nich dzwonił i zaczyna się denerwować. Podejrzewam, że szefowie czekają na wieści.

– Od początku tak uważałem i dlatego się w to zaangażowałem.

– A więc nie marnujemy czasu.

Dokładnie czterdzieści trzy minuty później Krauze z Karpowiczem trzasnęli drzwiami busa. Zaparkowali w warsztacie. Dzięki temu mogli działać swobodnie, nie ryzykując, że ktoś ich zobaczy. Wystarczył przechodzień, który usłyszałby jakieś krzyki, jęki lub inne podejrzanе odgłosy, a sprawa mogłaby się wydać. A nie mogli do tego dopuścić.

Na szczęście zakład znajdował się w takim miejscu, że pojawiało się tu mało osób, miejsce zapewne zostało wybrane celowo.

Posprzątali dokładnie, zacierając za sobą wszystkie ślady. Krauze z uporem maniaka sprawdzał, czy niczego nie zostawił. Skontrolował również monitoring, ale na szczęście tego dnia kamery były wyłączone. Pewnie dlatego, że przywieźli tu Fijałkowskiego na przesłuchania i zadbali o to, by nic się nie nagrywało.

Wytań miejsca, których dotykał. Wrócił do magazynku, w którym był przetrzymywany Igor. Dopiero teraz dostrzegł leżące w kącie papiery. Wziął je. Była to umowa sprzedaży domu. Przeczytał ją błyskawicznie. Te sukiny-syny chciały, by Fijałkowski oddał Bamboszewi dom. Nie wiedział, czy umowa miała moc prawną, bo do tego trzeba było sporządzić wiele prawnie unormowanych dokumentów, ale chcieli go złamać. Złożył ją na pół i schował do kieszeni.

Po załadowaniu ich do auta, zaczął zacierać pozostałe ślady. Sprawdzał, czy nie zostały po nim jakaś kula i puszcza po granatach hukowych.

Zajęło mu to kilkanaście minut. Kiedy Konrad wyjechał busem na zewnątrz, żeby zaparkować dwie uliczki dalej, Krauze dokładnie zamiótł podłogę, by usunąć ślady opon i butów.

Następnie obejrzał oba mercedesy, ale auta były czyste i puste, wyglądały jak nówki z salonu. Znalazł tylko dwie pałki gumowe, zapewne do obezwładniania delikwentów. Zatarł po sobie ślady, po czym ulotnił się w ciemności.

Karpowicz pokazał Filipowi około czterohektarową działkę leżącą pomiędzy wzniesieniami, ponad dziesięć kilometrów za Kłodzkiem na wschód, za niewielką miejscowością Laski. Znajdowała się na uboczu, niemal w kompletnej głuszy. Przylegała do jednej ze ścian lasu, który rozciągał się aż po horyzont.

Krauze nie sądził, że są na świecie jeszcze takie miejsca.

Ale dziś zmienił zdanie.

Z tego, co się zdążył dowiedzieć, Karpowicz odziedziczył działkę po swoim jednym wujku.

Na środku stał nieotynkowany domek, na tyle urządzony, że można było w nim mieszkać. Konrad doprowadził tu wodę i elektryczność, zgromadził zapas jedzenia i, najważniejsze, miał sporo broni i narzędzi. Krauze od razu pomyślał o sobie i swoim zboczeniu na tym punkcie. On też od dawna gromadził zapasy i zastanowił się, czy nie jest to przypadkiem jakieś zawodowe skrzywienie policjantów.

Patrzył w czerń. Wchłaniał ciszę, ciemność, spokój. Ale czuł też strach. Bał się tego miejsca. Było mroczne, tajemniczo spokojne, jakby za tą ciemnością kryło się prawdziwe zło. A zarazem coś, czego nie potrafił pojąć zmysłami.

Zamknął oczy, ale nie poczuł żadnej różnicy.

Te dwa światy niczym się nie różniły.

\* \* \*

Rząd czarnych głów, gołych ciał, tatuaży, złotych łańcuchów, owłosionych i umięśnionych torsów, poruszających się, ale unieruchomionych. Mieli zaklejone usta. Spięte metalową linką ręce. Wszystkie przyłączone do haka. Jeden z nich próbował się szarpać i wyrywać Karpowiczowi, ale dostał serię razów z paralizatora i się uspokoił. Wyglądali jak uwięzione przez hycła wściekłe psy, gotowe pożreć każdego, kto zbliży się na odległość parunastu centymetrów.

Karpowicz nie chciał, by Krauze brał w tym udział. Jako czynny policjant nie powinien się w to angażować.

Ustawił ich pod ścianą. Sześciu mężczyzn. Dakota, Karakan, Bambosz, Kucol, Azir i Pająk. Planował to od lat. Marzył, by dopaść chociaż jednego. A stało się inaczej, miał ich aż tylu.

Najmniej wiedział o ostatnich trzech, ale wystarczyła mu informacja, że należeli do bojówki Bambosza. Siła robocza, maszyny do bicia, zastraszania i wymuszania. Niczym dobrze wyszkolone pitbulle gotowe do ataku i pożarcia swojej ofiary po wydaniu komendy. Sukinsyny na posyłki.

Teraz nie mogli niczego zrobić. Jeden z nich przed momentem się przekonał, że daleko nie ucieknie. Raptem na kilka metrów, by zostać porażony.

Stanął przed pierwszym i wycelował w niego palcem, dotykając klatki piersiowej. Celowo obniżył głos:

– Jeśli któryś z was nie będzie współpracował, odmówi wykonania polecenia lub skłamię, kończycie przywiązani do drzewa w lesie. Zdechniecie w męczarniach, w zimnie, na deszczu. Nadzy. Bez sił. Głodni, spragnieni. Poniżeni. Dokładnie tak jak ci, którym przez lata robiliście krzywdę. Zadbam o to. Kiwnijcie, jeśli zrozumieliście.

Sześciu mężczyzn z workami na głowie kiwnęło głowami.

– Doskonale – powiedział i wcisnął palec w środek spłotu słonecznego. – Ty jesteś Dakota. – Mężczyzna kiwnął głową. Podszedł do kolejnego, niskiego, umięśnionego. Wyglądał jak rasowy zawodnik mieszanych sztuk walki. – Karakan. – Mężczyzna kiwnął głową. – Bambosz, Kucol, Azir, Pająk – mówił, dotykając każdego w to samo miejsce. Jeden z nich próbował się na niego rzucić, na oślep, ale szybko został spacyfikowany.

Karpowicz włączył silniejsze światło, które przyniósł z magazynku. Był to stojak budowlany z lampą halogenową. W lampie znajdowała się żarówka 2000 watów i wydzielala tyle ciepła, że po paru minutach w pomieszczeniu zrobiło się gorąco. Blask, który generowała, był oślepiająco silny.

Zdjął worki. Wyjął knebel z ust Dakoty.

Stanął obok lampy. Zaczęli się nerwowo rozglądać, patrzeć na siebie, ale blask ich oślepiał. Wyglądali groźnie, a gdyby nie byli spięci, w mig by się na niego rzucili i rozerwali na strzępy. Tymczasem nie mieli jak się poruszyć.

Jedynie, co im pozostało, to oczekiwanie na dalszy ciąg. Stopień ponizenia sięgał zenitu. I chyba z tym się właśnie nie mogli pogodzić.

Wskazał na Dakotę.

– Czym się zajmujesz w gangu? Pamiętaj, że kłamstwo będzie ukarane.

Mężczyzna popatrzył na zebranych, potem zaczęli coś buczyć i stękać przez wepchane do ust szmaty, które były zaklejone taśmą. Najbardziej rzucał się Bambosz, ale po jakimś czasie dotarło do niego, że jeśli nie przestanie, wyrwie sobie dłonie.

– Kieruję... nimi. Handlujemy kradzionym sprzętem, spirytusem, fajkami. Tylko to...

– Błąd – odpowiedział. Wziął ze sobą pilnik, podszedł i przyłożył mu do ust.

Dakota zaczął się rzucać, upadł na podłogę.

– Nie! Nie, daj mi spokój, wara, powiem, powiem, tylko mnie zostaw, sukiny!

Karpowicz włożył głębiej zimne żelastwo. Musiał ich wszystkich złamać, a potem zastawić pułapkę. Nie mógł ich wykończyć.

– A więc zacznijmy od nowa. Powiedz, jak się nazywasz, dla kogo pracujesz, czym się zajmujesz w gangu. Dopóki wszystkiego nie usłyszę, będziemy zaczynać od początku. Bez końca. Do rana. A potem cały kolejny dzień. I noc. Możecie być pewni, że nikt was tu nie znajdzie.

Mężczyzna kiwnął głową, po czym ją opuścił. Przełknął resztkę śliny, ale w ustach miał sucho.

A potem pomyślał, że to początek jego końca.

– Powiem wszystko... Tylko już dajcie mi spokój... – zaczął, bo wiedział, że i tak umrze. Zamordowany rękami Roxa lub Barakudy.

Albo stojącego przed nim faceta.



Mężczyzna popijał whisky z kryształowej szklanki i słuchał powtórki wiadomości ekonomicznych. Chłonał rozpościerający się przed jego oczami widok, ogromny naturalny lej, w którym zmieściłoby się średniej wielkości miasto. Ta przeogromna przestrzeń mieniła się światłkami, które zapalały się, błyskały, potem znów gasły, jakby oglądał bezkresną przestrzeń gwieździstego nieba.

Ale to nie było niebo.

Odszedł od okna i spojrzął na telefon, który od dłuższego czasu milczał jak zakłęty. Wykonał ponownie połączenie, ale nikt nie odbierał. Po dziesięciu sygnałach zrezygnował i rzucił go na masywną kanapę, w której mogła się zatopić cała rodzina. Dolał sobie whisky, uzupełniając szklankę do połowy. Zaklął pod nosem.

Wyszedł na taras. Na zewnątrz było zimno. Za trzy, może cztery tygodnie otaczające go wznesienia i góry przykryją się białym puchem. Wtedy przybiegnie do niego ośmioletni syn, Kacper, i będzie chciał go wyciągnąć na sanki. I tak będzie codziennie.

Sanki, uśmiechnął się gorzko. Nie odmówi mu tej przyjemności. Całe życie twardo stąpał po ziemi, siedział w więzieniu, tłukł ludzi po gębie, trzymał w ryzach połowę rejonu kłodzkiego, ale nie podejrzewał, że kiedy urodzi mu się syn, mała niewinna istotka, zmieni się wszystko. Kacper urodził się z porażeniem mózgowym. Na niewiele się zdały robione niemal we wszystkich najlepszych ośrodkach badania. Na nic zdały się kilkuletnie rehabilitacje. Nic ani nikt nie był w stanie mu pomóc. Mówiono ogólnikami, że chodzi o skomplikowane sprzężenie i zaburzenie nerwowe, które być może było wynikiem niedotlenienia płodu, co w konsekwencji spowodowało rozległe i wieloczynnikowe porażenie.

Jedno pozostawało bezsprzeczne – Kacper wymagał ciągłej rehabilitacji, wielogodzinnych ćwiczeń fizycznych, zajęć z logopedą, specjalistami od terapii sensorycznej oraz całej gamy zajęć rewalidacyjnych w szkole i poza nią. Połowę dnia zapełniał mu terapiami. Pozostała część poświęcał na zabawę, jazdę konną, basen.

Tak, najbliższe tygodnie spędzi z nim tutaj albo w Szwajcarii. Obaj się tam świetnie relaksowali. Jeszcze trzy dni i wylecą. Albo pojedą. Kacperek tak bardzo lubił ich terenówkę. Kupił ją tylko dlatego, że mu się spodobała, bo była jak z filmów amerykańskich, które tak bardzo lubił.

Znów zaklął.

Czekał na telefon od swoich ludzi. Mieli zabrać ze szpitala jednego z kłodzkich policjantów i odzyskać to, co do nich należało. Spierdolili to wcześniej, więc musieli wszystko naprawić.

A potem mieli zrobić, co należało. Ale to już zostawił im, Dakota z Bamboszem znali się na swojej robocie jak mało kto. Na wszelki wypadek, jak zawsze, mieli asa w rękawie, gdyby policjant nie chciał się ugiąć.

To był jego pomysł. Nie chciał odwetu policji, przecież wiedział, kim był Fijałkowski. Musieli mieć plan B, czyli zabezpieczenie przed ewentualną kontrą. Dlatego wysłał dwie małe grupy. Wiedzieli, jak rozwiązywać kłopotliwe sytuacje. Dakota był jednym z najrzetelniejszych pracowników, jakich miał. Zwykle zadawał konkretne pytania, dopytywał o to, czego nie wiedział, a potem wyłączał się, mówiąc, że zadanie zostanie wykonane. I tak od ponad dwunastu lat.

Tak było i dzisiaj, gdy zadzwonił do Sławka, mówiąc, że już czas. Dakota powiedział, że da znać po wykonaniu zadania.

Tomasz Roksowicz odsunął od ucha telefon, spojrzął na złotego rolexa, który wart był tyle co dobrej klasy samochód, i uznał, że coś się musiało spierdolić. Bambosz też nie odbierał. Do innych nie chciał dzwonić. Dwie osoby, z którymi się kontaktował telefonicznie, to i tak o jedną za dużo. Od lat działali według zasady pionowego przekazywania informacji, co było oczywiste. Musieli minimalizować ryzyko wpadki.

Piramida miała swoje zasady – ci z samego dołu nie porozumiewali się z górą. Nie mogli zadawać pytań. Nawet się nie witali na ulicy. To były proste reguły. Przestrzegali ich. Nigdy publicznie się nie spotykał z Barakudą, bo wystarczyłoby zdjęcie zrobione przez jakiegoś pierdolonego psa z CBS i już by mieli pretekst do zatrzymania. Jednego wzięliby na przesłuchanie, drugiego do innego pomieszczenia i tak by się zaczęło. Telefony, maile, billingi, powiązania, wymuszanie zeznań. Obaj o tym wiedzieli, obaj więc od lat trzymali się na uboczu. A mimo to machina musiała działać, pracować, zarabiać. Kiedy jechał do Barakudy, wynajmował samochód na fałszywe nazwisko, za każdym razem inne, nocował w jego hotelu jedną noc, podczas której rozmawiali o interesach, dogadywali kolejne działania. Robili tak od lat. W razie jakiegóż wpadki czy zatrzymania był tylko gościem.

Również Barakuda tylko wynajmował tam pokój, bo pensjonat formalnie należał do jego kochanki. Czasami spotykali się w lesie pod pretekstem zbierania grzybów. Musiały to być miejsca przypadkowe, za każdym razem inne, aby nikt wcześniej nie zainstalował podsłuchu ani kamery. Dlatego też Barakuda rzadko przyjmował swoich gości w pensjonacie. Bał się, że zostanie nakryty, więc oficjalnie budynek był w remoncie, a wiele pokoi wyłączonych z użytkowania. System spotkań dopracowali do perfekcji, a dobre zarządzanie sprawiało, że przetrwali wiele lat bez większych wpadek.

Już w latach osiemdziesiątych stworzyli skuteczny duet, bezwzględny, brutalny, agresywny, a przede wszystkim dobrze zorganizowany. Zależało im, by z każdym kolejnym rokiem rozszerzać swoje wpływy. Więcej kontrolować i więcej zarabiać.

Wtedy nie wybrzydali. Robili, co się dało, byle przynosiło to pieniądze. Kradzieże, napady, handlowanie walutą, spirytusem, kradzieże samochodów, obstawianie dyskotek, handlowanie narkotykami w każdej z nich. Później doszły grubsze zadania – napady na tiry, przemyt spirytusu. Mieli krótki epizod z handlem bronią i ludźmi, ale kiedy zrobiło się za gorąco, bo te dwie kwestie mocno interesowały policję niemal każdego europejskiego kraju, powoli się z tych branż wycofali, zostawiając sobie inne dochodowe interesy.

Nie bali się żadnej roboty, a jedyne, co ich ograniczało, to inne grupy. Albo się dogadywali, dzieląc zyski, albo się eliminowali. Tak było zawsze i wszędzie.

W pewnym momencie, gdy ich działania stały się zbyt widoczne, musieli się usunąć w cień. Nie mogli kusić losu. Widział to po swoich kolegach i wielu współpracownikach. Zwykły gangster od czarnej roboty nie pożyje długo. Wtedy, gdy w latach dziewięćdziesiątych zaczynały się wojny gangów, gdy bandyci wychodzili na ulicę z bronią i zaczynali do siebie strzelać, wiedział, że to jest granica, przełom. Po tak agresywnych działaniach, jakie miały miejsce w Jeleniej Górze, Zgorzelcu, Lubaniu, Modrzewiach koło Wlenia czy Bożkowicach, gdy w lasach i na ulicach ginęli ich koledzy i współpracownicy, uznali, że muszą zmienić system, bo inaczej i ich dopadną. Przykryli się więc legalnymi biznesami. Uznali, że nadszedł czas. Część zadań zaczęli zlecać innym, żądając przy tym bezwzględnego posłuszeństwa.

Teraz, po wielu latach ciężkiej pracy, miał wszystko. Dwa duże hotele, puby, dwie restauracje. Szykowali też kolejny hotel nad morzem. Potężną firmę ochroniarską, co przynosiło zyski z ochrony trzydziestu pięciu przedsiębiorstw i sklepów w rejonie kłodzkim. Na boku zyski z handlu narkotykami, alkoholem, papierosami, sprzętem elektronicznym, niemałym interesem samochodowym – przede wszystkim sprzedaży części z kradzionych aut, z legalnie działających klubów nocnych, dopalaczy, kobiet, imigrantów, choć to był bardzo trudny biznes. No i zysk z hazardu, zwłaszcza zakładów bukmacherskich.

Zarządzali potężną organizacją, którą trzeba było utrzymywać, rozdzielać koszty, opłacać informatorów, płacić procent od zysków ludziom, którzy dbali o ich finanse. Wszystko to wymagało skupienia, a każdego działania należało dopilnować. Łatwo było się można wysypać, zwykle na drobnostce.

Dziś po raz pierwszy od lat pomyślał, że za bardzo ryzykowali. Ponaddwugodzinne milczenie Dakoty potraktował jako zły znak. Zawsze po wykonanej robocie dzwonił albo wysyłał wiadomość.

Przemierzył kilka razy w tę i z powrotem całą długość tarasu, zastanawiając się, co robić. Mógłby tam pojechać, ale nie chciał ryzykować.

Kiedy zrobiło mu się zimno, wszedł do domu. Wrzucił kilka kawałków drewna do kominka. Poszedł do sypialni, upewnił się, że żona śpi. Obok w pokoju znajdował się ich syn. Miał ogromny pokój pełen zabawek, sprzętu rehabilitacyjnego, telewizor, konsole. Pod sufitem świeciły lampki w kształcie gwiazd.

Podszedł do niego i pocałował go w czoło. Poglaskał po nieco zaślinionej twarzy.

Wrócił do salonu i sięgnął po telefon. Żadnych połączeń. Wrócił do okna tarasowego. Po raz pierwszy od wielu miesięcy naprawdę się niepokoił. Zaczęły mu się pocić ręce. Znalazł numer do Bliźniaka.

– Tak?

– Jesteś tam z nimi?

– Z kim?

– Z nimi – odpowiedział, odpowiednio wyszukując słowa, by nie powiedzieć niczego wprost. – Mieli do wykonania zadanie w twoim zakładzie.

– Nie. Kazali mi spierdalać. Powiedzieli mi, że to nie moja sprawa i że wszystkiego dopilnują.

– To jedź tam teraz i sprawdź, co się dzieje. Nie mam z nimi kontaktu.

– Ale ja jestem poza miastem.

Rox spojrział na zegarek. Analizował czas. Bliźniak będzie tam szybciej niż on. To pewne.

– Masz dokładnie trzydzieści minut – oznajmił stanowczym tonem. – Nie spóźnij się, czekam na wieści.

Rozłączył się, dołał whisky i usiadł przed ogromnym telewizorem.

Zalał alkoholem gorycz w żołądku. Poczuł palącą ulgę.

Ponownie spojrzął na zegarek. Nie mógł się opanować.

Dwadzieścia dziewięć minut.

A potem będzie musiał podjąć decyzję.

Czerń otaczała ich dosłownie zewsząd. Czuli pod stopami grząski teren, buty wpadały w bagno, a z każdym przebytym odcinkiem mieli wrażenie, że robi się coraz wilgotniej i coraz zimniej. Pod ich stopami zapadała się ziemia. Nie byli przygotowani do pracy w takich warunkach. Do twarzy przylepiały się im pajęczyny, którymi były oplecione kikuty wysokich chwastów, zwłaszcza wyschniętych nawłoci, które latem i wczesną jesienią złościły okolice.

– Myślisz, że mówił prawdę? Że to na pewno tu? – zapytał, nie przerywając marszu. Z każdym krokiem wprawiał w ruch światło latarki.

– A miał powód, żeby ściemniać?

– A niby skąd mogę wiedzieć? Idziemy już od kilkunastu minut, więc zaczynam wątpić. A kiedy przyjechaliśmy, był nieprzytomny. Sam go widziałeś.

– Ale nie jego córka. Trzeba sprawdzić. Nie ma zmiłuj, taka robota.

Znajdowali się co najmniej kilometr od miejsca, w którym zostawili auto.

– Wydaje mi się, że za chwilę będziemy na miejscu. To powinno być gdzieś tutaj.

Niespełna pięć minut później stanęli jak wryci, a jeden z nich w ostatniej chwili się cofnął. Przed nimi było urwisko.

– To tu – rzekł, upewniwszy się, że dotarli do celu. – Poparz, kurwa, na to.

– O w dupę. Masz refleks. Jeszcze krok i byśmy runęli w dół.

Unieśli latarki. Z ciemności wyłonił się potężny mur, kamienna ściana, po której ciemnej powierzchni spływała połyskująca ciecz. Sprawiała wrażenie czarnej.

Wpatrywali się w jeden z filarów wysokiego kamiennego wiaduktu, który łączył brzegi rzeki.

Wyciągnęli broń, bo jednak strach wziął górę, a dodatkowo szum wody zagłuszał to, co działo się dookoła. Nie słyszeliby zbliżających się kroków, nawet gdyby ktoś przeszedł tuż za ich plecami. Ruszyli inną drogą w dół, bliżej brzegu.

W pewnym momencie jeden z policjantów znieruchomiał. W odległości piętnastu metrów od nich, tuż przy wodzie, dostrzegł wystającą spod gałęzi bladą, niemal białą rękę. Wpatrywali się w tę nieruchomą, choć poruszaną falami kończynę.

– Musimy to sprawdzić. Tylko uważaj, jest strasznie ślisko.

Zeszli po kolejnym stromym zboczach, ostrożnie stawiając kroki. Jeden z nich kompulsywnie obracał się wokół własnej osi, kontrolując otoczenie.

Gdy podeszli jeszcze bliżej, zobaczyli, że nad samą rzeką znajduje się ścieżka. To właśnie nią musiał iść mężczyzna.

I to właśnie z tego miejsca dobrze było widać zwłoki.

– Czyli niczego nie dotykaliście?

– Nie – odpowiedzieli niemal jednocześnie, patrząc na dwóch mężczyzn. Jeden z nich był masywny, drugi znacznie mniejszy, elegancko ubrany.

– Możesz mi powtórzyć w skrócie, co ustaliliście?

– Jakies czterdzieści minut temu otrzymaliśmy od dyżurnego informację, że niedaleko wiaduktu starej trasy leżą zwłoki kobiety. Od mężczyzny, który ją znalazł, niewiele więcej dało się wyciągnąć – ani tego, skąd szedł, ani tego, czy z kimś się spotkał. Był pod wpływem alkoholu. Ponoć wpadł do domu i zaczął panicznie krzyczeć, że widział zwłoki. Sięgnął po telefon, zadzwonił na policję, ale w międzyczasie padł i usnął. To wszystko widziała córka, która chwyciła słuchawkę i powiedziała, że ojciec coś bełkotał o martwej kobiecie przy wiadukcie. Z jego relacji wynikało, że znajdowały się przy samej budowlu. Dziewczyna szczegółowo odtworzyła ciąg wydarzeń. Wyjaśniła, którą drogą mógł wracać do domu. No i bez większych problemów dotarliśmy tu na miejsce. A potem zawiadomiliśmy was.

– Dzięki, na razie tyle nam wystarczy. Trzeba to będzie sprawdzić. Czekamy do jutra. Aż wytrzeźwieje – stwierdził Adrian Gembarowski, jeden z dwóch kłódzkich prokuratorów. Miał na sobie czarny płaszcz, czarne spodnie i eleganckie skórzane buty. Wyglądał, jakby się urwał ze spotkania biznesowego, a nie przyjechał do pracy w terenie.

– No i co? Co z Filipem? – zapytał stojącego obok Dominika Rudzkiego swoim standardowo nieprzyjemnym tonem głosu.

– Dzwoniłem już trzy razy.

– To spróbuj czwarty, potrzebujemy go.

– Filip nie odbiera. Pewnie ma wyciszony telefon. Może śpi, może wyjechał.

– Jak zwykle. A Fijałkowski?

– Też nic. Wyłączony. Poza tym jest chyba na zwolnieniu lekarskim. Tak coś słyszałem.

– Może wreszcie zaczął się leczyć na głowę – odpowiedział. – Zgadali się czy co, cholera jasna... – rzucił mężczyzna i podniósł się z kucek. – Nie ma ich jeden dzień i już się robi paraliż.

– Damy radę bez nich. Jutro przesłuchamy tego gościa, potem przejrzymy zaginionych... Na pewno ktoś zgłosi. Z tego, co widzę, dziewczyna jest naga, więc nie ma szans na rzeczy osobiste. A przeszukiwanie okolicy nic nie da.

– Bo?

– Bo to dziesiątki kilometrów. Mogły popłynąć dalej. Może ktoś wyłowi jutro, za miesiąc, a może wcale.

– Co z technikami? Potrzebują specjalnego zaproszenia?

– Te pytania to nie do mnie.

Mężczyzna prychnął.

– Nie ma takiej odpowiedzi. Musimy ustalić, co tu się wydarzyło. Byłeś wtedy na wysypisku?

– Byłem.

– No i? – ponaglił zirytowany prokurator.

Dominik miał ochotę go trzepnąć. Jeden celny strzał i Gembarowski leżałby obok niej. Ten leszcz był jak mucha – podobnie upierdliwy, a tak naprawdę na jedno ostre pacnięcie.

– Na pierwszy rzut oka wygląda podobnie – odpowiedział, wciskając dłonie do kieszeni. Rudzki dygotał z zimna. Była noc, otaczała ich ciemność, niczego nie widzieli poza słabymi światłami miasta. Trudno też było usłyszeć cokolwiek innego niż szum rzeki.

Majestatyczna budowla sprawiała wrażenie, jakby się znaleźli u ujścia miasta, w jego odpływie, w którym zatrzymywały się odpady.

– Inne miejsce, choć na pierwszy rzut oka widać ważną wspólną cechę. Wiek ofiary. Tyle tylko, że tutaj mamy, prawdopodobnie, utonięcie. Tamta została uduszona.

– Albo już martwą wrzucił do rzeki. A tu się zahaczyła o wystający konar – podsunął prokurator. Chwilowo nie mieli nic innego do roboty, więc zajęli się snuciem hipotez.

– No i tamta też była naga – powiedział Rudzki, oświetlając twarz latarką. Z tej odległości było widać tylko rękę i część twarzy, reszta ciała znajdowała się tuż pod powierzchnią.

Prokurator głośno cmoknął, jakby chciał się pozbyć niechcianego kawałka jedzenia spomiędzy zębów.

– Zaraz zadzwonię do patologa. Wiem, że będzie kręcił nosem, kłął na czym świat stoi, ale chcę mieć sekcję zwłok jeszcze dzisiaj w nocy albo z samego rana, żebyście mieli jutro jasną sprawę. To absolutny priorytet.

Dominik potaknął, ale Gembarowski nie mógł tego widzieć.

– Nie podoba mi się, że w ciągu tak krótkiego czasu znajdujemy dwie martwe dziewczyny. Będzie z tym sporo babrania. A ja mam dość roboty – wyszczał i zaczął nerwowo przechadzać się po podmokłej ziemi. Wiedział, że dla dobra śledztwa nie powinien tego robić, dlatego obrał jeden odcinek, który przemierzał w tę i z powrotem, by nie psuć roboty technikom.

Dominik Rudzki przestał śledzić wzrokiem krążącego jak automat prokuratora i skupił się na zwłokach. Podeszedł bliżej. Miał przed sobą ciało około dwudziestopięcioletniej dziewczyny. Nie miała nawet zmarszczek. Sine usta, dwa niewielkie pieprzyki na policzkach. W obu uszach miniaturowe kolczyki przysłonięte średniej długości włosami. Niewątpliwie była atrakcyjna. Przypomnił sobie poprzednią ofiarę – nieco starszą, ale również ładną.

Dwie kobiety zamordowane w tak krótkim czasie. Lokalizacje dzieliła stosunkowo niewielka odległość. Oba miejsca z dala od miasta, na terenach rzadko odwiedzanych. To o czymś świadczyło.

– Coś znalazłeś? – zapytał prokurator, na chwilę przystając.

Rudzki nie odpowiedział ani nawet nie odwrócił się w jego kierunku.

Analizował. Przypomnił sobie zdjęcie Moniki Marczuk, które otrzymał od jej matki. Ta dziewczyna wyglądała podobnie. Nie potrafił ocenić na sto procent, ale wydawało mu się, że to właśnie ona.

Dwie dziewczyny. Dwie odrębne sprawy? Czy może te dwa zabójstwa miały wspólny mianownik?

– Nic takiego – odparł Rudzki i wstał. W tej samej chwili dostrzegł w oddali latarki. Intensywnie wiązki światła, które przecinały ciemność na dziesiątki kawałków. To zapewne technicy. Dysponowali sprzętem, o jakim mógłby tylko pomarzyć.

Odszedł kawałek. Jego głowę zaprzętały różne myśli. Dawno tak dziwnie się nie czuł.

W rejonie Kłodzka działo się coś niepokojącego. Nie tylko za sprawą tych morderstw. Coś było też nie tak z Igo-rem i Filipem. Do tego to zainscenizowane przesłuchanie w szpitalu, pytania o kilku kłodzkich gangsterów. I do tej

pory Krauze się nie odezwał ani nie dał znaku życia.

Nie podobało mu się to.

Bał się. Bał się z dwóch powodów.

Ale przecież nie mógł tego powiedzieć prokuratorowi.

Pomyślał o matce Moniki Marczuk. Musiał jej przekazać tragiczną wiadomość.

– Nawijaj – powiedział podenerwowany. Był bliski wybuchu, choć musiał się opanować. Dom był miejscem, w którym zachowywał się, jak należy, choć teraz był już po kilku szklankach whisky i zaczynały mu puszczać hamulce. Miał ochotę kogoś rozszarpać. Kogokolwiek.

– Chyba mamy problem. W zakładzie nie ma nikogo.

– Jak to nie ma, to gdzie oni są?

– Nie wiem, nie ma z nimi kontaktu. W zakładzie pusto. Sprawdziłem. Choć mam podejrzenia...

– Oświeć mnie.

– Że coś się sypnęło.

– Co?

– Po pierwsze, nie ma kłódki w bramie. Poza tym przed firmą stoją ich auta. Otwarte, ale nic nie zginęło. W środku nikogo nie ma.

Rox ścisnął szklankę z alkoholem.

– Ślady walki? Cokolwiek, co wydawało ci się dziwne?

– W tym sęk. W środku jest idealny porządek. Jakby ktoś tam posprzątał. Ale to mógł zrobić któryś z moich pracowników.

– A monitoring?

– Nie ma nagrań od wieczora. Pewnie wyłączyli. Z wiadomych powodów.

Rox głośno westchnął i zaczął spacerować po salonie.

– A co z autami? Jakies inne ślady?

– Nie ma nic.

– Niemożliwe.

– Mamy zasady. Nie zostawiliby zakładu, aut. To się nie trzyma kupy.

Rox po raz pierwszy nie wiedział, co powiedzieć. Gryzł się z myślami, analizował. Myślał, do kogo zadzwonić, ale po chwili uznał, że wyczerpał możliwości.

– Więc co tam się mogło wydarzyć?

– Nic nie przychodzi mi do głowy.

– Wszyscy mają sygnały w telefonach?

– Tak.

– Dzwoniłeś do każdego z nich? – zapytał, choć sam zrobił to kilka razy.

– Do wszystkich – odpowiedział, unikając wymawiania pseudonimów na głos. To była zasada, której przestrzegali niezależnie od sytuacji. – Bez rezultatu.

– Mamy kogoś, kto jest w stanie ich namierzyć?

– Jedyna osoba, która dysponuje kimś z informatyki, to Sebastian, ale był z nimi. Nie oddzwania.

– To niemożliwe, by sześciu ludzi zapadło się pod ziemię.

– Co robimy? – zapytał Bliźniak.

Nadszedł moment, w którym nie bardzo wiedział, co robić. Mogło dojść do odbicia Fijałkowskiego. Ale kto by to zrobił? Ktoś z komendy? Antyterrorysty? Inna grupa szturmowa? Jakies służby specjalne?

Raczej nie, bo wieść o tym szybko by się rozniosła.

Może pojechali na imprezę, tylko jak, skoro zostawili auta?

Rozmyślenia Roxa przerwał Bliźniak.

– Nie wiem, co się tam wydarzyło, ale wydaje mi się, że jutro wszystko się wyjaśni.

– W dupę sobie wsadź swoje „wydaje mi się”. Nie pomagasz mi. Trzeba działać, a nie gdybać.

– Mam zebrać ekipę? Jak będzie trzeba, to przetrząśniemy miasto do góry nogami.

Rox zaczął nerwowo czochrąć się po swoich krótkich włosach. Do tej pory nie mieli takiej sytuacji. Nie miał pojęcia, co robić. Jeszcze nigdy nie zniknęło jego sześciu dobrych ludzi. Żołnierze, owszem, ulatniali się, zwłaszcza w czasie wojny gangów, czasami trafiali na dołek za jakąś pierdołę.

– Na razie niewiele to da – odpowiedział po chwili namysłu. – Podzwonił po chłopakach i popytaj, czy się nie widzieli z nimi ostatnio. Zrób to ostrożnie, nie zdradzaj zaniepokojenia. Może są u kogoś na imprezie. Albo na

dziewczynach. Tam też sprawdził – polecił, a potem zaczął się zastanawiać, czy to nie było coś poważniejszego. Coś, czego nie wziął pod uwagę.

Wciąż myślał o swojej grupie jak o firmie, w której wszystko było ważne i wszystko ze sobą musiało dobrze współdziałać. Każdy element, każdy człowiek, grupa. Jeśli coś się wydarzyło, to trzeba będzie się zastanowić, co dalej. Co zostało powiedziane przez telefon. Co zostało wysłane w formie wiadomości. Sprawdzić ewentualne nagrania. Ewentualne przecieki. Nic nie mogło się sygnąć. Spojrzał na kalendarz. A jeśli jednak ktoś ich przechwycił. Na przykład CBS? Nie zmienili numerów od ponad dwóch tygodni. Czas usunąć dotychczasowe i uruchomić nowe.

– Zadzwonił do każdego naszego miejsca, do którego mogli iść się pobawić. Przejdź się za dwa razy po terenie i zobacz, czy nie ma tam czegoś niepokojącego. Ślady, nawet choćby, kurwa, najdrobniejszy cień śladów.

– W porządku, dam znać, jak czegoś się dowiem.

– Nie zawieźdź mnie.

Rox zakończył rozmowę, usiadł w fotelu i położył dłonie na oparciu. Popatrzył na falujące płomienie. Za kwadrans będzie pierwsza w nocy. Waldek na pewno jeszcze nie śpi. Mimo że byli kolegami, może i nawet przyjaciółmi, nie chciał do niego dzwonić w tej sprawie. Odebrały to jako porażkę, uznaliby, że popełnił błąd i nie dopilnował ludzi.

Zaczął analizować cały dzisiejszy dzień, od rana aż po noc. Każdy szczegół, a potem wydarzenia z ostatnich dni. Policzył, ile wykonał telefonów. Niedużo, tylko siedem. Głównie do swoich pracowników, jeden do brata, który obchodził imieniny. Złożył mu życzenia. I tyle. Po obiedzie bawił się z Kacperkiem, był na drobnych zakupach w niewielkim sklepie, którego jego grupa kiedyś o mały włos nie doprowadziła do bankructwa. Chcąc wymusić haracz, wybili szyby, raz czy dwa obrzucili farbą, innego dnia roztrzaskali półkę z alkoholem. Wreszcie się dogadali. Właściciel sam się do nich zgłosił, mówiąc, że przydałaby mu się ochrona.

Właściciel nie miał najmniejszego pojęcia, że Rox, gość, który zaglądał tam z synem co kilka dni, to szef gangu. Nie rzucał się w oczy, jak dawniej. Jego masywna sylwetka nieco zmalala, wyraz twarzy trochę złagodniał, ostre rysy twarzy przytępił czas. Kupował tu Kacprowi, co ten chciał. Dbał, by miał wszystko, od dużych przyjemności po małe.

Analizował dalej. Potem poszli na plac zabaw. Mały huśtał się z piętnaście minut, mimo że na zewnątrz było zimno. Gdy wrócili do domu, syn poszedł pograć na konsoli, a on usiadł przy laptopie i odczytał wiadomość. Co miesiąc otrzymywał plik od człowieka, który dbał o ich finanse. Wszystko odbywało się poprzez wyselekcjonowane do tego celu strony internetowe, na których umieszczał plik, a potem, po ściągnięciu Rox go usuwał. Nie pozostawał po tym żaden ślad. Często były to losowe witryny hostingowe. Każdy zabezpieczony hasłem. Ponadto używali zaszyfrowanych i odpowiednio zabezpieczanych transferów danych, korzystając z serwerów proxy, które były nie do namierzenia.

Po sprawdzeniu finansów obejrzał film. Potem drzemka, kolacja z rodziną. Miał ochotę się wyszaleć, ale zaplanowało, że do miasta pojedzie dopiero w sobotę, spotka się z chłopakami, wypije, pojedzie na dziewczyny.

Rozkładał na czynniki pierwsze każdy swój ruch i każde słowo. Przypominał sobie treść wszystkich dzisiejszych rozmów, a potem, gdy już był pewny, że nie było żadnej wtopy, cofnął się kilka dni i zaczął analizować wszystko od nowa. Ale poprzednie dni również nie przyniosły niczego rewelacyjnego. Od dłuższego czasu było spokojnie. Poza tym, że jego ludzie trochę poszarpali jakiegoś przedsiębiorcę, który nie zapłacił na czas.

Druga nieoczekiwana sprawa dotyczyła Fijałkowskiego, którego kiedyś już poznał, choć nie osobiście. Ich spotkanie miało miejsce parę lat temu na jednej z imprez w klubie Sewilla należącym do jego ludzi. Tam policjant dał się poznać z dobrej strony. Pobił trzech facetów, w tym Bambosza. Po incydencie podszedł do baru, wypił kolejkę i pojechał do domu.

Roxowi to zaimponowało. Następnego dnia opowiedział o tym zdarzeniu Barakudzie, który powiedział, żeby go nie rozliczać z tego zdarzenia. Ich ludzie nie powinni ruszać policjantów, w końcu chodzi zarówno o dobro ich grupy, jak i współpracę z organami ścigania. Bał się, że zagrożenie Fijałkowskemu mogłoby się źle skończyć. Wiedział, że lepiej nie kusić losu i nie zbliżać się do niego.

I tego się przez lata trzymali, zapomnieli o sprawie.

A teraz wydarzyło się coś, czego nikt nie przewidział. Fijałkowski pojawił się przypadkiem, nawywijał jak mało kto, więc musiał ponieść karę. Tutaj już nie było mowy o żadnej litości.

Po chwili wpadł na pomysł. Zadzwonił ze swojego drugiego telefonu do kilku szpitali w rejonie kłodzkim, podając zmyślane dane. Za każdym razem pytał, czy w ostatnim czasie zostali przywiezieni do szpitala jego dwaj kuzyni. Powiedział, że brali udział w wypadku i nie może się z żadnym z nich skontaktować. Podał nazwisko Dakoty, Karakana. Żaden z telefonów nie przyniósł rezultatu. Do żadnego nie przywieziono rannych mężczyzn.

Zaczął stukać telefonem po nodze. A jeśli od początku sytuacja potoczyła się inaczej, jeśli wcale nie udało się im wyrwać Fijałkowskiego ze szpitala? Nie, niemożliwe. Sześciu ludzi by nie spierdoliło sprawy.

Poczuł wibrowanie telefonu. Na wyświetlaczu pojawił się długo oczekiwany napis „D”. Ulżyło mu. W gruncie rzeczy ucieszył się, choć nie mógł tego zdradzić.



– Możesz mi wyjaśnić, co się działo przez ostatnich parę godzin, do kurwy nędzy? Co z naszym człowiekiem? Naprawdę mam kogoś skrócić o łeb? – zapytał ostrym tonem.

Nikt nie odpowiadał. Usłyszał oddech, który po chwili ucichł. Nastąpiło piknięcie. Odchylił telefon, by sprawdzić, czy coś się dzieje z telefonem, ale połączenie trwało. Wsłuchiwał się. Nie był pewien, ale miał wrażenie, że usłyszał głos jednego ze swoich ludzi. Przytłumiony, oddalony, jakby dochodził z drugiego pomieszczenia, ale po chwili stał się wyraźniejszy.

– Gdzie jesteś? Kurwa, co się dzieje? Co z wami?

Żadnej odpowiedzi.

– Dak, mów co się dzieje. Halo?!

Wstał i podszedł do okna. Bał się, że stracił sygnał.

– Szefie? Nie... Chwila...

To był głos Dakoty. Już wyraźniejszy, bliższy, ale nie tak powinien brzmieć głos jego człowieka, lidera. Słowa były rwane, szarpane i nienaturalne.

– ...szefie, mamy... kurwaaa... problem. Z Igorem... Musisz... musisz.... przyjechać. Nie chce z nami gadać.

Rox stał nieruchomo. Poczł, że napina mu się każdy mięsień. Popatrzył na wyświetlacz telefonu. Połączenie trwało, głos Dakoty stawał się raz wyraźniejszy, raz znów zanikał.

– Co?

– Mamy go. Ale... musieliśmy go zabrać... w inne miejsce. Koło zakładu... kręcili się jacyś ludzie... Mamy go... Ale powiedział, że będzie gadał tylko z tobą...

– Okej, niedługo przyjadę, gdzie jesteście?

– W bezpiecznym miejscu.

– Gdzie, kurwa?

I znów Rox usłyszał jakieś jęki. Podejrzewał, że któryś z jego ludzi katował Fijałkowskiego.

– Zabraliśmy... go... na działkę... Kucola. Droga z Kłodzka na zachód. Gdy miniesz Wojciechowice, skręcisz.... na pierwszym skrzyżowaniu... w lewo. Potem dojedziesz drogą... do samego końca. Nie więcej jak dwa kilometry polnej drogi. Gdy będziesz na miejscu, zadzwoń. Wyjdę... Musisz przyjechać. Katujemy go... ale bez ciebie nic nie powie.

Niespełna pół godziny później czarny pikap GMC zatrzymał się na ciemnej drodze. Dwie nieskończenie długie linie kolein polnej drogi, powiewające liście, suche krzaki. Żadnych kolorowych znaków, reklam, billboardów, które złamałyby tę szarość. Poczul się tak, jakby dojechał do miejsca, za którym niczego już nie ma.

Dakota nie odbierał, a przecież miał tu czekać. O ile dobrze zapamiętał opis miejsca. Ale to musiało być tu, patrzył na licznik, od skrzyżowania przejechał dokładnie dwa kilometry. Podejrzewał, że ściągnęli tu Igora, bo gdzieś w pobliżu znajdowały się jakieś porzucone zabudowania. Idealne miejsce na przesłuchiwanie. Żadnych domów. Idealna pustka.

Pomyślał, że byłoby to doskonałe miejsce na niewielką fabrykę amfetaminy. Bez ciekawskich spojrzeń sąsiadów, brak ruchliwej drogi. Zapamiętał ten pomysł. Trzeba będzie do niego wrócić.

Czekał, bo nie pozostawało mu nic innego. Dobrze, że wypił kilka szklanek whisky, więc o wiele chętniej rozprawi się z nim osobiście. Będzie miał mniejszą tolerancję na ewentualne współczucie.

Minutę później otrzymał esemesa z telefonu Dakowskiego i ruszył zgodnie ze wskazówkami. Dotarł do wskazanego miejsca. Była to odnoga kolejnej polnej drogi, która mogła prowadzić tylko na jakieś pastwiska albo w kierunku lasu.

Zatrzymał się, ale nie gasił świateł.

Wszędzie pusto. Żadnych charakterystycznych punktów. Okolica była spowita czernią, a nieco niżej, na wysokości świateł, unosiła się mgła. Tuż nad ziemią widać jednak było ciemne kikuty starych, powalonych przez wiatr i burzę drzew.

Popatrzył na zegarek. Był dokładnie pięć minut przed wyznaczoną godziną. Siedział, poruszając nerwowo nogą. Czekał. Gdyby miało się wydarzyć coś niespodziewanego, pod tylnym fotelem leżała broń. Umieścił też w tym miejscu dodatkowy magazynek.

Każda minuta ciągnęła się w nieskończoność.

I nagle niepostrzeżenie z ciemności wyłonił się mężczyzna w czarnej masce, ubrany w coś, co przypominało strój taktyczny używany przez antyterrorystów. Mężczyzna był wysoki. Zastanawiał się, który to z jego ludzi. Na pewno nie był to Dakota. Może Kucol? Stał na wprost samochodu, kilkanaście metrów od niego. Poświecił latarką. To musiało coś oznaczać, ale nie wiedział co. Podszedł do auta i machnął, ale Rox nie zrozumiał tego gestu.

Kurwa, to nie był ani Bambosz, ani Dakota. Może któryś z ich żołnierzy? Popatrzył na boki i we wsteczne lusterka. Nie było nikogo więcej.

Coś tu nie pasowało. Nigdy się tak nie zachowywali. Rox się rozejrzał, ale nikogo więcej nie zauważył. Wcisnął przycisk, by uchylić szybę od strony pasażera i zapytać go, co się dzieje, ale w tej samej sekundzie usłyszał potworny huk. Boczna szyba rozszarpała się w drobny mak.

To pułapka. Skulił się. Musiał działać szybko, choć był trochę wcięty. Chciał sięgnąć po broń, ale nie zdążył. Poczul uderzenie w twarz. Potem w szyję. Zabolalo. Potwornie. Długi kij dosięgnął jego głowy. Z pałki posypały się impulsy elektryczne. Napastnik przytrzymał paralizator przez kilka sekund. Próbował ją odciągnąć, ale wtedy impulsy przeszły na dłonie.

Zaczął słabnąć, tracić przytomność. Resztkami sił nacisnął klamkę, by odepchnąć drzwi. Chciał się wydostać z kabiny, ale nie miał możliwości. Stojący mężczyzna blokował drzwi. Nagle do auta zbliżył się drugi. W dłoniach trzymał pręt. Podszedł jeszcze bliżej, a potem zaczął roztrzaskiwać wszystkie szyby. „Kurwa mać”, zaklął. Dał się złapać. Był osaczony. Z obu stron. Resztkami sił zaczął szukać broni. Dłoń błędziła po ciemnej podłodze, aż wreszcie po nią sięgnął. Zacisnął uchwyt i zdążył ją odblokować. Strzelił w kierunku jednego z nich, ale żadnego nie trafił.

Oddał drugi strzał. Znowu nie trafił. W tej samej chwili od strony okna kierowcy dopadła go kolejna seria z paralizatora. Była znacznie mocniejsza. Nerwy zaczęły szarpać nie tylko szyję, ale także ręce. Miał wrażenie, że ktoś próbuje mu wyrwać rdzeń kręgowy.

Wypuścił z dłoni glocka. Drzwi z obu stron się otworzyły. Dorwali go. Próbował się na nich rzucić resztką sił, ale jedna ręka była niemal bezwładna. Wydawała się sparaliżowana. Któryś chwycił go za rękę. Rox zaczął kopać, gdzie popadło, za wszelką cenę próbując się wyrwać. Był jak schwyty w pułapkę lew. Wył i szarpał się na wszystkie strony. Wtedy otrzymał kolejne rażenie, potem następne.

Robił, co mógł. Walczył o życie. Wiedział to. Albo teraz im się wyrwie, ucieknie jak najdalej, albo będzie po nim.

W końcu ciało zaczęło się poddawać. Silny chwyt za nogi, drugi za ręce. Napastnicy wzięli go w uchwyt krzyżowy, nie miał szans.

Wytargali go z samochodu i zakleili usta taśmą klejącą. Jeden z nich wyłączył światła w samochodzie, zabrał broń i dokumenty. Sprawdził mu kieszenie. Wziął telefon.

Zrozumiał, że chwilowo przegrał.

– To będzie twój nowy dom. Zostaniesz tu na jakiś czas – powiedział Karpowicz.

– Kim jesteście? O co wam chodzi? – powiedział przytłumionym głosem, bo wciąż miał na głowie worek. Zaczął się szamotać.

Karpowicz upewnił się, że Rox miał dobrze związane nogi i ręce.

– O kilka informacji.

– Nie powiem ci, kurwo niewyruchana, ani słowa. Nic wam się nie uda ze mnie wyciągnąć. Zaraz was dopadną pozostali! Wiecie, kim, kurwa, jestem? Dobiorę się wam do dupy, wszarzę jebani. Swołocz pierdołona! Wykończymy was, dojedziemy. Zginiecie jeden po drugim, wytłuczemy was i wasze rodziny.

Karpowicz się nie odezwał. Wyszedł z pomieszczenia. Zaryglował solidnie drzwi i poszedł do domu. Przy stole siedział Filip. Przysiadł się do niego i sięgnął po piwo. Wlał w gardło połowę butelki. Obaj przez dłuższą chwilę milczeli. Siedzieli w niedużej kuchni, która przypominała ascetyczne miejsce zatopione w głębinach klasztoru o zaostrozonym rygorze. Szare, nieotynkowane ściany, prosty drewniany stół, dwa krzesła, surowe meble. Żadnych ozdób, ani skrawka czegoś, co przydawałoby pomieszczeniu ciepła. W takich wnętrzach mieszkali ludzie, którzy na coś czekali.

– Mam dziwne wrażenie, że za łatwo poszło – powiedział Filip, kończąc sesamka.

– Nie ciągnął się za nami żaden ogon, a gdyby się komuś wygadał, że tu jedzie, już byśmy mieli ich na karku.

– Nie o to chodzi. – Krauze podszedł do okna. Spojrzał przez nie w ciemność. Niewielki dom znajdował się na wzniesieniu, skąd w dzień rozciągał się widok na niewielkie zagłębienie terenu, przez które prowadziła polna droga. Gdyby podjeżdżało tędy jakieś auto, widzieliby je. Nie dało się tutaj dotrzeć inaczej. Zasłonił ciemną firanę.

– Mamy siedmiu skurwysynów, którzy od wielu lat dziesiątkowali ludzi i popełnili setki przestępstw. Zrobiliśmy więcej niż CBS przez ostatnie miesiące, może i lata. Czuję, że dokonaliśmy czegoś ważnego. A mimo to wciąż mam dziwne wrażenie, że... – nie dokończył. Czekał, aż Karpowicz się odezwie, ale ten nic nie mówił. – Że za to, co zrobiliśmy, będziemy się smażyć w piekle, Konrad.

– Ty ich nie tknąłeś. To mnie dosięgnie sprawiedliwość. Ziemska czy boska, dla mnie to bez znaczenia. Dla mnie ważne jest jedno. I dobrze o tym wiesz. Inaczej byś mnie w to nie wciągał.

Filip spojrział na niego gorzko. Popatrzył na zegarek, na zbyt szybko upływający czas. Wiedział, że muszą się posunąć dalej.

Krauze wyjął komórkę Roxa i przejrzał listę kontaktów. Cholera, nie było tego dużo. Wszystkich nazywał literą. Pewnie pierwszą. Mimo że lista adresowa była krótka, podejrzewał, że miał tu numery do wszystkich gangsterów, którzy z nimi współpracowali. Numery do wpływowych ludzi, biznesmenów, a może i urzędników. Zdawał sobie sprawę z tego, że ten telefon wart był fortunę. To w nim skupiała się władza tego człowieka. Kontakty i znajomości. Zalogował się na skrzynkę mailową. Chwilę to trwało, wreszcie skrzynka się czytała.

– Kurwa mać – wyszczał przez zęby zrezygnowanym tonem Krauze.

– Co jest?

– Myślałem, że ich mamy – odpowiedział, klikając ikonę skrzynki poczty elektronicznej. – Ale żeby się do niej dostać, trzeba znać hasło.

Szlag by to trafił. Pilnował się. Nawet we własnym telefonie musiał wpisywać dodatkowe hasła.

Filip spojrział na swojego kolegę, człowieka, z którym wyłączając ostatnie godziny, nie rozmawiał od wielu lat, mimo że się dobrze znali. Ale wydarzenia tego dnia ich nierozzerwalnie połączyły. Obaj zrobili coś, czego się po sobie nie spodziewali. Unieszkodliwili niebezpiecznych gangsterów. Krauze wytoczył im prywatną wojnę za to, co zrobili Igorowi i co chcieli zrobić jego rodzinie, Zuzi i Weronice. Karpowicz kierował się prywatną zemstą. Za wszelką cenę chciał dorwać tylko jednego z nich, Barakudę, którego nienawidził i któremu wiele lat temu przysiągł, że przyjdzie czas na wyrównanie rachunków. Bandziora, który przez dziesięciolecie robił to, na co miał ochotę, a w czasie ostrych akcji i napadów naznaczał ludzi swoim charakterystycznym znakiem – ciął im twarz, szyję albo ręce, a potem katował.

Kiedyś Igor opowiedział mu historię Karpowicza.

Lata temu jego brat wpadł w szal, gdy się dowiedział, że Konrad został policjantem.

Od dzieciństwa łączyły ich bardzo trudne relacje, ale to był dzień, który przesądził o wszystkim.

Waldemar Szolc, przyrodni brat noszący inne nazwisko, powiedział mu wtedy, że od tego dnia wyrzeka się go i nie są już rodziną. Karpowicz sądził, że to tylko kolejne groźby. Barakuda od niepamiętnych czasów wyzywał się na bracie za to, że stoi po stronie prawa, nie wspiera go, nie chce wstąpić do jego grupy.

Karpowicz był inny, wyznawał inny system wartości i przekonań. Im bardziej Barakuda oddalał się od prawa, tym bardziej Konrad się do prawa zbliżał, próbując przeszkodzić mu w interesach, pokazując, że depcze mu po piętach i śledzi każdy jego krok.

Aż wreszcie nadszedł ten dzień.

Pewnego wieczoru Barakuda zjawił się w mieszkaniu Konrada z ekipą osiłków. Zaczęli walić w drzwi, a Karpowicz, niczego nie podejrzewając, otworzył. Gdy tylko zwolnił ostatnią zasuwę, w ciasnym mieszkaniu zrobiło się tłoczno od napompowanych i ogolonych na łyso mięśniaków. Wśród nich stał on – wydziarany potwór z fryzurą samuraja, grubym kucykiem na czubku głowy. Facet, z którym nikt nie powinien zadzierać.

Konrad otrzymał wiele uderzeń w twarz od sadystycznego brata i jego ludzi. Ale wtedy, w przypiływie adrenaliny, nawet nie czuł bólu, bo ból fizyczny dało się zdusić i niemal całkowicie zignorować.

Byli jak w amoku. Pijani, naćpani. Bili go, tłukąc po twarzy, brzuchu, udach, a potem, gdy zobaczyli, że się nie rusza, przerwali. Czekali. Gdy się ocknął, Barakuda kazał im wyjść.

To, co wydarzyło się później, Karpowicz zapamięta do końca życia. Każdą sekundę, każdy ruch, gest, niczym zwolnione tempo filmu. A przede wszystkim wrzask swojej żony. Bo to na niej skupił się Barakuda. Najpierw uderzył ją w twarz, potem w brzuch. Bił, aż padła nieprzytomna.

Na koniec wyciągnął brzytwę. Zrobił jej to, co innym.

Dwie minuty później po nim i jego ludziach nie było śladu. Konrad resztkami sił doczołgał się do telefonu i wezwał pogotowie.

Nie był w stanie jej pomóc. Nie dał rady nawet wstać.

Następnego dnia w szpitalu zmarli jego żona i nienarodzone dziecko. Karpowicz, wrak człowieka, podjął decyzję, że resztę swoich dni spędzi na wyrównywaniu rachunków.

Jego życie stało się polowaniem. I czekaniem.

Uznał, że nie spocznie, dopóki nie skończy swojego dzieła – a celem była śmierć Barakudy. Wiedział, że musi to osiągnąć – legalnie, nielegalnie, siłą, przemocą, wymuszeniem – czymkolwiek. Niemal całą swoją zawodową aktywność poświęcił jemu. I ten czas, który wcale nie zacierał przeszłości, Konrad Karpowicz spędzał na planowaniu. Bo wcale tak nie jest, że czas leczy ran. Jego rany, przez lata doskonale to wiedział, nic nie było w stanie zagoić.

Karpowicz robił, co mógł, ale aż do ostatnich dni w jego pracy nie udało się zebrać wystarczających dowodów, by wsadzić Barakudę na dłużej do więzienia. Udało się zapuszkować go na dwa lata. Owszem, był to sukces, ale mały, który tylko uświadomił Konradowi, że na więcej go nie stać. Unaoczniał jedynie bezsilność organów ścigania.

Zrezygnował i przeniósł się do innego rejonu. Tam dociągnął do emerytury. Skończyły się wszystkie oficjalne możliwości dorwania tego sukinsyna. Żył, nie mogąc się pogodzić z tym, co go spotkało.

I tak stopniowo gasła w nim nadzieja. Aż do chwili, kiedy zadzwonił do niego kolega z wydziału, którego pamiętał sprzed lat. Ze skrywaną ciekawością przyjechał na spotkanie, bo już stracił wiarę, że cokolwiek się w tej sprawie zmieni, mimo że co jakiś czas otrzymywał od starych kolegów informacje w sprawie gangu, śledził media, czytał gazety, zbierał to do kupy i odkładał w jedno miejsce z nadzieją, że kiedyś mu się przyda.

Aż do tej chwili nie wierzył, że wreszcie się ruszyło.

Konrad Karpowicz patrzył na Filipa, który przeglądał telefon Roxa. W pewnej chwili przestał nerwowo przewijać. Wyraz twarzy mu się zmienił. Być może znalazł to, czego szukał. Zapisał coś na kartce, podał mu ją, po czym rzekł spokojnie, nieznacznie się uśmiechając.

– Chyba tego szukałeś.

Stali w wirze kołującego się powietrza. Wiatr tłumiał wszelkie odgłosy. Jego kurtka trzepotała niczym chorągiew na maszcie. To było idealne miejsce, by zapomnieć, że istnieją inni ludzie. Na tym pustkowiu miał wrażenie, że można było się poczuć tak, jakby się było jedyną osobą na świecie.

– Wiesz, że wpłynęliśmy na głęboką wodę i możemy utonąć? – zapytał, a jego słowa porwał wiatr, niosąc je dalej, w pustkę.

Twarz Karpowicza zmieniła się, napięła. Chwilę odczekał, po czym zamieniony w bezwzględny egzekutor odezwał się tonem tak gorzkim, tak bardzo przepełnionym żalem i chęcią zemsty, że Krauze poczuł dreszcz na plecach.

– Od początku wiedziałem, że tak to się skończy. Że któryś z nich tutaj wyląduje. W moich rękach – mruknął z satysfakcją. – Czekałem na to lata, Filip. Tylko nigdy nie sądziłem, że to ty mi w tym pomożesz. I że zgarniemy aż tyłu.

Stali w milczeniu, w którym czuli absolutny spokój. Wiatr, szum, ciemność, pustka. Tak niewiele potrzebowali.

– To tutaj pomieszkujesz? – zapytał Krauze i skinął głową w kierunku niedużego budynku. Chciał zmienić temat i dodać temu spotkaniu odrobiny normalności, ale też i po to, by odetchnąć od ostatnich wydarzeń.

– Czasami jeżdżę do swojej kawalerki – odpowiedział i splunął w dal. – Po tamtym wydarzeniu sprzedałem nasze mieszkanie i kupiłem inne, mniejsze. Mam tam pokój, kuchnię i łazienkę. Wystarczy dla starego wdowca. Od tamtej pory z nikim nie byłem. Nie potrafiłem. Bałem się, że i ją by to spotkało. A tu – zatoczył ręką koło, pokazując ten niewielki budynek – czuję się naprawdę dobrze. Mam tu wszystko, czego potrzebuję. Najważniejsze, że mam spokój. To mi wystarcza.

– Co robiłeś przez te lata?

Konrad Karpowicz zaśmiał się gorzko i wypluł kawałek tytoniu. Jego twarz przysłonił dym.

– Pytasz z grzeczności czy naprawdę jesteś ciekawy?

– Pytam serio, nie myśl, że jestem bezduszny.

– Szykowałem się. Szykowałem się do tego spotkania, Filip. I dobrze o tym wiesz – odpowiedział, po czym rzucił przed siebie papierosa i zniknął w ciemności.

Poszedł do jednej z dwóch komórek przyklejonych do budynku. Otworzył drzwi, wszedł do środka, po czym zarygował je za sobą.

Spojrzał na siedzącego na betonowej posadzce Roxa, który miał na głowie szmaciany worek. Poza tym był nagi, emerytowany policjant zdążył go rozebrać, spalić ubrania i zadbać, żeby się nie uwolnił.

Nie okłamał Filipa. Był przygotowany na ten dzień, choć nie przypuszczał, że tak wiele wydarzy się w tak krótkim czasie. Dysponował linami, narzędziami, bronią, agregatem prądotwórczym, akumulatorami, butlami gazowymi.

„Tak”, powiedział do siebie w myślach, zupełnie jakby kontynuował niedokończony dialog, czekał na ten dzień, choć zamiast Roxa wolałby trzymać tutaj swojego brata. Dla niego zaplanował inne tortury, dłuższą i bardziej okrutną śmierć. Ten błagałby go, by już to zakończył. Ale on nie zrobiłby tego. Przedłużałby mu cierpienie. Pozwoliłby mu umierać powoli. Podobnie jak on umierał każdego dnia, wciąż mając pod powiekami widok zakrwawionego ciała swojej żony, którą kochał ponad wszystko.

Włączył światło halogenowe. Szarpnięciem zerwał mu z głowy worek i z całej siły uderzył w twarz.

– Bijesz bezbronnego, sukinsynu. Nic ci nie zrobiłem.

Uderzył go ponownie tak mocno, że głowa Roxa obróciła się niemal o dziewięćdziesiąt stopni. Wyprostował ją i spojrzał wrogo na Karpowicza. Dwóch mężczyzn naprzeciwko siebie, obaj zdeterminowani, by walczyć, ale Rox nie miał najmniejszych szans, nawet gdyby był rozwiązany.

Bo tamtego dnia Rox był z nimi, też zadawał ciosy. Przeklęty sługa Barakudy. Jego cień, równie brutalny i bezwzględny.

Kolejne uderzenie było tak silne, że z ust chlusnęła krew. Ciosowi towarzyszyło chrupnięcie kości. Podejrzewał, że to zęby lub żuchwa.

– Za co?

– Gdzie jest Barakuda?  
– Nie znam nikogo takiego.  
– Gdzie? W Lewinie? W tym swoim pensjonacie?  
– Jaki znowu Barakuda? O co ci chodzi, sukinsynu?  
– Nie są mi potrzebne żadne wyzwiska. – Wymawiał słowa, próbując zmienić głos. Włożył skórzane rękawiczki.  
– Zapytam po raz ostatni, Waldemar Szolc, twój szef, człowiek, który wydaje ci polecenia. Gdzie? – Uderzenie. – On. – Uderzenie. – Teraz. – Uderzenie. – Jest?

Z oczu Roksowicza popłynęły łzy, a z nosa ciekła krew.

– Wypierdalaj – powiedział jednym tchem, wypluwając krew zmieszaną ze śliną.

Karpowicz zdjął maskę, podszedł do niego i popatrzył mu prosto w oczy. Czekał.

– Siedemnaście lat...

– Co, kurwo, powiedziałeś?

– Że czekałem na to siedemnaście lat. Wyobrazasz sobie?!

Rox spojrział na niego z zaciekawieniem. Przestał myśleć o bólu. O krwi. O rozwalonej szczęce. Teraz to była drobnostka. Lata pracy na ulicy nauczyły go, że wcześniej czy później gęba się zagoi. Nawet po kilkunastu uderzeniach, nawet po serii kopniaków w trzewia. Wszystko się zraszało. Pomyślał o czymś innym: o tym, że tego akurat się nie spodziewał. Nie sądził, że ten dzień kiedykolwiek nastąpi.

Ale nadszedł. Niepodziewanie. W nocy. Stawiając cały jego gang do odstrzału. Skoro go tu zwabili, ten gość miał pozostałych jego ludzi. Zmusił Dakotę do kłamstwa o Fijałkowskim. To wszystko zaczynało do siebie pasować.

Milczał, choć chciał coś powiedzieć.

Czekał, patrząc mu prosto w oczy.

Karpowicz bez słowa podszedł do znajdującego się przy ścianie dźwigu. Przeciągnął linę i mocnym ruchem ściągnął łańcuch. Hak, który znajdował się na końcu, spadł na nogi Roxa.

Konrad działał metodycznie. Sprawiał wrażenie człowieka, który obmyślił każdy, nawet najdrobniejszy element planu już wiele lat temu. Związał nogi Roxa i uniósł ważącego około stu kilogramów gangstera na wysokość wzroku.

– Daję ci ostatnią szansę, choć na nią nie zasłużyłeś. Powiedz, gdzie dokładnie mieszka Waldek, a przeżyjesz.

– Przekłeta swolocz! – wrzasnęła Roksowicz. – Ukręcę ci łeb, odrąbię go, a potem będę nim grał w piłkę. Już jesteś martwy. Jesteś trupem. Gadam ze zwłokami, ścierwo pierdolone.

Karpowicz podszedł bliżej z beznamiętną miną.

– Jeśli mi powiesz, gdzie on mieszka, wrócisz do swojego synka Kacpra i do żony. Jeśli nie powiesz, twoją rodzinę spotka to, co spotkało moją.

Gangster znieruchomiał.

– Wiesz, co znaczy śmierć żony? Śmierć dziecka? Nie przeżyłeś tego, więc nie wiesz. Nie wiesz, jak to jest patrzeć na konającą osobę, którą kochasz. Nie wiesz, że w jej spojrzeniu tli się nadzieja, że ją uratujesz. Że wszystko, w tej sekundzie i każdej kolejnej, zależy od ciebie. Ale co możesz zrobić, skoro jesteś unieruchomiony? Pomyśl o tym, Rox. Jesteś unieruchomiony, ale możesz im pomóc. Ja nie mogłem. Daję ci wybór.

– Zostaw ich. Zostaw. Nie wolno ci tego zrobić. Nie wolno! Odszczekaj to!

– Wezmę twoje kluczyki. Dojadę tam w jakieś – Konrad zawiesił głos i spojrział na zegarek – pół godziny. Wejdę tam. Po cichu. Otworzę drzwi do pokoju Kacperka... Pewnie śpi, co?

– Nie ruszaj mojej rodziny, podła świni! – wychrypiął i zaczął się rzucać jak opętany. Robił to z taką gwałtownością, jakby chciał wyrwać dłonie ze stalowych uścisków.

Karpowicz odsunął się o krok.

Czekał.

Dziesięć minut później Krauze wjechał potężnym GMC do lasu. Dotarł najdalej, jak się dało. Gdy drzewa uniemożliwiły jazdę, zatrzymał się, wyjął kluczyki i wrócił pod dom Karpowicza.

Nie podchodził zbyt blisko. Nie chciał. Nie zamierzał ingerować w to, co działo się za ścianą. To był czas Konrada, jego rozliczeń, jego zemsty.

Usłyszał krzyki, oddalił się, by tego nie słyszeć. Zapalił papierosa, choć rzadko palił, i stanął kilkanaście metrów od zabudowań. Nie współczuł gangsterom, ani przez chwilę nie było mu ich żal, bo to, do czego dopuszczali się przez wiele lat, było niedającym się policzyć ciągiem krzywd, które wyrządzili setkom, a może nawet tysiącom ludzi. Karpowicz był sędzią, który wydawał zaległy wyrok. Śmierć za śmierć. Śmierć za podwójną śmierć.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Konrad wyszedł z komórki i na chwilę zniknął w niedużym pomieszczeniu gospodarczym. Wytaszczył z niego gaz spawalniczy, potem prznosił kolejne butle. Być może robił miejsce, może chciał tam przenieść Roxa. Krauze nie umiał ocenić.

Gdy stanął w oddali, zapalił kolejnego papierosa. Palił zachłannie, zaciągając się co parę sekund, jakby dymem chciał oczyścić swoją duszę.

Nagle myśli Krauzego przerwał wrzask dobiegający z pomieszczenia. Po chwili przerodził się w pisk, a później w skomlenie.

Podkomisarz usiadł w samochodzie i sięgnął po telefon. Osiemnaście nieodebranych połączeń. Przewinał listę. Na gorze widniało nazwisko lekarza. Dzwonił prawie godzinę temu, w sumie niedawno, więc na pewno nie spał. Wybrał numer i czekał. Włączył radio, by zagłuszyć wrzask. Nie chciał, by ktoś to usłyszał. Czegoś takiego nikt nie powinien słyszeć.

– Jak się ma nasz kolega? – zapytał, gdy usłyszał głos lekarza.

– Miał uszkodzone jelito i niewielki krwotok dwunastnicy, ale na szczęście operacja się udała. Gdybyś go przywoził godzinę lub dwie później, od razu byśmy go przetransportowali do piwnicy na sekcję zwłok. Na szczęście teraz jego stan jest w miarę stabilny. Wprowadziliśmy go w stan śpiączki farmakologicznej. Dziękuj Bogu. Albo komu tam chcesz.

– Najważniejsze, że żyje, więc dziękuję tobie. Gdyby coś się działo, daj mu, co trzeba, żeby go uratować. Choćbyś miał sięgać po najlepsze specyfiki, zrób to. To mój przyjaciel. W razie czego pokryję wszystkie koszty.

– Nie widzę takiej potrzeby. Nie chcę się wtrącać, Filip, ale rozumiem, że...

– Że co?

– Sprawcy poniosą odpowiedzialność? To, co ten ktoś z nim zrobił, to istne bestialstwo. Wiesz, kto go tak załatwił?

– Pracuję nad tym. Na razie wszystko wskazuje na to, że został pobity przez pomyłkę. Wyobrażasz sobie, że to wszystko było pieprzoną pomyłką?

– Jasne – mruknął tamten bez przekonania.

W tej chwili powietrze rozdarł przerażający skowyt.

Kilka minut później z cienia wyłoniła się przygarbiona sylwetka. Karpowicz wytarł czoło, rozejrzał się, a potem ruszył w kierunku auta. Otworzył drzwi i usiadł na siedzeniu pasażera. Ciężko dyszał. Nic nie mówił. Nie chciał, a może nie potrzebował.

Zapalił papierosa. Dym był jego powietrzem. Dopiero po kilku wdechach poczuł ulgę.

– Co z nim? – zapytał obojętnie Krauze. W gruncie rzeczy wcale nie interesowała go odpowiedź.

Konrad spojrział na niego morderczym wzrokiem.

– Miał przede mną kilka tajemnic, ale pod wpływem perswazji postanowił się nimi podzielić.

– Co mu zrobiłeś?

– Od wielu lat zastanawiałem się, która z metod wyciągania informacji jest skuteczna. Bicie nie pomaga, to naiwna teoria. Ale są takie momenty, Filip, że każdy, nawet największy twardziel mięknie. Kwestia znalezienia sposobu. Oszczędzę ci tego i nie będę wnikał w szczegóły. Im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie. – Rozejrzał się zmęczonym wzrokiem, jakby dopiero powoli docierało do niego, gdzie jest i co robi, po czym wyjął z kieszeni kartkę i podał ją Filipowi. – To adres mojego brata. Rox podał mi jeszcze dla pewności adres mieszkania w Kłodzku. Nie znałem go. – Uśmiechnął się, choć wcale nie czuł radości. Raczej ulgę.

– A ten dom w Lewinie? Są tam jakieś kamery, ochroniarze?

– Nikogo. Barakuda to człowiek starej daty i starej szkoły. Nie otacza się ochroniarzami. Zamontował tylko kamerę.

– Wierzysz w to?

– Rokowicz wydawał się wiarygodny. W takich okolicznościach jak te, jeśli ktoś już coś mówi, to nie po to, żeby klamać. Spakowałeś torbę?

Krauze kiwnął głową.

– Co z nim robimy? – Skinął w kierunku ciemnych zabudowań, które z tego miejsca wyglądały jak trzy kostki – jedna duża i dwie małe z obu stron, niczym podium, na którym stają zwycięzcy.

– Przeżyje – odpowiedział Konrad, ponownie przecierając zroszone potem czoło. Wyglądał jak myśliwy, który właśnie wrócił z długiego i męczącego polowania. – Później się zastanowimy, co z nim zrobimy.

– A oni?

– Też przeżyją.

– Jesteś pewien, że dobrze robimy?

– Przez ścianę mają swojego szefa, mogą się poskarżyć – zadrwił Karpowicz, ale po chwili obrócił głowę w jego kierunku i rzekł zupełnie poważnie: – Bandytów trzeba traktować po bandycku. Przepracowałem w policji prawie połowę swojego życia. Torturowanie, lanie po ryju i zmuszanie wszelkimi możliwymi metodami do wyciągnięcia



informacji to codzienność na każdym komisariacie. Tak się kiedyś pracowało. I, kurwa, nie udawaj, że tego nie wiesz.

Krauze milczał. Słuchał, ale nie wyciągał żadnych wniosków.

– Dobra, Filip, szkoda czasu na gadanie. Chcę go dorwać przed świtem, nim się miasto obudzi ze snu. I zanim Waldek się zorientuje, że coś się stało z jego ludźmi.

– Konrad?

– No?

– Pamiętaj, mamy na nich sporo, mamy przewagę. Wystarczy na postawienie zarzutów. Z tym, co mają w telefonach i co mamy na nagraniach, dostaną co najmniej po kilkanaście lat.

Konrad zaciągał się dymem. Żar zrobił się tak intensywnie czerwony, że przez moment w kabinie zrobiło się jaśniej.

Filip spojrział mu głęboko w oczy i zrozumiał, że to, co powiedział, musiało się Karpowiczowi wydawać największą bzdurą. Czuł, że decyzja zapadła już dawno temu.

Włączył silnik.

– Weźmiesz swoje auto, bo na dwa będzie bezpieczniej. Podjedziesz pod mieszkanie, zadzwonisz domofonem. Wybadaj, czy ktoś tam pomieszkuje. Mam przecucie, że to nasza jedyna szansa. Tak jak jeden nabój w magazynku, którego nie możemy zmarnować. Jeśli będzie w mieszkaniu, to zadzwonisz po mnie. Przyjadę najszybciej, jak się da. Gdybyśmy zaczęli od Lewina i wparowali do jego rezydencji, pewnie monitorowanej, to Szolc by się o tym dowiedział. Więc albo go złapiemy w mieście i wtedy będzie miał małe szanse na ucieczkę, albo zakleszczymy go na wsi.

– Niech tak będzie – odpowiedział po namyśle. Przypominało mu to polowanie na zwierzynę. – Spotkamy się niebawem w Lewinie.

Karpowicz zatoczył koło na końcu drogi i ruszył do celu. Krauze wiedział, że dotarcie na miejsce nie powinno mu zająć więcej niż dwadzieścia pięć minut, biorąc pod uwagę możliwości techniczne starego rozklekotanego busa.

Wszedł na podwórze domu Igora, sprawdził, czy nikt tu się nie kręcił, ale niczego podejrzanego nie zauważył. Rozejrzał się również po wnętrzu, ale i ono było nienaruszone. Nikt nie szukał Dakoty ani jego ludzi. Pocieszające było również to, że nikt nie szukał Igora i Weroniki.

Zadzwonił domofonem i czekał. Po dziesięciu sygnałach zrezygnował. Kamienica stała na rogu, więc miał widok na dwie strony. Po numerze domyślił się, że mieszkanie Barakudy znajduje się na trzecim piętrze.

Pokręcił się chwilę, przeszedł na drugą stronę ulicy, zatrzymał się pod drzewem i ostrożnie spojrział w górę. Nie chciał ryzykować, że uchwyci go jakaś kamera monitoringu. Odczekał chwilę, a potem znalazł przejście na podwórze. Z tej strony również znajdowały się okna, teraz ciemne. Żadnego śladu ruchu.

Cisza, spokój.

Wrócił ponownie pod drzwi, dla pewności zadzwonił ponownie.

Wziął telefon.

– Jestem na miejscu. Nie ma go. Sprawdziłem dokładnie.

– Dobra nasza – odpowiedział Karpowicz. – Ja jestem w połowie drogi do Lewina. Znajdę bezpieczne miejsce niedaleko jego domu i tam na ciebie poczekam, chociaż podejrzewam, że niedługo mnie dogonisz.

Filip zadrżał z zimna. Marzył tylko o tym, by zrzucić z siebie wojskowe ubranie, wziąć gorący prysznic, a potem wsunąć się bezszelestnie do swojego łóżka i dotknąć ustami cieplej szyi Oli, jej gorących pleców, ramion, poczuć jej zapach. Ale jeszcze nie teraz. Spojrzął na zegarek.

– W porządku, widzimy się na miejscu. Będziemy w kontakcie.

Do celu zostało mu pięć kilometrów. Dokładnie tyle dzieliło go od człowieka, który miał na sumieniu dziesiątki istnień.

Minął tabliczkę z napisem Lewin Kłodzki. Miejscowość malowniczo rozciągała się na kilku poziomach, część zabudowań znajdowała się w dolinie, a część na wzniesieniach porośniętych lasem. Wieś przecinał monumentalny zabytkowy wiadukt kolejowy.

GPS podpowiedział mu, że znajduje się sto metrów od celu.

Zatrzymał samochód.

Powiększył ekran na mapie Google'a. Dom Barakudy był prostokątem rzuconym w środku zieleni, znajdował się na uboczu, z dala od głównej drogi.

Konrad nie odbierał. Kolejne połączenie, znów bez rezultatu.

Zostawił auto z dala od zabudowania. Zabrał ze sobą plecak ze sprzętem. Rozejrzał się, próbując zlokalizować samochód kolegi. Dopiero gdy przeszedł kilkadziesiąt metrów, w oddali po lewej stronie coś błysnęło w świetle latarki. To był samochód Konrada, ale w aucie nie było nikogo.

– Cholera, miałeś poczekać – powiedział do siebie szeptem.

Gwizdnął cicho, jakby nawoływał zwierzaka, ale nie było żadnego odzewu. Zadzwoił ponownie. Kabina samochodu Karpowicza rozświetliła się jasną poświatą. Telefon leżał na siedzeniu pasażera. Zza zamkniętych drzwi słychać było dzwonek starego aparatu.

Stał chwilę, namyślając się i analizując sytuację. Przede wszystkim musiał się wsłuchać w otoczenie, w dźwięki – odgłosy natury, zwierząt. Może w pobliżu znajdowało się coś jeszcze, czego nie wziął pod uwagę.

Ktoś taki jak Szolc mógł się odpowiednio zabezpieczyć. Mógł zastawić pułapki. Kamery, linki, czujniki ruchu? A może był człowiekiem, który miał w dupie takie rzeczy jak zabezpieczenia, a jedyną skuteczną bronią była dla niego stara, solidna dubeltówka?

Krauze musiał wziąć pod uwagę różne scenariusze, również to, że domu jednak pilnują jacyś ludzie. Rox mógł przecież oszukać Karpowicza.

Wyciągnął z torby spray do neutralizacji zapachu. Skropił się nim, na wypadek gdyby Szolc miał czworonożnych przyjaciół. W kieszeni ukrył gaz, nie bał się więc ewentualnego ataku, bardziej martwiło go, że mógłby się zdradzić.

Dom był usytuowany, jak pokazywała mapa, na skraju gęstej ściany drzew, na wzniesieniu. Musiał się stamtąd roztaczać piękny widok. Krauze pomyślał, że niektórzy ludzie uwielbiają patrzeć z góry na okolicę, czują się wtedy wielcy.

Ruszył przez mokrą trawę. Minął tabliczkę z napisem „Pokoje gościnne, 50 m”.

Jego oczy zdążyły się przyzwyczaić do ciemności, a jednak wciąż niewiele widział. Dostrzegał jedynie zarys dużego obiektu, który znajdował się przed nim. Po prawej stronie strzelista ściana lasu, po lewej polana.

Sięgnął po noktowizor.

Zielony obraz uwidoczniał mu znajdującą się przed nim imponującą budowlę. Był to budynek trzykondygnacyjny, rozłożysty, ze spadzistym dachem. Typowa ponemiecka luksusowa willa, ładnie odnowiona. Musiała kosztować fortunę. Na frontowej ścianie doliczył się ośmiu okien na jednym poziomie. Niższych nie widział, bo dom otaczały strzeliste drzewa, chyba świerki, i krzewy. Tworzyły naturalne ogrodzenie, do tego wjazd na posesję blokowała okazała brama z solidnej stali. Tuż obok furka z domofonem. Żadnych pozorów gościnności. Pancerne wejście, kamera. Zrobił większy zoom. Nic nowego, zwykły odstraszacz, kamera przemysłowa starego typu.

Nigdzie nie widział Karpowicza.

Powiesił na szyi noktowizor i ruszył przed siebie. Szedł obok wyłożonej żwirem i szlaką drogi, ponieważ stąpanie po niej byłoby zbyt głośne. Może było to celowe. Mając to na uwadze, każdy krok stawiał ostrożnie, upewniając się, czy pod stopami nie ma jakiejś gałęzi, puszki, butelki, która mogłaby narobić hałasu.

W powietrzu czuć było wilgoć.

Podszedł bliżej. Teraz miał pewność. Krzewy i drzewa rosły tu nieprzypadkowo. Zadaniem tych roślin, które teraz kołysały się leniwie na wietrze, było niedopuszczenie nikogo do środka.

Ciemność. Pustkowie. Rzadko miewał poczucie takiego odosobnienia, świadomość, że jest niewielką istotą na łasce niebezpiecznej natury. Czuł to na działce Karpowicza, tam wręcz zmiażdżyła go siła czarnego, ogromnego lasu.

Tutaj było podobnie.

Noc. I ciemność, która miała tę swoją trudną do zrozumienia siłę łamania rzeczywistości. Dzielenia logiki na wiele części, często do siebie niepasujących, jakby wszystko to, co znajome za dnia, zniknęło wraz z nadejściem ciemności.

Obszedł ogrodzenie, stanął w miejscu, przez które, jak sądził, mógłby się najłatwiej dostać na teren podwórza.

Przejechał odruchowo palcami po kaburze, w której trzymał broń, ostrą i odstraszącą, morderczą i paraliżującą.

Przeżegnał się.

Był gotowy.

Przykleił się do ściany wysokiego budynku. Rozejrzał się. Na podwórzu stały dwa samochody. Dżip, duży amerykański pikap z szeregiem lamp halogenowych na dachu i masywnymi kołami, którym można było przemierzać amerykańskie dzicze i pustkowia. Krauzemu od razu na myśl przyszedł film *Mad Max*. Zaparkowany obok luksusowy terenowy mercedes nadawał się do wygodniejszej jazdy. Przez ułamek chwili Krauze zastanowił się, jak długo ludzie Barakudy musieli na niego pracować. Parę dni? Krócej? Dłużej? Na ile takich mógł sobie jeszcze pozwolić, na ile takich domów, posiadłości, mieszkań?

Przesuwał się powoli wzdłuż ściany, pochylając się, by nikt go nie dostrzegł przez okna na parterze. Wewnątrz świeciło się niewielkie punktowe światło, czego wcześniej nie widział. Być może to tylko lampka nocna, może oświetlenie jakiegoś urządzenia. Nie potrafił ocenić.

Obszedł budynek i zatrzymał się na tyłach. Cisza. Delikatny podmuch nocnego wiatru. Nigdzie ani śladu Konrada.

Podniósł wzrok. Na wysokości drugiego piętra znajdował się rozległy taras wspierany wysokimi na ponad dziesięć metrów słupami wbitymi w ziemię. Odszedł kawałek, by mieć widok na wyjście tarasowe. Nie miał pewności, ale wydawało mu się, że drzwi były uchylone. Kiedyś z kolegami wspinał się na drewniane słupy telefoniczne, żeby rozbijać izolatory. Oczywiście dla zabawy. Ale to było ponad dwadzieścia lat temu. Co prawda teraz miał rękawice i dobre buty... Nie namyślając się, zrobił odpowiedni chwyt, zacisnął dłonie i zaczął się podciągać. Szło powoli, ale dawał radę.

Wspiął się na dwa metry, potem przemierzył kolejne. W połowie wysokości zaczęły go boleć ręce, ale się nie poddawał. W pewnej chwili coś usłyszał. Huk wewnątrz domu. A może uderzenie. Coś spadło na podłogę. Odczekał tylko chwilę, bo coraz bardziej paliły go mięśnie. Potem wykonał jeszcze kilkadziesiąt precyzyjnych ruchów, powolnych, ale stanowczych. Koncentracja na celu, zmobilizował się w myślach. Mięśnie są tylko narzędziem. Jeszcze kawałek. Dosłownie kilka podciągnięć.

Wyciągnął z plecaka dwie szmaty i owinął nimi buty, żeby nie zostawiać śladów. Spryskał się jeszcze raz neutralizatorem zapachów.

W pozycji półklęczącej zaczął się przesuwac po drewnianej podłodze tarasu. Obejrzał się, ale niewiele było widać. Na pewno musiał się stąd rozciągać widok na całą posiadłość i okolice. Na razie jednak musiał się zadowolić czernią i majaczącymi w niej jaśniejszymi punktami. Zorientował się, że to stojące na tarasie dwa fotele i nieduży stolik z gazetami.

Podszedł do drzwi. Nie słyszał już żadnego dźwięku. Nic. Coś, co dobiegło jego uszu minutę lub dwie temu, płnięcie, potem uderzenie, niewątpliwie dochodziło z wnętrza domu.

Sięgnął po broń paraliżującą, rozchylił powoli drzwi, mając nadzieję, że nic go nie zaskoczy, po czym wszedł do środka.

Starął się rozpoznawać kształty. Badał otoczenie niczym niewidomy. To było duże pomieszczenie, trudno mu było ocenić, jaką pełni funkcję. Chyba zauważył jakieś materiały budowlane, więc być może trwał tu remont.

Podszedł do drzwi i nacisnął klamkę. Przed nim znajdował się długi korytarz, niemal tak długi jak cały dom, wzdłuż niego po lewej stronie dostrzegł kilkoro drzwi. Wszystkie takie same, z numerkami.

Szedł, co jakiś czas dotykając ściany. Miał na sobie rękawiczki, więc nie obawiał się, że zostawi ślady. Musiał poznać rozkład pokoi, korytarzy, łazienek. Oszacował, że na każdej kondygnacji znajduje się co najmniej sześć, siedem pokoi, jeśli nie więcej. To zdecydowanie za dużo, żeby sprawdzić każdy po kolei. Przystanął, by się upewnić, że nic się nie dzieje.

Na razie dom zatopiony był w ciszy, jakby był tu sam.

Ale wiedział, że nie jest.

Dotarł do końca korytarza. Schody na poddasze i na niższe piętro.

Zszedł ostrożnie na niższą kondygnację.

Na szczęście drewniane schody nie skrzypiały. Dotarł do kolejnego korytarza. Takiego samego.

Nagle usłyszał szmer. Stanął. Miał wrażenie, że były to pojękiwania i stęknienia. Czekał, obawiając się zdradzić swoją obecność. A potem nagle jego uszu dobiegł przeszywający wrzask, tak głośny, że Krauze rozpoznał głos

kolegi: Karpowicz krzyczał wniebogłosy, wydobywał z siebie makabryczny skowyt niczym zarzynane zwierzę.

Nie wahając się ani nie zastanawiając dłużej, sięgnął po ostrą broń.

Zszedł na parter. W tym miejscu układ pomieszczeń był inny. Nie było długiego korytarza, nie było również pokoi gościnnych, tylko otwarta przestrzeń, ogromny salon na pół domu. Po drugiej stronie znajdowała się wnęka z wielką kuchnią, tuż obok drzwi. Reszta ginęła w ciemności.

Zrobił ostrożny krok, potem kolejny. Poruszał się w cieniu niczym wytrawny włamywacz, trzymając się ścian. Cały czas miał wrażenie, jakby dom był pusty, ale przecież to nie była prawda.

Postawił ostrożnie kilka kroków, gotowy w każdej sekundzie oddać serię strzałów.

Przystanął, kiedy usłyszał głośnie sapanie. Wdechy i wydechy. Naprzemienne. Ciężkie. Nie widział, skąd dochodziły, ale źródło dźwięku musiało się znajdować blisko niego. Na środku salonu zauważył ściankę przedzielającą część pomieszczenia. Tuż obok leżały kawałki drewna porąbane i ułożone w stos. Po drugiej stronie zapewne był kominek.

Zbliżył się i zobaczył coś, czego się nie spodziewał.

Na podłodze leżały dwie osoby. Dyszenie stawało się coraz rzadsze, coraz płytsze.

Włączył latarkę.

Barakuda wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętał. Masywny gość ubrany w spodnie moro i ciemną koszulę. Wiek zrobił z nim to, co robił z każdym. Miał bladą skórę, głębokie zmarszczki, kilkudniowy zarost, posiwiały kucyk spięty na czubku głowy. Wygolone skronie, tatuaż – wijący się od ramienia aż na szyję węź. Podobny tatuaż miał Rox. Dwa węże. Dwa drapieżne węże, które polowały na swoje ofiary, Szolc i Roksowicz. Dwa cholerne gady, które terroryzowały Kłodzko i okolice.

Tuż obok leżał Konrad. Wystraszony spojrział w źródło światła. Oddychał płytko. Wypływała z niego brunatna, ciepła ciecz. Rozlewała się po dębowej podłodze, wlewała się do każdego wyźłobienia, by pozostać tam na zawsze.

– Filip?

– Tak, jestem tu.

Wziął znów kilka wdechów i wycharczał.

– Igor... – urwał, zamykając oczy.

– Co Igor?

– Pytałem go, ale... nie wyjawiał... co się stało. Rox też mi nie powiedział...

Krauze nachylił się i odsunął koszulę kolegi. Barakuda rozciął mu niemal całe trzewia. Rana wyglądała fatalnie. Karpowicz potrzebował operacji, i to natychmiast.

Krauze sięgnął po telefon. Wystukał szybko 112 i gdy już miał wcisnąć zieloną słuchawkę, kiedy usłyszał:

– Niiieeee... dzwoń. Pozwól... odejść... Kie...szeń... węź...

Sięgnął do kieszeni, z której wystawały dwie kartki złożone na cztery części.

Rozejrzał się. Patrzył na skąpany w ciemności pokój. Gdzieś tam migły diody różnych urządzeń elektronicznych. Upewnił się, czy w środku nie ma kamery. Skierował snop światła na ściany i pod sufit, ale niczego nie dostrzegł.

Popatrzył znów na Karpowicza. Klatka piersiowa się nie unosiła.

Spojrzał na podświetlany zegarek na okapie nad kuchenką. Zgon nastąpił o czwartej dziewiętnaście. Kucnął nad mężczyznami, sprawdził puls. Musiał mieć pewność.

Dwaj bracia, którzy przez całe życie robili wszystko, by się zniszczyć, którzy się nienawidzili, umarli obok siebie. Prawa dłoń Szolca leżała na piersi Konrada.

Barakuda zginął od ciosów nożem zadanych w brzuch, Konrad od ran zadanych siekierą. Oba narzędzia zbrodni leżały w pobliżu.

Filip usiadł na krześle kuchennym i rozłożył przed sobą kartki, które dał mu Karpowicz.

Czytał je przez ponad dwie minuty. Potem zrobił to ponownie. Upewnił się, że zapamiętał każde słowo i że wszystko do niego dotarło, choć to, czego się dowiedział, wprawiło go w osłupienie.

Złożył jedną i schował do kieszeni koszuli Konrada.

Trzymał w dłoni telefony Karpowicza i Barakudy. Trzęsły mu się ręce, ale starał się panować nad sobą.

Myślał o wszystkich miejscach, które odwiedził tej nocy. Analizował dokładnie każdą minutę. Krok po kroku. W żadnym z nich nie pozostawił po sobie śladu. Znał sposoby pracy techników kryminalistyki oraz najbardziej upierdliwych śledczych i wiedział, co dokładnie będą sprawdzać. Każdy, nawet najmniejszy ślad, począwszy od śladów butów, skończywszy na pozostawionych na miejscu zbrodni włosach, zapachach, odciskach palców, śladach opon, połączeniach telefonicznych, rejestrach kamer miejskich, nie mówiąc o poszukiwaniu świadków zdarzenia. Potem przeanalizują powiązania między ofiarami. Jeśli śledczy wytypują jakiegoś podejrzanego, będą go rozpracowywać aż do skutku. Analiza związku z ofiarami, sprawdzanie alibi, możliwe kontakty, punkty styczne. Wszystko.

A jeśli niczego nie znajdą, zaczną od nowa.

Zastanowił się, w którym miejscu mógł coś zostawić. Ślady obok zwłok wytarł ścierką i zabrał ją ze sobą. Drugim miejscem mógł być tylko podjazd, na którym właśnie się znajdował. Trzeci łączący go z tym wydarzeniem ślad trzymał w dłoni. Telefony, przede wszystkim ten należący do Karpowicza. Telefon Barakudy miał włączony tryb samolotowy. Musiał skopiować zawartość, dopiero potem go wyłączył.

Wycofał, po czym zaparkował w bezpiecznej odległości, zostawiając auto w miejscu, w którym nie było widoczne z drogi. Wrócił piechotą do rozwidlenia tuż przy wjeździe do domu Szolca. Upewnił się, że nikt nie idzie, choć był środek nocy. A mimo wszystko czekał, nasłuchiwał. Musiał mieć pewność, że jest tu sam.

Chwycił leżącą gałąź i zatarł ślady opon. Zrobił to kilka razy, porządnie. Następnie znów podszedł do samochodu Karpowicza i sprawdził, czy nic w nim nie zostało. Na siedzeniu leżały długopis i nieduży notes. Przekartkował go, ale był czysty. Sprawdził, czy nie odbiły się jakieś zagłębienia, po tym jak napisał list. Na szczęście nie.

Pomyślał, że być może Konrad zaplanował wszystko wcześniej, kiedy rozdzielili się w mieście. A może jeszcze wcześniej, na działce. Rox na pewno wyznał, że Barakuda jest tutaj. Karpowicz zrobił wszystko, by Krauze przyjechał z opóźnieniem. Pewnie nie chciał, żeby ktoś go powstrzymał przed zabiciem brata.

A może nawet skłamał w sprawie mieszkania w Kłodzku. Może chciał zyskać na czasie, aby przyjechać tu naj-  
szybciej, jak się dało.

Kiedy tu dotarł, napisał list pożegnalny, po czym poszedł na spotkanie z bratem. Pewnie się nawet nie ukrywał. Podszedł do drzwi, zadzwonił. A potem nastąpił atak.

Krauze wytarł chodniki, siedzenie, kierownicę, a potem klamki. Na wypadek gdyby miał padać deszcz, otworzył okno. Deszcz zmyje dodatkowo ślady, a przewiew pomoże usunąć zapach. Upewnił się, że niczego nie zostawił, i wrócił do swojego samochodu.

„To wszystko”, pomyślał, włączając radio. Musiał zagłuszyć myśli.

Przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył przed siebie.

Zatrzymał się w północnej części miasta, na moście, pod którym płynęła Nysa Kłodzka. Wrzucił do wody szmatę. Po chwili cisnął w nurt telefon Karpowicza. Zdjął buty, pociął podeszwę w kilku miejscach, aby zniekształcić ich odbicie i utrudnić ewentualną identyfikację, a gdy upewnił się, że nikt nie patrzy, je również wrzucił do wody.

Nim dojechał do centrum miasta, zatrzymał się na stacji benzynowej i przebrał się w codziennie ubranie.

Dochodziła piąta trzydzieści. Zdał sobie sprawę, że tej nocy nie spał ani minuty, ale pompowana co chwilę adrenalina dodawała mu takiej energii, że zapewne i tak by nie usnął.

Po tym, co przeczytał w liście Karpowicza, wiedział, że nie może już wrócić na działkę.

Zamówił kawę i wypił ją duszkiem. Kupił kilka batonów energetycznych oraz kilkanaście sezamków. Przez ostatnie kilka godzin nie czuł głodu ani pragnienia.

Pół godziny później spał jak zabity na niewygodnym fotelu, który przyniosła mu pielęgniarka. Wcześniej wypytał o szczegóły stanu zdrowia Igora.

Według jej słów stan Fijałkowskiego trochę się poprawił, choć wciąż był określany przez lekarzy jako bardzo ciężki. Długi, a może i bardzo długi wypoczynek, leczenie i rehabilitacja postawią go na nogi. Ale to potrwa. Czas, powiedziała na koniec, leczy rany.

Podkomisarz, zanim usnął, pomyślał o życiu Konrada Karpowicza, o cierpieniu, którego nic nie było w stanie załagodzić przez siedemnaście lat. A potem pomyślał, że ta pielęgniarka nie miała racji.

Są rany, których nic nie zagoi.

Dojechał do ulicy Bohaterów Getta, po czym skręcił w niewielką ulicę Dąbrówki, wzdłuż której ciągnął się szereg niskich bloków, po prawej zaś znajdował się ciąg garaży. Zatrzymał się między autami, nie zważając na to, czy będą mogły wyjechać. Nie to się teraz liczyło, choć wiedział, że ludzie lubią robić zdjęcia źle zaparkowanym wozom policyjnym.

Wsiadł z auta i powędrował do jednego z wielu niemal identycznych bloków, pod którym znajdowały się ławeczki, huśtawki oraz trzepak. Wszedł na pierwsze piętro. Po trzech uderzeniach drzwi otworzyła mu niska, chuda kobieta, ta sama, którą poznał, gdy przyjechał po zdjęcie zaginionej Moniki. Bogusława Marczuk miała na sobie niebieski fartuch gospodyni domowej. Już poprzedniego dnia zauważył obsypane widocznymi naczynkami policzki, nerwowe ruchy mimiczne, nad którymi nie panowała. Niewątpliwie była palaczką, co było czuć. Na rękach trzymała kilkumiesięczną dziewczynkę. Miała farbowane bordowe włosy, a przy samej czaszce siwe odrosty.

Podjeżdżał, że nie będzie to łatwa rozmowa, więc już wcześniej założył, że musi wyłączyć emocje i robić swoje. Zasugerował, by weszli do środka, a gdy już usiedli, zaczął:

– Obawiam się, że mam złe wiadomości.

– Co z moim dzieckiem? – zapytała nerwowo.

– Przykro mi, ale pani córka... – ściszył głos i popatrzył na zegarek. Był to głupi odruch, ale nie miał lepszego punktu do zakotwiczenia wzroku. – Znaleźliśmy ją dzisiaj w nocy. Niestety, nie żyje. Przykro mi. Ale i tak będziemy panią prosili o zidentyfikowanie. O potwierdzenie. Musimy mieć pewność. Na razie tyle mogę powiedzieć. Lekarze ustalają przyczynę zgonu.

Popatrzyła na niego tępo. Jej oczy go widziały, ale jakby nie zauważały. To jak ze słyszeniem i słuchaniem. Często człowiek słyszy rozmowy w oddali, ale ich nie słucha. Mózg rejestruje gwar, rozmywając szczegóły.

– Kto ją znalazł? – zapytała, potrząsając głową. Przygryzła wargę tak mocno, jakby chciała ją zjeść.

– Przypadkowa osoba, nad rzeką, możliwe więc, że pani córka utonęła – powiedział, choć to nie była prawda. Już w nocy się dowiedzieli, że prawdopodobną przyczyną zgonu było uduszenie. A teraz badali okoliczności.

– Niemożliwe. Ona by nie poszła nad rzekę. No bo po co? Popływać? Nie we wrześnie. Nieee. – Z rozpaczą przeciągnęła głoski.

– Przykro mi, porównałem zdjęcia. Podobieństwo jest uderzające.

Tym razem to ona na moment zamilkła. Próbowwała go rozgryźć, może coś odczytać z jego twarzy. Może za moment ten masywny policjant uśmiechnie się, pęknie, powie, że jednak nie mówił poważnie. Ale Dominik Rudzki patrzył jej prosto w oczy.

– O Boże, o kurwa mać... Mówi pan poważnie? Ona naprawdę nie żyje? Chryste Wszechmogący, jak ja sobie teraz poradzę!? Jak ja dam radę? Jezu, Boże, Maryjo. To się nie dzieje naprawdę, co? A ten, co ją znalazł, to on ją zatłukł? Tak?

– Nie, proszę pani. Nie mamy podstaw, by dziś kogoś typować, podejrzewać, a tym bardziej oskarżać.

– Co pan gadasz? To niby jak znalazł, skoro wiedział, gdzie jest? Pan nie mówi tego serio. Kiedy ona wróci? Kiedy? Jak ja teraz sama z Nadią... Jak ja? Niech mi pan powie. Przecież nie dam rady. Ona nic nie chce jeść, potrzebuje pokarmu matki. Co ja mam z nią teraz zrobić?

Kobieta wstała, po czym usiadła, trzęsąc się. Trzymała wnuczkę, opierając ją o ramię. Panikowała, zauważył to. Używała krótkich i impulsywnych zdań, które następowały po sobie i niknęły w przestrzeni dusznej kuchni, w miejscu, w którym czuć było zapach jedzenia, starego tłuszczu, nieświeżego powietrza. Jej twarz od nadmiaru tików tańczyła w rytm niesłyszalnej muzyki. Rozejrzał się po pomieszczeniu. Dostrzegł delikatne posiłki w słoikach, przeliczki, soczki. Było tu wszystko, czego ta mała potrzebowała do życia, tyle tylko, że porozrzucane, brudne.

Z zamyslenia wybudził go nerwowy głos Marczuk.

– Fakt, dzwoniłam do niej, ale nie odbierała. Pewnie poszła na jakąś imprezę, żeby się wyszaleć. Czasami ma dość małej, krzyku, płaczu. Teraz jest spokojna, ale przyszedłby pan o innej godzinie, toby pan wiedział. Tak, Monisia pewnie zapomniła wrócić do domu. Wie pan, to się zdarza u młodych. Pewnie gdzieś się bawi. Może popiła. Chociaż zwykle nie pije. A ta osoba, którą znaleźliście, pewnie podobna jest do Moniki. Zdarza się – mamrotała, trzęsąc się. Położyła wnuczkę na krzeselko przykryte różowym kocem.

– Przykro mi, ale to pani córka – powtórzył, choć miał wrażenie, że jej mózg nie przyjmuje tej wiadomości.



Dominik Rudzki należał do tego rodzaju policjantów, którzy nie owijali w bawełnę, nie bawili się w ciepłe słowa, nie starali się używać sztuczek psychologicznych, aby łagodzić wypowiedziane słowa. Walił prosto z mostu, stosując się do elementarnych zasad przyzwoitości. Kłamstwo nie było jego mocną stroną. Tego nauczył go Filip, który wprowadził go do wydziału kryminalnego. Mówił, by w tej robocie stawiać na szczerość i chłodną ocenę rzeczywistości.

– Jak pan to sobie wyobraża? Babka wychowująca półroczne dziecko? Przecież nie dam rady, mam swoje lata. I jak ja dam radę finansowo? Bez kasy, bez zapomogi, becikowe rozeszło się w parę chwil. Pięćset plus może będzie, może nie będzie. I co teraz?

– Ma pani kogoś, kto pani pomoże to wszystko załatwić? Jakaś pomoc na pewno się pani należy.

– Nie za bardzo. Mój niedoszły zięć włóczy się za granicą. – Prychnęła z odrazą.

– Kto?

– Ojczulek, który spieprzył za granicę, bo bał się odpowiedzialności.

– Kto? – ponowił.

– Od początku go nie lubiłam, dziwny, bez charakteru. Narwany szczeniak w fajkę i piwem w rękę.

– Jak się nazywa?

– Boże, panie, ja nie dam rady. – Znów nie odpowiedziała na pytanie. – Zwyczajnie nie dam rady z małym dzieckiem. I nie chodzi tylko o pieniądze. Bo kto się zajmie pogrzebem, księdzem, kwiatami... – Kobieta westchnęła, głaszcząc wnuczkę po brzuszku. Chwilę się namyślała, patrząc na dziecko odziane w różowe body. Włożyła jej do buzi smoczek. – A pan wie, co się stało z moją córką?

Dominik znów jej się przyjrzał badawczo. Uznał, że nie będzie z nią teraz o tym rozmawiać. To nie miało sensu.

– Czy ma pani kontakt do ojca Nadii?

– A daj panu, Maryjo, szczęścia. Mam numer, ale nie odbiera, nie wiem, co się z nim dzieje. Może wam się uda. Monika od tygodni chciała się z nim skontaktować. I nic. Cały czas głos w słuchawce mówi, że abonent niedostępny. Wyłączył telefon czy ki czort, nie wiem. Może gdzie wyjechał, może nie ma zasięgu.

Skinął głową, nie odrywając od niej wzroku, ale kątem oka patrzył na maleństwo bawiące się kawałkiem gumy z butelki. Mała, niewinna istota, która nie będzie pamiętała swojej matki, jedynie nerwową babcie. A co potem? Co ją spotka w życiu? Kto się nią zaopiekuje? Kto jej da miłość? Czulość, troskę?

– Chciałbym zapytać o znajomych Moniki. Z kim się spotykała? Gdzie? Jak często?

– Panie, od kiedy ten gostek uciekł za granicę, Monika prawie cały czas siedziała w domu. Tylko tu, ze mną i Nadią. Nigdzie się nie szlajała. Nie wychodziła już na żadne imprezy. Nie miała na to czasu. Prawie codziennie próbowała się z nim skontaktować, ale bez skutku. Była podenerwowana, smutna, często płakała. Nie dziwię się. Pan się dziwi?

– Nie umiem ocenić ich relacji – odpowiedział zdecydowanym tonem. – Proszę podać mi numer, skontaktujemy się z nim, a potem go przesłuchamy.

Kobieta podyktowała aspirantowi numer.

– Kuba Kalinowski, niech sobie pan dopisze.

– Chciałbym zapytać o ten dzień, kiedy pani córka wyszła z domu. Zachowywała się jakoś dziwnie, mówiła coś? Ktoś do niej zadzwonił?

– Wyszła około południa, mogła być dwunasta, może trzynasta. Powiedziała, że musi coś załatwić i że wracając, kupi jedzenie dla małej. Wyszła i od tamtej pory jej nie widziałam.

– Była z kimś umówiona?

– Tego nie wiem.

– Pamięta pani, jak była ubrana, kiedy wychodziła z domu? – zapytał, choć miał tę informację w zgłoszeniu zaginięcia. Chciał jednak sprawdzić wiarygodność i pamięć Bogusławy Marczyk. Z doświadczenia wiedział też, że czas bywał, choć nie zawsze, sprzymierzeńcem w odsłanianiu tego, co nie zostało powiedziane za pierwszym razem.

– Kurtkę dzinsową, taką ocieplaną. Ciemne spodnie. Zawsze miała krótkie włosy, mniej więcej do ramion – powiedziała i pokazała, jakby policjant nie wiedział, co to za długość.

A więc to się zgadza, uznał.

– Czy w ostatnim czasie wychodziła z domu, spotykała się z kimś?

– Raczej nie. Czasami tylko widuje się z Agnieszką Gutek, mieszka w tej samej klatce. Ale to zwykle sąsiedzkie pogaduszki. Chyba że z tym Kalinowskim, ale przecież nie dawał znać, że wraca z Niemiec.

– Kiedy się ostatnio widzieli?

– Oj, no... – burknęła, próbując policzyć w pamięci. – Jakiś ponad pół roku temu.

– Był tutaj?

Potaknęła zdecydowanie, choć był to gest, za którym nie kryło się zadowolenie.

– Tuż przed narodzinami małej. Powiedział, sama słyszałam, że przyjedzie za jakiś czas. Jeśli mam być szczerą, to mu nie wierzyłam. Bo widziałam w jego oczach strach.

– Strach? – dopytał, by mieć jasną sytuację.

– Przed narodzinami dziecka. Jedni się boją, inni cieszą. A on to raczej ten typ, co podkula ogon, gdy dosięga go odpowiedzialność. Bo to, proszę pana, typ chłopaczka ze słuchawkami w uszach. Fajkę odpala od fajki, szerokie spodnie, piwko z kolegami, plucie pod siebie.

Zapamiętał ten wstępny opis, a potem postanowił zmienić temat.

– Czy Monika wspominała o jakichś problemach? Z nim albo z kimś innym? Może ktoś ją prześladował, pisał jakieś wiadomości, groził jej? Albo w coś się wplątała?

Kobieta nie odpowiedziała od razu. Poprawiła wnucze butelkę, wytarła nos. Może się zastanawiała albo chciała odпочząć od męczących pytań.

– Nic mi nie mówiła. Chyba, że coś się działo poza domem, tego nie wiem, ale pewnie by mi powiedziała.

– Nocował tu czasami?

– Kto? On? Nie, coś pan. Tu nie ma warunków.

– Czyli nawet ze sobą nie mieszkali?

– Poznali się na dyskotecce, ale nie powiem panu gdzie, bo nie wiem, przespali się ze sobą, a następnego dnia już się kłócili. Nie pasowali do siebie. Nic ich nie łączyło.

Dominik zaczął się zastanawiać nad kolejnymi pytaniami. Co chwilę w głowie pojawiało się kolejne i kolejne, ale nie chciał jej teraz męczyć. Może za kilka dni.

– Czy miały panie problemy rodzinne? Ktoś kogoś posadził, komuś jest coś winien? Może tu chodziło o zemstę?

Na dźwięk wypowiedzianych serii pytań na twarzy kobiety odmalowało się zdumienie, może wręcz oburzenie. Nie spodziewał się takiej reakcji.

– To standardowe pytania. Policja musi wykluczyć takie rzeczy – rzucił.

Chciał jeszcze dodać, że większość sprawców morderstw to członkowie rodziny, ale uznał, że tego jej oszczędzi. Wyglądała na taką, która ogląda telewizję, może nawet seriale kryminalne, więc może nie musiał tego tłumaczyć.

– Nie, nasza rodzina jest mała. Mam siostrę, mieszka z mężem w Świdnicy. Jestem rozwódką, mój były stary jest już na emeryturze i wyjechał gdzieś pod Wałbrzych. Od lat mieszka tam z jakąś babką. Nawet jej nie znam. Jeździł już do niej, gdy byliśmy małżeństwem. Skurwiii... – wysyczała, nie kończąc.

– Jego godność?

– Marian Marczuk, miejscowości nawet nie pamiętam.

Na koniec Dominik zademonstrował jeszcze zdjęcie twarzy znalezionej na wysypisku śmieci młodej kobiety, która wciąż funkcjonowała jako N.N. Pomyślał, że dziewczyny mogły się znać. Bogusława Marczuk stanowczo zaprzeczyła, by kiedykolwiek widziała tę osobę.

– Na razie tyle mi wystarczy – powiedział do siebie niczym automat, notując najważniejsze ustalenia. Podziękował za rozmowę, dodał, że niebawem ktoś się z nią skontaktuje, a potem udał się piętro wyżej, do mieszkania Agnieszki Gutek.

Dzwonił kilka razy, ale nikogo nie było w domu. Zostawił w drzwiach wizytówkę z prośbą o kontakt.

Błagał wszelkie siły i niebiosa, by telefon przestał dzwonić, ale ten, niczym zaklęty, nie przestawał. Wreszcie podniósł się i odebrał.

– Nie mogłem się do ciebie dodzwonić ani do Igora.

– To dobrze – odpowiedział tak suchym tonem, jaki był w stanie z siebie wydać. – Odpoczywałem w nocy i nie chciałem, żeby ktokolwiek mi przeszkadzał. Miałem rozjebanie głowy – skłamał, a co najlepsze, wiedział, że Dominik to wyczuje. Na tym polegała ich relacja. Lubili się, szanowali, wciskali sobie nawzajem kit tylko po to, by za chwilę go obnażyć albo przez chwilę poudawać, że się go łyknęło.

– Znaleźliśmy zwłoki młodej dziewczyny. Udużona, potem wrzucona do rzeki. Mogła nie żyć najwyżej od doby.

– Coś wiadomo?

– Dość szybko poszło ustalenie tożsamości. Monika Marczuk, dwadzieścia sześć lat, nienotowana, niekarana, samotna matka mieszkająca w Kłodzku, na zwykłym blokowisku. Mam już pełne potwierdzenie, matka ją zidentyfikowała – wyjaśnił Dominik.

Krauze nawet nie drgnął. Wciąż leżał na kanapie z przymkniętymi oczami.

– Mieszkały razem? – zapytał, patrząc w ekran telewizora. Wyłączył głos.

– Tak.

– Wrogowie? Sąsiedzi? Ojciec dziecka? Jakieś rodzinne zatargi? – wyrecytował na jednym wydechu.

– Żadnych zatargów, od paru miesięcy siedziała w domu. Poza tym próbuję się czegoś dowiedzieć o ojcu dziecka. Z tego, co wiem, chłopak pracuje w Niemczech, rzadko tu bywa. Nawet ze sobą nie byli. Zmajstrował dzieciaka, a potem wyjechał. Z nim też gadałem. Wydawał się wystraszony. Może udawał, nie wiem. Zwykły chłoptaś.

– No i?

– Nie mam powodów, aby sądzić, że coś kręci. Wydawał się wstrząśnięty. Przyznał, że nic go nie łączyło z Moniką. Poza dzieckiem. Wspomniał o niejakim Marcinie Byrskim, osiłku z kłodzkiej siłowni, który kiedyś chciał z nią chodzić. Poznali się na tej samej dyskotecie. Podrywał ją, zaczepiał, ale, rzekomo, zachowywał się chamsko.

– O proszę, to ciekawe.

– Owszem. Mamy go w bazie, sprawdziłem dziś i wydrukowałem dane. Byrski, podobno ma kilka pseudonimów, ale w bazie mamy tylko Byczek. Dostał wyrok w zawieszeniu za pobicie na dyskotecie. Rozkwasił jakiemuś koleśowi twarz.

– Skoro jest jeden, to skąd wiesz, że ma kilka?

– Bo zadzwoniłem do kolegi, który zna ludzi z siłowni.

– To są tacy ludzie, co znają ludzi, którzy chodzą na siłownię? – zakpił, ale Dominik chyba nie wyczuł ironii.

– Tak – odpowiedział poważnie. – Gość to taki typowy osiłek.

– To chyba rzadkość w tym środowisku? A czemu ty go nie znasz?

– Bo chodzę do innej siłowni.

– Ale chyba znasz zakazane mordy?

– Owszem.

– Dobra, kurwa, płynmy do jakiejś puenty, bo jeszcze bardziej mi ta rozmowa rozjebie głowę.

– Wiem skądinać, że Byrski żre sterydy jak krowa trawę. Uchodzi za tamtejszego zawodniaka, ale raczej nie jest groźny. Po prostu można łatwo od niego dostać po ryju. Ale bandytą nie jest. Przynajmniej tak mówią.

– Nie znasz go – rzucił po chwili namysłu z przyklejonym do ramienia telefonem. – Co nie znaczy, że nie warto poznać. Złóż mu może wizytę, co?

– Zajmę się nim. Ściągniemy go na komendę i przesłuchamy.

– Miał zawiasy tylko za to pobicie czy coś jeszcze?

– Miałem wpis przy sprawie nakłaniania do prostytucji. Ale wpis został skazany. Nic więcej nie wiem, popytam – powiedział Rudzki.

– To może być faktycznie dobry trop. Dopytaj się, czy nie handluje przypadkiem dragami i sterydami. A co z tym chłopaczkiem, co jest ojcem dziecka?

– Zwykły, kurwa, leszcz – odpowiedział rzeczowo.

– Nie pytam, czy jest silny, tylko czy coś na niego mamy.

– Nic. Zaprzeczył, żeby w ostatnich tygodniach był w Polsce. Rozmawiałem też z jego rodzicami. Potwierdzili, że cały czas jest za granicą. Co kilka dni rozmawiają przez telefon albo Skype’a.

– Zajmij się tym. Zadzwoń do wydziału operacyjnego, niech to sprawdzą. Możliwe, że telefon się logował w ostatnich dniach w kraju.

– Okej.

– Co mówi matka?

– Że córka wyszła z domu na chwilę, bo musiała coś załatwić. Na krótko, bo zostawiła w domu małe dziecko. Nic więcej nie wie.

– No to w pierwszej kolejności sprawdzamy wykaz jej połączeń.

– Już to zleciłem.

– Dobra, to trzeba jeszcze sprawdzić monitoring miejski, może uda się ją uchwycić na jakimś nagraniu. Miejskim, prywatnym, każdym. Trzeba sprawdzić, skąd i dokąd szła. Ustal, jakie są tam sklepy, a potem trzeba będzie zlecić udostępnienie nagrań. To już będzie niezły start.

– Dobra. A kiedy będziesz w pracy?

– Jutro – odpowiedział Krauze.

– A co z Igorem?

– Dochodzi do siebie.

Dominik głośno westchnął.

– Powiesz mi wreszcie, co się stało? Od początku wiem, że szyjesz kłamstwo grubymi nićmi. Zaczynam się zastanawiać, jak długo zamierzasz wciskać mi kit. I czy wciąż mam udawać, że w to wszystko wierzę?

– Powiem, ale nie dziś. Będziemy w kontakcie.

Krauze nie czekał na odpowiedź albo kolejne pytania, tylko się rozłączył. Spojrzał na wyświetlacz. Kiedy rozmawiał z Rudzkim, dzwoniła żona Igora. Cholera, musiał coś znów wymyślić. Na razie jednak nie miał do tego głowy. Głowa była w innym miejscu.

Włączył w telewizorze kanał muzyczny, w którym puszczano hity z lat dziewięćdziesiątych, czyli z lat, kiedy był młody. Dobrze mu się kojarzyły, chociaż z perspektywy czasu wydawały się dość tandetne, zwłaszcza kawałki dance. Ale teraz nie zależało mu na dobrej muzyce, tylko na wyłączeniu myśli.

Gdy późnym popołudniem przygotowywał Marcelowi naleśniki z serem, zadzwonił kolejny telefon. Ten, na który czekał. Bał się tej rozmowy, ale chciał ją mieć za sobą.

Krauze odebrał i od razu wyjaśnił, że źle się czuje i że przyjdzie do pracy następnego dnia, ale naczelnik Jan Byczewski wcale się tym nie przejął. Nie interesował go stan zdrowia pracowników. Szybko przeszedł do rzeczy.

Powiedział, że w jednym z pensjonatów należących do Zofii Barańskiej w Lewinie Kłodzkim znaleziono zwłoki dwóch mężczyzn. Kobieta wróciła z dwudniowego wyjazdu do siostry. W domu zastała dwa ciała. Brak śladów włamania. Jednym z zamordowanych był jej partner Waldemar Szolc, według policyjnych ustaleń domniemany szef gangu kłodzkiego. Drugą osobą był jego przyrodni brat Konrad Karpowicz, emerytowany policjant.

Krauze słuchał słów naczelnika, stojąc nieruchomo na tarasie. Gardło wyschło mu na wiór. W normalnych okolicznościach po usłyszeniu takiej wiadomości zadałby dziesiątki pytań. Tym razem nie chciał się odzywać. A mimo to musiał, musiał zachowywać się naturalnie.

– Co tam się stało? – zapytał wreszcie, kiedy Byczewski się wygadał i, jak podejrzewał, sięgnął po papierosa.

– Na razie są tam policjanci z Lewina, bo to nie nasz rejon, chociaż nie wykluczam, że będą potrzebowali naszego wsparcia. Wtedy ciebie tam wyślę. No ale pojechałem tam, bo chciałem to zobaczyć. Ciekawość zrobiła swoje.

– Co ustaliliście?

– Okoliczności zdarzenia wskazują, że się spotkali, pobili, na co wskazują liczne zasinienia, a potem sięgnęli po broń i zadali sobie nawzajem ciosy. Wykrwawili się. Obaj. Kurwa mać, Filip, wyobrażasz to sobie? Karpowicz otrzymał kilka silnych ciosów siekierą. Miał rozpiędotłone trzewia, wyprute jelito. Szolc został ugodzony kilka razy nożem w okolicy serca i płuc. Widok jak w jebanej rzeźni. Sprawa wydaje się ostro popieprzona. Technicy pracowali praktycznie od rana. Z tego, co wiem, wykluczili udział innych osób. Bo w tym przypadku należało też wziąć pod uwagę jakieś porachunki. Ostatecznie wykluczili, no i dobrze, bo na wojnę gangów ja już nie mam sił. Za stary jestem.

– A ta kobieta? – zapytał, by się nieco bardziej zorientować w sytuacji. Musiał się upewnić, że zrobił wszystko, jak należy. Jeśli ktoś go widział, to będzie spalony.

– Przesłuchiwałem ją przez parę godzin. To znaczy ja się tylko przysłuchiwałem. Była roztrzęsiona, nie mogła dojść do siebie. Powiedziała, że po południu rozmawiała z Waldemarem przez telefon. Nie spodziewał się nikogo. W ogóle tłumaczyła się, że jesienią zwykle nie przyjmowali goście, a poza tym mają remont. Tak, wiem, co chcesz

powiedzieć. Że Szolc był gangsterem, że ten hotel to przykrywka... Ale musimy jej wierzyć na słowo. Wróciła do domu rano, coś koło dziewiątej czy dziesiątej. No i zastała taki widok. Potem nas powiadomiła.

Krauze się zamyślił. Coś mu tu nie pasowało. Dlaczego to zrobiła?

Kobieta gangstera nie zadzwoniłaby na policję. Raczej do kogoś, kto mógłby się pozbyć ciała. A może nie wiedziała, co robić? Może próbowała się dodzwonić do Roxa, ale i on nie odbierał. Chyba że nie była za dobrze wtajemniczona w interesy Barakudy. Mogli się niedawno poznać. Mogli ze sobą tylko sypiać. Na tym etapie sprawy należało wziąć pod uwagę kilka scenariuszy.

– W każdym razie wydawała się wiarygodna – ciągnął Byczewski. – Ale w domu znaleźliśmy broń. Trzy sztucery, dwie dubeltówki oraz sporą ilość amunicji. Nie wierzę, żeby o niej nie wiedziała. Na pewno go w jakimś stopniu kryła. Albo pomagała zataić informacje. Jedno jest pewne. Święci nie byli.

– Wiadomo, że Barakuda był przywódcą gangu. Musiała o wszystkim wiedzieć, nie ma innej opcji.

– Tłumaczyła się, że Waldemar był pasjonatem broni, ubiegał się o pozwolenie na jej posiadanie, bo chciał wstąpić do koła myśliwskiego, jednak z uwagi na jego karalność i domniemany związek z grupą przestępczą, nie wydano mu go. Tak czy siak trzeba będzie ustalić, skąd ta broń pochodzi. To po pierwsze. Po drugie, nigdzie nie znaleźliśmy jego telefonu, żadnego komputera, żadnych notatników z kontaktami, dokumentów, zapisków. Dosłownie nic. Ich dom jest czysty jak łza niemowlaka. Rozumiesz to?

Filip mruknął coś niezrozumiale.

– No ale dobra, nagadałem się, a robota mnie goni. Chciałem, żebyś o tym wiedział i był na bieżąco, bo być może to nasz wydział będzie się musiał rozprawić z tym syfem. A jeśli nasz wydział, Krauze, to znaczy, że spadnie to na ciebie.

Zakończyli rozmowę.

Filip poszedł się wykapać. Uwielbiał brać prysznic.

Kiedy wyszedł z łazienki, sprawdził telefon. Ola jeszcze nie dzwoniła. Umówili się, że wieczorem wyskoczą na kolację. No ale u niej „wieczór” miał wiele znaczeń, to mogła być szesnasta albo dziewiętnasta. Nawet nie wiedział, kiedy znów usnął przed telewizorem.

Dwadzieścia minut monotonnej drogi urozmaicanej wyblakłymi billboardami i reklamami lokalnych firm. A potem ten świat bladych kolorów zniknął, Krauze wjechał, miał wrażenie, w inną krainę, krainę szarości. Niemał czuł w ustach smak smogu i ołowiu, jakby ktoś w okolicy wylał wielką cysternę ropy i do tej pory jej nie zneutralizował.

Dotarł do wskazanego przez dyżurnego miejsca i zatrzymał się w połowie wyboistej drogi. Dalej nie był w stanie jechać, jego jaguar miał za niskie zawieszenie.

Wiał nieprzyjemny wiatr. Filip zaciągnął kaptur i schował dłonie w kieszeniach. Gdy przygarbiony minął kolejny pagórek, dostrzegł kilka pojazdów służb – straży pożarnej, pogotowia oraz radiowozów. Ciemność przecinały niebieskie światła sygnalizacji.

Na miejscu przywitał się z prokuratorem.

– Co tu się stało? – zapytał, zaciskając szczęki. Musiał się tu zjawić, takie dostał polecenie od komendanta, zresztą podobny rozkaz otrzymał każdy kłódzki policjant, który nie był oddelegowany do pilnych spraw. A pilną sprawą był wyjazd do wypadku.

– Słyszałeś, co się wydarzyło w Lewinie? – zapytał Jerzy Sokołowski z ponurą miną.

– Rozmawiałem dzisiaj z naczelnikiem. – Krauze potaknął nieznacznie. – Wspominał, że nasz stary kolega nieźle narozrabiał.

– No to zaraz zobaczysz, jak bardzo. Jesteśmy tu od godziny, a roboty pewnie będziemy mieli do samego rana. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś tak parszywego. Nawet nie umiem tego nazwać. A co dopiero zrozumieć.

– Kto i co? – zapytał, wiedząc, że prokurator domyśli się reszty pytania. Filip drżał, nie mógł nad tym zapanować. Ciało stawiało opór. A może to była psychika.

– Dziś późnym popołudniem przyjechał tu kurier. Miał jakąś przesyłkę do Karpowicza. Nikogo nie zastał, ale uznał, że gospodarz może być w szopie, więc wszedł do środka.

– No i?

– W środku znalazł rozerwane na strzępy ciała. Wiele ciał.

– Karpowicz jeszcze kogoś zabił?

– Tak, ale dość... nietypowo. Technicy zabezpieczają, co się da. W środku są resztki butli gazowych. To musiał być kurewsko potężny wybuch, jasna łuna. Ciężko się doliczyć, ilu ich tam było. Podejrzewamy, że kilka osób. Będzie trzeba ich zidentyfikować. Dasz radę się tym zająć? Masz siłę? – zapytał przejęty Sokołowski.

Krauze nie odpowiedział. Patrzył tępym wzrokiem na niewielki ceglany dom i murowaną dobudówkę. Drzwi były roztrzaskane w drobny mak. Nad wejściem dostrzegł czarny ślad po ogniu i dymie. Wszystko osmolone, zakrwawione. Z wnętrza wydobywał się odrażający smród.

Zrobiło mu się niedobrze. Zjedzony wcześniej posiłek ułożył się w gotowy pocisk i nagle eksplodował. Podkomisarz zwymiotował, wydobywając z siebie zduszony jęk.

Rozejrzał się błędnym wzrokiem. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Widział rozbieganych pracowników straży pożarnej i policjantów. Dostrzegł Dominika Rudzkiego, Tomka Rabczkiego oraz paru szeregowych funkcjonariuszy, widział poruszające się w świetle lamp halogenowych sylwetki, patrzył na ten teatr kukiełek. Czuł się, jakby oglądał niemy film. Nie słyszał dźwięków, tylko swój własny wewnętrzny wrzask.

Służby policyjne dokonywały skrupulatnych oględzin miejsca zdarzenia. Komendant przyjechał w towarzystwie swojego zastępcy. Machnęli mu na powitanie, a potem zniknęli między innymi.

Nawet nie wiedział, kiedy urwał mu się film.

Późnym wieczorem, kiedy był już po kolacji z Olą i po paru szklankach whisky szykował się do snu, zadzwonił Jerzy Sokołowski.

W normalnych okolicznościach zignorowałby telefon, ale to nie były normalne okoliczności.

– Jak się czujesz po upadku? – zapytał prokurator.

– Lepiej, dochodzę do siebie. Po prostu mnie ścięło, straciłem świadomość. Totalna dziura w mózgu.

Krauze ledwo się trzymał na nogach. Wziął kilka tabletek otępiających zmysły i ból, mocny alkohol też zrobił swoje. Nigdy w życiu nie widział takiej masakry, takiej rzeźni. Czerń, czerwień, zaschnięta krew, smród, osmolone

mięśnie, wnętrzności, częściowo strawione przez bezlitosny ogień, nadpalone kości.

Wiedział, że nigdy nie wyrzuci tego z pamięci.

– Dobrze, że na miejscu byli lekarze – stwierdził Sokołowski. – Wypoczywaj, Filip.

– Co ustaliliście?

Prokurator streścił, że czynności śledcze na miejscu trwały jeszcze kilka godzin. Straż pożarna z pomocą służb z pogotowia gazowniczego oraz biegłymi sądowymi ustalili, że bezpośrednią przyczyną zgonu wszystkich był wybuch. Konrad Karpowicz, przetrzymywał w swoim domu letniskowym kilka butli z propan-butanem, butle z gazem spawalniczym oraz dwa kanistry benzyny, które wybuchły, rozrywając część domu, a przy tym znajdujące się w komórcie osoby.

Spod gruzów oraz sterty desek i dachówek rozpoznano i poskładano fragmentarycznie sześć ciał. Żadna z ofiar nie miała na sobie ubrania, a kilka spośród oderwanych od torsu głów miało w ustach kawałki szmat i zaklejone usta. Wszystkie zwłoki nosiły ślady sińców i niezagojonych ran, co podpowiedziało śledczym, że Karpowicz przetrzymywał i torturował porwanych mężczyzn, a potem wysadził wszystko w powietrze.

Podczas poszukiwań w lesie znaleziono samochód należący do Tomasza Roksowicza, który uchronił za jednego z przywódców gangu kłodzkiego. W aucie znaleziono broń i amunicję. Znajdowały się na nich odciski placów Roksowicza. Duży amerykański pikap miał powybijane szyby, ale raczej nie było to spowodowane wybuchem, zresztą odłamki szkła znajdowały się również na niedużym placu, ponad kilometr od domu Karpowicza. Niestety, opady deszczu w nocy utrudniły technikom zdjęcie odpowiednich śladów traseologicznych.

– Wciąż próbuję sobie wyobrazić, co tam się stało, Filip. Chcę to zlepić w całość, ale wciąż mi się wydaje, że to koszmarny sen. Takie rzeczy się nie dzieją. Po prostu.

Krauze odstawił colę. Siedział na tarasie, trzęsąc się z zimna. Uwielbiał wychładzać organizm, kiedy z kimś rozmawiał.

– Pamiętam, jak dla nas pracował. Pamiętam – powtórzył z naciskiem – jaki był zawzięty. Momentami nie dało się z nim wytrzymać. Cały czas miał galopującego pierdolca na punkcie gangu. Ciągłe o nim mówił, pokazywał zdjęcia, dokumenty, artykuły z gazet. Momentami miałem go dość. Niby robił swoje, niby walił policyjno-papierkową robotę, jeździł z nami do spraw, ale cały czas myślał o jednym, musiał dorwać swojego brata.

– Też mi o nim opowiadał. Dziesiątki razy mnie namawiał, żebym ich zamknął pod byle pretekstem. Przynosił mi jakieś rzekome dowody, jakieś strzępki informacji, próbował ich dorwać, ale obaj wiedzieliśmy, że to za mało. Kipiła złością i bezsilnością. Nie sądziłem jednak, że będzie zdolny do czegoś takiego.

Krauze przytaknął, po czym obaj zamilkli niczym dwaj dobrzy kumple, którzy wiedzą, że nie muszą podtrzymywać rozmowy na siłę.

Ciszę przerwał Sokołowski.

– Dobrze pamiętam ten pogrzeb – rzekł, po czym przełknął. Krauze podejrzewał, że Jurek był już w domu i popijał wino albo coś silniejszego, może brandy. – A zwłaszcza moment, gdy Konrad nie chciał, by spuszczone trumnę do ziemi. Ten jego płacz, wrzask, wycie. Ludzie byli zdezorientowani. Nie wiedzieli, co robić. Książd też zaniemówił. Ciężko patrzeć na ludzką tragedię, zwłaszcza na taką. Pamiętam, że potem przez wiele tygodni nie było z nim kontaktu. Zaszły się na tej swojej działce, z nikim nie rozmawiał, dopiero po dłuższym czasie wrócił do pracy.

Krauze zamknął oczy. Też tam wtedy był, podobnie jak wielu kłodzkich policjantów. To była chwila, której nigdy nie zapomni. Niedająca się opisać tragedia, pogrzeb żony i nienarodzonego dziecka. Doskonale wiedział, że Karpowicz czekał siedemnaście lat na wyrównanie rachunków, właśnie dlatego go nie powstrzymywał. Nie dało się tego zatrzymać. Tej siły, tego pragnienia zemsty. To, co wydarzyło się w nocy, było dla Konrada nagrodą, jedyną pierdoloną nagrodą, jaka na moment mogła ukoić jego ból.

Zanim odszedł, zaznał wreszcie chwilowego szczęścia.

– Podejrzewam, że puścili mu wszystkie hamulce. Dopadł żołnierzy i oficerów gangu. A potem samego Roxa i Barakudę. Co za, kurwa, spryt, co za odwaga. I tak sobie myślę, Filip, że...

– No? – ponaglił go, bo kolega urwał. A może potrzebował chwili, by przełknąć alkohol.

– Sam nie wiem, czy to nie było najlepsze rozwiązanie.

Zaskoczyło go to wyznanie. Jerzy Sokołowski był najrozsądniejszym człowiekiem, jakiego znał, a w świecie śledczych to nie była dominująca cecha.

– Skrócił nie tylko swoje cierpienia. Barakuda i Rox to były najpodlejsze sukinkoty, jakie znał ten region. Istne potwory, które trzęsły całym rejonem kłodzkim. Terroryzowali przedsiębiorców, zwykłych ludzi, każdego, z kogo dało się coś wydusić. Ale mało kto odważył się to ujawnić. Od zawsze i wy, i my mieliśmy związane ręce, bo ludzie nie chcieli zeznawać, woleli płacić i mieć spokój. A co najważniejsze, Rox się wycwanił i na ochronę puszczał swoją legalną firmę.

– A okoliczne gangi dobrze z nimi żyły? – zapytał, bo miał pewne obawy, że sprawa mogła pójść dalej. A tego się bał najbardziej.

– Dość dobrze, choć spięcia też się zdarzały, jak w każdej organizacji. Ale nie mam pełnej wiedzy, bo nie siedzę w zorganizowanych grupach. Mówiło się, że Rox miał liczne kontakty z Dantonem z Wałbrzycha i Rybą z Opola. Ci dwaj od dawna toczyli ze sobą przepychanki o strefy wpływów. A od czasów słynnych wojen gangów pod koniec lat dziewięćdziesiątych na Dolnym Śląsku, zwłaszcza w okolicy Jeleniej Góry, Zgorzelca i Lubania, Rox postanowił się nie wtrącać, a przy okazji skorzystać.

– Sporo wiesz, jak na kogoś, kto rzekomo niewiele wie.

– Nie przeceniaj mnie, po prostu przez moje biurko przechodzi sporo dokumentów, a przez moje biuro przewija się wielu ludzi. Coś przeczytam, coś usłyszę.

– To co ważnego jeszcze usłyszałeś o tych ludziach?

– Na pewno to, że zamiast na niego narzekać i go oceniać, powinniśmy mu w głębi duszy dziękować, bo w jeden dzień wykończył wszystkich najważniejszych. Okolica odetchnie. Karpowicz dokonał czegoś, czego nie dokonał nikt inny. Ukręcił szczyt gangu kłodzkiego. Sam. Musiał być zdeterminowany, bardzo dobrze przygotowany i poinformowany.

Nie to chciał usłyszeć Krauze.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Mówisz o trzech grupach przestępczych. Kłodzko, Wałbrzych, Opole. A czy Barakuda miał kogoś nad sobą?

– Jeśli mam być szczerzy, to nie wiem. Czemu w ogóle pytasz?

– Bo sam mi o tym opowiadasz – odpowiedział bez zastanowienia.

Sokołowski zaśmiał się gorzko krótkim, urywanym śmiechem, jakby wyrwał się mimowolnie.

– Kiedyś się mówiło o jakimś człowieku, ale nic konkretnego – mruknął. – Jeśli to prawda, raczej tylko Szolc mógł go znać.

– A Rox już nie?

– Trudno powiedzieć. Karpowicz zabił siedmiu ludzi i sam zginął. Teraz bez jakichkolwiek informacji operacyjnych niewiele będziemy w stanie ustalić – odpowiedział powoli prokurator, ale w jego głosie dało się wyczuć niepokój. – Trzeba by popytać innych prokuratorów i skontaktować się z kimś, kto ma większą wiedzę.

– A gdybyś tak zadzwonił gdzie trzeba?

– A gdybym ci powiedział, że już to zrobiłem?

– Tobys mnie zaskoczył.

– Filip – odezwał się spokojnie, choć wcale nie rozmawiali o spokojnej sprawie – chyba nie muszę ci mówić, że ta rozmowa jest tylko między nami. Prywatna, spokojna, gadamy jak kolega z kolegą, a nie jak policjant z prokuratorem, rozumiesz?

– Znamy się tyle lat, więc daruj sobie i nie obrażaj mnie takimi tekstami.

Kolejny łyk czegoś mocniejszego. Krauze jednak postawił na brandy, które, skądinąd wiedział, Jurek też lubił popijać. W czasie wieloletniej znajomości kupił mu kilka imieninowych butelek.

– Wiem od śledczych z Opola i Wałbrzycha, że ludzie Barakudy, Dantona i Ryby stworzyli coś na kształt syndykatu.

– Czyli?

– Czyli zrzeszenia grup, które kontrolują różne strefy wpływów. Różne rejony. Każdy z nich działa niezależnie, a zarazem każdy z nich należy do wspólnoty. Taki paradoks, rozumiesz, coś jak nasze prokuratury. Każdy działa samodzielnie, panuje nad rejonem, ale kiedy trzeba, to zgaduje się z innym, by działać na większym obszarze...

– Czy ten syndykat ma przywódcę?

– Nie wykluczam.

– Chyba czas, bym ci powiedział, że przed tym wszystkim spotkałem się z Karpowiczem. Potwierdził, że nad Barakudą ktoś stał.

Sokołowski milczał. Krauze słyszał jego oddech, wyraźnie, dokładnie. Cisza się przeciągała. Nie wiedział, co się za nią kryło. Wreszcie usłyszał głos prokuratora.

– Ale co to znaczy, że się z nim... spotkałeś?

Filip uznał, że im bardziej będzie szczerzy, tym mniejsze ryzyko wpadki. Znał sposoby działania wszelkich możliwych służb wewnętrznych, prokuratora, CBS, ABW. Nie mógł ukrywać oczywistych faktów.

– Zwyczajnie.

– A co cię wzięło na rozmowy z nim? – Głos Sokołowskiego nieco się zmienił.

– Zadzwonił niedawno. Zapytał, czy policja planuje jakieś działania przeciwko gangowi.

– Dlaczego właśnie do ciebie?

– A skąd mam wiedzieć? – Wzruszył ramionami, mimo że rozmówca go nie widział. – Ale po tym, co się wydarzyło, po całej tej masakrze, czuję, że chciał mnie wy badać. Może zamierzał sprawdzić, czy nikt mu nie przeszkodzi w jego planach.

– Dziwne – ocenił wyraźnie strapiony Sokołowski. – Dzwonił do ciebie czy się spotkaliście?



– Zadzwoił, powiedział, że chce pogadać. Spotkaliśmy się w Maladze, wypiliśmy po piwie, pogadaliśmy o wszystkim i o niczym, jak starzy kumple. Trochę ponarząkał, mówił o swoim bracie, jak bardzo go nienawidzi, potem zapytał, czy policja coś planuje. I tyle.

– I co powiedziałaś?

– Prawdę, czyli że nic nie wiem – odparł, namyślając się nad każdym kolejnym słowem. Musiał mówić prawdę, a jednocześnie niczego nie wyjawiać. – Ale teraz wiem, że chciał się przygotować do akcji.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego mi nie powiedziałaś, że się z nim widziałeś.

– Właśnie ci mówię. A poza tym, jakie to ma teraz znaczenie?

– Lepiej wiedzieć takie rzeczy, Filip, bo nie wiemy, jak się sprawa potoczy, jakie dostaniemy polecenia z góry. Nie wiadomo, czy nie wejdą ludzie z zewnątrz. Jeśli oficjalnie zeznasz, że z nim gadałeś, pewnie będziesz przesłuchiwany. Tu wszystko ma znaczenie. Żyjemy w podłych czasach, przecież wiesz.

– Zawsze są podłe. Dobra, mną się nie martw, co trzeba będzie zrobić, to zrobię. Znam prawo. A wracając do tematu, wciąż mi nie powiedziałaś, co jeszcze wiesz o syndykacie.

I znów usłyszał bezradne westchnienie, którego miał już dosyć.

– Problem polega na tym, że jedyną osobą, która mogła cokolwiek wiedzieć, był Szolc. Ale teraz już niczego się nie dowiemy. Nie od dziś wiadomo, że miał dobre wejścia tu i ówdzie. Na pewno miał kogoś w waszej komendzie, trochę w innych komisariatach. Jakież siedem lat temu został odwołany z funkcji prokurator, który rzekomo utrudniał śledztwo w sprawie kłódzkich bandziorów. A więc podejrzewamy, że i tam sięgał. Skoro Karpowicz od tak dawna próbował go dopaść... Musieli mu to utrudniać również urzędnicy, ludzie, którzy pomagali Barakudzie. Tego gangstera bali się wszyscy, jego siła rażenia była naprawdę imponująca. I chyba dlatego tak mnie dziwi, że zginął tak... pospolicie. W walce na noże z własnym bratem. Dał się Konradowi tak łatwo podejść w zaciszu swojego domu...

– Okej. Syndykat. – Nie odpuszczał podkomisarz.

– Ale jesteś uparty.

– W naszej profesji to podstawa.

– Moja prywatna opinia brzmi tak, że ktoś stał nad Barakudą, Dantonem i Rybą. Ale to nie jest człowiek, o którym się pisze w mediach, mówi na ulicy, kogo się ludzie boją. To raczej ktoś, kto zarządza ich finansami, kto trzyma organizację w całości, by miała płynność finansową, kto pierze cały zarobiony hajs i inwestuje w legalne interesy. Czyli grube setki milionów. Choć podejrzewam, że przez lata zarobili znacznie więcej.

Krauze zastanowił się nad tym. Ta wiedza miała dla niego wymiar praktyczny. Musiał wiedzieć, czy ktoś może jeszcze polować na Igora, czy jego przyjaciel mógł zaszkodzić komuś jeszcze, czy wszystko zakończyło się wczoraj.

– Dlaczego Szolc miałby chcieć podlegać innym? Jaki to dla niego interes?

– Większe kontakty, łatwiejszy dostęp do narkotyków, alkoholu, samochodów. A w razie kłopotów pomoc. Przecież nie tracił autonomii i mógł działać w regionie dość swobodnie.

To miało sens. Wyjaśniało też siłę Barakudy i możliwość działania na dużą skalę. Od lat pomagali sobie nawzajem. Każdy z nich czymś dysponował: znajomościami, kontaktami oraz najważniejszą wartością w dzisiejszych czasach – informacjami.

– Przecież to wszystko da się ustalić. Trzeba tylko przycisnąć Barańską, przeszukać dom, samochód, może są jakieś notatki, numery telefonów. Pewnie ktoś taki jak on miał mieszkania, inwestycje, obligacje, interesy. Sejf, skrytki bankowe, lokaty i inne. Pomyśl tylko, Karpowicz dał nam pretekst, żeby to ruszyć.

– Barańska twierdzi, że dzwoniła do niego w dniu jego śmierci. Ale nie znaleźliśmy żadnej komórki. To daje nam prawo sądzić, że tamtej nocy poza Karpowiczem w ich domu mógł być ktoś jeszcze. Staraliśmy się namierzyć ten numer, ale ostatni odczyt wskazywał Lewin, co oznacza, że ten telefon może gdzieś tam się znajdować. Nam jednak nie udało się go odnaleźć.

– Mogła go zabrać, by nie stracić kontaktów.

– Fakt, nie pomyślałem o tym. Ale, Filip, wiesz, jak to w naszym kraju działa. Przecież nie ma szans na to, że wyślemy tam teraz ekipę, która zacznie rozpruwać ściany i ryc ogródek w poszukiwaniu schowanych pieniędzy, to nie jest amerykański film. Nie dość, że w Polsce dominuje biurokratyczne podejście do każdej czynności, każdej, podkreślam, to na dodatek nie mamy ludzi. Więc jeśli nawet ktoś na górze podejmie decyzję, że bierzemy się za odszukanie i odzyskanie pieniędzy gangu kłódzkiego, zajmie to lata.

– Tylko wiesz, Jurek, my tu naprawdę możemy mieć problem.

– Dlaczego?

– Przecież ktoś musi pilnować ich interesów. Nikt nie zostawi kasy z narkotyków, panienek czy kradzionych samochodów. I wielu innych. Zginęli, okej, ale kasa wciąż płynie. Ktoś to musi ogarniać.

– Zajmą się tym ci, którzy zostali.

– Nie sądzę. Po tym, co się wydarzyło, wielu ludzi schowa się na jakiś czas, bo będą srali ze strachu. Na pewno już się rozeszły pogłoski, że ktoś wydał na nich zlecenie, że to nowa wojna. A bez szefów będą jak szczeniaki bez matki. Ściągną aktualne długi, okej, i co potem? Z czego będą żyć? Zacznie się rywalizacja, wojna o wpływy, lanie

po mordach. Za parę tygodni lub miesięcy ktoś się wysunie na prowadzenie. Nim wybiorą szefa, sporo wody upłynie w Nysie Kłodzkiej. Dlatego uważam, że niedługo wejdzie tu ktoś silny i szybko podporządkuje sobie tutejszych ludzi.

Prokurator cmoknął i siorbnął alkohol.

– Pożyjemy, zobaczymy. Na razie sprzątam po Karpowiczu. Musimy mieć stuprocentową pewność, że to tylko jego robota. Ale moim zdaniem sprawa jest raczej do zamknięcia. Bo jest jeszcze coś, co niemal o tym przesądza.

– Co?

– W sumie najważniejsza rzecz. Konrad zostawił list.

– Pożegnalny?

– Powiedzmy. Czekamy na opinię rzeczoznawcy, grafologia, musimy mieć pewność, że to jego pismo. Znasz procedury.

– Co w nim napisał? – zapytał Filip, choć doskonale wiedział.

– Przyznał, że ich porwał i wymusił informacje o tym, gdzie się znajduje jego brat. Zaplanował wszystko tak, by wybuch nastąpił dopiero w momencie, gdy wyjedzie z domu. Zastosował rodzaj zapalnika czasowego. Postanowił wymierzyć sprawiedliwość, nie chciał dłużej zwlekać. Oskarżał o bezczynność państwo polskie, wszystkie służby: policję, prokuraturę, sądy. Napisał też, że działał sam. I że za wszystko ponosi pełną odpowiedzialność.

– Czyli sprawa jest dość jasna.

Chwilę później się pożegnali.

Rzucił telefon przed siebie. Aparat odbił się od skórzanej kanapy i spadł na dywan, ale Krauze się tym nie przejął. Zamknął oczy. Wciąż widział pojedyncze obrazy. Rozstawienia świateł, pojedyncze flesze, części ciała układane na folii, rozmowy, głosy, ktoś wymiotuje, ubrane na biało postacie, ktoś rozmawia przez telefon. Wnętrze składziku, w którym znajdowały się rozerwane na strzępy zwłoki. Najgorszy był jednak paraliżujący wszystkie zmysły smród.

– Czekamy na ustalenia techników. To priorytet – oznajmił Dominik Rudzki, odchylając się na krześle Fijałkowskiego. – Przesłuchałem już kilka osób, przeanalizowałem to, co mamy – wskazał ręką na spory plik dokumentów – ale niewiele z tego wynika. Minęło za mało czasu. Między dziewczynami nie znalazłem na razie żadnych powiązań. Chyba że jest coś, czego nie wiemy, ale obie strony zawzięcie powtarzają, że się nie znają. Ojciec Moniki Marczuk porzucił rodzinę wiele lat temu, rozmawiałem z nim. Gadałem z Kubą Kalinowskim, z jego rodzicami. I nic.

Krauzemu wcale się nie podobało, że Dominik siedzi na miejscu Igora. Problemem nie były umiejętności, brak kompetencji czy sympatie. Źle znosił nieobecność przyjaciela. Dopiero niedawno zdał sobie sprawę, jak bardzo był do Fijałkowskiego przywiązany, do jego kąśliwych i nawet tych mało lotnych fraz.

– Co z tym Byczkiem z siłowni?

– Próbuje go namierzyć. W domu go nie ma. Może wyjechał. Może się wyprowadził. Co parę dni będziemy to sprawdzać.

– Okej, weź papiery – polecił. – Spróbujemy to podsumować. Mamy w kostnicy dwie kobiety. Jedna wciąż o nieustalonej tożsamości, znaleziona na wysypisku śmieci niedaleko Łądka. Nie wiemy, kim była, poza tym, że przed śmiercią odbyła stosunek seksualny i że miała dwadzieścia parę lat.

– Zgadza się.

– prostytutka?

– Wyniki sekcji zwłok mówią, że w ostatnim czasie mogła odbyć kilka stosunków, na co wskazują liczne otarcia i zasinienia wokół pochwy. Brak spermy, więc odpadają badania DNA. Miała też kilka sińców. Podejrzewamy sporadyczne uderzenia.

– Czyli albo była prostytutką i natrafiła na agresywnego klienta, albo miała niewyżytego seksualnie faceta.

Rudzki potaknął.

– Co ze zgłoszeniami z innych komend?

– Na razie nie mamy żadnych pasujących zaginięć. Informacja poszła dalej. Czekamy.

– Rozumiem, że pobraliście jej DNA?

– Tak, czekamy na informacje z Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego, czy istnieje materiał porównawczy. Pobraliśmy też ślady linii papilarnych. W bazie AFIS brak wyników. Problemem jest też to, jak pamiętasz, że dziewczyna była naga, nic nie miała przy sobie. Ani ubrań, ani rzeczy osobistych. Brak znaków szczególnych, blizn czy tatuaży. Trudno jest ją porównać z bazą zaginionych.

Krauze opuścił oparcie jeszcze niżej. „Dziwne”, pomyślał. „Nikt się o nią nie upomina. Nikt jej nie szuka. Coś się, dziewczyno, w twoim życiu sypnęło. I dlaczego właśnie tam cię porzucono, jak zbędny przedmiot, jak śmieć?”

Rozmyślał, patrząc w jeden punkt. Być może zabójca znał to miejsce. Albo tamtędy przejeżdżał. Stała przy drodze. Machnęła, chciała złapać stopa. Zabrał ją, potem wjechał w zaciszne miejsce, zgwałcił, udusił, porzucił. Może właśnie w pobliżu wysypiska.

– Monitoring?

– Hm?

– Sprawdziliście monitoring w okolicach Łądka? Mamy szacunkowy czas zgonu, zwłoki zostały porzucone nie długo później. Trzeba to zestawić z tym, co teoretycznie mogły zarejestrować kamery.

– Setki, a może wręcz tysiące pojazdów do sprawdzenia.

– Dobra, zostawmy to sobie na koniec, bo to robota na wiele dni. Nie chcę blokować ludzi.

Krauze podszedł do mapy powiatu kłodzkiego. Kilka znanych w całej Polsce miejscowości, w których prosperowały sanatoria. Przyjeżdżało tam wiele osób, praktycznie w każdej porze roku. Łądek-Zdrój, obok Dusznik i Polanicy, był jedną z takich miejscowości. Potężne kompleksy sanatoryjne. Tutaj również musiało dochodzić do konfliktów, nieporozumień, kłótni, awantur, nawet przemocy.

– Do Łądka przyjeżdża sporo ludzi. Trzeba wziąć jej zdjęcie i pokazać je w każdym sanatorium. Może to jakaś kuracuszka. To samo w innych miejscowościach. Złeć to miejscowym, okej?

– Zaraz podzwonię.

– Niech zwrócą też uwagę na jakieś niewyjaśnione i niezakończone sprawy z Łądka. Niech tę dziewczynę zestawią z każdym dochodzeniem, które mają w toku. Mogła być świadkiem w jakiejś sprawie, nawet pozornie błażej, jak

majątek, spadek, wypadek.

Krauze odhaczył kilka punktów w pamięci. Był zmęczony, głowa mu pulsowała, bo emocje wciąż nie opadły, a mimo to utrzymywał niemal pełną zdolność analizowania. Cieszyło go jednak, że Dominik wykona sporo pracy.

– Dobra, to teraz wyniki badań genetycznych, poza tym czekamy i obserwujemy. Co wiemy o tej drugiej?

– Monika Marczuk, lat dwadzieścia sześć. Znaleziona w pobliżu wiaduktu. Mieszkanka Kłodzka, niekarana. Wiek oraz stosunkowo bliska okolicca wskazują na jedno z najważniejszych powiązań.

– Coś już o niej wiesz?

– Mówiłem ci przez telefon. Mieszkała z matką, która aktualnie opiekuje się jej półrocznym dzieckiem. I ta matka, i mieszkający pod Wałbrzychem ojciec Marian Marczuk zostali już wstępnie przesłuchani.

– Coś z tych przesłuchań wynika? – zapytał Filip Krauze, wyciągając nogi i kładąc je na biurku, a potem zaplótł ręce za głowę. Wyglądał, jakby szykował się do snu w samolocie w klasie biznes.

– Ojciec od dawna nie miał z nią kontaktu. Ostatnio jakieś dziesięć lat temu. A co ważniejsze, facet ma żelazne alibi. Potwierdzenie obecnej żony. Nie pracuje, jest na rencie. To inwalida. W ogóle tu nie przyjeżdża. Powiedział, że się pojawi tylko na pogrzebie.

– Sprawdziłeś go?

– Sprawdziłem całą rodzinę. Marczuk był dwukrotnie spisany za jazdę po pijaku na rowerze, skończyło się na pouczeniu, drugi raz na mandacie. Matka niekarana, aktualnie bezrobotna. Lata temu pracowała w szwalni, dopóki nie zamknęli zakładu. To raczej nie jest rodzina morderców.

Krauze potaknął, a potem machnął ręką.

– Kogo jeszcze sprawdzałeś? – zapytał, choć częściowo pamiętał ich rozmowę. Musiał jednak odświeżyć informacje.

– Ojca jej dziecka, Kubę Kalinowskiego. Aktualnie mieszka w Hamburgu. Nie miał kontaktu z Moniką od co najmniej pięciu miesięcy. Po rozmowie telefonicznej z nim dochodzę do wniosku, że gość nie ściemnia. Przeraziła go wieść o śmierci byłej dziewczyny, ale nie na tyle, by odezwało się w nim jakieś współczucie. Nie zmartwił się również tym, że jego córka będzie wychowywana przez babkę. Dość krótko rozmawialiśmy, bo miał przerwę w pracy, ale wyczułem, że to głupi szczeniak. Zaliczyli wpadkę, co tu dużo mówić.

– Kolejny, co zrobi dzieciaka, a potem spierdala za granicę – syknął Filip raczej do siebie.

– No niestety, ale nie mamy na niego nic, co pozwoliłoby nam na dalsze działania.

– Kiedy był ostatnio w Polsce?

– Powiedział, że dwa miesiące temu, ale nawet nie odwiedził córki. Bał się. Przerazało go ojcostwo.

– Po co przyjechał?

– Do rodziców.

– Potwierdzili?

– Tak. Był u nich dwa dni. Ukrywał ten przyjazd przed Moniką, bo często do niego wydzwaniiała. Miał jej dość, była strasznie namolna i go męczyła, to jego słowa.

– Jak go oceniasz?

– Nie wydawał mi się najbystrzejszy. Głupie teksty, durne odzywki. To jest mniej więcej ten typ gościa, któremu Igor by zajebał z liścia po paru minutach rozmowy.

Filip wybuchnął śmiechem. To mu wystarczyło. Igor był zbyt nerwowy, żeby rozmawiać z dupkami, którzy udawali głupich cwaniaków albo rzeczywiście nimi byli. Krauze wiele razy obserwował go podczas rozmów z takimi właśnie typami. Igor tępił ich niczym zarazę.

– Mnie też denerwował w czasie rozmowy. Ponarzekał, postękał. Głównie na Monikę. Ciągle się wściekała, że nie ma kasy, matka też wyprowadzała ją z równowagi.

Krauze zamknął oczy. Słuchał Rudzkiego, a jednocześnie musiał się na moment odciąć od natłoku informacji, które przyswajał od ostatnich dwóch, trzech dni. Było tego za dużo. Czuł zmęczenie, ale i coś jeszcze – niepokój, jakby najgorsze miało dopiero nadejść. Uświadomił sobie, że czuje lęk. Chyba najbardziej się bał o Igora. O jego rodzinę. O to, że coś przeoczył. Musiał też myśleć o Oli i Marcelu, o ich bezpieczeństwie.

– Wyczułeś w tym wszystkim jakieś kłamstwo? A może dali się poznać jako osoby dziwne, niezrównoważone?

Rudzki na chwilę odłożył papiery, które trzymał w ręku. Zaczął je układać, dzieląc odpowiednio akta dotyczące Moniki Marczuk oraz drugiej zamordowanej. Zeznania, raporty z oględzin miejsca zbrodni, sporo fotografii, notatki służbowe.

Gdy już ułożył równe kupki, westchnął.

– Raczej nie – rzucił.

– Raczej?

– Filip, nie jest łatwo stwierdzić „tak” lub „nie” w sprawie podwójnego morderstwa dokonanego niemal dzień po dniu. Za szybko się to wydarzyło. Nim zaczniesz jedną sprawę, zwała ci się na głowę druga.

– Ale musimy obrać jakiś kierunek. Zostawiamy wątek czy drążymy? – zapytał, by odhaczyć cokolwiek. Chociaż wiedział, że w takich sprawach nie zawsze należało odkładać na bok coś, co na pierwszy rzut oka wydaje się mało podejrzane. A mimo to czuł, że było mu to potrzebne. Chciał mieć coś za sobą. Cokolwiek. Nawet najmniejszą rzecz. Byle tylko odciążyć myśli.

Cholera, nie nadawał się dzisiaj do pracy.

– W tym, co mówią, wyczuwam szczerość. Są przerażeni śmiercią Moniki. Młody też, ale inaczej. Nie łączyłbym tego również z jej matką. Gdybyśmy mieli jedną ofiarę, to być może mielibyśmy powody, by szukać sprawcy w kręgu rodzinnym. Można by wtedy zlecić badanie ojcostwa, ewentualnie na tym polu szukać jakichś motywów. I szczerze mówiąc, chciałem się tym zająć i to wykluczyć, ale potem pomyślałem o tej dziewczynie z wysypiska śmieci. Byłeś tam, więc pamiętasz. Pomyślałem, że te dwie sprawy jakoś się łączą.

Przerwał, by się napić wody. Przy okazji łyknął jakieś ogromne białe kapsułki, a potem powiedział:

– Pytałem Bogusławę Marczuk, czy знаła tamtą dziewczynę. Pokazałem zdjęcie naszej N.N., ale jej nie kojarzyła.

– Co nie znaczy, że się nie znały. Moja matka nigdy nie znała moich znajomych. Poza Igozem, z którym kumpluję się od zawsze, nie kojarzyła ani jednej osoby. No ale dobrze, że o to zapytałeś. Ciągłe myślę o tym, że obie odbyły stosunek seksualny. Pytanie tylko: czy to przypadek, czy coś poważniejszego? Na przykład morderstwo na tle seksualnym. Czy wiemy coś o tym, co mogły robić niedługo przed śmiercią?

– W przypadku N.N. nie mamy niczego poza ciałem i wynikami sekcji.

– Pokaż mi je.

Dominik sięgnął po jeden z dokumentów i podał go koledze.

Krauze przez chwilę wczytywał się w protokół. Interesowała go treść żołądka.

Znajdowała się w nim nieduża ilość alkoholu etylowego, częściowo strawiony chleb, niestrawione ziarna słonecznika, śladowe ilości tłuszczu. Pomiął fragment dotyczący anatomii układu pokarmowego, który wedle lekarza medycyny sądowej był prawidłowej budowy, bez żadnych stanów patologicznych, i odnalazł kolejny interesujący go element sekcji: „...zasinienia i otarcia pochwy, odbyty stosunek płciowy przed śmiercią. Brak spermy. Wymaz jednoznacznie wykazał, że nie stwierdzono śladów penetracji analnej”.

– Czyli coś mamy – mruknął pod nosem. – Możemy pójść tym tropem.

– Jakim?

– Możemy znaleźć wszystkie sklepy i piekarnie sprzedające chleb ze słonecznikiem.

– Mówisz serio czy żartujesz?

Krauze nie odpowiedział. Jak zwykle pomysły wpadały mu do głowy w sekundę. Często chwycił się niemożliwego. Czasem nawet absurdalnego. Po chwili namysłu uznał, że pokazanie zdjęć dziewczyny w okolicznych piekarniach nie było rzeczą niewykonalną.

– Wódka, ciemny chleb ze słonecznikiem. Daje nam to jakieś pole możliwości. Jeśli utkniemy, to się tym zajmujemy. Na razie idźmy dalej. Czy Marczuk mówiła, co jej córka robiła przed wyjściem z domu?

– Tylko tyle, że miała coś szybko załatwić, a po drodze wstąpić do sklepu po jedzenie dla małej. Po paru godzinach, gdy Monika nie wracała, zadzwoniła do córki. Bez rezultatu. Miała wyłączony telefon. Próbowwała kilkanaście razy, potem już zadzwoniła na policję. Przeanalizowałem godzinę wyjścia z domu. Znalazłem możliwe bliskie skrzyżowania oraz ważniejsze punkty, przy których mamy kamery miejskie. Rabicki znalazł ją na jednym krótkim nagraniu. Niestety, tylko na tym jednym.

– Gdzie to było?

– Szła ulicą Wojska Polskiego, potem poszła w kierunku wschodnim. Była sama, z nikim nie rozmawiała, ale wyglądała na niespokojną. Przeszła całą trasę, którą obejmuje kamera, czyli szacunkowo ponad siedemdziesiąt metrów, i zniknęła z pola widzenia.

– Mamy to nagranie w komputerze?

– W dyżurce, chcesz zobaczyć?

Krauze skinął głową. Przeszli na drugie piętro, gdzie znajdowało się centrum dyspozycyjne komendy.

Kilkudziesięciometrowe pomieszczenie było podzielone na dwie części szklaną ścianą i drzwiami przesuwными. Po prawej stronie znajdowały się ekrany monitoringu miejskiego, po lewej, tuż przy ścianie, trzy stanowiska dyżurnych policjantów, którzy przyjmowali zgłoszenia.

Rudzki sprawnie posługiwał się oprogramowaniem kamer, szybko znalazł nagrania z interesującego ich przedziału czasowego.

Na ekranie pojawiła się młoda dziewczyna ubrana w kurtkę dżinsową i ciemne dopasowane spodnie. Zachowywała się tak, jak ją opisał Dominik. Co jakiś czas obracała się za siebie. Nie biegła, ale sprawiała wrażenie, że coś ją niepokoi albo martwi.

– Wiemy coś o jej telefonie?

– Nic. Ostatnie odczyty wskazują mniej więcej miejsce, w którym widzimy ją na nagraniu. Co by oznaczało, że spotkała się z kimś, kto jej zabrał komórkę. Albo została porwana. Jest kilka opcji.

- Okej, trzeba to zgłosić do operatora. Jeśli jej numer gdzieś się zaloguje, musimy o tym wiedzieć.
- Zajmę się tym.
- I jeszcze jedno. Wyślij tam kilku funkcjonariuszy. – Wskazał palcem na nagranie. – Pokazujcie zdjęcie z jej wizerunkiem sklepikarzom, każdemu, kto pracuje przy tej ulicy. Może ktoś zauważył coś nietypowego. Od zaginięcia nie minęło wiele czasu. Zdajmy się na szczęście i dobrą pamięć ludzi.

Trzymając teczkę z dokumentami z obu toczących się równolegle śledztw, wspinał się na strome wzniesienie, w którego ścianę wbijało się przeszło strzelistej mostu kolejowego. Dotarł na szczyt, skąd rozciągał się widok na leżącą w dolinie stolicę rejonu kłodzkiego. Stał na środku torów. Na szczęście od dawna nie jeździły tędy pociągi.

Naciągnął na głowę kaptur.

Wychylił się za barierkę. Kilkanaście metrów niżej płynęła niewielka rzeka, słychać było jej szum. Niewielkie fale nieustannie rozbijały się o kamienisty brzeg, naszpikowany ostrymi gałęziami oraz palami, które miały chronić przed osunięciami. Wydeptana ścieżka biegła wzdłuż brzegu rzeki.

Stał w odpowiednim miejscu i spojrzał w dół. To tam znaleziono zwłoki Moniki Marczuk. Jej ciało zahaczyło o wystającą gałąź powalonego drzewa. Usiadł na kamiennym nasypie przy szynach i zaczął analizować dokumenty. Musiał je mocno trzymać. Gwałtowny podmuch, a rozleciałyby się po okolicy. Lubił pracę w terenie, a to miejsce wydawało się wręcz idealne. Idealne, by odpocząć od natłoku ludzi. Słów. Informacji. Wielu pytań, na które nie znał odpowiedzi.

Pomyślał, że być może tutaj zrozumie, co się wydarzyło w ciągu ostatnich dni.

Zwłoki Moniki znalazł mężczyzna mieszkający niespełna kilometr stąd. Jan Rokicki wracał z nocnej popijawy. Skręcił w polną drogę, bo często tędy chodził. Szedł wzdłuż brzegu, w pewnej chwili się zatoczył i potknął o leżącą w ciemności gałąź. Wstał, poświecił, a potem ujrzał przy brzegu rękę. Kiedy dotarło do niego, że to nie zwidy, podszedł bliżej, nachylił się i dotknął jej. To była ludzka ręka.

Z ponownego przesłuchania, które odbyło się następnego dnia, wynikało, że nie spotkał w tamtym miejscu nikogo, nie słyszał żadnych odgłosów, rozmów ani krzyków. Wszystko to zgadzało się z ustaleniami lekarza wykonującego sekcję. Po pierwsze, czas zgonu i czas odnalezienia zwłok znacznie się różniły. Kobieta zmarła co najmniej dwadzieścia godzin wcześniej. Po drugie, przyczyną zgonu było uduszenie, choć początkowo podejrzewano utonięcie.

Przybyli na miejsce technicy nie znaleźli żadnych śladów butów poza tymi, które należały do Rokickiego. A to by znaczyło, że kobieta została wrzucona do rzeki w innym miejscu. Bezwładne ciało dryfowało, odbijało się od dna, kamieni, brzegów, aż trafiło w miejsce, w którym jest wiele wirów i płytszych zatoczek.

Więc to nie on.

Czyżby ta sama osoba, która zamordowała dziewczynę w okolicy Łądka-Zdroju?

Niewykluczone.

A jeśli tak... Coś mogło je łączyć. Znały się? Chodziły do jednej szkoły? Pracowały w tym samym miejscu? Może, choć Rudzki wspominał, że Marczuk niedawno urodziła dziecko, wcześniej chyba nie pracowała. Ale tu mogło chodzić o jakąś dawną sprawę. Jaką?

Wybrał numer Dominika.

– Trzeba będzie pogrzebać w życiorysie Marczuk. Ofiary mogło coś łączyć.

– Jak się zahaczyć, skoro o N.N. nic nie wiemy?

– Im więcej informacji wyciągniesz od matki Moniki, tym łatwiej będzie to ustalić. Mogły się znać. Ze szkoły, fitnessu, jakiegoś kursu, z osiedla, może sprzedawała w sklepie, w którym Marczuk robiła zakupy. Mogły być powiązane z toczącą się sprawą sądową lub innym postępowaniem. Sprawdź, czy nie pojawiły się w tego typu sprawach. Zadzwoń do sądów, popytaj.

– Setki spraw sądowych, Filip.

– Więc trzeba możliwie najdokładniej prześwietlić samą Marczuk. Wszystkie ewentualne sprawy. Sądowe, karne, cywilne, jako oskarżona, jako świadek i tak dalej. Może mieszkała w pobliżu jakiegoś recydywisty. Może ktoś jej groził. Mogła spotkać świra, który ją przesładował, zaczepiał. Musimy w jej życiu znaleźć zadzior, którym zaczepiała się o ten parszywy świat. Rozumiesz?

Podkomisarz poczuł ukłucie podmuchu zimnego powietrza. Schował się za murkiem, do którego były przymocowane barierki ochronne. A mimo to miejsce nie wydawało się zbyt bezpieczne. Musiał się pilnować. Upadek z tej wysokości skończyłby się śmiercią.

– Czuję, że to może być to. Jakieś kursy doszkalające. Kwalifikacyjne. Wyrównujące szanse zawodowe na rynku pracy? Wiesz, co mam na myśli.

– Sprawdź.

– Niech się tym zajmie Rabicki. Zaczniemy od podstawówki, potem ponadpodstawowa. Niech zdobędzie listę wszystkich uczennic, a potem sprawdza każdą z nich. Czy żyje, czy nie. Może któraś w ostatnim czasie zaginęła. Musimy mieć pewność. Stuprocentową. Praca...

– Sprawdziłem – przerwał mu Rudzki. – Marczuk kilka lat temu pracowała w hurtowni, ale tylko przez parę tygodni, potem w kawiarni. To były krótkie umowy śmieciowe.

Krauze zanotował na marginesie jednego z dokumentów, by do tego wrócić.

– Masz jakieś inne pomysły? Coś, czego nie zdążyłeś sprawdzić?

– Rzeczy do sprawdzenia jest jeszcze sporo, z każdym dniem pojawiają się nowe. Potrzebujemy więcej czasu.

– Ale nie mamy czasu – powiedział chyba tylko po to, by wyrzucić z siebie obawy. – Co z billingami?

– Na razie nic nie wzbudziło mojego zaniepokojenia – odpowiedział Rudzki nieco za grzecznie jak na policjanta. Filip nieraz już zwracał na to uwagę, czasami język Dominika był zbyt dyplomatyczny. – W ostatnich tygodniach dzwoniła parę razy do urzędu pracy, do MOPS-u. I w sumie przez ostatnie miesiące kilkadziesiąt połączeń do Kuby Kalinowskiego. Faktycznie masakrowała go telefonami.

– Przejrzyj jeszcze wstecz. Sprawdź każdy numer i zapisz właściciela albo instytucje. Musimy coś znaleźć – zaznaczył i się rozłączył. Ponownie zajrzał do dokumentów.

Przez kolejne kilkanaście minut siedział skulony za kamiennym murkiem. Pod nim płynęła górską rzeczką. Wsłuchał się w jednostajny szum. Wprawiło go to w odpowiedni nastrój.

Przeczytał wszystkie raporty techników. Sprawdzili szczegółowo oba miejsca, kamień po kamieniu, centymetr po centymetrze, zabezpieczyli kilka przedmiotów, głównie śmieci, butelki, ale i pobliski brzeg – tam, poza śladami stóp mężczyzny, który ją znalazł, nie znaleźli niczego ciekawego. W najbliższej okolicy też nie było rzeczy osobistych denatki.

Wydawało się to oczywiste, skoro została wrzucona do rzeki, wywnioskował. Analizował szansę na powodzenie kolejnego pomysłu, ale uznał, że dane z sekcji nie były zbyt precyzyjne. Na ogół po stanie skóry można oszacować, ile czasu ktoś przebywał w wodzie. Niestety lekarz określił liczbę godzin w przybliżeniu. Gdyby dane były bardziej precyzyjne, na tej podstawie można by choć wstępnie ocenić, w którym miejscu została wrzucona, a tam szukać śladów mordercy, może gdzieś w tym rejonie zatrzymał auto i może tam udałoby się znaleźć jakieś jej rzeczy.

Sięgnął po sezamka. Zjadł go tak szybko, że nim zdążył przełknąć ostatni kęs, brał już następnego. Cholera. Za dużo roboty i za duże ryzyko pomyłki. Mogła zostać wrzucona zarówno kilka, jak i kilkanaście kilometrów stąd. Za duża rozbieżność. Na razie odrzucił ten pomysł. Popatrzył na raporty z sekcji zwłok. Obie kobiety zostały uduszone. W ciele Moniki Marczuk nie było substancji odurzających, alkoholu ani lekarstw. W żołądku i we krwi N.N. wykryto alkohol. Kolejne różnice i podobieństwa. Marczuk najprawdopodobniej w ostatnim czasie odbyła stosunek płciowy, a N.N. miała znaczne otarcia pochwy. Brutalny seks, niewykluczony gwałt.

Krauze zanotował to na oddzielnej kartce jako możliwy punkt zbieżny. Kolejny, poza wiekiem, przyczyną śmierci oraz datą, bo obie najprawdopodobniej zamordowano tego samego dnia. Lekarz wykonujący sekcje ocenił, że różnica czasu zgonów mogła wynosić kilka godzin.

Punkty styczne zaczynały na siebie nachodzić niczym ząbki zamka błyskawicznego, jeden, drugi, powoli, stopniowo, łącząc się ze sobą.

Wiele wskazywało na to, że morderca postępował w podobny sposób. Miał swój *modus operandi*, sposób uśmiercania i sposób polowania na ofiary.

Spojrzął na opis sekcji Marczuk.

Poza uduszeniem i śladami na szyi nie było oznak bicia ofiar, szarpaniny, torturowania czy pośmiertnego znęcania się nad zwłokami. Na ciele znajdowało się wiele ran spowodowanych ocieraniem się o kamieniste dno i przybrzeżne gałęzie – ale brał to pod uwagę, prawa fizyki, bezwład płynących zwłok, które poddawały się nurtowi górskiej rzeczki.

N.N. najprawdopodobniej została uderzona w twarz i w brzuch. Lekarz stwierdził również sińce na wewnętrznej stronie ud.

Dziwne.

Do dokumentacji zostały dołączone liczne zdjęcia z sekcji. Dziesiątki zdjęć, zbliżenia każdej części ciała wykonane po to, żeby można je było obejrzeć ponownie, gdy zwłoki znajdą się już pod ziemią albo zostaną skremowane. Każdy skrawek skóry. Obrażenia, otarcia, sińce, ślady duszenia, twarz, stopień zasinienia, plamy opadowe. Paznokcie, włosy, uszy. Wszystkie możliwe ujęcia, przed umyciem ciała i po. Skrupulatna dokumentacja i wnikliwe badanie – na tym osadzała się istota dobrej kryminalistyki wspierana przez lekarzy medycyny sądowej.

Krauze wnikliwie oglądał każde zdjęcie, a potem sięgał po następne, by dostrzec różnice i podobieństwa.

Błada, niemal biała kobieta z ciemnymi włosami. Młoda, niewinna, spokojna, pogodzona z podłym życiem, ale nie z podłą śmiercią. Nikt nie powinien tak ginąć – w męczarniach, służąc popieprzonemu dewiantowi za worek do bicia.



Z każdym następnym zdjęciem ujęcie było coraz bliższe, bardziej szczegółowe. Sterylna dokumentacja, obnażająca każdy milimetr badanego ciała, pod wieloma kątami, z różnych perspektyw. Bliżej, dalej, prostopadłe, bokiem, z góry.

Wyraźne zdjęcia palców. Lewa, potem prawa dłoń. Nogi – stopy, uda, kolana. Poranione, posiniaczone, z odrastającymi czarnymi włoskami. Następne zdjęcia przystrzyżonego wzgórką łonowego. Rozchylone nogi. Zbliżenie na zasinienia.

Tors. Zdjęcia przed oraz po rozcięciu. „Zszyte ciało zawsze wyglądało zbyt naturalistycznie”, pomyślał, „zwłaszcza gdy lekarz robił je szybko, niedbale, bez starania o to, by szwy były równe”.

Czaszka. Proste włosy, blada twarz, sine usta. Na kolejnym zdjęciu białe rękawiczki lekarza, który odsłaniał do obiektywu jej uzębienie. Równe, choć poźółkłe. Uszy proporcjonalne, bez uszkodzenia, żadnych znaków szczególnych, żadnych ran. Ani na twarzy. Ładnej, klasycznej.

Znowu zaczął oglądać nadgarstki.

Może to tylko złudzenie. W pierwszej chwili tego nie zauważył, ale ponowy rzut oka dał mu niemal pewność, że N.N. miała niedużą, dosłownie kilkumilimetrową ranę wokół nadgarstków. Skaleczenie, chociaż może bardziej nacięcie, wokół którego pojawiło się zasinienie.

Spojrzał na raport z sekcji zwłok i znalazł fragment, który wcześniej przeoczył. „Niewielkie nacięcie wokół nadgarstków obu dłoni” miało według pomiaru nie więcej niż milimetr, może dwa głębokości, ale to wystarczyło, by pojawiło się zaczerwienienie i napłynęło trochę krwi. A skoro napłynęła, to stało się to przed śmiercią.

Wybrał numer Rudzkiego.

– Natknąłem się w raporcie sekcji, że nasza „en-en” miała niewielkie nacięcie na nadgarstkach.

– Możliwe. Ma to jakieś znaczenie? – zapytał niewyraźnie Dominik, jakby coś przełykał. Zapewne to robił. Jego dni były rozplanowane według precyzyjnego wzorca treningów, posiłków oraz czasu na regenerację. W głębi duszy Krauze podziwiał takie osoby, sam miał zbyt słabą wolę, by wprowadzić w swoje życie, a zwłaszcza odżywianie, jakąś regularność.

– Łapię się, czego mogę.

– Nie pamiętam, ale skoro to znalazłeś, to tak jest – skwitował Rudzki. – Pewnie ją przytrzymał za ręce podczas stosunku.

– Poczekaj, nie rozłączaj się.

Przysunął ramieniem telefon do ucha, pochylił głowę i zaczął przeglądać zdjęcia i raport z sekcji zwłok Moniki Marczuk. Interesowały go dłonie, nadgarstki.

– Kurde, nie ma nacięcia ani ran.

– Nie bardzo wiem, do czego zmierzasz. Że niby jedna z nich została skrępowana?

– Staram się znaleźć coś, na co wcześniej nie zwróciliśmy uwagi. – Dopiero gdy wypowiedział te słowa, zdał sobie sprawę, że użył liczby mnogiej. Do tej pory niewiele zrobił przy śledztwie. Wystarczyło kilka godzin, by na nowo zmienił podejście. „A więc stopniowo wracam do żywych”, pomyślał z lekką nadzieją.

– Nie ma nic. Ani na dłoniach, ani wyżej.

Marczuk miała pomalowane paznokcie, choć lakier zdążył już w wielu miejscach odprysnąć, ale mimo doskonałej jakości zdjęć i dobrych zbliżeń nie znalazł choćby śladu nacięcia.

– Może mi się wydawało. To był chyba fałszywy alarm. Smacznego – powiedział niepocieszony.

– Filip, co tak szumi? Gdzie ty jesteś? I coś wieje, jak w górach.

– Masz rację, wieje niemiłosiernie.

– Słysząc jakiś szum. To rzeka?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, to pewnie wina sieci komórkowej.

Rozłączył się, wstał i zaczął krążyć bez celu. Nagle jego ciało zeszytywniało. Poczul silne ukłucie, od nóg aż po czubek głowy. Ból promieniował niczym żarząca się iskra. Krauze przez chwilę pocierał czoło i uciskał skronie, ale to nie pomogło. Co pewien czas miewał takie ataki, towarzyszył im gwałtowny skok ciśnienia. Być może organizm chciał mu zakomunikować, że trzeba zwolnić, zmienić tryb życia. Podkomisarz był jednak zbyt uparty, żeby się tym przejąć. Obiecał sobie wprawdzie, że będzie regularnie mierzyć ciśnienie, ale najczęściej o tym zapominał.

Kiedy ból minął, otrząsnął się niczym pies po kąpieli i wykręcił numer do lekarza przeprowadzającego sekcję zwłok obu kobiet.

– Tu Filip Krauze. Mam sprawę.

– Już w pracy? Podobno miałeś być na urlopie – rzucił Julian Walicki, jeden z kilku lekarzy wykonujących sekcje zwłok w rejonie.

– To coś dziwnego?

– Poniekąd, bo po raz pierwszy idziesz na urlop w środku toczącego się śledztwa. Zwłaszcza gdy na mieście wybuchła szambo, jakiego w województwie nie było od lat. Karpowicz nieźle nawywiślał. Dzwonisz w tej sprawie?

Krauze zaklął w myślach. To była wada średniej wielkości miasta – co drugi lekarz znał co drugiego policjanta, nieważne, czynnego czy emerytowanego.

– Dzięki za troskę. Nie wiem, co o tym myśleć. Zrobił to, co od dawna planował, tyle wiem. Ale dzwonię w innej sprawie, chciałem cię zapytać o sekcje, które dla nas wykonywałeś, te dwie młode kobiety. U jednej z nich, N.N., znalazłeś niewielkie nacięcie i zasinienie na nadgarstku.

– Uhm, pamiętam.

– Możesz mi powiedzieć coś więcej? Nie wiem, czy się tym martwić.

– Martwić raczej nie – odpowiedział spokojnie. – Bo dziewczyna i tak już nie żyje. To drobne nacięcie, podejrzewam żyłkę albo bardzo cienką linę.

– Powstało przed śmiercią?

– Tak, prawdopodobnie chwilę przed. Rana się nie zasklepiła dobrze, nawet nie było strupa. A ten, jak wiesz, pojawia się na gojącej się ranie. Czyli żeby doszło do gojenia, człowiek musi żyć.

– A gdybyś miał szacować czas powstania?

– Sądzisz, że to coś ważnego?

– Na razie nie wiem. Wolę się upewnić.

– Myślę, że dosłownie przed samą śmiercią. Chodzi o gojenie się rany. To proces, który długo trwa. Wpisałem do raportu na wszelki wypadek.

– Plus za przezorność. A co z drugą dziewczyną? Nazywała się Monika Marczuk.

– Chodzi ci o to, czy miała coś podobnego?

– Tak.

– Z tego, co pamiętam, to nie. Zdecydowanie nie – poprawił się.

Krauze lekko się uśmiechnął. Lubił pewność siebie Walickiego. W ogóle lubił pewność siebie u ludzi, z którymi pracował. Obojętność i nijakość go odpychały.

– Czy mógłbyś jeszcze raz obejrzeć jej nadgarstki? Ślady po lince, nawet niewielkie, ledwie dostrzegalne.

– Filip, nie ma tam żadnych ran. Zauważyłbym je.

– Po prostu je obejrzysz, dobra? Chcę mieć stuprocentową pewność. A tylko ty mi możesz ją dać.

Walicki prychnął, ale przyjaźnie. Raczej uznał to za wyzwanie, nic innego.

– Brzmi zobowiązująco. W porządku, ale najpierw muszę skończyć to, co rozgrzebałem teraz. A mam na stole sekcyjnym fragmenty ciała tych bandziorów.

Krauze się wzdrygnął, poczuł ukłucie we wnętrznościach. Kolejne. Nerwy szalały.

– Muszę wyciągnąć ją z chłodni, nie chcę robić dwóch rzeczy naraz. Zadzwoń, jak coś ustalę.

Zaparkował przed kamienicą i zaniósł do mieszkania kartony, które zostawił mu Karpowicz. Trzy duże pudła z dokumentami. Część z nich zdążył przeczytać. A najważniejsze, że miał też telefony, w tym ten najważniejszy, Barakudy. Wszystkie odpowiednio zabezpieczył. Wiedział, że to skarbnica wiedzy, choć teraz znaczyły mniej niż za życia ich właścicieli. Wiadomości i pliki były dowodami, dzięki którym kłódzkich gangsterów można było skazać za działalność przestępczą. Karpowicz postanowił rozprawić się z nimi inaczej, teraz już niewiele pozostawało do zrobienia w tej sprawie.

Właściwie tylko jedna rzecz.

– Słucham – powiedział niskim głosem. Ton, niemal jak zawsze, miał stanowczy.

– W drzwiach znalazłam wizytówkę z prośbą o kontakt.

Rudzki wpatrywał się we fragmenty ciała. Kawałek stopy obleczony brązową mazią, zaschniętą krwią. Szkarłatne ściany, osmolone ogniem i dymem. Niczym miejsce tortur w najniższym kręgu piekła. Kolejne zdjęcia przedstawiały jeszcze gorszy widok: stopy, dłonie, na których wciąż były złote zegarki, oderwane głowy, przysmalone torsy ze spalonym owłosieniem. Zadrżał i pomyślał, że zaraz zwymiotuje.

Rzucił zdjęcie na stół i napił się wody.

– O kontakt? – Tym razem wyrazy zamieniły się w pytanie.

– Nazywam się Agnieszka Gutek, zostawił pan w moich drzwiach kartkę. Było na niej napisane „aspirant Dominik Rudzki, proszę o kontakt”.

Ach, no tak, skojarzył błyskawicznie. Wszystko jasne.

– Tak, chciałem porozmawiać o Monice Marczuk. Widziała się pani z nią ostatnio? Rozmawialiście? Skarżyła się na coś, na kogoś?

– Domyśliłam się. Ale niewiele mogę powiedzieć. W ostatnim czasie nie widywałyśmy się często. Urodziła dziecko, całymi dniami siedziała w domu.

– Miała jakichś znajomych, o których pani coś wie? Wspominała coś?

– W ostatnim czasie byłam jej jedyną znajomą. Raczej się z nikim nie widywała. Przynajmniej tak mówiła. Kiedyś miała czas, żeby gdzieś wyskoczyć, a po urodzeniu dziecka już nie za bardzo.

– Nikt więcej? Jakiś nowy mężczyzna, kolega?

– Nie. Nie miała na to czasu. Raz coś wspomniała o koleżance, ale nic więcej. Sądzi pan, że ma to jakieś znaczenie? – zapytała Gutek pełnym, silnym i zdecydowanym głosem.

– Na razie nie potrafisz powiedzieć. Chcę porozmawiać ze wszystkimi osobami, z którymi w ostatnim czasie mogła mieć kontakt.

– No to niewiele panu pomogę. Monika wciąż się zaliła, że nie ma czasu na znajomości, na życie towarzyskie. Tylko Nadia i matka. Powtarzała to jak mantrę. Nieraz jej mówiłam, żeby gdzieś wyskoczyła, zrobiła coś dla siebie. A ona tylko dom, dom...

„To niemożliwe”, powiedział do siebie po namyśle. „Wyszła z domu w jakimś celu. Tak zeznała matka. I to sprawiło, że zginęła”.

– Mogła mieć dłużki? – zapytał po chwili, przygryzając wargę. Mimowolnie przejechał dłonią po twardym przedramieniu.

– Raczej nie. Fakt, że nie miała własnych pieniędzy. Nie miała pracy. Dopiero zaczynała walkę o wszystkie zapomogi, dodatki dla samotnej matki, ale nic nie wspominała o długach.

– A może czegoś się w ostatnim czasie bała? O coś martwiła? Może ktoś ją śledził, stalkował?

– Raczej nie.

– Mówiła pani coś o tej koleżance? Może wspomniała jej imię albo nazwisko?

– Nie, niestety, powiedziała tylko między łykami kawy, że spotkała swoją dawną znajomą. I że się nie spodziewała, co tamta ze sobą zrobiła.

– Co? – zdziwił się. – Co to mogło oznaczać?

– Bo ja wiem?

– Z tego, co wiem, nie miała żadnego wykształcenia poza skończoną zawodówką? Czyżby spotkała znajomą z tej szkoły?

Dominik usłyszał głośny wdech i odgłos wypuszczanego powietrza. Agnieszka Gutek pewnie paliła papierosa.

– No tego to ja już panu nie powiem, bo nie wiem.

Mieszkanie komendanta kłodzkiej policji znajdowało się na tyle blisko ratusza, że z balkonu doskonale było widać zegar na wieży. Podkomisarz zaparkował auto tak, że zablokował wjazd na podwórze, po czym wszedł do kamienicy. Gdyby ktoś pokusił się o rozliczenie jego przewinień drogowych, samo ich odczytanie zajęłoby wiele godzin. Miał patologiczną skłonność do łamania przepisów i nie potrafił tego zwalczyć. W zasadzie chyba nigdy nawet nie próbował.

Klatka schodowa była czysta. Krauze wyczuł świeżą woń farby olejnej. Pewnie niedawno odmalowano lamperie. Przekłęty element niemal wszystkich klatek schodowych – zupełnie, jakby przez dziesiątki lat nikt nie umiał wymyślić lepszego sposobu na zabrudzenia.

Zadzwoił. Po chwili drzwi otworzyły się na oścież.

– Co jest? – zapytał Stefan Borek, średniego wzrostu mężczyzna z posiwiałymi skroniami.

Krauze nie odpowiedział, lustrował drzwi. Antywłamaniowe, masywniejsze od tych, jakie miał w swoim mieszkaniu. Wcale by się nie zdziwił, gdyby się okazało, że Borek trzyma broń w szafce nocnej i śpi z glockiem pod poduszką.

– Wpuścisz mnie czy będziemy gadać na korytarzu, żeby sąsiedzi mogli posłuchać, co się dzieje w mieście, nad którym rzekomo panujesz?

– Masz rację, mistrzu dyplomacji. Wchodź. Tylko nie przejmuj się bałaganem. Żona jest u swojej matki, wyjechała trzy dni temu. Teściowa trochę choruje, Jola jej pomaga, jak może. A ja ostatnio więcej siedzę w robocie niż tu. To cud, że mnie złapałeś.

– Współczuję – odpowiedział mało przekonująco, nie wczuwając się w rolę. – Ale to nie zmienia faktu, że mogłeś posprzątać.

– Cholera, nie minęła minuta, a już żałuję tego spotkania. Ciekawe, czy ty masz czysto w domu...

– Możesz przyjechać na inspekcję, inspektorze.

– Gdybyś mnie kiedykolwiek zaprosił, tobym przyjechał.

– Niewykluczone, że kiedyś dostąpisz tego zaszczytu – odpowiedział Krauze zupełnie serio. Z komendantem znał się od dawna, mówili sobie po imieniu. Stefan był jedyną osobą z szefostwa, z którą można się było dogadać, nie puszył się i potrafił pozartować. Filip zwyczajnie, po ludzku go lubił. A poza tym, jak sądził, można mu było zaufać.

Krauze usiadł na kanapie, nie czekając na zaproszenie.

– Tak, tak, siadaj, rozgość się. Napij się czegoś?

Pokręcił stanowczo głową.

– Przyjechałem w innej sprawie – zmienił ton na bardziej serio.

Komendant usiadł na wprost niego, zaplótł ręce i czekał. Wzajemne docinanie mieli już z głowy, a ponieważ dobrze się znali, wiedzieli, że czas na konkrety.

– Powiem wprost. Nie powinniście zamykać sprawy Barakudy, Roxa i pozostałych bandziorów.

– Niby czemu? Mamy list Karpowicza. Wziął na siebie winę, a to dla nas wystarczający dowód. Biegły grafolog potwierdził, że to jego pismo. Paru skurwysynów mniej. Miasto odetchnie, my też. Naprawdę mamy co robić w komendzie.

– Nie w tym rzecz – poprawił go Krauze. – Nie można poprzestać na tych paru gościach. Tę grupę trzeba ujebać, wszystkich, kogo tylko się da. Od góry, co już się stało, aż po sam dół. Rozumiesz? Gang to nie tylko przywódcy, to również dół, żołnierze, skurwiele na posyłki.

– Filip, to już nie nasza broszka. Nie mamy w Kłodzku wydziału do zwalczania zorganizowanych grup przestępczych. Od tego jest Wrocław.

– Tyle tylko, że oni od lat nie ruszyli, kurwa, palcem. Potrafią tylko grzebać sobie w dupie, wachać, a potem sprawdzać, czy nie jebie za mocno. A gdy jebie za mocno, przynykają paru dilerów na mieście, by media miały się o czym rozpisywać.

Stefan Borek nieco się wyprostował.

– Filip, zamień się ze mną na biura na parę dni. Poodbierasz telefony z góry, posłuchasz narzekań szefów, zobaczysz, jak to działa. Ale od razu uprzedzam: obyś się za szybko nie rozczarował. To nie jest tak, że mam prawo robić,

co mi się podoba. Policja dolnośląska ma określoną strukturę i nie wejść z buciorami tym od zorganizowanych grup przestępczych, bo od tego są oni. I to ich się rozlicza.

– I po chuj mi to mówisz?

– Żebyś wiedział, że nie da się podjąć takiej decyzji w ciągu minuty. To jedno. A drugie – westchnął głośno, namyślił się, po czym nieco się nachylił. – Tylko ma to zostać między nami, bo mam małe przecieki i nie mogę o tym...

– Okej, słowo – przerwał mu.

– Kilka miesięcy temu mieli ich na podsłuchu. Tyle że oni co parę dni zmieniali telefony. Kilku gości z wrocławskiego CBS próbowało rozpracować kilka nielegalnych rzutów dopalaczy, ale...

– Wiem, wiem, nie musisz kończyć. – Krauze prychnął z bezsilności. – Ostatecznie złapali drobne płotki, handlarzy. A góra, jak Rox, smacznie sobie w tym czasie pierdolili panienki, popijali drinki i rozbijali się swoimi luksusowymi samochodami. No i tak to, kurwa, wygląda od lat. Jeden wielki pierdolony syf, do którego każdy z nas poniekąd się przykłada, bo wiemy o nich, wiemy, jak działają, a nic z tym nie robimy.

– Zdaje się, że pracujesz nad sprawą Marczuk i tej drugiej, dobrze mówię? Więc o co ci tak naprawdę chodzi, Filip?

– Bo nie ma mojej zgody na to, by biegali wolno i terroryzowali miasto. Zwłaszcza niewinnych ludzi – mruknął, nie odpowiadając na pytanie. – Nie pozwolę, żeby handlowali dragami, bronią, spirytusem, fajkami, dopalaczami, kontrolowali automaty i kradli fury. Stefan, nie rozumiesz, że to idealny czas na walkę z pozostałymi ludźmi z gangu?

Brew komendanta uniosła się jak u przenikliwego egzaminatora. Przez chwilę z namysłem przyglądał się Filipowi, a potem się odezwał.

– Podaj powód.

Krauze potrząsnął głową, jakby odpowiedź była oczywista.

– Jestem policjantem. Ty również. Składaliśmy przysięgę. Stoisz na czele policji w tym mieście. A to pewne zobowiązanie. Zadbaj o mieszkańców. Pomyśl o nich, a nie o statystykach, które ci wzrastają, gdy zamykasz drobnych złodziejasków czy pijanych kierowców.

– Łatwo ci mówić.

– Gówno prawda. Wcale nie mówię, że to będzie łatwa walka. Ale możemy ujechać tych ludzi. Bo to jest najodpowiedniejszy moment dla nas, a najgorszy czas dla nich. Zostali sami mniej ważni, choć nie mniej groźni, w tym paru ostrych szajbusów, którzy zaczną niedługo wychodzić na ulice niczym glisty po deszczu. Bambus, Bliźniak, Kołodziej, Kodryl, stary Jasiek, Dzikus, Broński i parunastu innych kryminalistów. Ukróćmy im łby, bo się odbudują, któryś z nich przejmie dowodzenie, a wtedy już nic nie zrobisz bez CBS. Choć wiadomo, że oni też nic nie robią, bo dla nich ważny jest Wrocław, a nie jakieś Kłodzko. Zastanów się, Stefan. A nawet jeśli się ruszą, jeśli odkleją im się te grube dupy od ich regionu, to rozbicie gangu chcesz przypisać im czy sobie?

– Przecież na to trzeba wielu miesięcy pracy w terenie, podsłuchów, śledzenia. Niby jak chcesz to zrobić? – rzucił nieprzekonany, gładząc się po idealnie ogolonej twarzy. – A nam brakuje ludzi, ledwo ogarniamy to, co splywa każdego dnia.

Krauze chciał prychnąć, ale się powstrzymał.

– Nie potrzeba wielu miesięcy, Stefan. Mam coś, co wystarczy na przymknięcie co najmniej połowy z nich na wiele lat.

– Co? Konkrety, Filip – rzucił tak dobitnie, że Krauze postanowił nie przeciągać.

– Imiona, nazwiska, numery telefonów, dziesiątki maili, kilkadziesiąt zdjęć, na których widać ich podczas popełniania różnych przestępstw, sporo amatorskich filmów oraz dostęp do notatek, w których są adresy, listy kontrahentów, miejsc, gdzie wymuszają haracze, informacje o dostawach, o odbiorze kasy, dragów, dopalaczy – wymienił niemal jednym tchem. – Nie mówię, że to rozwali wszystko i wszystkich, ale to solidna podstawa materiału dowodowego.

– Skąd to masz? I co to jest?!

– To nie ma znaczenia.

– Filip, do cholery. Albo rozmawiamy, albo się żegnamy – powiedział Stefan niemal zrezygnowanym tonem. – Mam dość tych półślówek. Całe życie balansujesz na granicy prawa i bezprawia. Robisz, co ci się podoba, połowę spraw rozwiązałeś bez trzymania się procedur, kryję twoją dupę, od kiedy tu pracujesz. Tylko dlatego, że bywasz skuteczny. W końcu przez ciebie osiwięję albo wykituję. A teraz mi jeszcze wyskakujesz z tekstami, że chcesz to wszystko rozjechać w pył? Serio, mam się na to zgodzić? Chociaż raz zrób to, o co cię proszę. Skup się na swojej sprawie. Nie grzeb w każdym gównie, które śmierdzi. Nie ruszaj tego. Sprawa Barakudy jest zbyt...

– Zbyt co? – Krauze spojrział na szefa uważnie.

– Zbyt... zagmatwana. – Borek szukał właściwych słów. Wyglądał na wykończonego. – Nikt z nas jeszcze nie wie, jak się do tego zabrać. Na razie sprzątam po tym syfie, jaki narobił Konrad.

Komendant pokręcił głową, jakby nie dowierzał, że ta rozmowa toczy się naprawdę.

– Dobra, mów, co masz. Bez tego niczego nie ruszę – odezwał się po chwili.

– Mam sporo informacji o ludziach, którzy zginęli tamtej nocy. Na tej podstawie jesteśmy w stanie rozpracować cały gang w ciągu paru dni. Zorganizujesz kilka brygad, podzwonisz po województwie. Możemy uderzyć w wielu ludzi jednocześnie – powiedział podekscytowany Filip. – A gdy ich zamkniemy, przedstawimy im twarde dowody.

– Ostatni raz powtarzam – wysyczał przez zęby Borek. – Co i skąd masz?

Krauze dokładnie wszystko przemyślał, zanim tu przyjechał. Wiedział, że sporo ryzykuje. Jeden błąd i wszystko się rozsypie, dlatego nie mógł ukrywać swoich ostatnich kontaktów z Karpowiczem. Musiał grać w otwarte karty. No, prawie otwarte. Jak wtedy, gdy zdradził część prawdy Jurkowi Sokołowskiemu, na wypadek gdyby sprawdzano jego billingi, gdyby znaleźli się świadkowie, którzy widzieli ich razem nie tylko w barze.

– Tego dnia, kiedy to wszystko się stało, spotkałem się z Karpowiczem. Pogadaliśmy jak dawni znajomi z komendy – oznajmił spokojnie, wstał i zaczął krążyć po salonie. Gdyby ktoś ich obserwował, mógłby tę scenę zinterpretować jak rozmowę ojca z synem, który musi się wytłumaczyć z kolejnego występku. – A potem niespodziewanie Konrad zadzwonił do mnie jeszcze raz. W nocy. Powiedział, że musi się ze mną pilnie spotkać. Nie wiedziałem, co jest grane. Nie chciałem tam jechać, był prawie środek nocy. Powiedział, że to ważne, i jakoś dałem się przekonać.

– Do czego zmierza ta opowieść? – zapytał zniecierpliwiony komendant, zaplatając ręce. Nieznacznie poczerwieniał. Jego prawa noga nerwowo drgała. Za plecami miał wysoki regał z pamiątkami rodzinnymi i medalami, które wyglądały, jakby otrzymał je za jakieś osiągnięcia sportowe, ale z tej odległości Krauze nie widział, co to dokładnie było.

– Podczas pierwszego spotkania przekazał mi trzy pudła dokumentów.

– Co w nich było?

– Wszystko, co na nich miał. Kilkadziesiąt kilogramów kserokopii akt, wycinków z gazet, wydruków komputerowych, billingi, mapy, na których zaznaczał ich interesy. Pytałem, dlaczego mi to daje, ale powiedział tylko, że później mi wyjaśni.

Borek poruszył głowę i głośno sapnął.

– Wiem, że zbierał na nich haki. Wiem, że miał pierdolca na punkcie Barakudy, bo wiele razy z nim rozmawiałem. Ale to było dawno temu, kiedy jeszcze dla nas pracował. To, czym dysponował Karpowicz, to praktycznie to, co zdobył z naszej komendy – stwierdził.

– Masz mocno nieaktualne dane. W przeciwieństwie do Konrada. Jest tam sporo dokumentów i zdjęć, których my w komendzie nie mamy.

– Niby skąd?

– Śledził ich, robił zdjęcia. Mam mnóstwo notatek, zapisków. Wszystko wydrukowane. Były tam też dwie albo trzy karty pamięci. Jakies filmy z imprez. Nagrania, na których widać pobitych ludzi. Zdjęcia, na których Bamboś i Dakota omawiają jakieś interesy.

– Obaj nie żyją – powiedział krótko Borek.

– Stefan, nie chodzi o to, żebyś teraz wszystko podważał, tylko żebyś się zainteresował, przejrzał to. A jeśli tobie się nie chce, zleć to komuś kompetentnemu.

Komendant wzruszył ramionami. Udawał obojętnego, ale Krauze wiedział, że intensywnie myśli. Albo się denerwuje.

– Potem spotkałem się z nim jeszcze raz. Jakoś godzinę czy dwie później, dosłownie w środku nocy. Dał mi coś...

– Filip zawiesił głos. – Ich telefony.

– Co takiego?

– Powiedział, że mam tylko przechować. Nic więcej. Następnego dnia, gdy dowiedziałem się o wszystkim, połączyłem fakty.

– Chryste Panie... Masz te telefony?!

– Mam. Sprawdziłem część z nich.

– I co?

– I teraz wiem, że Karpowicz chciał, żeby ktoś się tym zajął. Uwierzył, że zrobię, co należy. I że wykorzystam je w odpowiednim celu.

– Ożeż kurwa...

– Też tak sądzę. Stefan, z takimi informacjami możemy ich wsadzić choćby teraz. Dziesiątki wiadomości, historie rozmów, dostępy do maili.

Borek wstał i wyszedł na balkon. Zapalił, stojąc jedną nogą w salonie, drugą na zewnątrz. Odsunął rękę z papierosem i obejrzał się przez ramię.

– Żona zabrania mi palić w środku. Nie chcę, żeby wyczuła po powrocie. Ma lepszy węch niż nasze psy tropiące.

Wyglądał na podenerwowanego, a zarazem zachowywał się tak, jakby wciąż próbował wybadać Filipa.

– Dlaczego ci to dał?

– A skąd mogę wiedzieć? Bo być może tylko ja odebrałem od niego telefon w środku nocy.

Borek zaczął przygryzać paznokcie, nie odrywając wzroku od podkomisarza. Zastanawiał się nad czymś gorączkowo, nieznacznie drżąc. Może z nerwów, może z zimna.

– Nie wiem, czy damy radę. Mamy teraz tyle tego chujostwa na głowie... Muszę się poradzić, muszę podzwonić. Ja też mam swoich przełożonych. Daj mi dzień lub dwa.

Już kiedy schodził po schodach, usłyszał telefon. Dzwonił Walicki.

– Miałem rację – zaczął od razu. – Nie ma żadnej rany, przyjrzałem się dokładnie. Użyłem sporego powiększenia, badałem każdy milimetr, ale nie ma nic więcej.

Krauze zaczął rozmyślać. Coś mu tu nie pasowało. A może wpadał już w obsesję. Nie chciał się skupiać na tym, że jeden z bardziej doświadczonych lekarzy medycyny sądowej przeoczył niewielkie nacięcie w dość widocznym miejscu. Podczas sekcji zwłok bada się każdy fragment – od stóp po czubek głowy i wnętrzości, koncentrując się jednak na analizie obrażeń, sińców, po to, by ustalić bezpośrednią przyczynę zgonu. To był priorytet, na który kładziono największy nacisk, choć inne aspekty sekcji również były ważne. Czy ktoś był przed śmiercią bity, maltretowany, czy miał inne obrażenia, które mogłyby nakierować śledczych na to, co dokładnie się wydarzyło przed zgonem.

– Czy to wszystko?

– No cóż, jedna z nich miała nieznaczne nacięcia wokół nadgarstków, druga nie. Nie wiem, czy zbudujesz wokół tego teorię.

– Żadnych innych ran?

– Stawiam na szali swoją reputację.

– Dziękuję, to mi wystarczy – rzucił, po czym zbiegł ze schodów.

Według wstępnej teorii Krauzego morderca porywał kobiety i związywał im ręce cienką linką. To się nie potwierdziło, *modus operandi* nieco się zachwiało, ale nie runął.

Wyszedł na zewnątrz i podszedł do auta. Spojrzał za siebie, na górę, na balkon mieszkania Borka. Komendant wciąż palił papierosa, patrząc przed siebie.

Słyszę jego głos, jego szept, jest cichy, zupełnie tak, jakby mówił tylko do mnie. Jakby mówił tylko do mnie, we śnie.

I tylko o mnie myślał.

Bo przecież przyszedł tu do mnie.

Znów.

Który to już raz?

Odwiedza mnie. Kiedy tylko może. Tak mówi.

Mówi, że to trudne, że robi wszystko, by się ze mną spotkać.

Mówi, że jestem dla niego ważna.

Mówi, że lubi takie dziewczynki jak ja.

I że kiedyś będę tylko jego.

Znów tu jest.

Słyszę jego głos, jego szept, jest cichy.

Stawia krok za krokiem tak, by nikt poza mną go nie usłyszał.

Jest jak duch. Tyle że prawdziwy.

Otwieram oczy, bo nie mogę ich dłużej zamykać. Nie mogę dłużej udawać, że śpię.

I wtedy widzę ten cień.

Jego okrągły cień pada na okno, zajmuje je prawie całe.

Otwieram szerzej oczy, wstaję i podchodzę.

Podchodzę, bo pokazuje, że mam to zrobić. Że chce mi coś powiedzieć.

Boję się, ale nie mogę się powstrzymać.

Otwieram okno.

I wtedy mogę go dotknąć.



O ósmej trzydzieści był już w komendzie. Zdążył obudzić Marcela, zrobić mu śniadanie, a potem odwieźć syna pod drzwi szkoły. Potem przez chwilę jeszcze nie odjeżdżał.

Czekał. Rozglądał się. Dopiero kiedy podwórce i boisko szkolne opustoszały, a on upewnił się, że lekcje w salach już się zaczęły i woźny ruszył na swój rytualny obchód, ruszył do pracy.

Wpatrywał się w parującą kawę, za którą piętrzył się niewielki stos dokumentów. Był już po kolejnej lekturze. Musiał zapamiętać wszystko. Imiona, nazwiska, miejsca zamieszkania, wiek, wygląd, znaki szczególne. Okoliczności obu morderstw. Zeznania. Notatki policyjne. Ekspertyzy, z których, niestety, niewiele wynikało. Protokoły sekcji.

Głosy.

Żałował, że nie mógł usłyszeć tych wszystkich głosów.

Ludzi zapamiętywał głównie po tym, jak brzmiali i jak pachnieli. Czasami po latach wracały do niego różne tony, tembry i barwy, niskie, wysokie, piskliwie, basowe, głębokie, poważne, ciężkie. Jego mózg był magazynem głosów.

Gdyby to on od początku sam kierował śledztwem, jak było do tej pory, nie musiałby czytać dokumentów po raz kolejny. Tę sprawę znał jednak niemal wyłącznie z nich. Może dzięki temu miał większy dystans, włączał krytyczne myślenie.

Wziął kolejny łyk.

Sięgnął po raport techników. Spojrzał na informacje na temat samochodu i zabezpieczonych w pobliżu wysypiska śmieci śladów. W nocy, gdy znaleziono zwłoki N.N., rozstaw osi samochodu, a więc odległość między przednimi a tylnymi kołami, wynosił 2670 milimetrów. Bieżnik klasyczny, opony letnie, mocno starte. Dawało to dziesiątki kombinacji. Dopisek: „Nieduży samochód, mała osobówka”. To już coś, ale wciąż mało. Przyjrzał się szerokości opon, śladom bieżnika. Udało się określić detale techniczne, lecz bez analizy porównawczej z innych zabezpieczonych miejsc niewiele mu to dawało.

Kiedy rzucił dokument na blat, do biura wszedł Dominik. Przywitani się tak silnym uściskiem dłoni, że gdyby włożyć między nie orzech włoski, zostałyby z niego miazga. Rudzki zdjął kurtkę i powiesił ją, postawił na biurku shaker z sokiem. Łyknął kilka tabletek, chwilę się krzątał po pokoju, wreszcie wyjął z torby przezroczysty pojemnik z odżywką białkową i wypił duszkiem ćwierć litra.

– Kurwa, skończysz kiedyś?

– O co ci chodzi? Jem.

– Nie mogę się skupić, kiedy tak łąsisz i robisz z biura jakąś pieprzoną... salę dietetyczną.

– Coś taki drażliwy?

– Zawsze byłem. Może nie widziałeś, bo ciągle coś pijesz, polykasz, odliczasz tabletki.

– Muszę je przyjmować systematycznie. Kilka razy dziennie. Niektóre przed posiłkiem, niektóre po posiłku. A niektóre w trakcie. Inaczej nie da to dobrego efektu. I, do jasnej cholery, nie ma czegoś takiego jak sala dietetyczna. Naucz się wreszcie.

Podkomisarz spojrzął na napięte pod ciasną koszulą mięśnie ramion, barków i grzbietu.

– W której siłowni trenujesz? – zapytał, choć znał odpowiedź.

– W Hard-Ficie. Mają najlepszy sprzęt. Chcesz się zapisać? Załatwię ci dziesięć procent zniżki.

– Przychodzą tam jeszcze bydlaki z miasta? – odpowiedział pytaniem.

Rudzki spojrzął na niego wymownie.

– Bywają.

– Nawet po tym, co się stało?

– Tak, nie odpuszczają. Trenują, jak gdyby nigdy nic, choć jest już ich nieco mniej. Jeszcze do niedawna czasami bywał tam Dakota, widywałem też Karakana ze swoimi osiłkami. Ciężko się wtedy trenowało, robili spektakl.

– Jaśniej.

– Pokazywali, że wjeżdża miasto. Że oni to oni.

– I co wtedy?

– Nic. Nie dało się trenować. Wpadało pięciu, czasami dziesięciu ludzi. Hajs, skóry i komory, jak się kiedyś mówiło. To byli dopiero goryle. Gorszi niż upośledzeni bokserzy. Podejrzewam, że łykali koks i dopalacze za jednym

zamachem. Zdejmowali koszulki, a potem walczyli głowami jak jelenie. Po walce przybijali piątkę i szli trenować. I tak co kilka dni.

– Znałeś ich?

– Paru. Kojarzyłem Karakana. No, jeszcze Azira i Kucola, przychodzili dość regularnie. Nieraz widziałem w ich torbach broń, ale się nie wpięprzałem. Oni mnie nie zaczepiali, ja ich też nie. No a potem, wiadomo.

– Co? – zapytał Filip, udając, że nie rozumie.

Rudzki z niedowierzaniem pokręcił głową.

– A potem zobaczyłem ich strzepy na działce Karpowicza. Skończyli gorzej, niż podejrzewałem. Bo w dość odważnych wyobrażeniach widziałem ich z przestrzelonymi łbami, gdzieś w lesie albo na ulicy. Czemu w ogóle o nich pytasz?

– Ciekawi mnie. – Krauze na moment zawiesił głos i spojrzął na tablicę korkową, na której znajdowały się liczne notatki, zadania do wykonania, luźno zapisane numery telefonów, zdjęcia. Obok wisiał kalendarz z firmą reklamującą ogrzewanie gazowe. – Czy się odbudują. Czy będą próbowali znowu opanować miasto. I jaki będzie kierunek ich działania.

– Cholera ich wie. Pojawiają się, ćwiczą, potem wsiadają w swoje fury i odjeżdżają.

– Nic więcej?

– Wczoraj usłyszałem, jak gadali o jakimś spotkaniu z kimś wysoko postawionym z Wrocławia. Tylko tyle.

Krauze wyraźnie się poruszył.

– Następnym razem nastaw lepiej uszu.

– Niby czemu? I co cię łączy z tą sprawą?

– Nie musisz wiedzieć więcej niż to, co wiedzą inni. A poza tym jesteśmy policjantami, powinniśmy się orientować, co się dzieje na mieście.

Dominik parsknął śmiechem, wypluwając kilka kropel białka, ale momentalnie spowaźniał.

– Nie wiem, czy to dobry moment na rozmowę, na szczerą rozmowę, Filip, ale wiesz, że się domyślam niektórych rzeczy. Te nocne telefony, pytania o miastowych, prośby o ich sprawdzenie... Umiem dodać dwa do dwóch.

Filip uznał, że powtórzy to, co powiedział już innym. Musiał być ostrożny.

– Rozmawiałem z Karpowiczem. Tuż przed jego śmiercią. Ostrzegł mnie, że tej nocy może się wydarzyć coś złego. Ale potem powiedział mi coś jeszcze.

– Co?

– Że ta hydra się odrodzi.

– Nie rozumiem.

– Ja też nie rozumiałem, początkowo – zaczął i urwał, żeby się namyślić. – Później, podobnie jak ty, dodałem dwa do dwóch. Jemu chodziło o to, że oni się odbudują. Pewnie z czyjąś pomocą. Dlatego tak ważne, byś nasłuchiwał, co się dzieje. Możesz delikatnie podpytywać, możesz obserwować, czy nie pojawiają się wśród nich nowi ludzie. Pamiętaj o tym, okej?

Gdy po jakimś czasie wrócił z kolejnym kubkiem kawy, Dominik wciąż wpatrywał się w komputer. Był tak zaafekowany, że mógł czytać wiadomości o końcu świata albo informacje o rewolucyjnej odżywiec białkowej. W lewej ręce trzymał ściskacz sprężynowy i uciskał go namiętnie, jakby chciał złamać prawa fizyki.

Krauze odszukał numer do Bogusławy Marczuk. Czekał na połączenie, ale nikt nie odbierał.

– Daj mi to. – Wskazał na ściskacz.

Dominik podał bez słowa, nie odrywając wzroku od ekranu. Krauze zaczął gorączkowo ścisnąć, po niespełna minucie poczuł pieczenie w przedramionach. Nie znosił czekać. Zadzwoił ponownie. Wreszcie usłyszał jej głos.

– Filip Krauze, wydział kryminalny kłodzkiej policji. Chciałbym pani zadać kilka pytań.

– Co tym razem, do jasnej aniłki? – mruknęła, jakby chciała pogonić natrętnego telemarketera.

– Czy pani córka w ostatnim czasie zachowywała się jakoś dziwnie?

– Boże, co to za pytanie?

– Od takich zaczynamy śledztwo – odpowiedział rzeczowo. Miał ochotę dodać, że czasami właśnie te najprostsze pytania są najlepsze i najważniejsze, ale nie chciało mu się prowadzić tej dyskusji. – Proszę odpowiedzieć.

– Od kiedy urodziła, była smutna, bo się nie mogła dodzwonić do tego ciecica, który jej zmajstrował dziecko.

Krauze puścił odpowiedź w niepamięć. Nie to go interesowało.

– Czy jeszcze coś ją mogło niepokoić?

– Bo ja wiem? Co to ja, wróżka?

– Nie, matka. Osoba, która swoje dziecko zna najlepiej.

– Chyba nie. Czasami była smutna, zamyślona, jak każdy. Ostatnio często gapiała się w telefon.

– Co w tym niezwykłego?

– Coś pan słabo łączy fakty. Sam pan powiedział, że matka najlepiej zna swoje dziecko. Właśnie to jest niezwykle, bo Monika nigdy nie siedziała tyle w komórce.

Krauze zasłonił mikrofon i zapytał Dominika:

– Znalazłeś coś jeszcze w tych billingach?

– Nie.

Odsłonił mikrofon.

– Czekala na jakiś ważny telefon? Z kimś pisała, rozmawiała? – podsunął.

– Niestety nie wiem. Nic nie mówiła, ale czułam, że coś ją trapiło. Przygnębiało. I to wcale nie chodziło o Nadię.

– Ktoś do niej przychodził?

– Raz czy dwa zajrzała w ostatnich tygodniach Agnieszka z góry. Na kawkę, na zwykłe plotki.

– Czy pani córka tuż przed wyjściem miała na nadgarstkach jakieś bransoletki? Żyłki, rzemyki?

– Co to za pytanie?

– Takie, które może zadać policjant śledczy. I na które należy odpowiedzieć.

– Nie pamiętam.

– Jak to pani nie pamięta? Nie pamięta pani, jak i w co była ubrana pani córka?

– Coś pan, zwariował? Co wam do łbów przyłazi? Mam pamiętać takie drobnostki jak to, co miała na nadgarstkach? – Kobieta była wyraźnie zirytowana pytaniami.

– Nic innego do łba mi nie przychodzi, tylko to, żeby się zajmować sprawą morderstwa pani córki.

– Kto inny się nią zajmuje. Był taki u mnie, taki duży, umięśniony.

– Zajmuje się nią wiele osób. I proszę, do ciężkiej cholery, odpowiadać na moje pytania.

Nastąpiła chwila milczenia, a potem szereg ciężkich westchnień, które miały oznaczać, że rozmowa jest jej nie na rękę.

– Dobrze. Co ma pan na myśli? – zapytała wreszcie. Nieprzyjemny głos nieznacznie złagodniał.

– Bardzo cienka opaska. Możliwe, że bezbarwna albo o jakimś mało wyrazistym kolorze, bo inny mógłby nieznacznie zabarwić skórę.

– Raczej nic z tych rzeczy. Nie pozwalała sobie na zbędne wydatki. Żadnych makijaży, żadnych ozdób. Cały czas siedziała z Nadią, nie miała czasu na jebanie koziołków. Rozumie pan?

– Bardziej, niż sobie pani wyobraża – przyznał, choć w gruncie rzeczy nie wiedział, czym było jebanie koziołków. Nie sądził, by ktokolwiek to wiedział.

– Coś jeszcze? Bo muszę wracać do młodej.

– Owszem. Mam jedną prośbę – powiedział, siląc się na spokojny ton. – Niech pani swojej wnuczki nie uczy takich słów. Niech jej pani oszczędzi podobnych określeń. Bo chyba nikt by nie chciał, żeby przejęła po pani rynsztkowy słownik. A jeśli wychowa pani takiego bezdusznego człowieka, to nikt nie będzie chciał się z Nadią przyjaźnić. A teraz żegnam. – Rozłączył się i rzucił telefon na biurko. – Kurwa mać, co za dzida.

Rudzki nieznacznie się zaśmiał, nie odrywając się od komputera.

– Ostra, co?

– Ostra, a najgorzej, że bezduszna. A to nie z takimi ludźmi powinny się wychowywać dzieci – mruknął, sięgając po sezamka. Próbował nakreślić w wyobraźni plan działania, rozpisując poszczególne punkty styczne i te, które w żaden sposób do siebie nie pasowały. Trochę mu to zajęło.

– Muszę wyjść, nie wiem, kiedy wrócę – zapowiedział. – Zajmij się billingami Marczuk. Tymi sprzed paru miesięcy. Musimy sięgnąć dużo dalej, niż sądziliśmy.

Rudzki spojrział na zegarek opinający masywny nadgarstek.

– Czaja obiecał, że dziś nam je dostarczy.

Krauze pokiwał głową i ruszył do drzwi, ale w pewnej chwili znieruchomiał i stał tak przez dłuższą chwilę. Dominik, widząc swojego kolegę w dziwnej pozycji – a wyglądał tak, jakby wszystkie jego mięśnie przestały pracować – zapytał zaskoczony:

– Wszystko okej?

Filip bez słowa podszedł do wiszącej przy drzwiach kurtki. Szukał w niej czegoś, przetrząpywał ją, oglądał każdy szew. Podszedł do biurka, wziął nożyczki, a potem rozciął kawałek podszewki w kurtce, wypruł dłuższy kawałek solidnej nici. Owinął ją sobie o łonie jak rasowy dusiciel.

– Wystaw ręce i oprzyj je o biurko.

– Co?

– Zrób, co mówię.

Dominik przysunął się na krzesło, wyprostował ręce i oparł je o blat.

Podkomisarz nachylił się, naprężył odpowiednio nic, a potem oplótł nadgarstki Dominika. Kiedy zobaczył, że zrobiły się nieco czerwone, zawiązał ją.

– Kurwa, poluzuj.

– Chwila – powiedział, patrząc na zegarek. – Wytrzymaj jeszcze trochę – poprosił wpatrzony w pulsującą dłoń kolegi. Napęczniałe żyły wyglądały jak pasma górskie. Wiły się, łączyły. Fascynujący widok.

– Okej, jeśli nie dostanę martwicy, będzie zajebiście.

Krauze zwolnił uścisk.

– Możesz mi łaskawie... – zaczął Dominik, rozmasowując nadgarstki.

Filip wypił kilka łyków kawy i popatrzył na kolegę.

– Początkowo zakładałem, że coś je połączyło. Nie wiem co. I że dlatego na nie polował. Podejrzałem też, co jest raczej drugą teorią, że obie zostały skrepowane cienką linką. Może żyłką. Jedna z nich mocniej, druga luźniej. Potem je udusił. Następnie porzucił ciało na wysypisku śmieci, a drugie wrzucił do rzeki. Widziałem w tym wszystkim pewien wspólny mianownik. I wokół tego budowałem już teorię.

– Może chodzi o coś zupełnie innego – stwierdził Dominik tonem tak chłodnym, że bardziej pasowałoby urzędnikowi odrzucającemu wniosek o przyznanie wizy albo pozwolenie na budowę.

Podkomisarz spojrział na niego krzywo.

– Ale zobacz, ile tu podobieństw – upierał się. – Obie dziewczyny w podobnym wieku spotyka ten sam los. Obie uduszone, niemal w tym samym czasie. Blisko. Może jednak są miejsca, w których bywały, a raczej się miały...

– I sugerujesz, że obie natknęły się na kogoś na swojej drodze? Kogoś, kogo znały?

– To akurat ty zasugerowałeś. Ale... Nie jest to niemożliwe.

– Widzę jedną wadę – zaznaczył Rudzki.

– Jaką?

– Wciąż do niczego nas to nie prowadzi.

– Jeszcze, bo nic nie ustaliliśmy. Jesteśmy na etapie konkretyzowania miejsca, prawdopodobieństwa, możliwości... Nadążasz?

– Staram się.

– Więc trzeba szukać dalej. Może wspólni znajomi. Może się zapisały na jakiś kurs i miały jednego instruktora? Albo... może Marczuk chciała uciec? Rzucić dotychczasowe życie... Mogła mieć dość płaczu dziecka, przewijania, karmienia. Apodyktyczna matka, chłopak, który zamiast ją wspierać, zwiął do pracy w Niemczech. Mogło ją trapić coś z pogranicza obłądki i desperacji, mówiąc w dużym uproszczeniu. Może więc chciała uciec, zrobić coś innego.

– Brzmi to pięknie, ale na razie zgadujesz. I w tym problem.

– Co masz na myśli?

– To, że jej nie znaliśmy. Ani ty, ani ja. Ani tej drugiej. Ktoś je zabił. Nie wiemy dlaczego, ale pewnie z pobudek seksualnych. Prawdopodobieństwo, że się znały, wynosi, z naszego punktu widzenia, pięćdziesiąt procent. Tak albo nie. Nawet tam nie byłeś, nawet nie rozmawiałeś z matką. Nic, dosłownie nic o niej nie wiesz. Właściwie my obaj. Nie wyciągamy przedwczesnych wniosków, nie nakręcamy się. Nie działamy według z góry założonej teorii. Sam kiedyś mówiłeś, że można przez to stracić czas. Poczekajmy na to, co ustali Rabicki. Ma się zająć szkołami, do których chodziła Marczuk. Może ta druga była z nią w klasie, może w klasie równoległej, może starszej. Wtedy będziemy mogli powiedzieć więcej.

Krauze już chciał coś odpowiedzieć, może nawet przyznać mu rację, co rzadko robił, ale zadzwonił telefon na biurku. Dzwonili z dyżurki.

– Filip, mam na linii kobietę, która mówi, że chciałaby z tobą porozmawiać.

– Łącz – rzucił mechanicznie, myśląc o tym, co powiedział Dominik. W krótkich słowach zmiażdżył całą teorię. Ale Rudzki miał rację. Nie mieli na razie nic poza garstką niepowiązanych faktów. Każdy trop można tu było podważyć, dokładnie tak, jak można podważyć każdą teorię opartą na zbyt śmiałej wyobraźni.

Parę sekund później usłyszał głos, który dobrze znał, a jednak przez chwilę nie był w stanie przypisać go do konkretnej osoby czy nazwiska.

– Podkomisarz Filip Krauze?

– We własnej osobie.

– Paulina Walas. Kilka dni temu był pan u mnie ze swoim kolegą. Zgłosiłam wtedy zginiecie...

– Partnerki – dopowiedział za nią. – Pamiętam.

– Chciałam...

– Badamy sprawę, ale mamy sporo na głowie.

– Dzwonię do pana w innej sprawie – powiedziała rzeczowo, choć w jej głosie dało się wyczuć nutę niepewności, może strachu, czegoś, co już wtedy słyszał.

– To znaczy?

– Chciałabym się z panem spotkać. To ważne.

Krauze popatrzył na zegarek. Miał parę służbowych spraw do załatwienia, ale pomyślał, że wyjazd z tej psiej nory dobrze mu zrobi.

– W porządku – odpowiedział, zabierając ze sobą kurtkę. – Będę za pół godziny.

Patrzył na jezdnię, ale właściwie jej nie widział, nie dostrzegał szczegółów. Przed oczami przesuwał się błyskawicznie czarny pas smolistego asfaltu. Przez otwarte okno czuł zapach wilgotnego powietrza i gnijących liści. Na zewnątrz było zimno.

Umykały mu detale. Znaki drogowe przestawały istnieć, stawały się niewielkimi drobkami wbitymi obok smolistej mazi, po której sunęło jego auto.

Myślał. Analizował. Nie potrafił tego opanować. Więcej myślał o trupach, których nie znał, niż o swoim synu, który spędzał teraz czas w szkole z kolegami. Marcel gdzieś tam był, w mieście, między setkami budynków, z obcymi ludźmi. Kochał go. Uwielbiał. Dbał o niego. Codziennie z nim rozmawiał. Ale to morderstwa pochłaniały całą uwagę Krauzego. Myśli o nich były niczym czarna ciecz, która wypełniała każdą szczelinę jego umysłu. Zalewała go.

Południe, chwilę po. Monika Marczuk poszła coś załatwić. Co? Wracając, miała zrobić zakupy. W pewnym momencie się zatrzymała. Przechodnie nie zwracali na nią uwagi. Patrzyła przed siebie. Co widziała? Kogo albo czego mogła szukać? Czegoś dla siebie czy dla dziecka? Tanich produktów, ubranek, może nowego wózka.

I wtedy coś się wydarzyło.

Co?

Nie odebrała telefonu, bo nie było tego w billingach.

Ktoś ją czymś zwabił. Albo zwabiło ją coś innego.

Może zobaczyła kogoś znajomego. Jeśli tak, to może uznała, że z nim porozmawia.

Spojrzała na zegarek. Pomyślała, że ma chwilę. Może gdzieś usiedli. Miejsce musiałyby się znajdować w pobliżu jej domu, inaczej by nie poszła. Gdyby planowała dłuższą nieobecność, zadzwoniłaby do matki.

A więc ten punkt był punktem zwrotnym, uznała, dojeżdżając do Głuszczyca. Z każdą sekundą udoskonalała swój scenariusz. Teraz wydawał się prawdopodobny. Pozbawiony wad, które wcześniej wytknęła mu Dominik.

Trzeba się zająć obserwacją miejsca, w którym zniknęła Monika Marczuk. Zachodnia część miasta z charakterystyczną zabudową. Kamienice i wpisane pomiędzy nie nowsze, mniej udane budynki, z elewacjami pozbawionymi spójnej linii kolorystycznej – tak jakby ludziom było zupełnie obojętnie, gdzie i w czym mieszkają, a tymi chaotycznymi kolorami chcieli się odróżnić od sąsiadów, zaznaczyć granicę.

Zatrzymał samochód przed ogromną willą. W przeciwieństwie do swojej żony nie miał pojęcia o cenach nieruchomości, ale ten dom musiał kosztować fortunę.

Sięgnął po telefon i wybrał numer Dominika.

– Wiele wskazuje na to, że nasz zabójca nawiązał kontakt z Marczuk w miejscu, w którym nagranie się urywa.

– Która to już teoria?

– Setna.

– Okej. Skąd to wiesz?

– Bo dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że ta ulica prowadzi do jej bloku. Tyle że ona szła w przeciwnym kierunku. Miała się z kimś spotkać.

– To jeszcze o niczym nie świadczy.

– Bądź tak, kurwa, łaskaw i przestań co chwilę podważać moje słowa. Nie sądzę, że nie masz racji, ale mówię, co możemy wziąć pod uwagę.

– Nie spinaj pośladów, Filip, ostatnio jesteś przewrażliwiony. Po prostu wiem, co powie naczelnik. Że nie ma ludzi, że nie ma czasu. I że w ogóle jesteśmy bandą pieprzonych patałachów, którzy nie potrafią rozwiązać prostej sprawy.

– Chuj mnie akurat teraz obchodzi, co powie naczelnik. Trzeba działać. Zlecić obserwację.

– Kawalka miasta? Mamy tam stać? Obserwować przechodniów? Poza tym dzisiaj posłaliśmy tam ludzi, którzy mieli pokazywać sklepikarzom zdjęcia Marczuk. Może ktoś ją widział. Niedługo powinienem mieć jakieś informacje. Zaraz zresztą pogonię chłopaków.

Dopiero gdy usłyszał swój pomysł wypowiedziany niskim głosem Dominika, zrozumiał, że to ociera się o szaleństwo, fakt. Jednak chwilowo nie miał innych pomysłów. Wciąż nie znali tożsamości jednej z ofiar. Druga tylko na chwilę wyszła z domu. A mimo to Krauze nie mógł się pozbyć myśli, że to właśnie tam się coś stało, na ulicy. Tylko co? Dlaczego nie było świadków ataku? Czemu nikt nie zgłosił niczego niepokojącego? To się nie trzymało kupy.

– Okej, dawaj znać. W razie czego wyślij ich jeszcze do pobliskich barów, knajpek i restauracji. Mamy mało ludzi, wiem, ale wróciłem do roboty, więc działamy. Sprawdzamy, czy jest monitoring. Potem trzeba rozszerzyć poszukiwania.

– Zajmę się tym.

Wyłączył się. Podeszedł do wysokiego ogrodzenia i zadzwonił. Masywna furka przesunęła się, wpuszczając go do środka.

Dominik wychodził z biura po wodę, kiedy zadzwonił telefon. Tomek Rabicki telefonował z informacją, że właśnie wysłał mu mailem notatkę z rozmowy z kobietą, która rzekomo widziała Monikę Marczuk.

Rudzki cofnął się i otworzył dokument tekstowy. Było tego niewiele. Z informacji wynikało, że Monika Marczuk szła ulicą sama. Kobieta minęła ją i tyle. Nic więcej nie widziała, uznała jednak, że zgłosi to na policję, choć zdawała sobie sprawę, że niewiele to wniesie.

Żadnych istotnych informacji. Odszukał dane świadka, wykręcił numer i czekał na zgłoszenie. Po chwili usłyszał głos starszej kobiety.

– Tak, słucham?

– Dzień dobry, aspirant Dominik Rudzki, dzwonię z komendy powiatowej policji. Zgłosiła pani, że widziała kobietę, którą próbuje zidentyfikować policja.

– Tak, tak. Czy coś się stało?

– Chciałbym uściślić parę faktów.

– Proszę – odpowiedziała. Miała przyjemny głos. Pomyślał, że mogłaby zawodowo nagrywać bajki dla dzieci.

– Czy może pani mi dokładnie opowiedzieć, co widziała tamtego dnia?

– Niewiele pomogę. Otóż szłam z zakupami do domu i nawet nie zwróciłam szczególnej uwagi na mijającą mnie dziewczynę. Szła powoli, wyglądała na zatroskaną, może trochę zdenerwowaną.

– Szła z kimś?

– Nie, była sama. Zwróciłam uwagę, bo na ulicy Wojska Polskiego było wtedy mało ludzi.

– Coś szczególnego rzuciło się pani w oczy?

– Nie wiem, czy nie przesadzam, ale wyglądała mi na smutną. Mówiłam to już tamtemu policjantowi. Proszę mi jednak wybaczyć to uproszczenie. Zdaje pan sobie sprawę, ile trwa minięcie osoby na ulicy. Dwie, trzy sekundy. Jeśli nawet człowiek zechce się komuś przyjrzeć, to nie zapamięta wielu szczegółów, tylko jakieś ogólne wrażenia i odczucia. Zaklasyfikuje człowieka jako ładnego, smutnego, z blond włosami. A potem obraz zanika, pamięć się rozprasza.

„Ma rację, pamięć się rozprasza”, potwierdził w myślach. Człowiek nie zapamiętuje szarości i ludzi niewyróżniających się na ulicy. Mija anonimowe sylwetki, obojętnie na znane widoki.

– Po prostu ją pani minęła?

– Tak, niedaleko ronda, zaraz na początku Wojska Polskiego.

Aspirant uruchomił mapę w komputerze. Bohaterów Getta, dość długa ulica, przechodziła w linii prostej w Wojska Polskiego. Tyle uliczek, podwórek, w których mogła zniknąć Marczuk. Dziesiątki możliwości, zbyt dużo, by wszystko sprawdzić.

– Minęła ją pani, a potem co się stało?

– Nic, przeszłam dalej. Obróciłam się po kilkunastu sekundach, bo przechodziłam przez pasy. Ale jej już nie było. Musiała skręcić. Albo do kogoś zaszła. Ale to musiało być dosłownie tuż przy samym skrzyżowaniu.

– Czy jeszcze coś zwróciło pani uwagę?

– Przekazałam tamtemu policjantowi, że nic więcej. Przykro mi, że nie umiem pomóc.

– Czy kobieta miała coś przy sobie?

– To znaczy? Pyta pan o jakieś torby, zakupy?

– Powiedzmy.

– Nie, ale zapamiętałam, że rozmawiała z kimś przez telefon. Wyglądała na dość przejętą.

– Nie wiem już, co tu się dzieje. Niech mi pan pomoże. Ja się po prostu boję. Boję się o życie swoje i córki – powiedziała drżącym głosem.

Krauze przyglądał się zjawiskowo pięknej kobiecie, która co chwilę nerwowo przeczesywała opadającą na czoło grzywkę. Nie wiedziała, czym zając ręce, więc robiła, co mogła, by nad nimi zapanować. Obejrzała się za siebie, jakby chciała się upewnić, że nikt nie podsłuchuje.

– Proszę opowiedzieć od początku – zachęcił ją do mówienia.

– Przez dwa dni był spokój. Nic się nie działo.

– Nic się nie działo – powtórzył, bo chciał, żeby dokończyła.

– Aż do dzisiejszej nocy. Zbudził mnie koszmar. Słyszałam głosy dziewczynki, nie wiem, może córki. I jakiegoś mężczyzny. Obudziłam się z walącym sercem. Pobiełam do jej pokoju. Omal nie dostałam zawału serca. Nie było jej. Pobiełam do kuchni, do łazienki, toalety, obszukałam każdy pokój.

– Zdarzało się to już kiedyś?

– Raz, może dwa. Jak każdemu dziecku, które budzą koszmary po strasznych bajkach albo mocnych przeżyciach. Wystarczy, że zobaczy w telewizji albo internecie coś dziwnego. Ale wczoraj wieczorem niczego takiego nie oglądała. W ogóle od jakiegoś czasu zabraniam jej oglądać.

– Rozumiem, i co było później? – zapytał i zdjął czapkę z daszkiem. Przeczesał włosy. Czasami wiązał je w niewielki kucyk, częściej jednak chował pod czapkę, z którą właściwie się nie rozstawał. Ola wielokrotnie zwracała mu uwagę, żeby chociaż przy jedzeniu ją zdejmował.

– Wołałam ją, chodząc od pokoju do pokoju. I nic. Zastanawiałam się, co się mogło wydarzyć. W pewnej chwili usłyszałam delikatny szum. A może świst. Uznałam, że gdzieś jest otwarte okno. Drzwi tarasowe były uchylone. Znalazłam ją na podwórzu. Trzęsa się z zimna. Nie mogłam w to uwierzyć. Helenka zna zasady. Nie wolno jej niczego otwierać ani wychodzić z domu, zwłaszcza wieczorem.

– Czemu to zrobiła?

– Co?

– Dlaczego złamała zasady?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Chciałabym to wiedzieć. Pytałam kilka razy, ale nie powiedziała.

– Coś ją musiało do tego zmusić.

„Albo ktoś”, pomyślał, ale zachował to dla siebie.

– Poczynam się myśleć, że to był tylko koszmar.

– Może faktycznie czegoś się naoglądała, a potem jej się przyśniło. Może pomyliła miejsca albo myślała, że jest gdzie indziej – podsunął, choć jego myśli zawędrowały w zupełnie inne miejsce. Do świata, który z racji blisko dwudziestoletniego doświadczenia pracy w policji znał z nieco innej strony. Świata porzuconych, rozkładających się zwłok, wisielców, topielców, rozerwanych na strzępy ciał, pobitych dzieci, rozbitych głów, urwanych kończyn, rozprutych torsów; świata gorzkich rozczarowań i smutnych twarzy. Ciągłych pytań. Ciągłych pretensji.

Rozejrzał się. Czuł na sobie zawiedziony wzrok Pauliny Walas. Pomyślał o jej córce i o tym, co zaszło przed dwoma dniami. Bo te wydarzenia miały ze sobą związek, już to rozumiał, choć nie mógł jej tego powiedzieć. Nie bez dowodów.

– Jak mogę pani pomóc? – zapytał najspokojniej, jak tylko potrafił.

– Proszę się zając tą sprawą.

– Chciałbym, tyle tylko, że to nie jest takie proste – oznajmił. Przypomniał sobie poprzednią wizytę w Głuszczycach. Tajemnicze zniknięcie jej kochanki, o której nikt nic nie wiedział, po której nie został żaden namacalny ślad. A teraz to. Otwarte drzwi. Córka, która wyszła z domu, bo przyśnił się jej koszmar. – Na razie nie mamy podstaw do tego, by sądzić, że popełniono przestępstwo. A tylko to uprawnia nas do działania – wyjaśnił.

– Nie mam się do kogo zwrócić – rzuciła głucho.

– A pani mąż?

Kobieta zadrzała. Miał wrażenie, że mocniej zacisnęła dłoń na oparciu kanapy, choć pozornie siedziała wygodnie, zatopiona w ogromnej sofie, której na pewno nie kupiła w zwykłym sklepie meblarskim.



– On nie powinien o niczym się dowiedzieć. O niczym. Gdyby coś się stało Helence, gdyby się dowiedział o tamtej nocy, o mojej kochance... – nie dokończyła, przymknęła na chwilę powieki. Być może wyobraziła sobie ten moment.

Krauze chrząknął.

– Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć? Pytam jako policjant, jako osoba, która może pani pomóc. – Chciał, by mówiła, by nie musiał jej ciągnąć za język, by kończyła zdania. Ale urywała je, jakby niektóre słowa bała się wypowiedzieć na głos. Czuł, że w tym domu, luksusowym, w którym niczego nie brakowało, może poza normalnością, działo się coś niewymownie dziwnego. Pomyślał o razach, które być może padały na jej piękne ciało. Ale nie wyglądała na ofiarę przemocy fizycznej. A mimo to czegoś się bała.

I strach, miał wrażenie, wypływał z wnętrza tego domu.

Patrzył na cenne obrazy, wielki telewizor, wyszukany sprzęt audio ze wzmacniaczami lampowymi, skórzane kanapy ogromne niczym łodzie, wyjątkowo piękną drewnianą podłogę. Ludzie, u których bywał, nie mieli takich rzeczy. W tym luksusowym minimalizmie kryło się niewypowiedziane nieszczęście. Brak miłości. To na pewno.

Ale coś jeszcze.

– Nie – powiedziała niemal szeptem.

– Więc o co tu chodzi? Czemu mam wrażenie, że się go pani boi?

– Po prostu nie zniósłby myśli, że coś się mogło stać Helence. Jest kochającym i troskliwym ojcem. Najlepszym, jakiego mogła sobie wymarzyć.

– Czyli ma dobre relacje z córką?

– Tak, bardzo. Kocha ją nad życie. Gdyby stała się jej krzywda, gdyby cokolwiek się jej stało, nie zniósłby tego. Dzwoni codziennie, pyta o wszystko. Pyta, co jej przywieźć, co jej kupić. Kiedy wraca z podróży, spędza z nią każdą chwilę.

– Ale rozumiem, że tu nie mieszka? – zaryzykował twierdzenie.

– Mieszka – odpowiedziała po chwili namysłu – ale bardzo dużo podróżuje w związku z pracą. Praca jest jego nałogiem. Rzadko tu bywa.

Krauze podszedł do drzwi tarasowych. Za grubym szkłem rozciągał się widok na równo przystrzyżony trawnik, wielkie podwórze, na którym znajdowało się wiele stylowych zabawek ogrodowych, huśtawka, przykryta folią piaskownica, zasłonięty basen. Prosty świat, a zarazem piękne miejsce, w którym dziecko czuło się dobrze. I bezpiecznie.

W oddali, za krzewami ujrzał coś jeszcze.

– To stawy? – zapytał, nie odrywając oczu od pięknego ogrodu, którego utrzymanie musiało pochłaniać krocie.

– Tak. To jeden z pomysłów Jerzego, dlatego kilka lat temu kupił działkę w ich pobliżu. Marzył, żeby mieć własne stawy, wspominał, że chciał mieć hodowlę ryb, zlecił wykopanie kolejnych stawów, a potem porzucił ten pomysł. To właśnie tam, za krzakami. – Podeszła i pokazała ręką. – Tam znalazłam skuloną Helenkę. Siedziała, dygocząc. Chyba nawet nie wiedziała, co się dzieje.

– Szczerze mówiąc, czuję się podobnie. Próbuję zrozumieć, co tu się dzieje, ale nie potrafię – westchnął.

Wyszedł przez drzwi tarasowe i ruszył w kierunku miejsca, które wskazała. Obszedł całe podwórze, szukając czegoś, co mogłoby się wydać podejrzane. Policjanci nie zawsze wiedzieli, co to mogło być. Najczęściej był to niepasujący do reszty element. Drobnostka.

Tutaj niczego takiego nie znalazł.

Odwrócił się i przyjrzał nowoczesnemu domowi, który z powodzeniem można by umieścić w katalogu najlepszych biur architektonicznych w Polsce. Czasami przeglądał ogłoszenia z domami i mieszkaniami, bo to był świat jego żony, ale takiej willi jeszcze nie widział.

Gdy dotarł do końca podwórza, przeskoczył przez płot, a potem poszedł w kierunku stawów. Było ich kilka. Duże, spokojne, milczące. Pomyślał, że może tutaj znajdzie jakąś odpowiedź, ślad. Patrzył, nasłuchiwał. Tafla wody marszczyła się na delikatnym wietrze.

Rozejrzał się, przygryzając wargę. Nie do końca rozumiał, co go tu ściągnęło, ani tym bardziej, dlaczego tu w ogóle przyjechał.

Może kierowała nim chęć upewnienia się, że nie śni, że nie gra żadnej roli w jednym z wielu pozornie irracjonalnych filmów Davida Lyncha. A może miał nadzieję, że podczas kolejnej wizyty zrozumie tę sprawę. Ale teraz, kiedy stał na wietrze, kiedy jego ciało dygotało z zimna, nic się nie zmieniło. Nie rozumiał.

Wyjął telefon i wykonał kilka zdjęć. Sam nie wiedział po co.

Zaczął mieć dosyć. Był nerwowym człowiekiem i buzowały w nim emocje. Kilkanaście kilometrów stąd znajdował się jego ukochany syn, który siedział teraz w szkole. Chciałby go wreszcie odebrać, pogadać, zapytać, jak się ma, czy wszystko w porządku, a potem mu trochę podokuczać. Zobaczyć Olę, której zgotował ostatnio ostrą jazdę, a której należały się przeprosiny, wyjaśnienia, tłumaczenia. Do tego martwił się o Igora. A czekała go jeszcze masa spraw w komendzie.

Wrócił do środka.

– Mogę porozmawiać z Helenką?

– Jest w swoim pokoju. Ale proszę... być ostrożnym.

– Twoja mama jest bardzo zmartwiona tym, że sama wyszłaś w nocy z domu, dlatego poprosiła mnie o pomoc.

Chciałbym cię o coś zapytać, dobrze?

Dziewczynka, podobna do mamy, z równie ładną i delikatną buzią, potaknęła.

– Pamiętasz, czemu wyszłaś z domu?

– Pan naprawdę jest policjantem?

– Tak.

– Nie wiedziałam, że policjanci noszą takie czapki. W filmach policjanci wyglądają inaczej.

– W filmach pokazują różne rzeczy. A w rzeczywistości niektórzy policjanci noszą takie, żeby nie rozpoznali nas prawdziwi złodzieje. I inni źli ludzie. Dzięki temu łatwiej nam się ukryć, obserwować, śledzić, a potem ich aresztować.

Dziewczynka uśmiechnęła się, potaknęła, a potem zaczęła coś niezrozumiale do siebie mówić.

– Powiesz mi, czemu wyszłaś z domu?

– Bo musiałam.

– Musiałaś? – zapytał, specyficznie modulując głos. Robił tak przed laty, kiedy próbował się dogadać z kilkuletnim Marcelem. Nie zawsze działało, ale nigdy nie szkodziło. – A czemu?

– Musiałam zobaczyć, co jest za oknem.

Krauze potrząsnął głową, by pokazać, że nie rozumie, co ma na myśli, ale dziewczynka nie odczytała tego gestu. Była za mała. Czekał. Po dłuższej chwili zapytał:

– I co tam zobaczyłaś?

Nie odpowiedziała, przyjrzała mu się uważniej, a potem przeniosła wzrok na swoją zabawkę, niewielką wersję lalki Barbie. Krauze w tej samej chwili przypomniał sobie scenę ze szpitala i cienki głosik chłopca, z którym rozmawiał. Uznał, że teraz nie może być policjantem, nie może zadawać standardowych pytań. Rozmawiał z dzieckiem. A to wymagało odpowiedniego podejścia.

– Widziałas za oknem kota albo psa, prawda?

– To nie był kot – odpowiedziała najzwyczajniej w świecie. – Ani pies.

– Więc co?

Dziewczynka nie patrzyła na niego.

Kipiał w środku, ale nie mógł tego pokazać, dlatego klęczał na dywanie w brudnych butach i szukał sensu swojej obecności w tym miejscu. Czuł się irracjonalnie, jak jeszcze nigdy w życiu.

– Helenko?

– Coś było za oknem...

– Człowiek? Zwierzę? – zapytał znów najspokojniej, jak potrafił.

– Nie zwierzę, człowiek. To był pan.

– Jakiś pan? Jesteś pewna?

Odpowiedziała kiwnięciem. Odczekał chwilę, ale rozumiał, że nic więcej nie powie. Nie kłamała. Odpowiadała spontanicznie. Nie miała powodu zmyślać.

– Jak wyglądał ten pan?

– Dokładnie tak samo jak wtedy.

– Czyli... – powiedział, stosując tę samą technikę rozmowy co z jej mamą. Nie kończył. Próbował zrozumieć to, co słyszał. Wciąż czuł się jak w filmie Lyncha.

– I zobaczyłaś go tam, w tym oknie, tak? – Podniósł głowę, kierując wzrok na okno.

– Tak, w tym, na które pan patrzy.

– Coś mówił? Coś robił?

– Stał.

– I tyle?

– Na początku patrzył na mnie. A potem zaczął mówić. Wtedy jeszcze spałam. Słyszałam jego głos we śnie.

Filipowi zjeżyły się włosy na karku. Zaciśnięła odruchowo pięści.

– Znasz go? Widziałaś już kiedyś?

Dziewczynka nie odpowiedziała. Znów czekał, ale bez efektu.

– I co zrobiłaś?

– Otworzyłam oczy. Nie mogłam dłużej udawać. Wstałam. Podeszłam do okna. Chciałam zasłonić okno, ale powiedział, żebym tego nie robiła.

Krauze potaknął, wczuwając się w rozmowę. Próbował sobie wyobrazić tę chwilę.

– Powiedział coś jeszcze?

– Tak – odpowiedziała, patrząc na lalki. – Powiedział, żebym się o nic nie martwiła. Powiedział, że się mną zaopiekuje. I że już zawsze będziemy razem.

– Naprawdę nie wiem, co mam o tym sądzić – podsumował, przeczesując włosy.

– Chce mi pan powiedzieć, że moja córka zmyśla? Widzi pan, gdzie mieszkamy?

Krauze nie poruszył się, ale momentalnie uruchomił w głowie mapę tego miejsca, pięknej miejscowości zatopionej między wzniesieniami, lasami, łąkami, stawami oraz nowymi domami.

– Widzę, ale nie wiem, do czego pani zmierza.

– Do tego, że mieszkamy na pustkowiu. Tutaj nikt się nie kręci, nikt nie zagląda. A mimo to coś się stało. Moja córka widziała kogoś za oknem.

Chwilę się namyślał. Nie miał powodu, by jej nie wierzyć, była przekonująca. Podobnie jak jej córka. Ktoś podszedł pod jej okno, spojrzała na nią, powiedział, żeby się niczym nie martwiła. Tylko tyle i aż tyle. O co tu chodziło?

– Po co ja tu właściwie jestem? – zapytał wreszcie.

– Bo chcę, żeby mi pan pomógł. Bo to, że mieszkamy na końcu świata, to nie jest argument świadczący o tym, że nikt tu się nie mógł kręcić. Czuję, że coś nam grozi.

– Może – powiedział po chwili – ale kto i po co miałby to robić?

– Ktoś może chcieć naszego nieszczęścia, naszej krzywdy... Sama już nie wiem. Co mam robić?

– Proszę się zabezpieczyć. Z takimi drzwiami, oknami, murami – powiedział, pokazując ręką dookoła – to raczej nie problem.

Nie sądził, by do tego domu dało się wejść. To była solidna nowoczesna forteca. Fakt, nie było tu żadnych kamer czy czujników ruchu, ale grube okna i ciężkie drzwi mogły zapewnić domownikom bezpieczeństwo, pod warunkiem że nikt ich nie otworzy od środka...

– Chce mi pan powiedzieć, że mam zamykać dom na cztery spusty, zabarykadować się i nie wychylać nosa poza te mury? Przecież nie możemy tak żyć.

Krauze nie odpowiedział. Patrzył na nią, a właściwie to próbował oderwać od niej wzrok. Była zbyt idealna, miała w sobie coś, czego nie potrafił nazwać. Jakiś rodzaj tajemniczości, który go równie mocno elektryzował, fascynował i przerażał. Miał świadomość, że utrudnia mu to prowadzenie tej sprawy. Z jednej strony czuł się tak, jakby na moment przestawał żyć swoim życiem, jakby przyjeżdżał po kryjomu do pięknej kobiety. Z drugiej – wiedział, że zbyt łatwo się w takiej kobiecie zadurzyć.

Może nie powinien tu więcej przyjeżdżać. Może powinien się od tego odciąć, by nie prowokować niezręczności, by nie doszło do czegoś, czego mógłby żałować do końca życia.

– „Nie musisz się niczym martwić” – zacytował słowa jej córki. – Co to mogło oznaczać? Kto to mógł powiedzieć?

Paulina Walas nieznacznie wzduszyła ramionami. Przygryzła paznokieć, a potem spojrzała na podłogę, jakby to w niej chciała znaleźć odpowiedź. Wreszcie po chwili odpowiedziała na spojrzenie policjanta.

– Wciąż mam nadzieję, że coś się jej przyśniło, bo od jakiegoś czasu miewa dziwne sny. Często w nich kogoś widzi. A to jakąś postać z bajki, a to potwora. Zwykle wtedy przybiega do mnie i zasypia obok. I tak śpimy aż do rana.

– Może... – zaczął, ale nie dokończył. Gubił się w tym. Pokręcona sprawa, podobnie jak miejsce. I ludzie: bogaci, odizolowani od świata, zamknięci w swoim mikroświecie. Matka przeczulona na punkcie córki. A mała, jak każde dziecko, nie ma powodów, by cokolwiek zmyślać. Obie otulone pustką, która wyziewa z każdego zakamarka tego domu.

Potrząsnął głową, by odzyskać trzeźwe myślenie.

– A jednak zadzwoniła pani do mnie. Do nikogo innego, tylko właśnie do mnie.

– Nie mam komu o tym powiedzieć. Może mógłby pan sprawdzić, czy rzeczywiście ktoś chodził pod oknami naszego domu.

– Sama pani przed momentem powiedziała, że słowa córki to wymysł. Nie mogę na tej podstawie ściągać tu techników. Musi się pani określić. Jeśli istnieje ryzyko wtargnięcia intruza na podwórze, to reagujemy. Ale... pani sama to neguje.

Kobieta prychnęła, możliwe, że tego nie kontrolowała.

– Nie widzi pan, że odchodzę od zmysłów?! Gubię się. Chciałabym zrozumieć, co tu się dzieje, ale nie rozumiem. Może nie mam racji, a może jednak ktoś tu chodził. Może to wypieram, żeby się nie bać, nie postradać zmysłów. Ale biorąc pod uwagę, co spotkało moją... przyjaciółkę, to zniknięcie, mam obawy, że jednak coś nam może grozić.

Krauze wreszcie potaknął. Był człowiekiem, który zdecydowanie wolał ruch i działanie niż rozmowy. Stanął przed oknem tarasowym. Przypomniawszy sobie dzień, w którym byli tutaj z Igorem. Wtedy widział dokładnie to samo. Te same obrazy, obiekty. I ściągnęło go niemal to samo.

Ktoś mógł być pod ich domem.

Ktoś im mógł grozić.

Jeśli w pobliżu krążył intruz, musiał pozostawić ślady. A to dawało pewne pole do działań. Nie ma osób, których nie widać, nie da się być niewidzialnym.

Zostawił ją bez słowa i wyszedł przed dom. Obszedł go dwukrotnie, zajrzał w każdy kąt, przejrzał wszystkie miejsca, w których można coś schować. Podeszedł do okna, ale tak, by nie zadeptać ewentualnych śladów. Nie miał wiedzy technicznej, jaką mieli specjaliści, ale od razu dostrzegł wgłębienia. Rzeczywiście, ktoś tu mógł stać. Wykonał parę zdjęć w wysokiej jakości, a potem zadzwonił po technika. Tokarz obiecał, że zjawi się na miejscu w ciągu kilku godzin.

Ślady butów, możliwe, że robocze. Masywne, spore. Coś mu to zaczynało przypominać. Na razie nie chciał wyciągać zbyt daleko idących wniosków, ale odtworzył w pamięci moment, kiedy rozmawiał na komendzie z technikami przy okazji sprawy dziewczyny z wysypiska śmieci.

Czyżby to była ta sama osoba?

Nie mógł w to uwierzyć, bo przecież nie wierzył w przypadki.

A mimo to ciąg ostatnich wydarzeń podpowiadał mu, że tak mogło być.

Obejrzał okno, ale nie nosiło żadnych śladów włamania ani próby sforsowania. Po raz trzeci obszedł dom Pauliny Walas, dotarł na miejsce, z którego ruszył. Już miał wejść do środka, ale zadzwonił telefon. Zobaczył na wyświetlaczu imię „Dominik”.

– Co jest, byku?

– Coś mamy.

– Co?

– Przed chwilą dostałem cynk od koleżanki tej Moniki Marczuk. Jedziesz ze mną czy sam mam to załatwić?

Krauze się rozejrzał. Wsłuchiwał się w to miejsce.

Pustka.

Cisza.

Delikatny powiew wiatru.

Spojrzał w dal, na ogromne pasmo wzniesień porośniętych gęstym lasem; miał wrażenie, że słyszy szelest drzew. Ale to mogło być wszystko – szum w telefonie, uszach. A może szum od nadmiaru myśli.

Przeniósł wzrok na pająka i zastanowił się, czemu oni, śledczy z wielu różnych wydziałów, nie mieli takich narzędzi, czemu nie mieli nici, którymi mogliby chwytać tych, których szukali.

Splunął w dal.

– Będę w mieście za dwadzieścia pięć minut.

Delikatna mgła wnikała w każdą szczelinę miasta, przykrywała jezdnie i wszystkie niezabudowane przestrzenie, a jej biel mocno kontrastowała z pomarańczowymi i zielonymi elewacjami budynków.

Rudzki wspinał się szybciej i znacznie sprawniej mimo swojej muskulatury. Szedł niczym odpowiednio zaprogramowana maszyna, równo, synchronicznie, niemal doskonale.

Zastukał w drzwi, na których znajdowała się zawieszka z numerem oraz napisem nabazgranym kredą: K+M+B. Rok był zamazany, może celowo.

W progu stanęła kobieta w średnim wieku, ubrana w jaskrawe ubrania, dość skąpe, jakby dopiero wróciła z plaży. Niemal takie samo miała spojrzenie, jaskrawe i odważne, takie, które nie boi się pytań i konfrontacji. Ale Krauzego bardziej zainteresował jej głos: szybkość wypowiadanych zdań, ton, siła. Z mieszkania uderzyło ich ciepło..

– Z policji, tak?

– Jak widać.

– No, średnio, że tak powiem – odpowiedziała z powątpiewaniem. Głos miała zwykły, ale był w nim pewien zادیor. – Zadzwoiłam, bo dopiero dzisiaj coś mi się przypomniało.

– Co takiego? – zapytał Krauze zza pleców kolegi. Stanął obok niego.

– Coś, co może być ważne. A może nie. Tego nie wiem. Wy, to znaczy panowie, ocenicie.

– O co chodzi? – ponaglił, karcąc ją nieprzyjemnym spojrzeniem.

– O to, że niedawno Monika wspominała o jakimś chłopcu. Wydawało mi się to dziwne, zwłaszcza że dopiero co urodziła dzieciaka.

– O jakim chłopcu?

Postawna kobieta wzruszyła ramionami, zapewne był to odruch. Wyuczony, często stosowany. Alternatywa dla słów, których się nie zna.

– Nie powiedziała, jak się nazywa ani skąd go zna. No ale wydało mi się to dość dziwne. Wtedy może nie, ale teraz, po tym wszystkim, kto wie?

– Co się pani w tym wydało dziwne? – ponaglił ją Krauze. Nawet nie poczuł, że zrobił się czerwony, nie mógł też wiedzieć, że na jego czole pojawiły się żyły, drobne, a jednak widoczne.

– To wszystko.

– Niech pani nie mówi do nas zagadkami. Mamy ich pod dostatkiem.

– Jakieś dwa czy trzy tygodnie temu odebrała przy mnie telefon. Nie wiem, z kim rozmawiała, ale pytała o chłopca.

– Jakich słów użyła?

– „Co z nim?“, „Jak się czuje?“, „Co dalej?“. I coś w stylu „Musimy coś z tym zrobić“.

– Z kim mogła rozmawiać?

– Z jakąś dziewczyną. Ale nie wiem, z kim. Mówiły do siebie dość nerwowo, już wtedy brzmiało to dziwnie, a teraz, po tym jak zginęła, tym bardziej.

Krauze się zamyslił. Dwa, trzy tygodnie temu. To niedawno. Mogło to mieć znaczenie. Rozejrzał się po klatce schodowej pomalowanej od podłogi po sam sufit kremową farbą olejną, z której, jak pomyślał, łatwo można było zetrzeć brud, krew, wymiociny oraz wspomnienia parszywych dni.

Wyjął z kieszeni tabletkę na naciśnięcie. Rozgryzł ją w ustach, nie popijał, bo nie miał czym. Poczł odrzucającą gorycz leku, ale nawet się nie skrzywił. Dwoma zdecydowanymi cmoknięciami pozbył się resztek spomiędzy zębów, po czym rzekł:

– Niech mnie pani poprawi, jeśli coś pokręcę. Jakieś dwa tygodnie temu spotkała się pani z Moniką Marczuk, w pewnym momencie ona odebrała telefon od jakiejś dziewczyny. Nie wiemy, od kogo. Rozmawiały o jakimś chłopcu. A czy to było tutaj, pod blokiem?

Kobieta potaknęła.

– Pod blokiem. Było jeszcze ciut cieplej niż dziś. No w każdym razie dopytywała, co się z nim stanie, mówiła coś, że w tym wszystkim jego szkoda najbardziej. A potem na koniec rozmowy powiedziała, że trzeba coś będzie wymyślić, bo tak dalej nie może być, że trzeba mu jakoś pomóc.

– Dokładnie tak powiedziała?

- Coś w tym stylu. Nie pamiętam dokładnych słów, pamiętam sens.
- Dopytywała ją pani później, o co chodziło?
- Nie bardzo miałam okazję, nie widywałyśmy się za często. Czasami chwilę pod blokiem, czasami zachodziłam na jakieś pogaduchy na kawę. Jak to sąsiadki.
- Myślała pani potem o tej rozmowie? Co ona mogła oznaczać?
- Bo ja wiem – odpowiedziała, wzruszając ramionami. – Zadzwoiłam po was, bo uznałam, że to się może do czegoś przydać. A chyba już nikomu nie zaszkodzi, co?
- Krauze nie wiedział, co zrobić z tą informacją. Co to oznaczało? Może Marczuk chciała pomóc jakiejś koleżance, znajomej, może kuzynce.
- Czy gdzieś w ostatnim czasie pracowała? Może dorywczo? Może chodziła na kurs? Zajęcia?
- Nie, nic.
- Odhaczył w pamięci, ale nie skreślał tego z listy możliwych tropów.
- A czy w pobliżu mieszka jakaś dziewczyna z chłopcem? Ktoś, kto potrzebuje pomocy? Ktoś, kto może pojawia się tu od czasu do czasu? Na kogo mogła się natknąć?
- Nie znam osobiście takich osób. – Znow pokreśliła głową, robiąc przy tym z ust podkowę. – A czy mieszka tu matka z synem? Pewnie na samym osiedlu są ich dziesiątki, w mieście setki. Jeśli nie tysiące.
- O tym właśnie pomyślał. O tym tysiącu, który należało teraz sprawdzić. Tytaniczna robota. Zerknął kątem oka na kolegę. Już wiedział, kto się tym zajmie.
- A ten telefon? Pytała ją pani później?
- Miałam dopytać – potaknęła. – Zastanawiałam się, czy jej jakoś pomóc, ale... Ale nie miałam już okazji. Wtedy przecież nie wiedziałam, że stanie się taka tragedia. Naprawdę nie wiedziałam. Zresztą nikt nie wiedział. Prawda?
- „Owszem, nikt nie mógł tego wiedzieć”, pomyślał.
  
- Co mogło zmusić Monikę do wyjścia z domu? Niech sobie pani jeszcze raz spróbuje przypomnieć ten dzień, ten moment. To ważne – powiedział z naciskiem Krauze.
- Uznał to za istotne. Istotniejsze niż wszystko do tej pory. Analizował każdy szczegół sprawy, rysowała mu się pewna wizja, fakt, mglista, a mimo to czuł, że niektóre obszary zaczynały na siebie nachodzić, dokładnie tak, jak nakładają się na siebie różne barwy, by stworzyć nowy kolor.
- Poruszał obiema nogami do rytmu mocnej, może nawet zbyt mocnej muzyki, której nikt poza nim nie słyszał. Przygryzał paznokcie. Nie wiedział, czy zachowuje się tak pod wpływem nerwów, czy, podobnie jak Marcel, cierpi na jakiś rodzaj nadpobudliwości. Wpatrywał się w dziwną, niesymetryczną twarz Bogusławy Marczuk, której głównym punktem był haczykowany nos. Miała na sobie nakrapiany fartuch, takie same można było kupić na każdym ryneczku.
- Drzemałam, to było w południe. Nadia też usnęła, choć ciężko ją było uspić, mała cierpi na kolki. Tak mówił pediatra. Monika podeszła do mnie na palcach, nachyliła się nad moim łóżkiem i powiedziała, że musi coś załatwić, że niedługo wróci i żeby w razie czego nakarmiła małą.
- Wzięła ze sobą telefon?
- Tak.
- Rudzki sprawdził wszystkie połączenia. Najczęściej wydzwaniwała do Kuby Kalinowskiego. Ale nie tylko. Pojawiało się w nich jeszcze jedno miejsce.
- W jakim celu Monika dzwoniła do MOPS-u?
- Nie rozumiem.
- Z wykazu połączeń wynika, że kilka razy dzwoniła do opieki społecznej. Po co?
- Kobieta popatrzyła na policjanta przenikliwie, jakby chciała rozpracować jego myśli. Nie odezwała się od razu, żuła coś, a może taki miała odruch.
- Nic o tym nie wiem. Mówiłam jej tylko, żeby zdobyła więcej kasy, bo ciężko było związać koniec z końcem. Mam małą emeryturę, ona nie miała nic, a dziecko sporo kosztuje. Niespełna dwa tysiące miesięcznie na trzy osoby to mało, same pieluchy, kremy, chustki do wycierania tyłka to prawie dwieście złotych. A jedzenie? Rachunki? Może dlatego dzwoniła do pomocy społecznej, choć nic mi o tym nie mówiła.
- Może – odpowiedział automatycznie, zastanawiając się, czemu akurat tam i czemu tyle razy. W kontekście nowych informacji sprawa wydawała się nieco bardziej skomplikowana. – Czy Monika mówiła pani o jakimś chłopcu?
- Co wy mi tu znowu za zagadki zadajecie? Tu MOPS, tu chłopiec? – Kobieta machnęła ręką.
- Niech mi pani odpowie na pytanie. Był tu jakiś chłopiec? Wspominała coś o nim?
- Co pan? Po co ten ton?

Miał świadomość, że ją irytował. Podobnie jak ona jego. Ale dobrze. Musiał ją docisnąć. Jeśli się zdenerwuje, może coś palnie. Celowo lub nie.

– Proszę odpowiadać na pytania. Chłopiec, mały, może trochę starszy. Może pokazywała jakieś zdjęcia, może tu był.

– Nie było tu żadnego chłopca. Nie wiem, o czym pan w ogóle mówi.

– Pani córka chciała mu pomóc. Tylko tyle wiem, a to może być ważne.

– Jak Boga kocham, nic nie wiem.

– A w rodzinie? Jest ktoś taki?

– Nie, nie mamy nikogo oprócz siebie. To znaczy miałyśmy.

– Sąsiedzi? Koleżanki? Zaniedbany, wymagający pomocy chłopiec – powtórzył.

– Przysięgam, Bóg mi świadkiem, że mówię prawdę.

Krauzemu tyle wystarczyło. Rozumiał, że matka nic nie wie. Była irytująca, ale nie kłamała.

Za jej pozwoleniem przeszukał pokój córki. Było to niewielkie pomieszczenie pełne dziecięcych ubranek. Gdy Marcel był niemowlakiem, małe mieszkanie, które z Olą wynajmowali, wyglądało podobnie. Tuż po narodzinach synka byli przemęczeni, nie mieli sił i ochoty na sprzątanie. Życie było podporządkowane wyłącznie zaspokajaniu potrzeb dziecka.

Tutaj zobaczył to samo. Ten sam pędzący czas, nerwowe rzucanie ciuszków, leżące pod łóżkiem pieluszki tetrowe oraz – za fotelem – zapas pieluch jednorazowych. Skarpetki, tak niewyobrażalnie małe, czapeczki, bluzeczki, kolorowe spodenki długości dłoni dorosłego człowieka. Zaśmiał się, myśląc o małych ciuszkach Marcela. Były podobne. A dziś ten dryblas mierzył ponad metr siedemdziesiąt.

Zajrzał pod rozkładaną sofę, pod fotel, potem do szuflad w biurku. Wyciągnął wszystkie szpargały. Wśród nich znalazł notes. Zniszczony, musiał być często używany. Przejrzał go. W pewnym momencie zauważył luźną kartkę.

Zaciekawili go pisane niedbale skróty. „MoPS EWa MichałoSka, zadz. Jutro po pop”. Każda litera inna, większe, mniejsze. Na odwrocie inne zapiski, podobne, nazwiska, potem dopisek „zadz. w srod. 15”. I jeszcze jedno, „E. Mich, piątek 14”. Godzina zakreślona kilka razy zdecydowanym, nerwowym kółkiem.

Zrobił zdjęcie kartki, zajrzał do drugiej szuflady. Pomadki ochronne, szminki, mała kosmetyczka, w niej tusze i pudry, medaliki, sporo papierków po mentosach, tic tacach, kilka prezerwatyw. Mały notes. Pusty, niezapisany.

W trzeciej szufladzie znajdowały się dwie różne ładowarki, z dwiema różnymi końcówkami. Wykonał im zdjęcia.

Potem przejrzał książki na półce. Kilka starych pogiętych kryminałów, dwa zmęczone wielokrotnym czytaniem horrory, jakieś poradniki dla młodych mam, w jednym z nich kilka karteczek. Ale na żadnej z nich nie było notatek.

Po raz kolejny ogarnął pomieszczenie wzrokiem.

\* \* \*

Pokazał technikowi zdjęcia ładowarek. Tokarz nie miał najmniejszych wątpliwości, że były do dwóch różnych telefonów. Krauze też to wiedział, ale chciał się upewnić. Nieraz zdarzyło mu się, że kupił złą ładowarkę do telefonu, bo nie zauważył małych różnic w kształcie wtyczki – jedna miała dwa zaokrąglone brzegi, druga nieco ścięte.

– A więc miała dwa telefony – mruknął do siebie, przysuwając się bliżej biurka. To już było coś. Uruchomił przeglądarkę i odnalazł dane kłódzkiego MOPS-u. Wyniki wyszukiwania zestawiał z nazwiskiem Ewy Michałowskiej, jednak nie dało to rezultatów. Odnalazł kontakt do sekretariatu, potem wybrał odpowiedni numer wewnętrzny. Odebrała kobieta. Jak szybko ocenił, starsza.

– Kłódzko MOPS.

– Chciałbym rozmawiać z panią Ewą Michałowską.

– Nie ma jej. I nie będzie. Pani Michałowska już u nas nie pracuje.

– Od jak dawna?

– Właśnie od niedawna.

Na razie Krauze nie chciał zdradzać, że jest z policji, bo póki co błędził po omacku. Wolał jednak błędzić, niż nic nie robić. Czekanie nigdy się nie sprawdzało. Zwykle morderca znajdował się gdzieś pod nosem, bardzo często jego nazwisko pojawiała się w aktach, raz, czasami kilka razy. Czuł, że i tym razem tak było. Morderca był gdzieś tutaj, w bliskim otoczeniu Moniki Marczuk oraz drugiej zamordowanej kobiety, o której wciąż niewiele wiedzieli.

Wystarczyło odsłonić niewiadome. Zadać odpowiednie pytanie. Porozmawiać z pozornie przypadkową osobą. Ale by to się mogło stać, trzeba się przekopać przez setki szczegółów: rozmów, papierów, bazgrołów, skojarzeń.

Problemem było to, że tym szczegółem mogło być wszystko. Na razie bazował na łączeniu pozornie odległych ciągów przyczynowo-skutkowych. I taki już poniekąd znalazł. Pilna potrzeba udzielenia pomocy jakiemuś chłopcu. MOPS. Ewa Michałowska. Trzy ogniwa łańcucha.

– Pani Ewa zajmowała się sprawą pewnego dziecka, próbuję się dowiedzieć, czy udało się jej...  
– Niestety, nie pomogę panu.  
– Więc z kim mogę porozmawiać, żeby się dowiedzieć czegoś w tej sprawie?  
– Proszę porozmawiać z kierowniczką, może ona udzieli takich informacji, choć to zależy, kto pyta, jaki jest stopień pokrewieństwa interesanta...

– Mógłbym więc z nią...  
– Będzie dopiero jutro.

Szlag by to trafił. Uznał, że nie ma już czasu bawić się w podchody.

– Nazywam się Filip Krauze, jestem podkomisarzem wydziału kryminalnego Komendy Powiatowej w Kłodzku.

– Coś się stało?

– Kilka dni temu została zamordowana dziewczyna. Z tego, co zdążyliśmy ustalić, kilkanaście dni przed śmiercią próbowała się skontaktować z panią Ewą Michałowską. Nie wiemy, co je mogło łączyć, ale badamy każdy trop.

– Ech, mógł pan tak od razu powiedzieć. Łączę z kierowniczką.

W słuchawce rozległo się piknięcie, potem kolejne, wreszcie usłyszał głos. Cichy, spokojny, jakby odezwała się istota z zaświatów.

– Słucham pana?

Krauze przedstawił się, powtarzając to samo, co powiedział sekretarce. Dodał informację o zapiskach zamordowanej, potem dorzucił kilka formalnych regulek, które zawsze odpowiednio ustawiały rozmówców. Państwowa instytucja – policja, państwowa instytucja – MOPS. Wspomniał o pilnej potrzebie współpracy, w zdania wplątując odpowiednio często sformułowania „morderstwo”, „zatajenie faktów”, „odpowiedzialność”. Chyba podziało, bo kobieta po drugiej stronie odpowiedziała szybko:

– Rozumiem. Chcę panu pomóc, problem w tym, że pani Ewa już tu nie pracuje.

– Bo?

– Bo się zwolniła na własne życzenie.

– Podała powód?

– Cóż, chyba nie będzie to żadną tajemnicą, jeśli powiem, że z powodów finansowych. Pracowała niewiele ponad rok, na początku, jak większość z nas, dla idei, z poczucia, że trzeba pomóc tym biednym ludziom. Pomoc pomocą, idea idea, proszę pana, ale z tej pensji trudno żyć. Niestety twarda rzeczywistość wygrała z idealizmem. Wielu młodych ludzi nie wytrzymuje w tej pracy.

– Czy ktoś przejął jej obowiązki?

– Można tak powiedzieć, choć to nie jest takie proste. Mam paru pracowników i dziesiątki podopiecznych. Nie da się tego zorganizować tak, by jeden pracownik przejął wszystkie obowiązki drugiego. Dopóki więc nie pojawi się nowa osoba, porozdzielałam obowiązki pani Ewy paru osobom.

– Potrzebuję skontaktować się z osobą, która mogła się zajmować sprawą Moniki Marczuk. Wiem, że rozmawiała ze sobą kilka razy. Nie znam daty, mam tylko luźne notatki, z których wynika, że umawiały się na spotkania. A może tylko rozmawiały przez telefon.

– Rozumiem – powiedziała, a jej głos stał się przytłumiony. – Zapiszę sobie. Nie będzie to takie łatwe. Proszę o telefon za godzinę, góra dwie. Skończę, co mam do zrobienia, i zaraz się tym zajmę.

– Zatem czekam na informacje – powiedział, wciskając czerwoną ikonę na wyświetlaczu. Chwilę gapił się w ekran, ale nie trwało to długo, bo właśnie sobie o czymś przypomniał. Wybrał numer informatyka.

– Sprawdź, czy na nazwisko Monika Marczuk została zarejestrowana jakaś karta SIM, podejrzewam pre-paid, choć nie mam pewności. To ważne.

– Ma to związek z tymi ładowarkami? Wnioskujesz, że...

Krauze nie odpowiedział, rozłączył się w połowie zdania. Lubił Tomka, ale nie miał teraz czasu na wyjaśnienia. Czuł, że jest blisko. Że to mogło być to. MOPS i mały potrzebujący pomocy chłopiec.

Poczuł wibracje, a po sekundzie usłyszał znaną melodię. Dzwonił technik Radek Tokarz.

– Słuchaj, rzeczywiście ktoś się kręcił po tym podwórzu.

– Masz te ślady?

– Będę miał po powrocie do laboratorium, chcę to zrobić porządnie. Wyślę ci zdjęcia i krótki opis.

– A inne ślady? Linii papilarnych, biologiczne?

– Brak. Nie dotykał okna. To pewne. A o reszcie nie ma co gadać. Trzeba by przeszukać całe podwórze, centymetr po centymetrze, a to niewykonalne. Musiałbym tam spędzić kilka dni, od rana do wieczora. A skoro nie mamy podejrzenia popełnienia przestępstwa...

Te podejrzenia stawały się faktami. Na razie tyle Krauzemu wystarczyło.

– Dobra, czekam na dalsze wieści – rzucił, po czym wykręcił numer Oli. Powinna mieć właśnie przerwę obiadową albo jechać po Marcela. Odebrała szybko, a więc była w aucie. Po chwili usłyszał jej głos, nieco zmieniony, z lekkim pogłosem, bo pewnie włączyła tryb głośnomówiący. A mimo to brzmiał tak, jak powinien, miękko, delikatnie.



- Filip?
- Chciałem cię usłyszeć – powiedział, uśmiechając się do siebie, choć tak naprawdę był to uśmiech skierowany do niej.
- To miło, ale raczej nie pogadamy. Jadę po młodego. Co w pracy?
- Nic. Chciałem zapytać, czy jedziecie na weekend do mamy, jak wspominałaś rano, czy coś się zmieniło.
- Tak, a co?
- Nic, po prostu się upewniam. Bo pewnie i tak będę w pracy. Mamy tu napiętą atmosferę – odpowiedział dyplomatycznie. Ola tak naprawdę nie lubiła słuchać o jego pracy, pytała z grzeczności. Nie pogodziła się z tym, że pracował w policji, a nawet przed laty próbowała go przekonywać, że powinien się zwolnić. W końcu zawarli umowę: miał nie mówić za dużo o pracy. A na pewno nie wnikać w szczegóły.
- Będziesz niedługo w domu? Może zjesz z nami obiad?
- Spojrzał na zegarek.
- Okej, postaram się – obiecał. Nie mógł jej zawieść. Słowo to słowo.

Niespełna kwadrans później, kiedy po raz kolejny wczytywał się w akta sprawy, otrzymał wiadomość od informatyka. Niewiele ponad trzy tygodnie temu Marczuk wykupiła dodatkowy numer. Zarejestrowała go na siebie. Krauzemu po raz kolejny zaświeciła się kontrolka. Poprosił o sprawdzenie lokalizacji i billingów.

Położył telefon na biurku, po czym podparł głowę żyłastymi rękami. Już chciał włączyć muzykę w służbowym komputerze, kiedy usłyszał telefon. Odebrał od razu, dzwoniła kierowniczka MOPS-u.

– Pan Krauze? Rozmawialiśmy niedawno w sprawie niejakiej Moniki Marczuk. Próbowałam się czegoś dowiedzieć, niestety muszę pana rozczarować. Nie mamy żadnej sprawy w systemie, która dotyczyłaby takiej osoby.

- Jest pani pewna?
- Jestem pewna, ponieważ musimy rejestrować każde zgłoszenie.
- „Kurwa mać”, zaklął w myślach. Może to nie był żaden trop. A może po prostu trzeba inaczej to rozegrać.
- Czy mogę się jakoś skontaktować z panią Ewą?
- Yyy, niestety nie mogę panu podać...
- Może pani – przerwał jej – to oficjalne śledztwo, a sprawa dotyczy morderstwa osoby, która kilka razy próbowała się skontaktować z Ewą Michałowską. Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy to zignorować. Pani by to zignorowała, będąc na moim miejscu?
- Chyba nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Pewnie bym zrobiła, co w mojej mocy, żeby...
- Więc proszę zrobić to, o co proszę.
- Nastąpiła chwila wahania, potem usłyszał stukanie w klawiaturę komputera, a zaraz potem usłyszał:
- Nie wiem, czy jej prywatny numer jest aktualny. Ma pan coś do notowania?

– Tak naprawdę sama nie rozumiałam, o co w tym chodziło. Pani Monika dzwoniła do mnie tylko raz, a najgorsze, że podczas pierwszej rozmowy nie wyjawiała, po co tak naprawdę dzwoni.

– Z billingów wynika, że dzwoniła kilka razy.

– Ale tylko raz czy dwa rozmawialiśmy. Być może dzwoniła, kiedy nie było mnie w biurze. Podawałam interesantom tylko numer służbowy, stacjonarny.

– Rozumiem – powiedział cicho, jakby do siebie. Skrzywił się, bo znów poczuł ból, który rozszedł się z prędkością błyskawicy po całym ciele. Krótki, bolesny impuls, który zniknął tak szybko, jak się pojawił.

– Co powiedziała?

– Niewiele. Tylko tyle, że chce się spotkać i że to ważne, bo przez telefon boi się mówić. Odpowiedziałam jej, że nie ma problemu. Miałyśmy ustalić termin.

– I?

– Do spotkania nigdy nie doszło.

– Bo?

– Bo trudno nam się było dopasować. Kiedy ja mogłam, ona miała wizytę z dzieckiem u lekarza, kiedy pani Monika miała czas, z kolei ja byłam zajęta. Jak to w życiu.

Krauze przygryzł wargę. Stał pod domem, opierając się o jaguara. Wpatrywał się w górną kondygnację nowego apartamentowca, w którym od kilku lat mieszkali. Ola i Marcel musieli już być w domu, bo widział światło w oknach. Zjechał wzrokiem niżej, na parter, gdzie mieszkał jego wujek, Andrzej Święch, brat matki, emerytowany wojskowy, z którym od dziecka miał bardzo dobre kontakty. W połowie lat dziewięćdziesiątych ich drogi się rozeszły, ponieważ wuj wyjechał na kilkanaście lat do swojej córki za granicę. Tam spędził część swojego dorosłego życia, a potem wrócił do kraju. Uznał, że nie chce się zestarzeć i umrzeć na obczyźnie.

Filip był mu wdzięczny za lata dzieciństwa. Za to, że byli blisko. Za to, że był mu jak ojciec, którego nie miał i nigdy nie poznał. Bardzo się ucieszył z jego powrotu. Kiedy wujek stał się mniej sprawny, namówił go, by zamieszkał obok nich.

– Czego się pani zdążyła dowiedzieć? – zapytał, patrząc w przysłonięte żaluzje w oknach mieszkania wuja.

– W zasadzie niczego konkretnego. Mówiła chaotycznie, bezładnie, musiałam ją uspokajać, a do tego próbowałam zrozumieć, co się stało.

– Wiem tylko o jakimś chłopcu.

Ewa Michałowska, jak ocenił po głosie, dość młoda kobieta, westchnęła dyplomatycznie. Pewnie z bezradności.

– To wie pan tyle co ja. Zrozumiałam z tego wszystkiego, że jej znajoma jest w jakimś toksycznym związku, chorym, wręcz patologicznym, i że sama nie ma siły się z tego wyrwać, a ona, czyli pani Monika, nie wie, co z tym zrobić. Dlatego skontaktowała się z nami. W sumie to zawsze coś. Ważny jest pierwszy krok. Nie zawsze jesteśmy w stanie pomóc, ale możemy nakierować taką osobę, udzielić porad.

– Co z tym chłopcem?

– Powiedziała tylko, że chciałaby pomóc chociaż temu małemu. Wspomniała, że nie powinien tego oglądać.

– Domyśla się pani, co „to” mogło być?

– Nie powiedziała mi tego wprost, ale... Pewnie to, że jej koleżanka nie chciała się uwolnić z toksycznego związku. To częsty przypadek uzależnienia od drugiej osoby. Nawet przemocowej.

Krauze rozumiał, co miała na myśli. Za nim stał nie rok pracy w opiece społecznej, tylko kilkanaście lat w samym wydziale kryminalnym i dobrych parę lat wychowania ulicznego. Doskonale wiedział, co to przemoc i zło. Co to wychowywanie krzykiem, wrzaskiem, biciem, poniżaniem, gnębieniem, gwałtem, wykorzystywaniem. Ewa Michałowska miała rację. To się działo w wielu domach, bez względu na miejsce, na wygląd domu czy właścicieli. Ten rodzaj zła przenika między wszystkie mury. Nawet te najdroższe.

Pomyślał o luksusowej willi w Głuszczycach.

– Sądzi pani, że ten mały to wszystko oglądał? I dlatego Monika chciała mu pomóc?

– Na pewno w grę wchodził jakiś rodzaj przemocy. Niekoniecznie fizycznej.

– Seksualnej?

– Niewykluczone. Ze słów pani Moniki niewiele więcej byłam w stanie wywnioskować. Mówiła, że niedługo zadzwoni i powie mi więcej. Niestety, moje losy się trochę skomplikowały i podjęłam decyzję o złożeniu wypowiedzenia z pracy. Uznałam jednak, że nie zostawię jej samej. Zostawiłam dyrektorce kontakt do Marczyk, prosząc, by ktoś pociągnął tę sprawę. Nie wiem, czy tak się stało.

– Zastanawiam się, czy mogę jakoś dotrzeć do tej osoby.

– Może ktoś inny zgłaszał przemoc w tym domu. Niebieska karta, rejestr przestępców seksualnych, w ośrodku też takie mamy. Może sąsiedzi, może ktoś z rodziny. Tyle tylko, że skoro pani Monika nie żyje, skąd mamy wiedzieć, o jaką kobietę i jakiego przemocowego mężczyznę chodzi?

Krauze podziękował za rozmowę. Wziął z tylnego siedzenia dwa duże pudełka pizzy i wszedł do budynku.

Może wystarczy przejrzeć ostatnie zgłoszenia do rejestrów. Albo wykonać kilka telefonów do paru instytucji.

Chciał zostawić za sobą ten dzień, nie tylko fizyczne zmęczenie, ale także ciężar psychiczny, który, miał wrażenie, za bardzo go przytłaczał. Nie miał już dzisiaj więcej sił.

A mimo to, idąc na górę, nie był w stanie wyłączyć myśli. Jeśli w grę wchodziła krzywda dziecka, byłby w stanie gołymi rękoma zadusić osobę, która ją wyrządzała. Kiedyś zaatakował człowieka, który uderzył swoje dziecko. Stała się jednak nie wracać do tego pamięcią.

Wziął do ręki wykaz rozmów Moniki Marczuk. Połączeń z drugiego telefonu nie było dużo, dzwoniła pod kilka różnych numerów.

Wklepał jeden z nich i czekał na połączenie. Po chwili głos automatu powiedział, że numer jest nieaktywny. Zadzwoił pod drugi, rezultat był ten sam. To samo było z trzecim i czwartym. Każdy sprawdzony numer Krauze odznaczał na kartce. Wiedział, że będzie próbować ponownie, choć zwykle, gdy dany numer był już dostępny, informowały o tym wiadomości od operatora sieci.

Pozostał mu ostatni.

Wybrał numer i czekał. Był sygnał. Po dziesięciu zrezygnował. Rzucił listę przed siebie.

Czemu dzwoniła na te numery z drugiego telefonu, o którym nie wiedziała matka? O którym być może nikt nie wiedział?

Bez względu na odpowiedź, jedno było pewne. Dziewczyna miała jakąś tajemnicę, czyżby sprawę tego chłopca? Prawdopodobnie. Ale może było coś jeszcze.

Zanotował daty i godziny połączeń. Ostatnie miało miejsce trzy godziny przed śmiercią. Pamiętał zeznania kobiety, która widziała Monikę. Szła ulicą Wojska Polskiego, potem zniknęła jej z pola widzenia. Kierowała się więc ku północnej części miasta, miejsca pełnego małych uliczek, schodów, zaułków, niewielkich sklepów, podwórek, parkingów. Mogła zniknąć z taką łatwością, z jaką niemal codziennie znikają ludzie w każdym miejscu na świecie.

Na pewno nie wracała do domu. Zapewne szła, by się z kimś spotkać. Z kim? Po co?

Przygryzł długopis tak mocno, że aż pękł plastik. Ocknął się z zamyślenia.

To nie był przypadek.

Sięgnął po sezamka i ponownie zadzwonił do Tomka Czai.

– Sprawdź mi jeszcze te numery z wykazu połączeń Marczuk. Ustal, na kogo są zarejestrowane.

– Od razu uprzedzam, że trochę to potrwa – odpowiedział rzeczowo.

– To od razu uprzedzam, że będę cię nękał, jeśli to będzie trwało za długo.

– Odezwę się – mruknął poirytowany.

Okej, jedno zrobione. Przygryzł sezamka i patrzył na zdjęcia zwłok kobiet, obu w podobnym wieku. Mała dziewczynka, córka, Nadia. I ten chłopiec.

Te dwie kobiety coś połączyło.

Cholera.

A jeśli to N.N. była matką chłopca?

Jeżeli to ona, to jednak się znały. I to był ten związek, którego nie potrafili jeszcze znaleźć.

Nim wyobraźnia podsunęła mu odpowiedź, prawdziwą bądź nie, usłyszał dźwięk telefonu. Popatrzył na ekran. Nie zapanował nad tym, ale się wyprężył. Tego się nie spodziewał.

Dzwoniła córka Igora.

– Zuziu?

– Wujek?

– Coś się stało?

Nastąpiła chwila milczenia.

– Nie, nie w tym rzecz – odpowiedziała nienaturalnym głosem, nieco zmienionym. Czuł, że jednak coś się stało. Znał ją. Była świetną dziewczyną, inteligentną, mądrą. Zwykle odpowiadała po sekundzie, bez zastanowienia, więc wiedział, że to chwilowe milczenie coś wyrażało.

– Więc co się stało?

– Nie wiedziałam, czy mówić o tym mamie, ale... – urwała.

Krauze podeszedł do okna. Skoncentrował całą uwagę. Czuł, że była wystraszona.

– Zuzka? Jesteś tam?

– Nie wiem, czy to ważne – odpowiedziała wreszcie cicho – ale w swoich rzeczach znalazłam telefon. Nie jest mój ani mamy. I nie wiem, skąd w ogóle się tu wziął. Nie wiem, co z nim zrobić.

– Nie rozumiem...

– Siedziałam w pokoju, gdy nagle zadzwonił. Miał dziwną melodię, początkowo myślałam, że może coś się włączyło w laptopie. Reklama. Ale nie. Wciąż dzwonił i dzwonił. Zaczęłam go szukać. Szłam za dźwiękiem. I na dnie jednej z szuflad znalazłam telefon. Stary model. Odblokowałam go odruchowo, przejrzałam, by sprawdzić, czy on może być...

– I co?

– Mama o niczym nie wie. Nawet nie ma jej w domu. Nie wiem, co mam z tym... zrobić.

– Zaraz do ciebie przyjadę. Czekaj na mnie.

Odblokował ekran, przesuując palcem do góry. Nie było żadnej blokady, wymaganego kodu czy odcisku palca. Zwykły stary telefon, model sprzed paru lat. Na ekranie niebieska tapeta z kilkoma ikonami. Połączenia, wiadomości, książka telefoniczna i galeria. Nic więcej.

Zuzia wspomniała, że leżał w najniższej szufladzie komody. Nie zaglądała tam często, bo trzymała w niej stare zeszyty z poprzednich klas.

Uruchomił galerię, kliknął w zdjęcie.

Pierwsze z nich było słabej jakości, przedstawiało ciemny samochód. Tablica rejestracyjna była niewyraźna, ale chyba kłódzka... DKL09... A może osiem. Kolejne cyfry podobne do siebie, owalne. Zera, dziewiątki, ósemki albo szóstki. Być może po odpowiedniej korekcie graficznej uda się odczytać chociaż jej część. Auto stało na poboczu ciemnej jezdni.

Drugie zdjęcie było czarne.

Kolejne.

Telefon prawie wypadł mu z dłoni.

Na trzecim zdjęciu Krauze zobaczył niewielki budynek. Była to budka strażnicza z powybijanymi szybami. Na ścianach znajdowały się krzywe napisy, nieudolne graffiti, wiele nic nieznaczących znaków typowych dla wielu starych budynków.

Zuzia nie odrywała wzroku od wujka. Zobaczyła, że poczerwieniał.

– Wujek, czy to telefon taty? Czy on coś nawywijał? – zapytała cicho.

Nie potrafił opanować drżenia rąk. Poczul, że robi mu się słabo. Wziął kilka głębokich wdechów, przymknął oczy. To się nie dzieje naprawdę, powiedział do siebie. To się nie dzieje naprawdę.

Cokolwiek się wydarzyło przez ostatnie dni, cokolwiek się stało, Igor tam był.

Przed nimi.

Zanim Krauze pojawił się na wysypisku śmieci z Dominikiem, prokuratorem i kilkoma funkcjonariuszami z Łądka-Zdroju.

Ale jak to możliwe?

Na kolejnej fotografii ujrzał ciemną ziemię. Nierówne, wyboiste podłoże. Wyrastające zewsząd krzaki oświetlone bladym światłem lampy błyskowej. To była droga, właściwie ścieżka. Znał ją. Szedł nią.

Kolejne zdjęcie. Podobne, pełne szumów, zamazane, zrobione z fleszem.

Szóste. Znowu poszarpana ciemność. Niewyraźna. Zrobił powiększenie, ale niewiele to dało, choć miał wrażenie, że dostrzegł jakąś postać, a w oddali kolejne dwie osoby. Może to było złudzenie, może to sobie dopowiedział, bo tak mu podpowiadała wyobraźnia, ale miał wrażenie, jakby te dwie postaci coś niosły. Kolejne zdjęcie było nieco wyraźniejsze. Tym razem miał pewność. Dwie osoby. I coś jeszcze. Worek?

Znowu samochód. Ten sam. Zdjęcie zrobione szybko, w ruchu, może w biegu. Linie refleksów świetlnych. Ale tablica rejestracyjna była wyraźniejsza. Dało się bez problemu odczytać numer.

Wciąż się trząsł.

Wiedział, co to było.

Widział i znał to miejsce.

Aż za bardzo.

„To niemożliwe”, powtarzał w myślach, by odsunąć od siebie prawdę.

Zajrzał do książki adresowej, ale była pusta. Podobnie jak skrzynka odbiorcza.

Został mu rejestr połączeń. Miał podejrzenie, że tam również niczego nie znajdzie, ale się pomylił. Igor wykonał jedno połączenie. I potem jedno odebrał.

Krauze wyciągnął z kieszeni billingi z drugiego telefonu Moniki Marczuk. Popatrzył na numery.

I nagle wszystkie elementy zaczęły się układać w całość.

– Nie, Zuziu. To nie twój tata nawywijał. O nic się nie martw. Niedługo wszystko będzie jak dawniej.

Zuzia nie zareagowała, ale miał wrażenie, że jej ulżyło.

Musiał to powiedzieć. Musiał ją pocieszyć.

Prawda była jednak inna. Już nigdy nic nie będzie tak jak dawniej.

Nie odjeżdżał.

Wpatrywał się w ich dom, miejsce, w którym doszło do brutalnych czynów. To tu się wszystko zaczęło. Tu się zaczęła ich walka. Ich prywatna wojna przeciwko ludziom, którzy chcieli zniszczyć najpierw Igora, a potem jego rodzinę. Przypomniawszy sobie pociętą bliznami twarz Konrada Karpowicza. Przypomniawszy sobie kartony z dokumentami, telefony, które odpowiednio zabezpieczył i schował w piwnicy. Zaraz potem zobaczył Igora – blade oblicze człowieka, który już zawsze będzie miał zmasakrowaną twarz, jak ludzie po ciężkich wypadkach. A potem jak w kalejdoskopie migały mu przed oczami kolejne twarze. Pauliny Walas, jej córki, Dominika, naczelnika, komendanta, zbirów z gangu kłódzkiego, po chwili pojawiły się twarze zamordowanych kobiet; a teraz – obrazy z wysypiska śmieci, starożytnego wiaduktu kolejowego.

To wszystko się łączyło.

„Co za popierdolona płatanina”, mruknął do siebie, a potem pomyślał, że dopóki Igor nie wyjdzie ze śpiączki, będzie musiał sam to rozplątywać. Ale coś już wiedział. Igor spotkał się z Mańkutom i Elmerem, wdał się w jakąś szarpaninę, niedługo potem rozmawiał przez telefon z Moniką Marczuk. Spotkał się z nią. A po jakimś czasie została zamordowana. Jak to się stało, że zrobił te zdjęcia na wysypisku śmieci? Jak się tam dostał?

Krauze wysłał do technika wiadomość z pytaniem, czy znalezione na wysypisku ślady mogły należeć do Igora. Ten obiecał dać znać, gdy tylko to sprawdzi, chyba nawet nie był szczególnie zdziwiony. Cóż, wiele osób wiedziało, że Filip i Igor lubią obchodzić przepisy, ich działania często były nielogiczne albo brutalne. Technik może wolał nie wiedzieć.

Rozejrzał się. Spokojne osiedle nie dawało oznak życia. Ludzie siedzieli zamknięci w swoich domach. Nie mieli świadomości, jak parszywy potrafi być świat, jak podła zwykła codzienność. Dla jednych codziennością było przyjmowanie przesyłek, wydawanie pokwitowań, towarów w sklepie, leczenie chorych, przewożenie towaru z miejsca na miejsce, pisanie tekstów piosenek, realizowanie produkcji filmowych, sprzątnięcie chodników, malowanie ścian, naprawianie komputerów.

Jego codziennością była śmierć ludzi, najczęściej okrutna.

Zawsze zła, smutna, gorzka.

Przepełniała go do samego szpiku, wnikała do każdego zakamarka umysłu. Nawet kiedy zasypiał, widział blade porozcinane torsy, pocięte wnętrzości, zdjęcia sekcyjne.

Myślał o tym, jak umarła ofiara. Jakie były jej ostatnie myśli, słowa.

Jaką minę miał stojący nad nią morderca. Czy coś mówił...

Krauze włączył silnik, ale nie ruszał.

Usiłował sobie przypomnieć słowa Igora, wszystko, co usłyszał wtedy, w szpitalu.

Fijałkowski mówił, że to było ostrzeżenie. I że trzeba chronić dziewczyny. Chyba nic więcej. A może jednak powiedział coś między wierszami?

Dlaczego nie wspomniawszy o tym dniu i wieczorze? Co się wtedy wydarzyło? Jak wpadł na ich trop? Przypadkiem czy rozpracowywał ich po kryjomu? Czy był świadkiem morderstwa tej dziewczyny? Co jeszcze widział? I co widział?

Nagle jego myśli przerwał dźwięk telefonu. Na wyświetlaczu zobaczył numer Pauliny Walas, nie wpisał jej do książki adresowej, ale pamiętał końcówkę. Odebrał.

– Wydaje mi się, że to ważne – powiedziała bez powitania. – Rozmawiałam dzisiaj z Helenką, bo uznałam, że nie mogę tego tak zostawić.

– Co powiedziała?

– Że widziała w nocy jakiegoś mężczyznę. Powiedział, że się nią zaopiekuje.

– Opisała go? Podała jakieś szczegóły?

– Ciemne ubranie, wyglądało jak kombinezon, porównała z tymi, jakie noszą mechanicy samochodowi. Zna takie szczegóły z bajek.

To już było coś, choć ciągle mało.

– Miał dłuższe włosy – dodała.

Krauze chwilę się namyślał. Żadna ze spotkanych w ostatnich dniach osób nie pasowała do tego rysopisu. O ile można było wierzyć dziecku.

– Związane? Luźne?

– Nie mówiła. Ale jeśli zapamiętała coś takiego, to pewnie miał rozpuszczone. Inaczej by użyła innych słów. Na przykład „kucyk”.

– Czy podejrzewa pani, kto to może być?

– Myślałam o tym, ale na razie nikt nie przychodzi mi do głowy.

– Czy w ostatnim czasie pojawiał się w okolicy obcy samochód? Obcy ludzie? Domokrądcy? Ktoś rozbił biwak, namiot? To bardzo ważne. Proszę się zastanowić.

– Nie – zaprzeczyła stanowczo – tutaj mało kto zagląda. To nie jest miejscowość przelotowa, tu się kończy droga gminna, dalej nie ma nic poza łąkami i lasami.

Być może właśnie tam należałoby szukać odpowiedzi, tam szukać kogoś, kto się pojawił pod ich oknami. Od strony łąk i lasów. Mógł przychodzić właśnie stamtąd.

Problemem był fakt, że posiadłość Walasów praktycznie sąsiadowała z Górą Stołowymi. Trzeba by sprawdzić tysiące hektarów lasów.

– Może sąsiedzi coś mówili?

– Raczej nie mam z nimi kontaktu poza tym, że machniemy sobie na powitanie. Tutaj jest naprawdę spokojnie. Niekiedy aż za bardzo. Praktycznie nikogo tu nie widać, nic nie słychać. To spokojne miejsce, które wypuszcza ludzi, żeby jechali do pracy, a wieczorami ściąga tylko po to, by się przespali, a potem rano znów ruszyli w kierunku miasta. I tak dzień za dniem.

– A czy w ostatnich tygodniach albo nawet miesiącach ktoś w ogóle u was bywał? Człowiek, który pojawił się pod pani oknami, nie mógł być przypadkową osobą. On musiał znać wasz dom. Wiedział, że z tyłu nie ma wysokiego ogrodzenia.

– Nie rozumiem.

Pewnie, że nie rozumiała. On wiedział, jak działali przestępcy. Uznał jednak, że nie warto jej mówić wszystkiego. Postanowił nie wspominać, że ona i jej córka były idealnymi kaskami dla wszelkiej maści przestępców.

– Do waszego domu nie jest łatwo się dostać. Ma pani najwyższej klasy drzwi antywłamaniowe, ma pani okna, których też się nie da sforsować – zaczął wyliczać. – Ogrodzenie wysokie, masywne. Ktoś musiał wiedzieć, jak się dostać na podwórze, jak je obejść, nie robiąc hałasu i nie pozostawiając śladów. Podobnie jak to, że od strony stawów ogrodzenie nie jest tak wysokie.

– Ostatnio nikt u nas nie bywał.

– Służby?

– Jakie?

– Służby leśne? Osoby szcztujące liczniki?

– Nie. Wszystko odbywa się zdalnie, przez internet.

– Serwis? Albo może ktoś chciał kupić działkę? Dzwonił, pytał?

– Nie, naprawdę nikt.

– To niemożliwe – odpowiedział zdecydowanym tonem.

Paulina Walas na chwilę zamilkła, jakby próbowała sobie coś przypomnieć.

– Nie wiem, czy to ważne, ale kilka miesięcy temu, pod koniec czerwca i na początku lipca, pracowali u nas ogrodnicy.

– Jak długo?

– Parę dni, może pięć, sześć.

– Ilu ich było?

– Dwóch. I jeszcze jakiś facet przywiózł sadzonki, ale po aucie poznałam, że jest z tej samej firmy ogrodniczej.

Krauze nawet nie poczuł, że jego ciało mimowolnie się spięło.

– Czy podczas prac wchodzili do domu? – zapytał. – Zaglądali do środka?

– Zajmowali się ogrodem. Czemu by mieli zaglądać?

– Kto ich wynajął?

– Ja.

– Co to za firma? – zadał kolejne pytanie, wodząc wzrokiem po desce rozdzielczej.

– Już przed rokiem mieliśmy plany, by przeorganizować ogród. Kiedy zrobiło się cieplej, Jerzy wreszcie się zdecydował i podesłał mi namiary. Uznałam, że jest już na tyle dobra pogoda, żeby się tym zająć.

– Zna ich pani?

– Nie, Jerzy dostał namiary od jakiegoś klienta. Polecił ich. To chyba nic złego, że ludzie polecają sobie fachowców?

– Czyli nie wie pani, kim są ani gdzie mieszkają?

– A czy pan, wzywając do domu hydraulika albo monter, pyta o miejsce zamieszkania?

– Proszę mi przesłać do nich numer. Albo zdjęcie wizytówki.

– Dobrze, jak tylko znajdę, podeślę panu.

Już się chciał rozłączyć, ale w ostatniej chwili dorzucił:

– Czy zapamiętała pani, jak oni wyglądali? Coś szczególnego, charakterystycznego?

– Szczerze mówiąc, nie za bardzo. Poza jednym. Ich szef przyjechał tylko raz, na koniec pracy, żeby się ze mną rozliczyć. Zapamiętałam go.

– Czemu go pani zapamiętała?

– Tak po prostu. Był mężczyzną w średnim wieku. Niczym szczególnym by się nie wyróżniał, gdyby nie blizna na twarzy. Od ucha aż po same usta, dosłownie jak po przecięciu ostrym narzędziem.



Sprawdzenie danych i adresów pracowników firmy ogrodniczej nie było czasochłonne. Kilka dni temu Elmer powiedział mu, że prowadzi legalną firmę ogrodniczą. Nie zainteresowało go to, wówczas był to nic nieznaczący fakt.

Ale teraz ten fakt już miał znaczenie.

Z dwóch powodów.

Być może była to jedna z wielu legalnych firm należących do ludzi z gangu albo z nim powiązana. Traf chciał, że jedną z nich prowadził facet, który stał się bezpośrednio z Igorem.

Pomyślał, że szczęście w tym całym cholernym pechu polegało na tym, że wszystko się jednak jakoś ze sobą łączyło. A więc za morderstwami obu dziewczyn stał któryś z nich. Elmer, Mańkut. Albo obaj. Na to by wskazywało zdjęcie wykonane przez Igora.

Istniało prawdopodobieństwo, że to był któryś z nich. I któryś z nich nawiedzał małą Helenkę nocą. Tyle że dziewczynka wspomniała o mężczyźnie z długimi włosami. Ani Elmer, ani Mańkut takich nie nosili. Zastanawiała go jednak blizna.

Bez względu na odpowiedź, wciąż rozmyślał o wydarzeniu. Czyżby mieli zlecenie na dziecko? Może byli zamieszani również w handel dziećmi? Albo chcieli porwać małą, by zażądać okupu. Zastanawiał się nad tym przez chwilę. To miało sens. Wreszcie coś miało sens.

Musieli teraz działać sprawnie, metodycznie, dlatego należało złapać jednocześnie wszystkich pracowników firmy. Uderzenie powinno nastąpić synchronicznie, w nocy, najlepiej nad ranem, kiedy żaden z nich się tego nie spodziewa. Tak wpadli oficerowie gangu i tak wpadli szefowie. Tak zamyka się przestępców w wielu rejonach świata.

Od przeszło godziny jeździł nieoznakowanym pojazdem. Przemierzył dwa razy całą długość ulicy Śląskiej, zatrzymał się w strategicznych miejscach, sfotografował je. Wejścia, wyjścia, okna. Robił to dyskretnie. Podwórza. Ewentualne drogi ucieczki.

Na końcu zatoczył koło, odczekał moment, wykonał kilkanaście zdjęć, a potem pojechał na ulicę Traugutta. Po jej jednej stronie znajdowały się masywne kamienice, po drugiej rozciągał się park.

To właśnie tutaj mieszkał, jak wynikało z bazy danych, Damian Rogoza. Miał na koncie sporo przestępstw, głównie seksualnych. Niestety w Krajowym Systemie Informacyjnym Policji nie było żadnych informacji o tym, czy posługiwał się jakimś pseudonimem.

Krauze wysiadł z auta, wykonał zdjęcia, a potem przeszedł się po okolicy. Wyjął z kosza na śmieci butelkę po piwie. Zataczając się lekko, wszedł na podwórze kamienicy. Rozejrzał się dyskretnie, szukając potencjalnych dróg ucieczki. Przykłęknął, bełkocząc coś do siebie.

Gdy skończył parominutową obserwację, wrócił do auta.

Potem pojechał na ulicę Przerwy-Tetmajera, wzdłuż której stały ładne domy jednorodzinne. To był trzeci punkt na jego trasie. To tutaj mieszkał Mańkut. Podejrzał, że zatrzymanie go będzie proste. Wystarczyło obstawić jeden budynek. Chyba że się zabarykaduje i zacznie coś wywijać. Ale policjanci wiedzieli, co robić w takich sytuacjach. Nie atakowali, jeśli podejrzewali, że w domu przebywa więcej osób.

Sięgnął po tablet, który pożyczył od Marcela. Zrobił zbliżenie na Google Maps. Dodał pinezkę, nanosząc interesujące go punkty. Teraz musiał dodać kolejny, czwarty.

Jazda do celu zajęła mu dziesięć minut. Jeden z pracowników mieszkał na starym osiedlu. Tutaj spółdzielnia nawet się nie wysiliła, żeby zlecić ocieplenie budynków, wyglądały jak przed kilkudziesięcioma laty: beton, cementowe łączenia, popękane ciemne spoiny.

Zrobił dla pewności kilka zdjęć. Wydawał się spokojny, ale z trudem opanowywał emocje. Marzył, by wreszcie rozładować nagromadzone od dawna napięcie.

Miał nadzieję, że ten moment niedługo nadejdzie.

Po pracy pojechał do sklepu. Chodził między półkami bezmyślnie, niczym robot zaprogramowany do zakupów. Przemierzył kolejną alejkę, dotarł do kaw. Musiał dokupić dla Oli delikatną kremę, a dla siebie mocne espresso. Lubił, kiedy kawa robiła z żołądka poligon wojskowy.

Nagle stanął jak wryty. Zobaczył przed sobą masywnego mężczyznę i o czymś sobie przypomniał.

Dokładnie w tym miejscu parę lat temu spotkał Barakudę.

Widział go żywego tylko raz, właśnie wtedy. Był to widok, który zapewne zapamięta do końca swoich dni. Długie siwe włosy związane w kucyk, szeroki krok, masywne ramiona.

Postawny mężczyzna z tak nieprzyjemnym spojrzeniem, że miało się ochotę odruchowo odwrócić wzrok, co zresztą zapewne większość osób robiła. Ale Krauze patrzył prosto w oczy temu sukinsynowi, który kontrolował niemal wszystkie nielegalne interesy w rejonie. Wymiana spojrzeń trwała kilka sekund. Ten bandzior pewnie znał każdego policjanta. Osobiście lub tylko ze słyszenia. Rozpoznawał tych, których powinien unikać.

Już myślał, że się odezwie, że coś powie. A może zrobi coś więcej. Najgorsze były w nim pewność siebie i przekonanie, że wszystko może. Jego ludzie, wierne wściekłe psy, byli gotowi pobić, skatować i zamordować każdego, kogo wskazał palcem. I tylko dlatego sam już się tym nie zajmował. Wychował sobie młodsze pokolenie.

Ale wtedy nie zrobił nic.

Ruszył, popychając wózek. Skręcił w jedną z alejek, a potem zniknął mu z oczu.

Teraz, stojąc w tym samym miejscu, nie mógł się pozbyć wspomnień. Barakuda w kałuży krwi własnej i brata. Dwaj pałający do siebie nienawiścią ludzie zginęli równocześnie. Krauze pomyślał, że już zawsze wyrażenie „ironia losu” będzie mu się kojarzyć z tą historią.

Po relaksującym prysznicu pomógł Marcelowi w lekcjach. Młody miał największe problemy z polskim i historią. Krauze niewiele pamiętał ze szkoły, ale dzięki podręcznikowi oraz filmikom z YouTube'a udało im się odrobić zadanie z imiesłowów.

Potem rozegrali dwie rundy gry, w której ścigali się monster truckami, wysokimi pojazdami na potężnych kołach. Rozrywka rodem z amerykańskich widowisk, na których widzowie gapili się na te wielkie maszyny, pochłaniając hot dogi, popcorn i colę.

Kiedy skończyli, poszedł do gabinetu. Po raz kolejny przejrzał dokumenty. Czekał jeszcze na informacje z KSIP-u, które miał mu podesłać Dominik. Omówił z nim wszystko, bo tylko na niego mógł teraz liczyć.

Robiło się późno. Miał ochotę obejrzeć jakikolwiek film sensacyjny, najlepiej amerykański, byle tylko zapewniał odpowiednią dawkę rozrywki i odmóżdżenia. Do tego chętnie wypiłby szklaneczkę whisky. Najbardziej lubił czystą bez dodatków, choć wersja z colą też mu dobrze wchodziła. Na razie jednak nie mógł sobie na to pozwolić.

Spojrzał nerwowo na zegarek, Dominik nie dawał znaku, a powinien. Wyszedł na taras tylko w T-shircie z nadrukiem „Chicago Bulls” i spodniach dresowych. Poczul przyjemny chłód, a siedzenie na twardym krześle kojarzyło mu się z czymś w rodzaju pokuty. Wiedział, że będzie musiał kiedyś odpokutować za to, co zrobił – nawet jeśli ostatecznie postąpił właściwie.

Usłyszał piknięcie w telefonie. Odczytał wiadomość. Rudzki napisał, że wszystkie dane przesłał na maila. Krauze chętnie spędziłby tu jeszcze trochę czasu, ale usłyszał kolejny sygnał wiadomości. Ta była od technika, który potwierdził, że ma podobne ślady w swojej bazie. Na miejscu zbrodni mógł być Igor. Sprawdził również rozstaw osi auta, które znajdowało się niedaleko wysypiska śmieci. 2680 milimetrów – rozstaw hondy. Dokładnie takiej, jaką jeździł Fijałkowski.

Już chciał mu odpisać, by na razie z nikim się nie dzielił tymi ustaleniami, ale po chwili odłożył telefon i nie wysłał wiadomości.

Usiadł przed komputerem i spojrzał w dokumenty. Firma „Usługi ogrodowo-porządkowe” zarejestrowana w Kłodzku. Właściciel Romuald Bańko. Lista zatrudnionych pracowników nie była długa: Jan Jagielski, Bogusław Walczak, Daniel Rogoza. Poniżej znajdowały się ich adresy.

Cztery osoby, w tym szef, którego spotkała Paulina Walas – Bańko, zwany Mańkutem, osoba z odrażającą blizną na twarzy. Kojarzył gościa, rzeczywiście parszywy typ. Jeden z bardziej agresywnych ludzi w mieście, choć w szeregach bandy nie znaczył dużo. Najciekawszy jednak wydawał mu się ten ostatni, Rogoza. Miał długą kartotekę.

Wykręcił numer do Dominika.

– Dobra, mam wszystko.

– Działamy?

– Czekaj. Trzeba zaplanować aresztowanie w jednym czasie. Z zaskoczenia, nocą lub nad ranem, żeby nikt się nam nie wywinął. Możemy skrzyknąć ludzi z antyterroru, ale to trwa. Każdy dzień działa na naszą niekorzyść.

– To na co czekamy? Możemy ich teraz wszystkich jebnąć.

– Najchętniej zrobiłbym to dzisiaj, ale...

– Ale co?

– Mam obawy, czy się uda bez odpowiedniego przygotowania – powiedział, wodząc wzrokiem po jasnych ścianach gabinetu. Jedną część była jego, druga, przedzielona niskim regałem na dokumenty, Oli. Choć zdecydowanie wolała pracować poza domem, żeby sprawy zawodowe zostawiać za progiem mieszkania. Szkoda, że on tego nie potrafił.

– Filip, co się z tobą dzieje? Serio, muszę cię do czegoś namawiać? Zwykle to tobie się pali w dupie, nie mnie. Mówię ci. Szybka akcja. Zero skutków ubocznych. Tutaj nie ma mowy o spieprzeniu sprawy. Dziś w nocy zaczniemy obserwację. Jeśli będą w swoich mieszkaniach, aresztujemy każdego po kolei. Potem twarde przesłuchania. Odsiejemy najgorszego, tego, który odpowiada za zabicie dziewczyn.

Filip chwilę się namyślał, jeszcze raz spojrzął na informacje z policyjnych baz danych. Tylko trzech z nich miało przeszłość kryminalną. Jeden z pracowników firmy ogrodniczej, Bogusław Walczak, nigdy nie był aresztowany. Był w tej grupie ewenementem.

– Możemy to zrobić inaczej.

– Mów.

– Z uwagi na okrojone możliwości i to, że mamy mało ludzi, atakujemy tych trzech.

– A Walczak?

– To płotka, nie mamy podstaw do aresztowania, nie ma na koncie nawet splunięcia na jezdnię.

– Jesteś pewien?

Filip przetarł czoło tak nerwowo, jakby chciał zerwać z siebie skalp. Odnalazł leżący na biurku blister z tabletkami na nadciśnienie, wycisnął jedną i popił zimną kawą.

– Dominik, ja już, kurwa, niczego nie jestem pewien. Analizuję, co mam. I wyciągam wnioski. Wierz mi, że jeszcze nigdy w życiu nie chciałem nikogo dopaść tak, jak tych sukinsynów. Ale lepiej, żebyśmy niczego nie spieprzyli.

– Okej. Czyli bierzemy na tapetę Bańkę, Jagielskiego i Rogozę?

– Tak. Zwłaszcza że Rogoza, jak wynika z baz oraz rejestru przestępców seksualnych, ma na koncie nakłanianie do prostytucji i podejrzenie udziału w grupie przestępczej zajmującej się handlem kobietami. Do tego nieudowodniony gwałt na szesnastolatce. Mamy Elmera, który od lat żyje na bakier z prawem, Mańkuta sadystę. Mamy ich firmę. Gang zwyroli, którzy pod przykrywką prac ogrodniczych szukali celów i polowali. Jeśli dodać dwa do dwóch, to wynik wydaje się dość prosty.

– Że obie dziewczyny pracowały dla nich?

Monika Marczuk, młoda dziewczyna, która dopiero co urodziła córkę, mieszkała w skromnych warunkach, z matką, w dwóch małych pokojach. Czyżby uznała, że sposobem na wyrwanie się z tego świata będzie sprzedawanie swojego ciała? Czy podobnie sądziła N.N.?

Może. Na razie nie miał pewności.

– Działamy? – ponaglił go Rudzki.

– Dominik, czy ty rozumiesz, czego mamy na celowniku? Siatkę handlarzy kobietami. Rozumiesz, że oni mogą być tylko częścią? Jeśli teraz coś spierdolimy, być może pozostali nam zwieją.

– Gdybym się nie orientował, jaka to parszywa sprawa, tobym nie siedział po godzinach i nie namawiał cię do ataku. A że możemy coś spieprzyć, to dość oczywiste.

– Okej, więc trzeba to zaplanować. Tu musi wszystko grać. Oddzwonię – zakomunikowałam, a potem się rozłączyłam.

Wszystkie jego pierwotne założenia były błędne. Podejrzenie, że to seria różnych przypadków, się nie sprawdziło. Przez chwilę wierzył też w swoją teorię o działającym w pojedynkę seryjnym mordercy.

Prawda była jednak prostsza, a zarazem dużo bardziej zagmatwana. Od trzech dni, po raz pierwszy w życiu, czuł na sobie ogromny ciężar. Wiedział, że każdy błąd może go sporo kosztować. Musiał tak zaplanować akcję, żeby nie spotkać się z Elmerem i nie zostać rozpoznany, choćby po głosie.

Myślał jeszcze chwilę o innych ewentualnych pułapkach.

Zapał się w głęboką skórzaną kanapę i sięgnął po telefon. Gdy czekał na połączenie, włączył informacje z kraju, ale nim zdążył się skupić na słowach dziennikarza, usłyszał w słuchawce przekleństwo.

– Później się już nie dało?

– Też się cieszę, że cię słyszę. A jeśli pytasz poważnie, to tak, dało się.

– Spałem – oznajmił męski głos brzmący jak w zwolnionym tempie.

– To ci zazdroszczę. Ja od kilku dni nie śpię. Główkuję nad sprawą morderstw.

– Czego ty ode mnie chcesz?

– Twojej pomocy.

– Filip, zlituj się. Czy ty w ogóle potrafisz wypoczywać? Myśleć o rodzinie? O czymś innym niż praca? Cierpisz na jakąś nerwicę?

– Chyba tak.

– No dobra, wygrałeś. Jeśli chodzi o naszą sprawę, decyzja jeszcze nie zapadła, bo to nie jest takie proste.

– Potrzebuję natychmiast ludzi. I to wielu. Na co najmniej dwa dni. Nie będą robili nic innego, tylko obserwowali kilka miejsc. Wiem, jakie chcesz zadać pytanie, więc ci to ułatwię. Potrzebuję obsadzić okolicę ulic Śląskiej, Traugutta oraz Przerwy-Tetmajera tyloma ludźmi, ilu jesteś w stanie sobie przy takiej robocie wyobrazić, a gdy sobie wyobrazisz, pomnóż to przez dwa. Na trzy, może cztery dni.

– Piłeś? Szkoda, że beze mnie.

– Stefan, mówię serio. Potrzebuję ludzi.

– Przed sekundą mówiłeś o dwóch dniach, a teraz mówisz o czterech.

– Bo tak naprawdę miałem na myśli pięć.

– Nie dam ci ani jednej osoby, jeśli mi nie powiesz, co znów kombinujesz.

– Mam trop. Wiem, kto za tym stoi. Nie możesz mi odmówić, bo jeśli to zrobisz, możliwe, że będziesz miał na sumieniu życie kolejnej niewinnej osoby. Powiedz „tak”, a ja zajmę się resztą.

– Nim usłyszysz „tak”, muszę wiedzieć, co ustaliłeś.

– Powiem w największym możliwym skrócie. – Krauze zrobił krótką pauzę. Musiał to zebrać w całość. To, co wiedział, i to, czego musiał się domyślić. – Nie wiem jak, ale jako pierwszy na ich trop wpadł Igor. To był ten dzień, kiedy wróciliśmy z Głuszczyca, wtedy, kiedy otrzymaliśmy wezwanie do zaginięcia kochanki Pauliny Walas.

– Słyszałem coś o tym, choć nie wczytuję się w każdy dokument.

– Ta sprawa od początku wydawała się dziwna, ale kiedy się nad tym zastanowić, okazuje się, że może wcale taka nie była. Igor natrafił na trop grupy, która czerpała korzyści z nakłaniania i zmuszania młodych ludzi do prostytucji. Znęcanie się, gwałty. Niewykluczone, że w grę wchodzi handel kobietami. Powtórzę, nie wiem, jak to zrobił, ale teraz to nie ma znaczenia. Znaczenie ma to, że ich śledził, jeździł za nimi. W pewnym momencie stał się świadkiem morderstwa. Albo samego momentu pozbywania się ciała.

– Co?!

Filip chwilę rozważał, czy to rzeczywiście był powód pobicia, a potem porwania i pogroźek, ale wszystko wskazywało, że tak. Igor ich namierzył, a potem próbował dopaść. Wywiązała się szarpanina. Bo z temperamentem Igora była to sekunda. Był jak bomba z popsutym zapalnikiem. On nie czekał na wsparcie, nie czekał na funkcjonariuszy. Walił prosto w środek całego piekła.

Co potem? Potem machina już ruszyła. Próbowali go dopaść, ale sami nie dali rady, więc poprosili kolegów o pomoc.

– Igor jest sprytniejszy, niż nam się wszystkim wydawało. Miał drugą komórkę, o której nikt nie wiedział. Nawet ja. W telefonie znalazłem zdjęcia z miejsca zbrodni. Znalazł ich, śledził, aż dotarł do Łądko-Zdroju, do wysypiska śmieci, na którym porzucili zwłoki.

– Skąd ta pewność? Masz dowody?

– Od techników. Tokarz znalazł ślady trzech osób. Dwa ślady wymagają potwierdzenia, trzecie należą do Igora. On tam był, widział, co robili. Chciał im zrobić zdjęcie, co poniekąd mu się udało, ale pewnie go zobaczyli. Potem go dopadli i pobili do nieprzytomności. No i, jak już wiesz, częściowo udało się im go uciszyć.

– Co chcesz zrobić?

– Zakończyć to wszystko. Wiem, że dopóki te sukinsyny są na wolności, dopóty nie spoczną. I będą go chcieli uciszyć. Bo był świadkiem tego, co zrobili.

– Nie skończyłeś swojej myśli, mówiłeś coś o telefonie.

– Igor zrobił z ukrycia zdjęcia. Ich samochód w pobliżu wysypiska. Są też zdjęcia dwóch facetów, którzy taszczyli coś w worku. To są oni, Stefan. Przypniemy im to.

– Jesteś pewien, że to jest to miejsce?

– Tak.

– Co z tymi dziewczynami? Jaki miały w tym udział?

– Nie wiem jeszcze, jak wpadły w ich ręce i czemu zostały zamordowane, ale się dowiem. Prawdopodobnie dla nich pracowały albo były do tego przymuszane.

– Prostytucja, powiadasz...

– Jeśli ich teraz dorwiemy, to skrócimy chociaż jedną gałąź. Bo przecież nie panowali nad całym miastem.

– Trudno w to wszystko uwierzyć, Filip. Gdyby nie twój mroczny głos jak z horroru, pomyślałbym, że to wszystko mi się śni.

– Oszczędź mi komplementów. Daj po prostu ludzi, możliwie ogarniętych.

Stefan Borek nie odpowiedział od razu. Chwilę to trwało, nim Filip usłyszał jego głos:

– Okej. Zaraz zadzwonię, gdzie trzeba, i to załatwię. Rozumiem, że jeszcze dziś poprowadzisz odprawę?

– Tak – odparł rzeczowo, wiedząc, że znów nie spędzi z Olą wieczoru.

– Dobra, masz dwa dni. Dwa dni i chcę mieć zamkniętą sprawę. Przynajmniej pozbędziemy się tego syfu – zaakcentował.

– Chcę ludzi na cztery dni.

– Mogę dać maksymalnie na trzy.

Podkomisarz się uśmiechnął.

Właśnie tyle chciał ugrać. Wiedział, że przy odrobinie szczęścia czasu będzie aż nadto.

Plan schwytania morderców już miał gotowy.

– Co za podła dziura. Wszędzie ciemno. W mieszkaniu na parterze świecą się światła.

– Z której strony?

– Z lewej.

Odtworzył w pamięci dzień, w którym był u Elmera. Jego mieszkanie przy ulicy Śląskiej znajdowało się właśnie na parterze, po lewej stronie.

– Potwierdzam, to jego mieszkanie.

– Masz pewność? – zapytał Dominik.

– Tak, byłem tam dzisiaj.

– Dobra, to czekamy.

– Obserwujcie wejście i wyjście z budynku, jest z tyłu, bo tam są garaże. Nie możemy go zgubić.

– Zrozumiałem.

A zatem mieli już na oku Jana Jagielskiego. Zespół składający się z dwóch policjantów, w tym Dominika, potwierdził, że mężczyzna jest w mieszkaniu. Jeśli Elmer zacznie się wyrwać, uciekać, dostanie od Dominika kilka solidnych liści na twarz, parę kopniaków w dupę i będzie po gościu. Rudzki nie patyczkował się z bandytami.

Ważne, by nie doszło do strzelaniny. Już na odprawie brali pod uwagę fakt, że po tym, co się stało z gangsterami z Kłodzka, pozostali będą się pilnować.

Ale i oni, wszyscy funkcjonariusze, mieli ostrą broń i kamizelki kuloodporne.

Krauze sięgnął po swój zestaw dietetyczny: kawę, sezamki oraz orzeszki.

Komunikat od Dominika go uspokoił. Pozostała im dwójka.

Spojrzał w prawą stronę, potem w lewo. Ruch był niewielki. W rejonie ulicy Traugutta znajdowały się dwa cywilne pojazdy, w których siedzieli funkcjonariusze, poinstruowani i przeszkoleni w czasie krótkiej odprawy.

Regularnie nadawali przez radio bieżące komunikaty z obserwacji, ale wszystkie brzmiały podobnie: co parę minut widzieli sylwetkę kogoś, kto w mniejszym bądź większym stopniu odpowiadał rysopisowi ze starego zdjęcia z bazy policyjnej. Nowszego nie mieli. Rogoza mógł zmienić wygląd, zapuścić lub obciąć włosy, to samo z zarostem, wagą, ubraniem. Nie wiedzieli, jak się ubierał. Jedynym, co nie mogło się zmienić, był wzrost. Metr osiemdziesiąt osiem.

Krauze ponownie rozmawiał z Pauliną Walas. Prosił ją o wszelkie szczegóły dotyczące pracowników firmy ogrodniczej, jakie zapamiętała. Cykl pracy, godziny pracy, ich wygląd, czy robili coś szczególnego podczas prac w ogrodzie. Chciał to zestawić z tym, co wiedzieli o podejrzanych. A przede wszystkim zyskać pewność, że to oni.

Niestety, nie miała za dużo do powiedzenia, poza tym, że pracowało u niej dwóch mężczyzn. Obaj mieli drobne tatuaże, obaj byli dość wysocy, jeden z nich, łysy, nosił krótko przystryżoną brodę. Drugi chodził w czapce z daszkiem, nie zapamiętała dobrze twarzy.

Ale wtedy, pod koniec czerwca, nie sądziła, że ma powody do niepokoju. Ich zachowanie nie wzbudzało podejrzeń. Nie wchodzili do domu, mieli swoje jedzenie i picie. Pracowali kilka godzin dziennie, po południu wyjeżdżali. Na koniec, ostatniego dnia, jeden z nich podszedł do domu i zrobił zdjęcie z bliska, zwyczajnie, otwarcie. Uznała, że fotografuje swoją pracę, wiele firm tak przecież robi. Zdjęcia przed i po skończonej pracy, do portfolio.

Krauze nie był jednak w tej kwestii optymistą. Wiedział, że to nie był ich prawdziwy cel.

Oni polowali. Na nią. Na jej córkę. I na trzecią osobę, jej kochankę.

Podkomisarz sięgnął po krótkofalówkę.

– Tomek, jak u ciebie? – zapytał chłopaków pilnujących Mańkuta przy Przerwy-Tetmajera.

– Bez zmian. W domu ciemno. Najprawdopodobniej go nie ma.

– Miejmy się na baczności, może dojść do odstępstwa od reguły. Pilnujcie się. Informujcie o wszystkich nietypowych rzeczach.

Krauze siedział odchylony do tyłu, by ewentualny przechodzień nie ujrzał jego twarzy, a jednocześnie w takiej pozycji, by widzieć wszystko. Nie mógł się zdrzemnąć, zamknąć oczu nawet na moment. Gdyby je teraz na chwilę przymknął, pewnie tak szybko by się nie obudził.

Nagle usłyszał cichy głos Janka, jednego z policjantów z Traugutta.

– Widzę kogoś w pobliżu naszej kamienicy.

– Dajesz.

– Dobrze zbudowany, ubrany na ciemno, czarna czapka na głowie. Idzie powoli, jakby się czemuś przyglądał.

– Obserwuj. Wysoki?

– Raczej gruby, kawał mięcha i tłuszczu, brakuje mu tylko wystających z dupy frytek.

– No to chyba...

– Poczekajcie... Kuźwa, dopiero teraz zobaczyłem, że spaceruje z psem. Nie zauważyłem tego kundla. Odwołuję.

– Pilnuj, ale raczej to nie on.

Podkomisarz zakończył rozmowę. Potem zaczął rozmyślać o jeszcze jednej niewiadomej.

Komu nie zdążyła pomóc Monika Marczuk? Kim był tajemniczy chłopiec? Jaką odegrał w tym wszystkim rolę?

I czy rzeczywiście był sens łączyć go z tą sprawą? Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

Kilkanaście minut później usłyszał kolejny komunikat:

– Panowie, właśnie pod dom podjechał cel numer dwa.

A więc zjawił się Mańkut.

– Jesteś pewien?

– Zaraz będę – rzucił policjant. Po chwili dodał: – Przeciętny wzrost, gość w średnim wieku, ubrany na ciemno.

Podobny do tego, co widzieliśmy na odprawie. Auto się zgadza. Co robimy?

– Musimy mieć pewność, że to on – powiedział Filip do kolegów. Nie mogli się pomylić, to by im spaliło akcję.

– Dość nabity, krzywy ryj, lekki zarost, krótkie włosy na jeża.

Określenie „krzywy ryj” nie wymagało uszczegółowienia, dobrze opisywało tego sukinsyna. To był on.

– Blizna?

– Nie widać za dobrze. Za ciemno.

– Okej, odprowadźcie go wzrokiem. Musi zamknąć za sobą drzwi i znaleźć się w domu.

– Czekaj, czekaj. Coś wyciąga z bagażnika. Jakaś większa torba. Niesie do garażu. W kontakcie.

Nim minęła minuta, odezwali się ci sami policjanci.

– Okej, wyszedł, gada z kimś przez telefon. Wsiada do auta.

– Kurwa, krzyżuje nam to plany! – Wściekł się, uderzając o kierownicę.

– Jaka decyzja?

Krauze milczał.

Cholera, jeśli typ dokąś pojedzie, to będą mieć problem z zatrzymaniem.

– Decyzja – ponaglił go jeden z policjantów.

– Mamy możliwość, żeby go śledzić?

– Jakaś mamy, ale sporo ryzykujemy.

– Dobra, trochę nam to krzyżuje plany, ale nie ma co przekładać na kolejny dzień.

– Filip, mamy tu dwie ekipy, więc możemy za nim jechać.

Nie miał pewności, czy to dobra decyzja. Co więcej, wciąż nie wiedział, czy akcja się powiedzie. Zakładał trzy dni obserwacji, ale znał przypadki, że odpowiednio przygotowani policjanci przez wiele tygodni nie byli w stanie zrealizować celu.

– Okej, jeden wóz jedzie za nim. Bezpieczna odległość, ale na widoku.

– Nie zatrzymujemy.

– Wybadajcie. Wolę go zatrzymać w domu. Chyba że wyczujecie, że coś się dzieje. Ale nie wtedy, kiedy będzie rozmawiał przez telefon, bo może nam zgasić całą akcję.

– Zrozumiałem.

\* \* \*

Miasto pogrążyło się we śnie.

Czekali.

Czas mijał.

Obserwował, sprawdzał co chwilę telefon, ustawienia radiostacji.

Cisza się przeciągała. Wszyscy robili, co należało. Zamknięci w dusznych samochodach, skupieni na schwyтaniu morderców. I tuż obok, za cienką szybą, pozornie niewinne miasto żyło swoim rytmem. Pomarańczowo-neonowe światła ulicy. Praktycznie żadnych spacerujących czy przechodniów, poza tymi, którzy wyszli do sklepu nocnego, czy tymi, którzy wyprowadzali w nocy na spacer psy.

Miasto domagało się ciszy, odpoczynku, snu.

Jego pole widzenia co jakiś czas przecinał jadący samochód, pojazdy komunalne – śmieciarka, zmiatarka z migającymi na pomarańczowo sygnalizatorami, które na chwilę bardziej rozświetliły ulicę.

W tle ściana budynków.

To właśnie tutaj według oficjalnych danych, jakimi dysponowali, mieszkał Daniel Rogoza, zdaniem Krauzego najgorszy z całej trójki, dewiant seksualny. Oczywiście mógł się mylić, ale trudno określić inaczej trzydziestoosmioletniego mężczyznę z taką liczbą przestępstw seksualnych na koncie. Pierwszego dokonał w wieku czternastu lat, zgwałcił dziewczynę w zakładzie poprawczym. Pewnie nie mógł nawiązać normalnych kontaktów z kobietami, dlatego robił to siłą. Groźby, wyzwiśka, zastraszanie, podduszanie, gwałt. A na końcu morderstwo.

Krauze podejrzewał, że Rogoza nie miał też normalnych relacji z rodzicami, z dużym prawdopodobieństwem był katowany. Zapewne nie miał również dobrych kontaktów z rówieśnikami. Podkomisarz spotkał już na swojej drodze różnych przestępców seksualnych, znał różne przypadki. Nie wszyscy byli tacy sami. Ale wszyscy mieli kilka cech wspólnych.

Kim Rogoza był w tej grupie? Czy Mańkut i Elmer go hamowali, czy wręcz przeciwnie – prowokowali, podjudzali, by jeszcze bardziej przerazić kobiety?

Jak się poznali, jak stworzyli tak potworną grupę polującą na kobiety?

Nie wiedział, ile minęło czasu, ale miał wrażenie, że kilkanaście minut. Ziewnął parę razy. Popatrzył na telefon, nie miał żadnych wiadomości od Oli, a na te czekał najbardziej. Nie odzywała się. Od jakiegoś czasu była na niego zła, choć nawet nie wiedział, czy to właściwe określenie. Miał świadomość, że coraz mniej się jej podoba życie u boku nieprzewidywalnego męża, który nie dość, że pracuje po nocach, to jeszcze ściąga na nich niebezpieczeństwo.

Czuł, że zbliża się do granicy jej cierpliwości i wytrzymałości, choć była raczej spokojną osobą.

– Obiekt numer dwa zbliża się do obiektu numer jeden.

– Co? – zapytał wytrącony z zamyślenia.

– Z nawigacji wynika, że jedzie na spotkanie do numeru jeden. Był w sklepie, kupił kilka butelek wódki, jakieś napoje. A teraz zmierza w kierunku Śląskiej.

– Dwie pieczenie na jednym ogniu, tego się nie spodziewałem. Janek, jeśli nasz cel zbliży się do Śląskiej, to go przejmujesz. Wy też zostajecie. Będziecie potrzebni do samego zatrzymania. Dominik, słyszałeś? Na miejscu połączycie siły i działacie wspólnie. Potem od razu na komendę z nimi. Nie pozwólcie im się rozdzielić.

– Zrozumieliśmy. Jeśli będzie bezpiecznie, to ich zgarniamy.

I znów czekanie, ale tym razem nie trwało to długo, bo zaraz usłyszał w radiu:

– Widzę kolejną osobę, ale... nie pasuje do rysopisu. Za młoda i zbyt tęga.

„To po chuj zwracasz głowę”, mruknął pod nosem. Nie powiedział tego głośno, zachował wkurwienie dla siebie. Zamknął na chwilę oczy – wbrew temu, co postanowił.

Nieznacznie zakręciło mu się w głowie.

Widział te same budynki, na które patrzył przed momentem. Sen stał się jakby jawą, jawa snem. Miał świadomość, że pogrąży się we śnie, ale nie był w stanie się obudzić. Migły mu przed oczami samochody. Jasne. Kombi, busy. W każdym z nich był Rogoza, zupełnie jakby się zmultiplikował. Z krótkiej drzemki wyrwało go radio.

– Mam kolejną osobę, szedł od twojej strony, Filip, widziałeś go? Wyszedł zza rogu – odezwał się niskim głosem jeden z policjantów.

– Opisz – polecił. Nie rozumiał, co się dzieje. Nawet nie wiedział, że zasnął. Wściekł się na siebie, bo przeoczył kolejne zdarzenie.

– Szczupły, ma na głowie kaptur, twarz przysłonięta, ale nie wygląda ciekawie. Trzyma coś w dłoni. Widziałeś go? Wydawało mi się, że wychodził z kamienicy, w której mieszka nasz cel.

– Co może mieć w dłoni? – zapytał, by nie odpowiadać na pytanie. Nie chciał zdradzić, że coś przeoczył. Że nie dopilnował wejścia do kamienicy Rogozy.

– Coś jak saszetka albo mała torebka. Schował ją do kieszeni.

– Nie spuszcza go z oczu. Jak trzeba, to wyjdźcie z auta i idźcie za nim.

– Okej.

Wahał się, czy ruszać się z miejsca, bo chciał wszystko widzieć, ale wtedy nie dość, że straciłby ponownie kontrolę nad swoją pozycją, to jeszcze mógłby się zdradzić. Odczekał trochę i zapytał:

– Jak sytuacja?

– Niedawno mnie minął. Oddala się. Zmierza na północ. Za jakąś minutę stracę go z pola widzenia.

– Widziałeś jego twarz?

– Nie. Nawet jak mnie mijał, ciężko było coś dostrzec. Ma kaptur.

Krauze zaczął przygryzać paznokcie. Nie mogli tak bardzo ryzykować. Każda akcja zatrzymania i wylegitymowania kogoś na ulicy byłaby teraz zbyt widowiskowa.

– Opisz go najlepiej, jak możesz.

– Szczupły, wysoki, naciągnięty na oczy kaptur, raczej strój dresowy, ciemny, może czarny. Jestem za daleko, żeby podać więcej szczegółów. Obejrzał się za siebie kilka razy, jakby sprawdzał, czy wszystko w porządku. Trochę podejrzane.

Podkomisarz włączył silnik i zakomunikował przez radio:

– Wiktor, w twoim kierunku idzie mężczyzna, chudy, wysoki, ma kaptur, ubrany na sportowo, przejmujesz go. Kontroluj z dystansu.

– Zrozumiałem.

Krauze znajdował się nieco ponad pół kilometra od nich, dokładnie na wprost kamienicy, która wyglądała jak wyjęta z planu filmowego amerykańskiego horroru – bez szyb w mieszkaniach na parterze. Może to właśnie stąd ktoś wyszedł, może z budynku obok. Gdyby nie zamknął oczu i nie przysnął, sprawa byłaby oczywista. Sytuacja się skomplikowała przez jego błąd.

– Masz go?

– Widzę w oddali. Zgodny z opisem.

– Pilnuj się, choć raczej niczego się nie spodziewa. Zresztą, mam nadzieję, że żaden z nich się nie spodziewa pięknego prezentu od polskiej policji.

Jeden z policjantów się zaśmiał, ale po chwili Krauze usłyszał głos kolegi.

– Filip?

– Co jest?

– Gość zmienia trasę. Odprowadzam go wzrokiem. Nie chcę być zbyt widoczny.

– Janek, tu Filip, przejmujesz pozycję, ruszam wzdłuż ulicy. Muszę go przechwycić, zanim nam zwieje.

Podkomisarz, nie czekając na auto policjantów, wrzucił bieg. Powoli wyjechał z zaułka, z którego miał widok na część ulicy. Skręcił.

Sam nie wiedział, czy to miało sens. Był już na setkach akcji policyjnych i czasami wystarczył jeden głos, jeden krzyk policjanta. Potem nie dało się tego zatrzymać. Emocje i krzyki robiły swoje. Tak działała zbiorowość. I tak zadziało to teraz.

– Nasz cel skręcił w Noworudzką. Niech ktoś go przejmie. Muszę go okrążyć, żeby się nie zorientował, że za nim jadę.

Filip odważnie wcisnął pedał gazu i przejechał spory kawałek.

Nagle dostrzegł ciemną postać. Mężczyzna szedł przed siebie dynamicznym krokiem. Nie uciekał, ale nie był to też krok spacerowy. Wyglądał, jakby zmierzał do konkretnego miejsca. Gość był wysoki. Co jakiś czas oglądał się za siebie.

Krauze zahamował, zgasił światła. Popatrzył przez lornetkę. Mężczyzna mijał wzdłuż ogrodzenie placu zabaw, a gdy znalazł się tuż obok, skręcił w prawo i zniknął za płotem.

Musiał ruszyć za nim pieszo. Zostawił auto.

Szedł za celem, utrzymując odległość niespełna pięćdziesięciu metrów, po czym skręcił w wąską uliczkę. Mężczyzna przystanął. Czekał na kogoś? Zauważył go?

Filip znieruchomiał.

Nagle mężczyzna ruszył. Krauze również. Nie spuszczał z niego wzroku, był niczym jego lustrzane odbicie. Przez kilka minut marszu zastanawiał się, dokąd idzie ten facet. Czy ma broń? Czy jest niebezpieczny?

Tamten szedł coraz szybciej, jakby podświadomie wyczuł, że jest śledzony. Ale przecież nie mógł widzieć podążającego za nim w cieniu policjanta.

Krauze przyspieszył, a mimo to mężczyzna z każdą sekundą zwiększał dystans. Oddalał się zbyt szybko. Filip co chwilę podbiegał, by go nie stracić z oczu.

Przygotował broń, ale w tej samej chwili poczuł w kieszeni wibracje. Przykleił się do ściany jakiegoś budynku, upewnił się, że mężczyzna go nie widzi, i odebrał.

– Co jest?

– Mamy ich na widelcu. Zawijamy?

– Jeśli nie ma zagrożenia, to tak. I od razu na komendę z nimi. Tam na przetrzymanie. Nie przesłuchujcie ich. Ani, kurwa, słowa. Żadnych wyjaśnień. Nie odpowiadajcie na ich pytania. Mają być zdezorientowani i wymęczeni. Jedna, dwie noce i zmiękną.

– Rozumiem.

Krauze uśmiechnął się w myślach. Za chwilę będą mieli dwóch z nich. Dwie parszywe gnidy, które skatowały Igora, a potem czaiły się na Weronikę i Zuzię.

A za moment będą mieli trzeciego. Najgorszego. I wtedy zaczną ich masakrować na komendzie.

Schował telefon i podbiegł. Chciał to już mieć za sobą.

Jeszcze parę metrów.

Aż wreszcie dopadł czarną postać i rzucił się na nią.



Patrzy na mnie, zasłaniając odruchowo usta. To i tak nic nie daje, bo są zaklejone. Stoję nieporuszony. Oświetla nas delikatne światło przebijające się spomiędzy zasłon. W dłoni trzymam nóż.

Trzęsie się, choć próbuje opanować strach i przerażenie. Czuję to.

Podchodzę bliżej. I jeszcze bliżej. Staję niemal o krok. Teraz widzi mnie całego. Nagiego. Chcę, by się napatrzyła, by czuła lęk. Bo to jest coś, co daje mi siłę. Co mnie umacnia. Karmi.

Jej strach sprawia, że czuję dreszcze, falowanie i wibrację przyjemności, której nie potrafię powstrzymać. Nie chcę powstrzymać.

Gdy się zbliżam, próbuję mi się wymknąć, uciec, ale nie ma dokąd. Nie ma jak. Łapię ją za szyję.

„Będziesz moja”, mówię do niej, choć nie wypowiadam tych słów na głos. „Już jesteś moja”, szepczę w myślach, choć chciałbym to powiedzieć do niej.

Wącham ją.

Wącham jej przesycone strachem ciało.

„Nie odbiorą mi ciebie”, mówię. „Inne oddałem, ale ciebie nie. Już zdecydowałem.

Będziesz moja. Już na zawsze”.

Nachylam się.

Nagle słyszę pisk opon. Dwa. Może trzy samochody. Trzaskanie drzwiami. Nerwowe rozmowy. Podchodzę do okna, odsuwam nieznacznie zasłonę.

Patrzę.

Wracam do niej. Oklejam taśmą jej spocone ręce, przykrywam ją kocem.

„Za chwilę do ciebie przyjdę”, powtarzam w myślach. „Bo przecież jesteś moja”.

Idę do drugiego pokoju. Podchodzę do okna, ale nikogo nie widzę. Światła miasta oświetlają moje nagie, poparzone ciało. Taki jestem od zawsze, od dziecka: łydki, nogi, cały tors i szyja. W szczelinach skóry, która nie uległa poparzeniu, czernią się niczym noc i moja dusza tatuaże. Są moją drugą skórą, warstwą, która chroni mnie przed światem. Jak pancerz.

Widzę samochód. Są w nim dwie osoby. Siedzą, nie wychodzą.

Przyjeżdża następny. Dostrzegam czerwoną poświatę, która odbija się od okna sąsiedniej kamienicy.

Odsuwam się w mrok.

Myślę o niej, nie mogę tego nie robić, to jest silniejsze ode mnie. Potem się nią zajmę. Niech się we mnie ta rozkosz pali. Niech mnie wzmacnia. Wiem, co się zaraz wydarzy.

A mimo to wciąż czuję coś złego. Coś, co zakłóca moje podniecenie.

Czuję to.

Otwieram szeroko okno. Wychylam się ostrożnie.

Wyczuwam to mocniej.

Napięcie.

Ludzki niepokój.

Rozglądam się po czarnym mieszkaniu, patrzę na długi korytarz, na masywne drzwi. Nasłuchuję. Obserwuję. Wącham.

I już mam pewność, że coś się nie zgadza.

Jeśli po mnie idą, wiem, co muszę zrobić.

Krauze rzucił się na mężczyznę z taką siłą, że obaj padli na ziemię. Tamten przekoziółkował, ale błyskawicznie wstał. Miał nieprzyjemne, chłodne spojrzenie.

– Co jest, do chuja? O co chodzi? Masz jakiś problem? – zapytał.

– Policja! – wrzasnęła podkomisarz, po czym ściągnęła mu z głowy kaptur.

Włączył latarkę. Poświecił na jego twarz. To nie był Rogoza. Był za młody. Ale fakt, wzrost i sylwetka mogły zmylić.

– Imię i nazwisko.

– Nie twoja, kurwa, sprawa.

– Co tam chowasz? – Wskazał na kieszenie luźnej bluzy.

– Nie twoja, powtarzam, sprawa. O co, kurwa, tu chodzi?!

Krauze wyciągnął legitymację. Wtedy gość potaknął. Już rozumiał, co się działo.

– To co tam chowasz?

– Nic.

– Pokazujesz albo lecimy na komendę.

– Torebka z kosmetykami.

– Pokaż, pokaż. No już.

Mężczyzna ani drgnął. Krauze miał dość czekania. Wyrwał mu zawiniątko z kieszeni. Kilkadziesiąt porcji białego proszku, pewnie amfetaminy.

– No gościu... parę lat jak nic za taką ilość.

– Daj spokój, człowieku. To nie moje. Znalazłem przed momentem, leżało, podniosłem, a tu takie coś. Skąd miałem wiedzieć, co jest w środku?

– Zdejmiemy odciski. I chuja ugrasz.

Mężczyzna chciał być cwany, przebiegły, ale się nie udało. Pomysł padł w sekundę, znacznie szybciej, niż go wymyślił.

– Nie możemy tego jakoś...

– Dowód!

Mężczyzna popatrzył na niego nieufnie.

– Nie mam.

– Nazwisko, imię, adres.

– Kamil Chełmski, Jaracza trzy przez osiem.

– Skąd idziesz?

– Od klienta.

– Od kogo? – zapytał, wciąż trzymając w dłoni torebkę.

– Od klienta, mówię.

– Gdzie on mieszka?

– Traugutta.

– Nazwisko.

– RODO, kurwa, nie mogę.

– RODO to zaraz będziesz miał na komendzie.

Gość zrobił kwaśną minę.

– Daniel. Taki pojeb. Ale nie znam nazwiska.

W tej samej sekundzie wszystko stało się jasne.

– Co o nim wiesz?

– Tutejszy pojeb, ale dobry klient. Kupuje systematycznie.

– Dla siebie?

– Po chuj te pytania? Skąd mam wiedzieć. Nie pytam.

– Syp go, kurwa, albo ja ci zaraz sypnę.

– Nie wiem dla kogo, pewnie dla siebie. Wygląda, jakby ciągle był na haju.

– Jest w mieszkaniu sam czy z kimś?

– A skąd mam wiedzieć, nie wchodziłem do środka. Wolę go unikać. Widać, że ma coś nie tego z głową.

– Jest sam czy z kimś? – powtórzył.

– Nie widziałem nikogo.

– Jest uzbrojony?

– Czego ty właściwie chcesz? O co tu chodzi? Co to za pieprzona szopka? – zapytał, po czym zaczął się otrzepywać z trawy i mokrych liści.

Krauze nie odpowiedział. Odwrócił się, mając go wciąż na oku.

Sięgnął po radio i rzucił do policjantów:

– To nie on. Ale nasz cel jest w mieszkaniu. Wszyscy wolni natychmiast na Traugutta. Nie wypuszczamy nikogo. Zróbcie blokadę z każdej strony. Ruchy, ruchy!

Zakończył rozmowę i zadzwonił do Dominika.

– Jak akcja? – zapytał. Miał na myśli ich dwa cele. Nie chciał niczego mówić wprost. Zwłaszcza przy zatrzymanym.

– Zgodnie z planem. Gdy weszliśmy, obalali już flaszkę. Rzucali się. Dostali ostro po ryju, musiałem trochę im sklepać maskę. Ale już spięci, w drodze na dołek.

– Obiłeś ich?

– Mańkut dostał kopa w twarz. Nie dało się inaczej. Gdy wstawał od kielicha, poleciał kolejny. Jest za wolny. Albo wciąż nie doszedł do siebie po spotkaniu z Igorem. Chyba nie spodziewał się ataku, nie miał nawet broni. Zaraz potem rzucił się na nas Jagielski. Ale to cienki leszcz. Wsiadłem na niego, przetrzepałem mu ryja, jak należy. Po paru liściach poskładał się jak wersalka z Ikei. Mówiłem ci, należało się im.

– Okej, zostaw ich chłopakom. Dadzą sobie radę. Przyjeżdżaj, robimy zamknięcie.

– Do trzeciego?

– I najgorszego.

– Okej, będę za pięć do sześciu minut.

I to mu się w nim podobało. Zero pieprzenia. Tylko działanie. Klepanie maski, trzaskanie po dupie i robienie, co należy. Gdyby był z nimi Igor, akcja byłaby majstersztykiem, jeśli chodzi o popisowe zatrzymanie.

– Dobra, Kamil. A teraz powiedz mi, co wiesz o swoim kliencie. Ma broń? Noże?

– Nie wiem. Nie gadamy prywatnie. Kupuje tylko towar. Co parę dni. On zawsze był trochę nie tego. – Zrobił wymowny gest w kierunku głowy. – Jest pojebany.

– Ma broń? – powtórzył.

– A skąd, kurwa, mogę wiedzieć?

– Ktoś się tam kręcił?

– Nikogo nie widziałem.

– Dawaj mi jego numer.

Mężczyzna sięgnął po komórkę i pokazał ją Krauzemu. Nie miał przy sobie nic do pisania, więc wyrwał mu z ręki telefon.

– Okej – powiedział, oddając mu torebkę. – Spisałeś się dzisiaj, więc to twój szczęśliwy dzień. Telefon zostaje ze mną do jutra. Torebka zostaje u ciebie. Chyba niezły deal, co? Zgłoś się na komendę, to ktoś ci go odda. Tylko pamiętaj o jednym.

– Yyy – mruknął typ, bo nie wiedział, o co chodzi. Zapewne nie spodziewał się takiego finału. – O czym?

– Jeśli się dowiem, że sprzedajesz dragi dzieciakom albo kobietom w ciąży, to osobiście przyjadę i cię zapierdole jak wesz. A teraz wypierdalał, żebym cię tu więcej nie widział.

Mężczyzna stał, nic nie mówiąc. Albo był przećpany, albo w szoku. Nie rozumiał, co się wydarzyło, ale wreszcie skumał, że nie powinien tu dłużej stać.

Zdyszany podbiegł do auta. Wsiadł i ruszył z piskiem opon.

Wykręcił numer jednego z policjantów.

– Gdzie jesteś?

– Na miejscu, gotowi.

– Jeśli drzwi będą zamknięte, wchodzimy na krzywy ryj.

Jadąc, bębnił palcami o kierownicę. Włączył radio. W jakiejś stacji leciała muzyka dance. Co za popieprzone dźwięki, skrzywił się i pomyślał, że ta muzyka jest chora psychicznie. A jednak jej nie wyłączył. Chciał zagłuszyć swój szybki, rwany oddech. Chciał się już kłaść spokojnie, zasypiać z myślą, że Weronice, Zuzi oraz Igorowi nic nie grozi, mimo iż żyły swoim życiem, wróciły do domu i czekają na niego. I że nic nie grozi ludziom, którym te sukiny mogły dopiero zgotować koszmar.

Uśmiechnął się, gdy zobaczył migające światło latarki oraz paru policjantów, w tym Dominika. Dziwne, dotarł szybciej od niego.

Podjechał i zatrzymał się po przeciwnej stronie jezdni.

– Byliście już w środku?

– Zamknięte.

– No to trzeba było grzecznie, kurwa, zapukać.

Wyciągnął z bagażnika torbę podobną do tej, w jakiej się nosi rakiety do tenisa, zdjął kurtkę i podszedł do nich.

Ale Krauze ani myślał nosić w niej sprzęt sportowy. Zawsze jeździł z torbą pełną broni i narzędzi. Nawet jeśli pożyczał od kogoś samochód albo wsiadał do służbowego, przepakowywał ją do bagażnika. Nie rozstawał się z nią. Rzucił ją teraz na chodnik i wyciągnął długą pomarańczową siekierę, jaką posługują się drwale.

– Jak to mawiają, pukajcie, a będzie wam otworzone – powiedział, biorąc zamach. – Odsuniecie się, bo wam łby poupierdalam!

Zamachnął się. Budynek pochodził zapewne z początku ubiegłego wieku, drzwi wyglądały, jakby ich nigdy nie wymieniano. Krauze wziął kolejny zamach i trzasnął jeszcze raz, tym razem skutecznie wyrubując zamek zapadkowy.

– Panowie, tyły. Pilnujemy się, na wypadek gdyby chciał nam spierdolić. Zatrzymujemy każdego, kto będzie próbował wyjść jakimś oknem albo drzwiami. Zaraz będzie nasz. W całości lub kawałkach.

Podkomisarz wziął trzeci zamach i łupnął siekierą z całej siły. Po nim jedno ze skrzydeł drzwi roztrzaskało się na pół. Dominik sięgnął po klamkę z drugiej strony, żeby otworzyć. Nie udało się. Odsunął się nieco i kopał w deski, aż wreszcie drzwi się poddały.

– Numer? – zapytał Dominik. Był wyraźnie wściekły, a zarazem nienaturalnie podniecony. Ale Filipa to ucieszyło. Aspirant miał na sobie spodnie dresowe oraz bluzę z napisem Carhartt, spod której przebijały się napompowane ramiona.

– Dziewięć.

– A więc to będzie na samej górze – odpowiedział ostro. – Wbijamy.

Zdawali sobie sprawę, że postawili na nogi wszystkich mieszkańców. O ile ktoś tu w ogóle mieszkał. Z zewnątrz budynek wyglądał na opuszczony. Czuło było smród pleśni i stęchlizny. Rozświetlili ciemność latarkami punktowymi, światło omiotło wysokie sufity i łuszczące się lamperie. Wymarłe miejsce. Wręcz idealne dla człowieka, który ściągał tu wprowadzone kobiety.

Wchodząc na górę, wprawiali w ruch drobinki kurzu i stare skrzypiące schody.

Trzymali skierowaną ku górze broń, bo mógł słyszeć wyłamywanie drzwi.

Na pierwszym piętrze stał stary rower, butla z gazem, worki ze śmieciami. Wszystko przykrywały pajęczyny.

„Za cicho”, pomyślał Krauze.

Drugie piętro. Tutaj również czuć było smród, kurz i coś jeszcze. Nie rozpoznawał tego zapachu. Miał wrażenie, jakby nikogo tu nie było, a wszyscy uciekli przed jakąś zarazą.

Podkomisarz przystanął i przyłożył palec do ust. Ktoś stał za drzwiami i nasłuchiwał. Pewnie sąsiad, który usłyszał hałas.

Ruszyli.

Kolejny zakręt na klatce schodowej i kolejne strzeliste schody.

Wspięli się na ostatnie piętro, trzymając się poręczy schodów, które ciągnęły się jeszcze kawałek, a potem ginęły w ścianie, jakby prowadziły gdzieś dalej, do innego, zamurowanego świata.

– To te na samym końcu. – Skinął w kierunku drzwi.

Kilka sekund później dotarli na koniec korytarza. Stanęli przed wejściem. Drzwi miały nowy zamek. Metalowe śruby połyskiwały w świetle jasnych latarek.

Krauze trzymał w dłoni atrybuty prawdziwego policjanta, który szedł na wojnę z całym zepsutym światem. Broń i siekiere. Wyglądał niczym obłąkany pirotechnik, który zastanawia się nad ilością ładunku wybuchowego potrzebnego do wysadzenia obiektu. Już na pierwszy rzut oka wiedział, że to będzie szybka robota. Drzwi nie wyglądały na solidne.

Był podniecony, a zarazem koszmarnie zmęczony. Chciał już go dopaść.

– Lepiej się odsuń – powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu i się przymierzył. – Mam zamiar rozjechać to za pierwszym zamachem.

Drzwi rozpadły się na dwie części. Ostrze siekiery utkwilo w drewnie, więc musiał użyć siły, żeby ją wyrwać. Po dwóch kolejnych uderzeniach zamek się poddał, drzwi były już roztrzaskane, ale nie dało się ich otworzyć. To nie zamek je trzymał.

Zablokowało je coś innego. Coś, czego nie powali siekiera.

– Kurwa, zabarykadował się.

– Okej, teraz ty się odsuń – powiedział Dominik.

Rudzki zawył jak dzikie zwierzę i kopnął w nie z całej siły. Stukilogramowy atleta uderzył najmocniej, jak potrafił. Ponowił. Był nie do zatrzymania. Wpadł w szal, napierał całym ciałem.

– Chyba jakaś wersalka. Dawaj we dwóch! – wrzasnął do Filipa.

Coś drgnęło, ale niewiele. Z mozołem przesuwali je o centymetr.

Wreszcie po kolejnym uderzeniu Krauze mógł wsunąć siekiere do środka. Zrobił z niej dźwignię, napał całym ciałem, po czym pociągnął z całej siły.

Jedno ze skrzydeł się wyłamało.

Wsunęli się do środka, trzymając broń i latarki w tej samej linii. Dopiero teraz zobaczył, że drzwi były podparte kawałkiem grubej deski. Oświetlili mroczny tunel. Miejsce, w którym powinien się znajdować trzeci z nich. Prawdziwy potwór.

Krauze zdał sobie sprawę, że byli dla niego łatwym celem. Zbyt łatwym. Gdyby chciał, mógł do nich strzelić wiele razy. A oni jak zwykle maksymalizowali zagrożenie. Weszli we dwóch, choć powinni całym oddziałem.

Po prawej stronie zauważyli drzwi. Dominik potraktował je butem. Trzasnęły z taką siłą, że aż odbiły się od ściany. Łazienka. Pusta. Żadnych nietypowych, niebezpiecznych przedmiotów, narzędzi, sznurów.

Rozświetlili ponownie korytarz. Długi, z wieloma drzwiami, jakby zajmował niemal całą kondygnację. Mieszkanie musiało mieć ponad osiemdziesiąt metrów, może więcej.

Lewa strona. Drzwi do pokoju. Za nimi kolejne, potem następne.

– Właż. – Krauze usłyszał głos kolegi. – Ubezpieczam resztę.

Otworzył drzwi do kolejnego pomieszczenia, w którym panowała tak nieprzenikniona ciemność, że nawet silne latarki z trudem radziły sobie z przedarciem się przez zasłonę czerni, jakby pokój był wypełniony czarnym dymem. Filip wszedł do środka. Pomieszczenie wyglądało na puste.

Zmrużył oczy, bo dostrzegł coś w kącie. Podeszedł ostrożnie bliżej. Palec dotknął spustu. Jedno pociągnięcie. Koc? Nachylił się i podniósł go ostrożnie.

Ujrzał leżącą tyłem do niego kobietę. Miała zamknięte oczy. Wymęczoną, wręcz zmalretowaną twarz. Zaklejone usta i skrępowane ręce. Dygotała.

Była półprzytomna, nie podejrzewał, żeby spała, pewnie mózg się odciął, wyłączył, aby – być może – nie myśleć o tym, co ją spotkało. Mogła być również pod wpływem substancji odurzających. Wszystko brał pod uwagę.

– Jestem z policji. Jesteś już bezpieczna. Nic ci nie jest?

Potrząsnęła głową. Ciężko oddychała. A mimo to się nie poruszyła. Może się bała.

Wyjął szczyryk z kieszeni i przeciął taśmę.

– Jesteś już bezpieczna, poczekaj tu chwilę. I nie ruszaj się stąd pod żadnym pozorem.

Sięgnął po telefon i wezwał pomoc. Wrócił na korytarz.

– Mamy dziewczynę.

Dominik skinął głową, ucieszył się. Popatrzył w kierunku następnych drzwi.

– Walimy razem na trzy.

Krauze wiedział, że to nie czas, by myśleć o czymkolwiek innym. Nawet o tym, jak bardzo ryzykował, jak bardzo narażał swoje życie i życie drugiego policjanta. Nie myślał o tym, że taką akcją należało odpowiednio zaplanować, przygotować, opracować strategię ataku, zabezpieczyć drogi ucieczki.

Myślał tylko o jednym: musi uderzyć z całej siły. Był czołgiem wjeżdżającym ludziom do domów, kiedy się tego najmniej spodziewali.

– Raz, dwa, trzy!

Naparli obaj z całej siły. Drzwi się otworzyły.

I znów ujrzeli czerń, może jeszcze ciemniejszą niż w pierwszym pomieszczeniu.

Pokój był pusty.

– Co za pieprzona nora.

Wycofali się i otworzyli trzecie drzwi. Na środku leżał materac.

Weszli do kuchni, ale w niej, poza starymi meblami i paroma naczyniami, nie było nic więcej.

Krauze opuścił broń. Przejrzał szafki, lodówkę, potem zajrzał do każdego kąta, w którym można było się schować. Wrócił do pokoju, w którym stała leżanka. Oświetlił wszystko.

Podniósł ubranie. Brudne. Przejrzał kieszenie. Wyciągnął torebkę po narkotykach. W drugiej znajdowała się strzykawka.

Coś mu tu nie pasowało. Nie umiał tego nazwać, ale czuł, że coś jest nie tak.

Obszedł ponownie mieszkanie, potem przeszukał łazienkę. Ale nie było tu niczego.

– On tutaj w ogóle nie mieszkał. Mogło go tu w ogóle nie być w ostatnim czasie.

– Więc jak się zabarykadował?

Krauze wyciągnął telefon dilera, którego niedawno dopadł. Był zablokowany. Próbował narysować na ekranie różne wzory, wpisać kod, ale po chwili pojawił się komunikat, że została ostatnia próba. Potem urządzenie zostanie zablokowane.

– Kurwa mać, ale byłem głupi. Nie mam teraz jak sprawdzić. A może... może to była pieprzona ustawka? Może się zorientował, że go obserwujemy – powiedział i podał Dominikowi telefon. – Zajmij się tym. Znajdź mi tego gościa i ściągnij go na komendę – nakazał i poszedł do dziewczyny. Latarkę położył na podłodze. Nie chciał jej oślepić.

– Jak masz na imię?

– Dominika – wyszeptala tak cicho i niepewnie, jakby bała się swojego głosu albo tego, że mówiąc, sprawi, że ten potwór się obudzi i tu przyjdzie.

Ucieszył się, że ją odnalazł.

– Jesteś już bezpieczna. Nikt więcej cię nie skrzywdzi.

Dziewczyna, przykryta czymś, co wydawało się starą narzutą albo kocem, nieznacznie potaknęła.

– Był tutaj? Ten mężczyzna... Ten, kto ci to zrobił.

Rozejrzał się po ciemnym pokoju. Kiedyś musiał to być piękny salon, w którym tętniło życie, jedzono w nim śniadania, obiady i spędzano miły świąteczny czas.

A teraz to miejsce było martwe.

– Nie wiem... co się dzieje... kręci mi się w głowie... Był... – odpowiedziała skołowana, przyzymkając oczy.

Chciał jej zadać wiele pytań o to, jak się tu znalazła, jak wyglądał napastnik, co robił, czy była maltretowana, gwałcona, bita, czy przychodzili tu inni, ale uznał, że nie powinien jej tego dzisiaj robić.

Ledwo kontaktowała. Nie dostrzegł śladów krwi. Tylko siniaki. Ale jej stan musiał ocenić lekarz.

Najważniejsze, żeby teraz odpoczęła i doszła do siebie. Przyjdzie czas na odpowiedzi.

Krauze obszedł ponownie każdy zakamarek, obejrzał sufity. Podszedł do każdego okna. Te w pokojach były zamknięte od środka.

Te w kuchni, które wychodziły na wewnętrzną część mrocznego podwórza, były przymknięte. Obok znajdowała się instalacja odgromowa. Była solidna.

– Spierdolił nam dachem. Zostań z dziewczyną. Pilnuj jej, aż do przybycia pogotowia.

Zbiegł na dół, na ulicę. Podeszedł do jednego z policjantów, po czym skierował światło latarki na dach. Zobaczył, że ten łączy się z kolejnym, a potem z następnymi. Ciąg kilkunastu kamienic niknął w ciemności, daleko za zakretem.

– Ja pierdołę... Uciekł nam dachem. Miejcie oczy dookoła głowy. Trzeba załatwić helikopter, drona, wszystko, co mamy. Ściągnijcie tu jak najwięcej ludzi! – krzyknął do nich. – I dzwoń po techników. Trzeba zabezpieczyć ślady w jego mieszkaniu.

Krauze przyglądał się dachom, rynnom, dziesiątkom balkonów, po których można było zejść. Pomyślał o podwórzach, którymi można było uciec.

Dopiero teraz sobie uświadomił, że morderca kilku kobiet mógł być już daleko stąd.

Przed paroma godzinami na miejsce ściągnięto dodatkowe posiłki. Kilkunastu policjantów przeszukiwało centymetr po centymetrze pobliskie piwnice, strychy, zaułki, ale nie natrafiono na ślad mężczyzny.

Jedyną możliwą teorią wyjaśniającą ucieczkę Daniela Rogoży było to, że miał plan awaryjny.

„Tak, on był gotowy na każdą ewentualność”, pomyślał Krauze.

## Zakończenie

Kiedyś usłyszał, że aby wyzbyc się obrazów, których nie chcemy w sobie nosić, należy na nie nałożyć inne, przyjemniejsze. Dzięki temu te niechciane można częściowo wymazać. Nie wiedział, czy to prawda, ale nie miał lepszego pomysłu, jak wyrzucić z pamięci wizje ostatnich dni, dlatego od rana oglądał filmy, przeglądał zdjęcia z wakacji i słuchał muzyki. Po południu pojechał z Marcelem na basen, zjadł z nim obiad, a potem wspólnie spędzili wieczór.

Następnego dnia przeglądał dokumenty pozostawione przez Konrada Karpowicza. Musiał zrobić, co do niego należało – dokończyć dzieło kolegi. Niestety, komendant, mimo jego nacisków, nie chciał się angażować w zatrzymanie bandziorów z gangu kłodzkiego. Powiedział, że sprawą zajmą się funkcjonariusze CBS. Krauze był wściekły. Stał na tarasie, zaciskał dłoń na komórce i rzucił tyle kurew, że sąsiedzi wietrzący mieszkania pozamykali okna, by tego nie słyszeć.

Borek wyjaśnił, że priorytetem jest schwywanie Rogozy, ostatniego ogniwa siatki porywającej kobiety w Kłodzku i okolicy. Mieli w garści Mańkuta i Elmera, którzy go dobrze znali. Wieczorem miała się odbyć pierwsza faza przesłuchań. Krauze wiedział, że nie może w nich uczestniczyć, dlatego musiał poinstruować Dominika.

Później zadzwonił do Tomka Czai, informatyka śledczego, który obiecał mu program do odzyskiwania danych z telefonów. Dzięki niemu mógł bezinwazyjnie ściągnąć wszystkie pliki, przejrzeć historię używanych w telefonie kart SIM, sprawdzić lokalizacje, w których telefon był używany, odzyskać usunięte dane – zdjęcia, wideo, notatki oraz inne dokumenty.

Chciał przeanalizować zależności pomiędzy wszystkimi osobami. Interesowały go układy, relacje, kontakty, hierarchie. Uznał, że to wszystko da się zrobić, jeśli się temu poświęci dużo czasu i uwagi.

Choć jeśli chodziło o czas, to ten, przez najbliższe dni, zamierzał poświęcić rodzinie.

Po południu zadzwonił lekarz zajmujący się Fijałkowskim. Powiedział, że Igor został wybudzony ze śpiączki farmakologicznej.

Filip szczerze się ucieszył. Czekał na to tyle czasu.

– Igor chciałby ci coś powiedzieć – dodał mężczyzna. – Bardzo o to prosił. Jest osłabiony, więc go nie męcz. Daję wam minutę, bo zaraz ma rezonans. Już na niego czekają.

Chwilę później Krauze usłyszał głos przyjaciela. Zbolały, zmęczony, nieco niewyraźny:

– Cześć, stary byku.

– Brzmisz gorzej niż źle nastawione radio – odpowiedział szczęśliwy.

– Bo mnie, kurwa, coś źle ustawili. Coś mi w dyńce poprzestawiali. Ale grunt, że żyję.

Filip znów się szczerze uśmiechnął. Brakowało mu tego.

– Rozmawiałeś już z Weroniką i Zuzią?

– Jesteś pierwszy. Pogadam z nimi po badaniach. Poza tym poczekam, aż będę gotowy. To wszystko... wymaga... kur... ach... ale boli – jęknął, nie kończąc zdania.

– Co?

– Mniejsza o mnie. Muszę ci powiedzieć, co się wydarzyło...

Krauze się zamyślił. Fakt, wydarzyło się. Więcej, niż podejrzewał, że może się wydarzyć w ciągu paru dni.

– Musisz coś wiedzieć – ciągnął Igor. – Te dziewczyny, gang Barakudy. To wszystko się łączy. Oni chcą mnie dopaść, Filip. Rozumiesz to?

Krauze nagle poczerwieniał. Chryste Panie, on o niczym nie wiedział, Fijałkowski nie wiedział, że ci ludzie już nie istnieli. Że wszystko się skończyło. Że może odetchnąć. Właściwie oni obaj. Popatrzył odruchowo na zegarek. Na upływający czas. Pomyślał również o podsłuchach. Coraz mniej ufał ludziom. Wolał o tym nie rozmawiać przez telefon.

– I ten chłopiec – dodał mrocznym, obcym tonem, jakby to nie był jego własny głos. Zimny, cichy, przepojony jakimś rodzajem cierpienia. I to nie tylko fizycznego.

Filip aż zadrżał.

– Co? Co z tym chłopcem? Ty wiesz, kim on jest?

– Wszystko ci wyjaśnię.

– W porządku. Przyjadę wieczorem – powiedział na koniec.

A więc i to, ta niewiadoma, która spędzała mu sen z powiek, wreszcie się wyjaśni.

Gdy odłożył telefon, sięgnął po list, ten, który zabrał ze sobą, gdy Konrad konał na podłodze starej willi w Lewinie Kłodzkim.

Karpowicz napisał, że musiał zająć się bandziorami, których zwabił na swoją działkę.

Od lat czekał na rozliczenie z największym potworem, jakiego znał, ze swoim bratem. Wyznał, że wielokrotnie chciał popełnić samobójstwo, ale przy życiu trzymała go myśl o zemście.

Podziękował Filipowi za wszystko. Prosił również, by za wszelką cenę ująć wszystkich pozostałych bandytów, którzy pracowali dla jego brata. Napisał mu również, gdzie powinien szukać dalszych wskazówek. Sądził, że jeśli podkomisarz wnikliwie przeczyta wszystkie dokumenty, wytypuje właściwą osobę. Kogoś, kto finansuje, inwestuje i pierze pieniądze gangsterów.

Po południu zadzwonił do Oli. Powiedział, że chciałby spędzić tylko z nią chociaż jeden dzień. Jak za dawnych czasów, kiedy byli młodzi i mogli się cieszyć sobą.

Chciał poczuć jej dotyk, zobaczyć jej uśmiech, zmieniający się kształt ust, gdy na niego patrzyła, cudownie rozpromienione oczy. Chciał chłonąć jej zapach: naturalny, delikatny.

Po raz kolejny przeprosił ją za wydarzenia ostatnich dni, za nadmierne koncentrowanie się na śledztwie. Przyznał również, że bardzo się za nią stęsknił. Była wspaniałą kobietą, kochał ją ponad wszystko, a mimo to ostatnio niebezpiecznie się od siebie oddalili. Ona oddawała się pracy, on też.

Obiecał, że w najbliższych tygodniach odpuści z robotą, nie będzie siedział w pracy dłużej, niż to konieczne, i skupi się tylko na nich.

Na początku kręciła nosem. Nie lubiła zmieniać planów. Nie miała już tej spontaniczności co kiedyś. Ale wreszcie uległa i powiedziała, że zostawi Marcela z babcią do następnego tygodnia. Nic wielkiego się nie stanie, jeśli chłopak nie pójdzie do szkoły, uznali. Perspektywa wspólnie spędzonego weekendu była czymś, co bardzo ich ucieszyło. Ale Filipa ucieszyło coś jeszcze. Rozmowa o czymś, co się częściowo wiązało ze sprawą.

Poprzedniego dnia poprosił ją, by zadzwoniła z jego telefonu i zamówiła jedzenie. Sięgnęła po komórkę, ale zamiast odblokować ekran, niechcący uruchomiła aparat. By z niego wyjść, aplikacja cofnęła ją do katalogu z ostatnio wykonanymi zdjęciami. Przejrzała je z ciekawości. W pewnej chwili znieruchomiała, po czym spojrzała na niego pytająco.

Filip zrozumiał to spojrzenie. Znał ją tyle lat, znał wszystkie jej miny, ruchy warg, spojrzenia. Od razu się domyślił, że coś się stało.

Zapytała, skąd ma te zdjęcia.

Jeszcze nie wiedział, co zobaczyła, ale miał świadomość, że było to coś, czego nie powinna ujrzeć.

Dopiero kiedy obróciła w jego kierunku telefon, odetchnął z ulgą.

To był luksusowy dom Pauliny Wałas. Zdjęcia wykonał niedawno, podczas ostatniej wizyty.

Ola powiedziała, że to jeden z najdroższych domów w okolicy, jeśli nie najdroższy. Został zaprojektowany w jednej z najbardziej ekskluzywnych pracowni architektonicznych na świecie. Sam projekt kosztował podobno tyle, ile budowa przeciętnego domu w okolicy wraz z wykończeniem. Pomyślał, że chętnie o tym posłucha w ramach ciekawostki.

Od dwóch godzin sprzątał mieszkanie. Wycierał kurz, mył podłogi, układał rozrzucone w sypialni ubrania i wkładał je do szafy. Ustawił płyty kompaktowe i winylowe, pozmywał naczynia, zmienił narzuty. Dawno nie czuł takiego zapachu do działania. Dopiero teraz sobie uzmysłowił, jak bardzo jego praca bywała trująca; jak toksyczne było myślenie o niej, angażowanie się bardziej, niż należało. Wiedział, że musi przystopować, bo przekroczy granicę, za którą już nic nie będzie takie samo.

Wyniósł do piwnicy wszystkie kartony od Karpowicza i schował je w szafie pancерnej. Wracając, wziął ze sobą dwie butelki dobrego białego wina.

Włączył losowo playlistę na YouTubie, a potem wrócił do kuchni. Usłyszał piknięcie, czekała na niego wiadomość od Oli. „Jestem w drodze. Będę w domu za 20 minut”.

Wyszedł na balkon, by wytrześć poduszki z kanapy. Na dworze panował taki chłód, że zatrząsł się z zimna. Drzewa połyskiwały jasnym nalotem delikatnego szronu. Świat trwał w spokojnej, prostej, a zarazem niezrozumiale skomplikowanej formie. Rozejrzał się. Uwielbiał ten widok.



Popatrzył na stojący wzdłuż drogi ciąg samochodów. Zwrócił uwagę na jeden z nich, jakby niepasujący do całości. Czarny, lśniący nowością. Fura kosztowała pewnie tyle, ile ich dwa auta i połowę tego, co zainwestowali w mieszkanie w centrum. Nie rozpoznawał z góry, co to za marka, ale miał wrażenie, że już go tu widział.

A może mu się zdawało?

Ale mimo wszystko coś mu nie pasowało.

Przekrzywił głowę. Nie kojarzył, by któryś z sąsiadów miał taki samochód. Nowy, luksusowy, z przyciemnionymi szybami.

Ocknął się z zamyślenia i spojrzął na zegarek. Czas upływał. Wrócił do środka.

Nastawił piekarnik z mięsem, przygotował makaron do gotowania. Szykował się do zrobienia swojego popisowego dania. Sprawdził też, czy ma warzywa na sałatkę, i nakrył stół. Spojrzął na nowoczesną kuchnię zaprojektowaną przez architektkę. Ola od lat siedziała w nieruchomościach, więc wiele spraw związanych z mieszkaniem załatwiała taniej dzięki znajomym, z którymi współpracowała. A co najważniejsze, robiła to stylowo, na poziomie.

Musiał przyznać, że mieli ładne mieszkanie.

Nalał wody do garnka i włączył gaz.

Zegarek bezlitośnie odmierzał czas. Nie miał pewności, czy zdąży, ale trudno, najwyżej Ola chwilę poczeka. Pewnie się roześmieje, gdy zobaczy go w kuchni, potem stukną się kieliszkami i zaczną rozmawiać. Chyba właśnie tego mu najbardziej brakowało.

W tej samej chwili usłyszał melodię w swoim telefonie. Pomyślał, że to Ola, ale okazało się, że dzwoni naczelnik wydziału kryminalnego Jan Byczewski.

– Cześć, Filip, mamy już pewne dane co do ludzi, których zdziesiątkował Karpowicz. Rozmawiałem z prokuratorem. Sprawa pewnie ostatecznie trafi do archiwum. Gdy wrócisz po urlopie, będziesz miał akta na biurku. W tym wszystkie dane o sześciu zamordowanych w tej szopie.

– Co? Co ty powiedziałaś?

– Czego nie rozumiałaś?

– Ilu ludzi? – zapytał, nie dowierając w to, co usłyszał.

– Sześciu. Tylu ludzi zwabił w pułapkę Konrad. Mamy potwierdzenie patologa.

– Jesteś pewien? – zapytał, nic z tego nie rozumiejąc. Przecież Karpowicz uwięził siedmiu ludzi, doskonale pamiętał. Niemożliwe, by doszło do pomyłki. Ale też nie wierzył, żeby lekarze się pomylili. O co tu chodzi?

Zrobiło mu się gorąco, poczuł nagły skok ciśnienia. Wziął kilka głębokich wdechów. Burknął coś na odczepnego naczelnikowi i zakończył rozmowę. Jeden z nich się uwolnił. Uciekł. I najprawdopodobniej przeżył atak.

Usłyszał dzwonek do drzwi. Wytań dłonie o jasną ścierkę z haftowanymi motywami i pomyślał, że przecież Ola ma klucze. A może nie wzięła z auta?

Poszedł do przedpokoju, spojrzął na swoje odbicie w lustrze. Postanowił, że na to spotkanie wystarczy koszula i dżinsy. Dbał o siebie i choć jak na swój wiek wyglądał dobrze, wiedział, że upływających lat niczym nie zamaskuje. Spojrzął przez wizjer, ale niewiele było widać.

– Kochanie, to ty? – odezwał się, odryglowując drzwi. – Chyba stęskniłaś się za mną bardziej, niż sądziłem.

Otworzył drzwi szeroko i nagle jego oczy znieruchomiały.

Przed nim stała ciemna postać. Nie dostrzegł wyraźnie twarzy, ale chyba skądś ją znał.

Gdzieś ją musiał widzieć, ale nie potrafił sobie przypomnieć. Setki obrazów wirowały mu w pamięci, dziesiątki nazwisk, umysł pracował szybciej niż zwykle. Ale nie umiał jej zidentyfikować. Serce zaczęło bić z zawrotną prędkością.

I nagle coś spostrzegł.

Coś, na co nie był przygotowany, a przecież prawie całe życie był gotowy na najgorsze.

Nim zdążył się odchylić, sięgnąć po wiszącą na wieszaku broń, nim zdążył trzasnąć z całej siły drzwiami, stojąca przed nimi osoba błyskawicznie wycelowała w niego broń.

– Przesyłam ci wiadomość – usłyszał szept.

Po nim nastąpiły dwa wystrzały.

Krauze runął na podłogę.

## O autorze



fot. Luiza Różycka  
HUBERT HENDER

urodził się w Jeleniej Górze, mieszka z rodziną w Warszawie. Pisarz, wielbiciel gór mrocznych miejsc. A przy tym nieumiarkowany kawosz. Fan serialu *Rodzina Soprano*. Kolekcjoner i miłośnik książek. Kocha zarówno literaturę piękną, jak i faktu, ceni dobry kryminał i powieść grozy, dlatego w jego twórczości można odnaleźć elementy obu tych gatunków.

Akcja cyklu z podkomisarzem Krauzem i aspirantem Fijałkowskim rozgrywa się w miastach i miasteczkach klimatycznej Kotliny Kłodzkiej.

Seria doczekała się już trzech tomów i trafiła na toplistę audiobooków [Storytel.pl](http://Storytel.pl).

Autor pracuje nad tomem czwartym.